

PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW • NR 4 (6) • 2011





Benedykt Kroplewski- Młodość Chopina

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Im. Josepha Conrada Korzeniowskiego
Pracownia Regionalna
przegródka poczt. Nr 447
80-958 Gdańsk 50
tel. 301-48-11 do 14 w.237

PROWINCJA

KWARTALNIK

SPOŁECZNO - KULTURALNY

DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW

Nr 4 (6)

2011



Redakcja:
Leszek Sarnowski - redaktor naczelny
Wacław Bielecki - sekretarz redakcji
Marek Stokowski
Janusz Ryszkowski
Andrzej Kasperek

Okladka: Mariusz Stawarski

Obrazy na okładce:
Benedykt Kroplewski: Młodość Chopina (II str.), Osiek (III str.), Brama rozsypanych drobiazgów (IV str.)

Skład i łamanie:
Z8 REKLAMY, www.z8.com.pl

Druk: Drukarnia W&P
ul. Akacyjowa 29, 82-200 Malbork

Wydawca:
Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82-400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10
tel. 693 527 614 prowincja@onet.pl

Redakcja składa serdeczne podziękowania za wsparcie naszej
inicjatywy wydawniczej:

Andrzejowi Krzysztofiakowi Burmistrzowi Kwidzyna
Jerzemu Godzikowi Staroście kwidzyńskiemu
Andrzejowi Rychłowskiemu Burmistrzowi Malborka
Miroslawowi Czapli Staroście malborskiemu
Leszkowi Taborowi Burmistrzowi Sztumu
Wojciechowi Cymerysowi Staroście sztumskiemu

Dziękujemy również za współpracę przy promocji kwartalnika:
Kwidzyńskiemu Centrum Kultury
Sztumskiemu Centrum Kultury
Miejskiemu Domowi Kultury w Malborku
Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim
Stowarzyszeniu Inicjatywa Aktywny Malbork
Stowarzyszeniu Malborskie Centrum Kwadrat
www.marienburg.pl
www.tvmalbork.pl

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Kwidzyńskie Centrum Kultury
Sztumskie Centrum Kultury
Miejski Dom Kultury w Malborku
Żuławski Park Historyczny w Nowym Dworze Gdańskim ul. Kopernika 10
Księgarnia „Bestseller” w Sztumie ul. Reja 13
Agencja Reklamowa „Aliem” Sławomira Michalika, Sztum ul. Galla Anonima 8
Sklep papierniczo - biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5
Księgarnia Idea Jz. w Nowym Dworze Gdańskim Pl. Wolności 11
Redakcja prowadzi również sprzedaż wysyłkową
- zamówienia można składać pocztą elektroniczną na adres wydawcy.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i niewykorzystanych, zastrzega sobie również
prawo do ich ewentualnego skracania oraz zmiany proponowanych tytułów.

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy
- Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:
Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

Wydawnictwo kwartalnika wspiera
Zarząd Fobos Invest:
Jacek Szarycki i Witold Zapolski-Downar



Publikacja została dofinansowana z budżetu samorządu
Województwa Pomorskiego w ramach zadania
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2011 roku”



ISSN 2082-0291

PROWINCJA

Nr 4 (6) 2011

Spis treści

Szósta „Prowincja” - od Redakcji	5
Proza	
Andrzej Kasperek – Koronczarka	6
Edward Studziński – Na bocznych torach	19
Marek F. Kotlarz – Noc na Żuławach	33
Poezja	
Ryszard Skoworoński	51
Aldona Borowicz	53
Jerzy Kosacz	55
Zbigniew Stelmach	57
Janusz Ryszkowski - Zbiegam cichutko z tej kartki. O poezji Zbigniewa Stelmacha	59
Wędrowki po prowincji	
Tomasz Agejczyk – Szpital jerozolimski	61
Marta Kluszczyńska – W Steblewie teraz nie ma diabłów	67
Karolina Manikowska – Cmentarzowi na ratunek	77
Paweł Głogowski – O czym opowiadają dekle studzienek?	80
Jerzy Kosacz – Magiczne Białki	87
Prowincje dalekie i bliskie	
Andrzej Kasperek – Notatki izraelskie	96
Wiesław Olszewski – Kajakiem na Kresy	110
Na tropach historii	
Janusz Namenanik – Dzierżoń z targów końskich słynący	116
Andrzej Czapliński – Tajemnice Góry Zamkowej i Szwedzkiego Szańca	124
Roman Niemczyk – Gdy książka była orężem	132
Janusz Ryszkowski – Przyrzekli kółko śpiewu lepiej popierać	138
Marta Chmielińska – Milicjant konspiratorem. Marian Babiński	145
Mirosław Melerski – Dzieje pewnego imadła	152
Tomasz Kukowski – Oddziały polityczno-obronne na Powiślu w okresie stanu wojennego	158

Wspomnienia, zapiski, dzienniki

- Maria Donimirska – W oczekiwaniu na decyzje
Konferencji Wersalskiej 1919 r. 164
- Andrzej Wiłun – Celuloza z pamięci cz. IV. W zakamarkach
transportu i sprzętu budowlanego 179

Muzyka

- Wacław Bielecki – Koncert Diny Joffe w Waplewie 187
- Wacław Bielecki – Zapomniany kompozytor z Elbląga 189
- Leszek Sarnowski – Dużo eksperymentujemy – rozmowa
z Arkadiuszem „Rogasiem” Rogowskim
z zespołu Szerwony Abodus 193

Plastyka

- Agnieszka Jarzębska - Benedykt Kroplewski.
Malarz rozsypanych drobiazgów 197

Film

- Agata Janik – Specjalistka od kręcenia problemów 199

Recenzje

- Wacław Bielecki – Na bocznych torach 202
- Danuta Thiel-Melerska – Żuławskie zegary 204

Z przymrużeniem oka

- Maciej Kraiński – Już dwunasta na zegarze,
poncz podają gospodarze 206
- Marek Stokowski – Prowincjonalia 208

- Noty o autorach** 213

Szósta „Prowincja”

To już szósty numer naszego pisma. Ostatni w 2011 roku. Miejmy nadzieję, że dzięki wspólnym wysiłkom nie ostatni, że Nowy Rok przyniesie też nowe wyzwania dla nas wszystkich, że wspólnie nadal spotykać się będziemy na łamach naszego kwartalnika.

Tym razem przygotowaliśmy dla Państwa również sporą dawkę prozy. Fragmenty powieści autobiograficznej „Na bocznych torach” autorstwa Edwarda Studzińskiego, który w bezkresach Syberii poszukuje swojej rodziny i wspomina trudne dzieciństwo na znanych wielu pokoleniom Polaków, szlachakach syberyjskich. Nasz stały opowiadacz Andrzej Kasperek opisuje swoje Żuławy, dokąd w mroźnych czasach stanu wojennego trafia również nasz przyjaciel z Gdańska Marek Kotlarz. O tych trudnych czasach pisze też Jerzy Kosacz, który swój azyl znalazł w Białkach pod Sadlinkami, gdzie spotykali się również inni działacze solidarnościowego podziemia z Kwidzyna. Na naszych łamach porcją poezji debiutują - Ryszard Skowroński z Prabut, Zbigniew Stelmach i Aldona Borowicz oboje niegdyś ze Sztumu oraz Jerzy Kosacz z Kwidzyna.

Tomasz Agejczyk odkrywa tajemnice Szpitala Jerozolimskiego w Malborku, Andrzej Czapliński - Góry Zamkowej w Starym Dzierzgoniu, Janusz Namenanik wspomina końskie targi w Dzierzgoniu, a Andrzej Wiłun kontynuuje opowieść o budowie kwidzyńskiej Celulozy. Solidną dawkę historii w swoich tekstach proponują nam także Roman Niemczyk, Kordian Kuczma i Janusz Ryszkowski. Marta Chmielińska z kolei opisuje ciekawą historię konspiracji powojennej i losy Mariana Babińskiego, milicjanta i referenta w Urzędzie Bezpieczeństwa, który - jak się okazało po wielu latach - był członkiem niepodległościowej konspiracji. Mirosław Melerski zainteresował się... imadłem z ojcowskiego warsztatu, które odkryło przed nim swą niezwykłą przeszłość. Podobnie jak detale metalowe z naszych ulic, których na co dzień nie dostrzegamy, a które, jak się okazuje, są już dziś ważnym elementem dziedzictwa kulturowego. Píše o tym Paweł Głogowski, nieustający tropiciel lokalnej historii.

Wychodząc poza naszą prowincję, Andrzej Kasperek zaprasza Państwa na wędrowną do Izraela, a Wiesław Olszewski kajakiem na Polesie.

Pragniemy także zaprezentować Państwu prace plastyczne Benedykta Kroplewskiego, jednego z najbardziej znanych i utytułowanych artystów malborskich. Jego oryginalne prace od dawna są najbardziej rozpoznawalnym artystycznym wizerunkiem naszego regionu.

Na zakończenie jak zwykle odrobina humoru i kolejny odcinek spojrzenia na Prowincję oczami Marka Stokowskiego i winno-korzenny felieton Macieja Kraińskiego z Waplewa.

Życzymy miłej lektury, a z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku życzymy naszym Czytelnikom rodzinnego, ponadprowincjonalnego ciepła i radości, z nadzieją na spotkanie w przyszłym roku.

Redakcja

Andrzej Kasperek

Koronczarka

Pamiętam długie i bezsenne noce mej choroby, kiedy wariacki niepokój przewracał mię w jednej minucie z boku na bok, każda pozycja była niewygodna i bolesna, a minuty bezsenne upływały kwadransami, godzinami, a tysiące niepokojów nieukojonych szarpało mnie co minutę.

Ludwik Koniński Nox atra

Słowa o chorobie należałoby wziąć właściwie w cudzysłów, bo przecież to był zaledwie ból zębów. Ale jaki ból! Od tygodnia rozsadał mi czaszkę, tabletki przeciwbólowe nje dawały uśmierzenia. Ogłuszanie się alkoholem było pomysłem idiotycznym, ale pomagało na chwilę. Podobnie jak płukanie ust wódką. Kumpel wytrzasnął skądś jakiś skuteczny specyfik w szklanych fiolkach, takich, w jakie pakuje się zastrzyki. Odrywałem szyjkę i wlewałem przezroczysty płyn do gardła. Był gorzki, jak piołun, ale dawał chwilę ulgi. Bezsenne momenty, w których jako tako mogłem zebrać myśli. Wówczas starałem się porachować, ile to taki ząb stanowi procent, a raczej promili, wagi ciała. Byłem dorosłym facetem, ważyłem siedemdziesiąt kilka kilo. Ile ważył ten cholerny siekacz, trzonowy, przedtrzonowy lub kieł? Ile by to nie było, to dawał mi niezłą szkołę. Parę deko udręki. Kilka nie leczonych gramów bólu.

Każdy normalny człowiek poszedłby po prostu do lekarza. Ale widać nie byłem normalny. Choć z tego bólu byłem gotów do samego diabła pójść... Cierpiałem srodze, ale do dentysty nie mogłem się wybrać. Tylko nie to! Ta trauma brała się ze zdarzenia sprzed kilku tygodni. Dentystka - sadystka w studenckiej przychodni tak beznadziejnie posługiwała się wiertłem, że zsunęło się z zęba i prawie przebiło mi policzek. Te wizyty u stomatologa to prawie zawsze był horror. Zdarzało mi się uciekać z poczekalni po kilku minutach słuchania dobywającego się zza drzwi gabinetu upiornego wizgu i świstu bormaszyny. Za każdym razem, kiedy siadałem na fotelu tak mocno ścisnąłem jego drewniane poręcze, że miałem wrażenie, iż sok z nich pocieknie, tak jakby zrobiono je ze świeżego drewna. Wyczyn doktor Giej-Królik przesądził sprawę. Wyszedłem z gębą wypchaną mokrą watą, niewyleczonym zębem i pokrwawionym policzkiem. „Jeszcze nie skończyłam” – wrzeszczała za mną baba w fartuchu nie pierwszej czystości.

Ale ból stał się nie do wytrzymania. Rozrywał mi czaszkę. Nie dawał żyć. Polecono mi dentystę z Wrzeszcza. Przyjmował prywatnie. Fakt płacenia za usługi medyczne wydawał mi się okropny, ale nie miałem wyjścia. Co było robić? W poczekalni siedziało kilka osób; przyjrzałem się współbraciom i siostram w niedoli. Gruby facet, wyfiokowana paniusia i dziewczyna w ortalionowym niemodnym płaszczu. Nie zdjęła go, nawet nie rozpięła. Wyglądała tak, jakby w każdej chwili była gotowa do ucieczki. Rozejrzałem się wokół, na stoliku leżały gazety i czasopisma. Ale zamiast „Expresu Wieczornego”, „Wieczoru Wybrzeża” czy „Kulis” zobaczyłem tam pisma myśliwskie: „Głos Kniei”, „Łowiec Polski”, „Zew Matecznika”. Nie miałem pojęcia, że aż tyle się tego ukazuje. Jezus! Pewnie jakiś furjat z dwururką – pomyślałem. Ale co tam... Swoją drogą do dziczyzny trzeba mieć mocne zęby, żuchwy i szczęki wyrzchtowane tip-top. A ja od kilku dni żywiłem się tylko zupkami przecieranymi i chlebem rozmoczonym w mleku, a właściwie jego ośródką, bo skórki już były zbyt twarde. Gdzie mi tam do combrów zajęczych, kuropatw i suchej kiełbasy myśliwskiej z dzika. Mogłem tylko o nich pomarzyć.

Wystrój poczekalni był pretensjonalny, pociemniała ze starości boazeria, myśliwskie trofea, ale nic imponującego – zaledwie jakieś poroża koziołków. Do tego landszaft, na którym namalowano wrzosowisko i duży alegoryczny obraz przedstawiający sąd nad myśliwym. To dopiero było coś – za stołem sędziowskim siedział jeleń, dzik, bażant, obok nich widać było zajączka i lisa, zmieściła się tam nawet kaczką. Przed tym gremium stał w pozycji młokosa, który coś przeszkrobał, ściskając kapelusik z piórką, myśliwy. Przyszła kryska na Matyska. Wszystko to bardziej pasowałoby do jakiejś knajpy pod nazwą „Leśna”. Była to jednak poczekalnia. Dentysta pewnie dawał w ten sposób ujście swej pasji, ale też sprytnie odwracał uwagę nieszczęsnych pacjentów i kierował ich myśli w inną stronę.

A moje myśli powędrowały w kierunku siedzącej w kącie dziewczyny. Była w moim wieku. Szara myszka, która marzyła tylko o jednym – żeby rozpuścić się w powietrzu, żeby wtopić się w tło i stać się niewidoczną. Pewnie na ulicy przeszedłbym obok i nawet jej nie zauważył. Była jedną z tych dusz, które nie dają znaku, choć miałem wrażenie, że skądś ją znam. Nie mogłem sobie jednak przypomnieć. Drzwi otwały się i gabinet wchłonął mnie. Pan doktor okazał się być nadzwyczajnie delikatny. Wyrwał chory ząb i ból ustał natychmiast. Ekstrakcja okazała się tak łatwa, jak wyciągnięcie mleczaka dziecku. Obeszło się nawet bez znieczulenia. Wyszedłem skołowany, ale było mi lekko i chciałem się uśmiechnąć do dziewczyny. Nie było jej, zniknęła.

W głowie powoli mi się rozjaśniało i nie przestawałem myśleć o nieznanym w płaszczu. Czy gdzieś już ją widziałem? Olśniło mnie nagle. Tak – na wykładach. W wielkiej auli na Humanie tłoczył się cały pierwszy rok filologii polskiej. Docent K. sprawdzał wrywkowo obecność. Byliśmy wszyscy jesz-

cze nieopierzeni i baliśmy się, że nas skreślą z listy studentów w razie przyłapania na nieobecności. Było tam wtedy tylu ludzi, że nie znając się jeszcze, stanowiliśmy masę. W niej szybko można było wyróżnić piękne dziewczyny z lśniąco włosami, gustownie ubrane w zagraniczne ciuchy, jakie można było kupić tylko w Pewexie lub komisach, wstawiane tam przez marynarzy. Snuli się leniwie smukli chłopcy w dżinsowych garniturkach Wrangler lub Lee albo sztruksach Rifle i swetrach szetland w serek. Oni byli na pewno z Trójmiasta. Błyszczeli w tej bezkształtnej masie studentów, którzy przyjechali z powiatowych miasteczek i wiosek odziani siermiężnie w wyroby oferowane przez uspołeczniony handel oraz miejscowych prywaciarzy. Odznaczały się jednym – workowatością, formą amorficzną, kolorem ziemi... Dziewczyny z prowincji szybko się jednak przestawiały na wielkomiejski sznyt – zaoszczędzone na jedzeniu pieniądze (z korzyścią dla ich zbudowanych na kartoflach ciał) wydawały na hali w Gdyni i po pół roku różnice znikwały. Chłopacy porzucali garnitunki od matury i kupowali pierwsze levisy. Mimikra. Tak to działało.

Helena była na moim roku, ale nie od początku. Pojawiła się kilka tygodni później. Ponoć chorowała. To ją spotkałem u dentysty we Wrzeszczu. Chodziła lekko zgarbiona, chciała w ten sposób zamaskować swe nieco zbyt wydatne piersi. W tym celu pewnie też wdziewała za duże swetry i bezkształtne, jakby ciężowe, sukienki. Rzeczywiście była przyciężka. Była jednak dość wysoka i to pewnie też ją krępowało. Prawdopodobnie dlatego nosiła buty na płaskiej podeszwie, tanie zamszaki. Wyglądała tak, jakby chciała swą kobiecość ukryć. Wiecznie zdejmowała okulary i wycierała oczy, lekko podpuchnięte. Nie przyciągała męskich spojrzeń.

Na przerwie zobaczyłem, że czyta Hrabala. Czerwona okładka pierwszego wydania w serii „Z jednorożcem” była poplamiona i podarta. Trzymała ją w swych dużych dłoniach, jakby ją chciała schować albo ochronić. Tak, jak osłaniamy płomyk świeczki na wietrze. Może chodziło o to, aby skryć ją przed wzrokiem profanów. Wtajemniczeni i tak rozpoznawali, co czyta. Czeski pisarz nie był wówczas na topie. Szyku można było zadać spacerując z książką pod tytułem: „Utwory zebrane” Rafała Wojaczka, „O bohaterach i grobach” Ernesta Sábato czy „Pieśni Maldorora” Lautréamonta. Tytuł musiał być dyskretnie ukryty, aby tym bardziej go uwidocznić. Ot paradoksy tamtych czasów. Nie chcę niczego odbierać tym książkom i ich randze, ale tam, na korytarzach Wydziału Humanistycznego były dla wielu tylko rodzajem modnego gadżetu.

„Co tam słyhać u elewa Miłosza Pipki?” – zagadnąłem. Spojrzała na mnie nieco wystraszona, ale że użyłem znanego jej kodu uznała, iż nie ma się czego obawiać i nie będę szydził z jej fryzury, makijażu oraz stroju. „Pan zawiadowca wymyśla rysiom polskim.” „Mhm, to znaczy, że pan dyżurny ruchu Całusek podczas nocnego dyżuru podniósł telegrafistce spódnice i odbił

jej na pupce wszystkie pieczęci, jakie tylko były na stacji.” Uśmiechnęła się tak pięknie, że oniemiałem. Okazało się, że podobnie, jak ja czytała „Pociągi pod specjalnym nadzorem” kilka razy. Postanowiłem jej zaimponować. „Wiesz, że w DKF „Žak” będą puszczaali „Ostře sledované vlaky”? Możemy pójść razem. Mam karnet.” W myślach liczyłem, ile będzie mnie kosztowało wycyganienie od Marka wejściówki dla niej. On też lubił czeskie filmy. „Dlaczego wybrałaś Gdańsk?” „Chciałam zobaczyć morze.” „Nigdy go nie widziałaś?” „Nie.” „Zatem nic nie widziałaś. Thalassa...” „Co?” „To po grecku morze.” „Uczysz się greki?” „Trochę próbuję. I jak? Zdecydowałaś się? Jedziemy jutro?”

Helena okazała się świetną koleżanką: wrażliwą, czytana, skromną. Pochodziła z Mazur, z wioski nad Śniardwami. Matka uczyła w wiejskiej szkółce. Ojciec zginął przywalony drzewem w trakcie ścinki. Godzinami gadałiśmy o literaturze, włóczyliśmy się w trójkę, bo Marek się do nas przyłączył, po gdańskich kinach i muzeach. Oczywiście działało się to ze szkodą dla procesu dydaktycznego, ale już się tym nie przejmowaliśmy. Była to wspólnota prowincjuszy, zakompleksionych z powodu swego stroju, niemodnych butów, braków w lekturach. Naturalny odruch samoobrony nakazujący, żeby trzymać się razem. W grupie czuliśmy się raźniej i swobodniej.

Trochę też improwizowaliśmy. Na początku miesiąca, po odebraniu w kasie rektoratu stypendiów, stać nas było nawet na wizyty w lokalach. Siedzieliśmy w którejs z modnych wówczas knajp na Mariackiej lub Pivnej, popijając drogie drinki z sokiem albo colą, co uznawano powszechnie za szczyt elegancji i luksusu. Zupełnie bez sensu, ale wydawało się nam, że w ten sposób korzystamy z wielkomiejskiego życia. Naiwne podrostki, które wyrwały się spod maminych skrzydeł i poczuły wolność. Byliśmy jednymi z wielu, którzy mieli się przekonać na własnej skórze, jak ona smakuje. Często ceną były osmalone piórka, ale czasem koszt był większy – płaciło się połamanymi skrzydłami. Nie umieliśmy pić alkoholu; w końcu w Polsce jest to lekcja, którą każdy musi odrobić sam, nikt nikogo tego nie uczy.

Szwendaliśmy się po gdańskiej Starówce. Odkrywaliśmy nowe smaki. Pizza, spaghetti, bogracz, wątróbka po żydowsku – tego się w naszych domach nie jadało. Buszowaliśmy po różnych kawiarniach i restauracjach: „U Szkota”, „Adwokacka”, „Literacka”, „Istria”, „Flisak”, „Klub aktora”... Wydawało się nam, że zaliczamy zajęcia pod nazwą: Nocne życie dużego miasta. Ale nikt nie chciał dać nam zaliczenia.

Pewnego razu wydarzyło się coś dziwnego. Było późno, siedzieliśmy w „Mariackiej”. W pewnej chwili Helena włożyła sobie do nosa słomki z drinków i zaczęła buczec gardłowo: „I am the walrus, I am the eggman...” Wzięliśmy to najpierw za wygłup, pijacki skecz. Choć po prawdzie zbyt dużo nie wypiliśmy. Kiedy jednak zaczęła na cały głos wykrzykiwać: „Jestem morsem, jestem jajcarzem...” próbowaliśmy ją uspokoić. Marek wyjął jej słomki a ona

krzyknęła: „Zostaw świnio moje kły!” i uderzyła go w policzek. Wpadł kelner, błyskawicznie ocenił sytuację i scenicznym szeptem powiedział do szatniarza: „Panie Józku, bierzem gnoi i won!” Szatniarz, którego poprzednim miejscem pracy pewnie było MO albo SB, fachowo zabrał się do roboty.

Znaleźliśmy się na przedprożu. Zimne powietrze ocuciło ją na chwilę, stała bezradnie oparta i sinymi ustami szeptała: „Jestem Lucy in the Sky with Diamonds. See how they fly like Lucy in the Sky, see how they run. I'm crying, I'm crying. I'm crying, I'm crying.” Po chwili zapadła w stupor i stała podtrzymywana przez nas. Nagle głowa jej opadła na pierś, tak jak u szmacianej lalki. Nie wiedzieliśmy zupełnie, co się dzieje. Dowlekliśmy się do postoju taksówek. Taksiarz obrzucił nas podejrzliwym spojrzeniem, ale przyjął kurs. Obowiązywała nocna taryfa.

Przez kilka dni Helena nie pojawiała się na zajęciach. Marek był na nią obrażony a ja nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Próbowalem dyskretnie wypytać się u koleżanek. Te z pierwszego roku nic nie wiedziały. Za to Julita z drugiego była dobrze poinformowana: „Ja to się wam dziwię, że chodzicie z tą wariatką. Przecież ona ma zajoba! W zeszłym roku wzięła ją do czubków. Dopiero teraz wróciła.” A widząc moją minę dodała: „Naprawdę nie wiedziałeś? A ja z dziewczynami myślałam, że nieźle z was kogutki złotopiórki, co to z pomyloną się zabawiają w wesoły autobus. Chcesz powiedzieć, że wy jej nie?” Ta Julita to była jednak prostaczka. Tak naprawdę była też zwykłą kurwą. Do jej pokoju ciągnęły zawsze wycieczki wujków. Wyliniałe ogiery koło czterdziestki, prawie zawsze z nadwagą i prawie zawsze z wąsami. Taki miała gust. Ale niektóre życzliwe koleżanki mówiły, że daje za kasę. Co mi do tego, była przecież też dobrą koleżanką, która zawsze poratowała, kiedy brakowało 20 złotych przed pierwszym; pożyczyła soli a nawet cukru, który był już wówczas na kartki i udostępniła notatki z językoznawstwa.

Tak żyło się w akademiku, który przypominał termitierę. Kilkaset osób stłoczonych na kilku piętrach, w małych pokojach, chodzących po długich korytarzach do kuchni, ubikacji, pod prysznic, etc. Dla jednych miejsce skupionej nauki, innym potrzebne tylko do spania i popijaw. Miejsce załatwiania interesów, wielkich nadziei i jeszcze większych rozczarowań, narodzin miłości, zdrad i czego tam jeszcze... Tu wymieniano się doświadczeniami i radami na życie, konspirowano i przepisywano ulotki, modlono się o zaliczenie i tracono wiarę po oblaniu egzaminu komisowego. Tu też po prostu żyło się we wspólnocie, ucząc się tolerancji, solidarności oraz wymiany usług i grzeczności.

Nie chciałem się dopytywać, co oznacza ta metafora. Pewnie wyobrażała sobie jakieś *ménage à trois*. Też coś. Nasz związek był zupełnie pozbawiony seksu. Byliśmy grupą przyjaciół, wierzących w możliwość przyjaźni pomiędzy kobietą a mężczyzną (w tym wypadku: mężczyznami). Nie było w tym

nic z cielesności, żadnego całowania, nawet przytulania. Może nawet nie przeszliśmy jeszcze inicjacji. Nie mówiliśmy o tym. Katolickie wychowanie odcisnęło na nas swą pieczęć. Chyba jeszcze wierzyliśmy w dziewictwo do ślubu. Popęd płciowy przejawiał się w jakichś obłapkach, wilgotnych pocałunkach i zmazach nocnych. Helena była naszą przyjaciółką, prawie siostrą. Po prostu.

Stałem na korytarzu i zastanawiałem się, czy pójść do jej pokoju. Podszedłem pod drzwi, postąłem chwilę i zawróciłem. Ale po chwili sam siebie zbeształem w myślach, wróciłem i zapukałem. Długo nic się nie działo, spróbowałem jeszcze raz. Miałem nadzieję, że jej nie ma, bałem się trochę tego spotkania, szczególnie po wysłuchaniu tych wieści. Jednak usłyszałem chrobot klucza w zamku. Spojrzała na mnie zza uchylonych drzwi i wpuściła ośrodek. Wyglądała okropnie. Ubrana była w kolorowy szlafrok, który kiedyś pewnie służył jej matce, tak był wyblakły i zetłały. Twarz miała zapuchniętą, oczy ledwo widoczne spoza worów, włosy potargane. Można by ją pokazywać jako wzorcowy okaz nędzy i rozpaczki. Ale pewnie nie była świadoma tego, jak wygląda. Usiadła na rozgrzebanym łóżku i bezradnie rozglądała się dookoła. „Wiesz, trochę wczoraj przesadziłam. Ja w zasadzie to nie powinnam wcale pić. Doktor mi zabronił. To mi nie służy. Ale ja tak dla towarzystwa...” Nie zauważyła, że minęły cztery dni od feralnej nocy. „Jaki doktor?” „No ten doktor Rzeszutek.” Nie chciałem się dopytywać więcej. „Głodna jesteś. Chce ci się pić?” „Nie, nie. Ja wszystko mam. Ja wszystko mam. Zobacz, mam w szafce kompot i weki. Mama mi przysłała. Chcesz suszonych gruszek albo jagód? Są dobre na żołądek...” Na stole dostrzegłem koszyk z włóczką i wbitymi w nią drutami oraz fragmentem robótki. „To będzie sweter dla ciebie” – powiedziała nieśmiało.

Czyżbym czegoś nie zauważył? Może tylko ja traktowałem to jako przyjaźń. Może dla niej, wychowanej bez ojca, facet, który był koło niej blisko, stawał się od razu kimś ważnym. Ba, niezwykłym przez sam fakt istnienia. Należało mu się podporządkować, zaufać, być usłużną. Albo pokochać go. Pewnie dlatego, bojąc się, że nas (mnie) zraził godziła się na udział w naszych nocnych eskapadach. Naładowany kompleksami, ze śladami po trądziku, który był moja zmorą przez lata, żyłem w przeświadczeniu, że jestem przeczysty dla dziewczyn. I nic nie widziałem. Niczego nie dostrzegłem.

Po kilku dniach wróciła na zajęcia. Wyglądała tak, jak wcześniej, jakby nic się nie stało a te kilka dni przeleżała przeziębiona w łóżku. Ale to były tylko pozory. Nasze kontakty nabrały dystansu. Niby nic, ale wyczuwało się pewien chłód. Często skrycie się jej przyglądałem. Nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z osobą chorą na schizofrenię. Wypożyczyłem z biblioteki książkę profesora Kępińskiego i notowałem: rozszczepienie umysłu, omamy, katatonie, halucynacje, reemisja choroby... Jak jakiś głupkowaty przyrodnik

– amator sprawdzałem, czy jakieś objawy się pokażą. Tak, to było głupie a może nawet podławe, ale nie wiedziałem, jak mam się zachować. Co miałem robić?

Okresy niezłego humoru, werwy a nawet tryskania energią i optymizmem zaczęły się mieszać ze stanami apatii, przygnębienia. Nigdy nie byłem pewny, w jakim nastroju będzie. Chodziłem koło niej na paluszkach a i tak nagle obrywałem: na przykład mówiła, że podbieram jej cukier i pewnie potajemnie pędzę bimber. To byłoby nawet śmieszne, ale ona mówiła to zupełnie serio. Albo oskarżała mnie (i to publicznie), że ściągnąłem z linki w suszarni jej bieliznę. To nie było zabawne. Czasami zupełnie jej nie poznawałem – wpadała w otępienie. Nagle gasła, jakby ją ktoś wyłączył z kontaktu.

W „Żaku” był właśnie przegląd kina francuskiego. Pomyślałem, że zaproszę ją, trochę się rozerwie. Okazało się, że to był fatalny pomysł. W zestawie filmów była „Koronczarka”. Isabelle Huppert, której talent tu zabłysnął, stworzyła znakomitą rolę. Jej Pomme, czyli Jabłuszko, była przejmująco prawdziwa. Młoda dziewczyna zakochana w studencie przeżywa dramat odrzucenia. Dla niego jest za mało wykształconą, nieambitną fryzjerką, która jest dobra w łóżku, oszczędna, dba o swego mężczyznę, nie jest gadatliwa, ale na tematy intelektualne nie porozmawia. Nie potrafi dostrzec miłości i oddania dziewczyny. Jest egoistą, który nie zauważa, że była jedną z tych dusz, które nie dają znaku, a które trzeba cierpliwie pytać i uważnie się im przyglądać. Niegdyś malarz uczyniłby ją tematem obrazu. Byłaby praczką, roznosicielką wody albo koronczarką. Taką jak z płótna Vermeera. Młodą kobietą skupioną na swej pracy. Skromną i wrażliwą, która bez wahania ofiarowała nam swą miłość a my tego nie dostrzegliśmy...

Intymny dramat Claude’a Goretty był w zasadzie melodramatem. Postać Pomme przypominała trochę bohaterkę „Wiosennej bujności traw” Eli Kazana zagrana wspaniale przez Natalie Wood. Obie zapłaciły straszną cenę za źle ulokowane uczucia. Przypląciły to załamaniem nerwowym. Zbyt były wrażliwe, za cienką miały skórę.

Helena oglądała film i nic nie wskazywało na to, że tak mocno na nią podziała. Był wzruszający, na sali słychać było westchnienia. Kiedy w końcówce pojawiła się twarz Huppert, spokojna, ale nieobecna i wycofana; twarz osoby, której ktoś skradł duszę, zaczęła szlochać. Wyła. To był skowyt rannego zwierzęcia. Spanikowany wyprowadziłem ją na dwór. Powtórzyła się historia sprzed kilku tygodni. Wracaliśmy do akademika a ona nie przestawała jęczeć. Zostawiłem ją w pokoju pod opieką współlokatorki. W nocy przyjechało pogotowie. Zawieźli ją do szpitala na Srebrzysku. To był szpital psychiatryczny.

Po kilku dniach wybraliśmy się do niej w odwiedzinach. Było to okropne. Tak naprawdę, to zawsze bałem się wizyt w szpitalu. Odór środków odkażających zmieszany ze smrodem ludzkiego nieszczęścia i choroby stanowił mieszankę, którą ledwo wytrzymałem. Ale tu dochodziło coś jeszcze innego – widok, którego nie znałem. Dziesiątki snujących się po korytarzach i salach kobiet, które podobne były do zjaw. W rozwianych koszulkach, poplamionych szpitalnych szlafrokach, ze zmierzwionymi włosami przypominały topielice z ilustracji do romantycznych ballad. Żywe cienie poruszające się jak zombi. Albo zupełnie nieobecne i nic niewidzące, albo gwałtownie gestykulujące. Jedna dopadła nas i prosiła o papierosa kusząc: „Chłopcy za to kopsnę wam szparę na obcinke!”

Wreszcie doszliśmy do świetlicy. Pielęgniarz przyprowadził ją. Szła ostrożnie stawiając stopę za stopą, jak ślepiec. Jej ruchy były mechaniczne i powolne, niczym robota, któremu kończy się bateria i zaraz znieruchomieje. Bardzo schudła. Na buzi widać było wyraźnie lekko wystające kości policzkowe, pamiątkę po jakiś zapomnianych tatarskich przodkach. Twarz miała nieobecną. Nie wiem, czy nas poznawała. Rozmowa się rwała. Helena co chwila zapadała się w siebie i zastygała. Domyśliłem się, że to wynik faszerowania jej lekami psychotropowymi. Daliśmy jej paczkę z owocami i sokiem. Uśmiechnęła się wówczas i miałem wrażenie, że wtedy nas poznała. „Dobre z was chłopaki. Róbcie dla mnie notatki ze staropolskiej.”

Szliśmy do przystanku tramwajowego. Marek palił a ja ukradkiem ocierałem łzy, choć przed nim pewnie nie musiałem się z tym kryć. Po kilku dniach w deesie pojawiła się matka Heleny. Skromnie ubrana kobieta koło pięćdziesiątki przyjechała po rzeczy córki. Pomagaliśmy się jej pakować. Książki, ubrania, naczynia, zeszyty. Nie było tego dużo. Podniosłem niedokończoną robótkę z swetrem, który miał być dla mnie. „A to gdzie? – spytałem. Chyba liczyłem na to, że powie: „Niech zostanie, może komuś się przyda.” Miałbym wówczas pamiątkę po mojej przyjaciółce. Spojrzała roz-targnionym wzrokiem i zadysponowała: „Do ubrań. Spruje się i włóczka się przyda. Trudno ją teraz u nas kupić.” Pisałem grubym mazakiem adres na okręconych sznurkiem paczkach: „Marianna Sz., Wydminy-Rozstaje, 11-730 Mikołajki”. Tyle mogłem zrobić.

Było przedwiośnie. Zacząłem pracować w studenckiej spółdzielni Techno-Servis. Żle się czułem biorąc pieniądze z domu. Szczególnie wtedy, gdy wydawałem je niezgodnie z przeznaczeniem. Jeździłem bladym świtem do stoczni. Tramwaje i kolejka wypływały tysiące ludzi, którzy niedospani i bez śniadania wlekli się do roboty w gdańskich stoczniach i porcie. Wyglądało to, wypisz, wymaluj, jak scena rozpoczynająca „Ziemię obiecaną” Wajdy. Robota była brudna i prymitywna, czyściłem zęzy, wynosiłem gruz i śmieci.

Odwaląłem czarną robotę, ale nie narzekałem, bo bardzo dobrze płacili. Tak dobrze, że ojciec mi nie uwierzył, gdy mu powiedziałem, ile dostałem za pierwszą dniówkę.

Wracałem do Oliwy i po głowie pałętał mi się napis ze stoczniowej tablicy: „Ostrożność nie jest tchórzostwem. Lekkomyślność nie jest bohaterstwem.” Wyszkolony na odwiecznym pytaniu: „Co autor miał na myśli?” próbowałem dokonać egzegezy tego tekstu. Nie było to łatwe, bo pozornie był to prosty przekaz dotyczący BHP, ale można było tam przecież wyczytać opinię polityczną. Dobrą radę, dla tych wszystkich, którzy zaczęli wątpić w nieomyślność PZPR-u i rozwiązań szukali w „Biuletynie Informacyjnym KSS KOR”.

Minęło kilka miesięcy od wyjazdu Helenki. Nie przysłała kartki ani listu, a ja bałem się napisać, choć adres zapamiętałem. Wszedłem do akademika i schyliłem się do okienka portierni, żeby poprosić o klucz. Irena wyszła jednak dostojnie ze swojej kańciapy, przeciągnęła się leniwie, niczym drapieżna, a może raczej lubieżna, kocica, za jaką zawsze chciała uchodzić i wręczyła mi złożony blankiet telegramu. Na naklejonych na kartkę papierowych paskach odczytałem osobliwy adres: Panowie Marek i Andrzej, DS-4, Gdańsk-Oliwa, Polanki 66. Nazwisk nie było, ale depeszę dostarczono. „To chyba do was. Innych Marków i Andrzejów tu nie ma. Coście znowu nawywijali?” Liczyła na to, że przy niej rozerwę sklejony telegram, ale ja poszedłem z nim do pokoju. Kto to może być? Kto tak mógł zaadresować? Uspokajałem się, że to nikt z rodziny. Telegram, kartka, złożona tak, aby widoczny był tylko odbiorca, wywoływała zwykle lęk, zwiastowała bowiem często złe wiadomości. Coś mnie powstrzymywało przed jego otwarciem. Teoretycznie powinienem wstrzymać się z tym do powrotu Marka, ale on pojechał do Biblioteki PAN i wiedziałem, że będzie w niej siedział do zamknięcia czytelní. No, ale przecież byłem współadresatem.

Treść była krótka: „Moja córka Helena nie żyje. Pogrzeb...” Tu wymieniono datę i miejsce. Poczuję się, jakby mnie ktoś batem smagnął po nogach. Przysiadłem na brzegu łóżka. Jeszcze raz przebiegłem oczami krótki tekst, żeby sprawdzić, czy się nie pomyliłem. Jednak nie. Od opuszczenia Gdańska przez nią minęło prawie pół roku. Czasem o niej myślałem, ale coraz rzadziej, czas robił swoje. Trzeba było nadrabiać zaległości, odrabiać zajęcia stracone w epoce poświęconej na badania terenowe w mieście portowym średniej wielkości. Pierwszego roku nie pozwalano powtarzać, a nie chciałem być wyrzuconym. To byłby dyshonor.

Podróż zabrała nam cały dzień. Tłukliśmy się kilkoma pociągami, czekaliśmy na przesiadki w obskurnych poczekalniach pamiętających lepsze czasy za kajzera Wilhelma. Miałem wrażenie, że czas płynął tu wolniej, nikt się nie spieszył a kierowca autobusu PKS, który wiózł nas z Mikołajek do Wydmin, w pewnej chwili po prostu zatrzymał wóz przy jakiejś chałupce,

wziął swą torbę i wysiadł. Nie było go chyba pół godziny. Denerwowaliśmy się, czy w ogóle uda się nam dotrzeć na czas. Ktoś z miejscowych słysząc nasze szeptki powiedział śpiewnie: „Ta, nie nerwujśia. On tu ma matke. Wody ze studni naciągnie, drew narąbie i wróci się. Zdążyta.”

Do domu matki Heleny trafiliśmy bez kłopotów. Wioska była malutka i wszyscy się znali. Mały drewniany domek był przytulony do lasu, zaledwie kilkadziesiąt metrów od jeziora. Na ganku stał starzec w mocno zniszczonym szynelu. To pewnie dziadek sybirak, pomyślałem. Znałem go trochę z jej opowieści. Był to człowiek wysoki, bardzo nawet wysoki, ale pochylony mocno. Miał białą głowę, białą brodę i niebieskie oczy, które utkwiał w nas od razu z jakąś dziwną uporczywością. Przypominał trochę Wernyhorę albo patriarchów biblijnych z obrazów dawnych mistrzów. Albo twarze weteranów powstania styczniowego, na których można było odczytać piętno skrytych bólów lub cierpienie duszy, temat przeciągłych walk i katorgi. „Dzień dobry. Czy tu mieszka pani Sz.?” „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” – odrzekł z miękkim akcentowaniem, każdą głoskę wymawiał starannie, wręcz solennie. „Zwę się Putrament. Aza nazwisko moje obce jest uszom waszym?” „Znamy, znamy. Helenka opowiadała. My na pogrzeb. Koledzy ze studiów” – powiedzieliśmy chórem. Jerzy Putrament był wówczas wszechmocnym literatem, redaktorem naczelnym pisma „Literatura”, członkiem KC i autorem wielu książek wydawanych w ogromnych nakładach, ale których nikt nie czytał. Nie miałem śmiałości spytać, czy to z tych Putramentów. „Podnieś głos twój, albowiem wiek zepsował uszy moje i głuchą jest starość moja” - odrzekł pan Longin Putrament. Marek powtórzył głośno. „Tak i dobrze. To przystoi dobrym chrześcijanom. Bo święta i zbawienna jest myśl modlić się za umarłych, aby byli od grzechów rozwiązani. Gwoli czemu wzruszone jest serce moje i uradowana dusza we mnie.” Zastanowiłem się, czy fragment o dobrych chrześcijanach dobrze do nas pasował, niestety miałem wątpliwości.

Zadziwiła mnie jego archaiczna polszczyzna. Mówił ciągle, jak jaki Abraham lub Jakub... Słowa: aza, azali, zaprawdę, lepak, przecz i wždy — powtarzały się w jego ustach co chwila. Czasami zdawało mi się, że mam przed sobą jakiegoś człowieka z czasów Górnickiego lub Skargi albo jakbym słuchał czytania z Biblii w tłumaczeniu księdza Wujka. Jakby zgadując nasze pytania odparł: „Bo w mroźny Sybir posłał mnie Pan na me wypróbowanie. A dał mi Księgę swą na wspomóżenie moje. W ziemi dalekiej stęzał język mój i związały się wargi moje...” Nagle zaszlochał: „Pomarło dziecię. Na zatrąę poszła moja niebożuchna!” W tym momencie drzwi się rozwarły i ukazała się mama naszej zmarłej koleżanki. „Co też ojciec panów na dworze trzyma? Zimno takie, że hej. Zachodźcie panowie, zachodźcie.” Stary burknął: „Mnie ziąb nie straszny. Ja i w sorokawiki na Sybirze na porębę chodził.”

Weszliśmy do kuchni, była zimna i pusta, bez mebli, tylko z dużym lepionym z gliny piecem, wyposażenie ograniczało się do ławy i stołu. Jego drewniany blat był wyszorowany do czysta, deski nosiły rany cięć nożem, uderzeń tasaka. Na środku stała wielka miednica z kośćmi, na których ugotowano zupę. Nie było na nich śladu mięsa, ani chrząstki, ani kawałka ścięgna. Te wielkie wołowe kości wyglądały jakby od wieków poniewierały się na pustyni, jakby paliło je słońce na Saharze lub Gobi. Cały ten dom był dziwny, przerażająco pusty i ascetyczny. „Proszę, proszę do pokoju. Tam napalone, bo tu dziadek urządzuje. Tatko woli zimno, a kostkę każdą tak wycymka, jakby jakiś, uchowaj Boże, sęp ją ogryzał.”

Trumny nie otwarto. Nabożeństwo odprawiał stary ksiądz, który spieszył się, jakby chciał mieć to już za sobą i czym prędzej wrócić na plebanię w sąsiedniej, dużej wiosce. Kościółek był zapuszczony, ławki się chwiały, w oknach niektóre witrażowe szybki były wybite albo potraskane. Czuć było wilgoć, ściany pokryły liszaje a na parapetach zdążył wyrosnąć mech. Ludzi było niewiele. Poza nami trochę rodziny i sąsiadów. Grabarz z pomocnikiem i kilku okolicznych chłopów, zwyczajnych do ciężkiej pracy fizycznej, zarzucili sobie trumnę na ramiona i ponieśli na cmentarz. Minęliśmy zmurzały mur i drewnianą bramę; kiedyś musiała być dumą stolarza, który ją wykonał, a teraz, nie naprawiana i bez konserwowania, chyliła się ku ziemi. Koło muru był wykarczowany kawałek gruntu na nowe pochówki. Reszta była niemiłosiernie zarosnięta i opuszczona. Przypomniał mi się cmentarz w Stegnie. Rzuciłem garść zimnej, ledwo rozmarzłej ziemi na trumnę, w której zniknęła na zawsze moja przyjaciółka. Nagle przez chmury przedarł się promień słońca i oświetlił sterczące wśród splątanych dzikich bzów, leszczyn i olszyn żeliwne sztachety, które o dziwo zabłysły jak maszty sygnałowe. Wyglądało to jakby anioł z rzeźby Berniniego w ostatniej chwili odwrócił grot swej strzały i skierował go w niebo. Żeby nie przebił św. Teresy.

Wyszła w nocy z domu. Tak cicho, że nikt nie usłyszał. W samej koszuli nocnej i papciach. Ślady widać było tylko do furtki, za płotem wiatr je rozwał. Szukano jej w lesie, nad jeziorem. Nic nie znaleziono. Dopiero tydzień temu, kiedy jezioro rozmarzło po wyjątkowo mroźnej zimie, nazwanej zimą stulecia, znaleziono ciało zaplątane w korzenie stojących przy wodzie drzew. Pomyśleć, że leżało w wodzie tak długo, zaledwie kilkaset metrów od swego domu. Mróz sprawił, że było w dobrym stanie, prawie bez śladów rozkładu.

Stałem na brzegu Śniardw i spoglądałem w daleką toń. Pomyślałem, że była istną Panią Jeziora, niczym ze średniowiecznych romansów. Wyobrażałem sobie, jak idzie po zamarzniętym jeziorze, stąpa bez strachu, a lód w pewnym momencie się rozwiera i pochłania ją niczym ondyne, a może raczej rusałkę. Choć pewnie powinienem ją nazwać świtezianką, bo niedaleko jeziora Swież mieszkała przed wojną jej rodzina. Nie ma szarpania, okrzyków strachu, wymachiwania rękami. Powoli opada na dno, niczym ostatni

jesienny liść unoszony delikatnym tchnieniem wiatru. Mokra koszula otula ją niczym śmiertelny całun. Oblepia łydki, przywiera do ud i piersi. Twarz ma pogodną.

Czekałem, aż wody jeziora się rozstąpią i wyłoni się ręka. Nie będzie trzymać miecza, tylko wykona wyprostowaną dłonią ledwo widoczny gest. Palce jej wyprostowanej dłoni skiną mi. To będzie znak, że wie o mojej obecności i pozdrawia. A wtedy będzie szum słysząc w puszczy, poburzona fala z łoskotem na brzegi polecą...

Może tam, w tym jeziorze, zaznała spokoju, jakiego tu nie miała. Udręczona przez zwidy, męczona przez koszmarne sny na jawie. Po pogrzebie matka podeszła do nas i długo nam dziękowała. Za co właściwie? Czułem się winny nawrotu jej choroby, chciałem wziąć odpowiedzialność za jej śmierć. Ale ona widziała we mnie dobrego kolegę swej córki. Biednego obłąkanego dziecka, któremu nikt nie mógł pomóc.

[W opowiadaniu znajdują się cytaty z: Antoniego Czechowa, Claude'a Goretty, Bohumila Hrabala, The Beatles, Henryka Sienkiewicza, Henryka Zbierzchowskiego, Adama Mickiewicza i Biblii.]

Edward Studziński

Na bocznych torach¹

TRWOGA

Głęboka, zimowa noc z dziesiątego na jedenasty lutego 1940 roku była ciepła i przytulna. Ta noc, otulająca spokojem domostwa, pola, lasy i pokryte lodem jeziora, okazała się ostatnią dla wielu polskich rodzin. Rodzina, o której snuje się ta opowieść, była liczna, składała się bowiem aż z dziewięciu osób: czterech dorosłych, jednej prawie dorosłej i czworga dzieci w wieku od trzech do dwunastu lat. Najstarszy i najważniejszy był ojciec (jak to w rodzinie typowo patriarchalnej), najmłodsza zaś Zosia, licząca nieco ponad trzy lata.

W samym środku tej straszliwej nocy domem zawładnęła trwoga. Wszyscy jak na komendę zerwaliśmy się na równe nogi, czując, że na skutek oddziaływania jakiejś potwornej siły — porównywalnej z tajfunem, orkanem, względnie z czymś jeszcze groźniejszym — coś kochanego, dobrego, czego na co dzień się nie zauważało, bezpowrotnie kończy się, wali i rozpada w gruzy. Nie było to jednak żadne zjawisko przyrodnicze, lecz ordynarne, natarczywe walenie w drzwi kolbami i kopanie butami. Każde takie uderzenie wywoływało drżenie ciała i bezgraniczny przestрах na twarzy; bolało tak, jakby to w nas uderzano i nas kopano.

Ojciec, sprawiający wrażenie spokojnego i próbujący uspokoić pozostałych domowników, wstał z łóżka, założył szlafrok i, kierując się w stronę drzwi wejściowych, zniknął reszcie rodziny z pola widzenia.

Tymczasem rodzeństwo skupiło się w pokoju rodziców, otaczając matkę. Maluchy bez przerwy płakały, pewnie dlatego, że nie pozwolono im dospać do rana, jak co dzień, ale być może nie tylko dlatego. Może wyobraziły sobie, że do domu chcą wtargnąć jacyś bandyci lub, jeszcze gorzej, mordercy? I chociaż matka tuliła je do siebie jak kwoka pisklęta, płacz nie ustawał. Jakże bowiem miała je uspokoić, skoro sama płakała najgłośniej i najboleśniej, będąc zapewne świadomą dalszego przebiegu wydarzeń.

Jedynie starsi bracia zachowywali umiarkowany spokój, jakby tym sposobem zamierzali wpłynąć na zachowanie matki. Józef i Jan, pomni wielokrotnie powtarzanych słów ojca, nie płakali, bo mężczyznom łzy nie przy-

¹ Fragment wspomnień Edwarda Studzińskiego, opublikowanych pod tym samym tytułem w 2010 roku, nakładem Wydawnictwa Kwiatpress z Wrocławia. Pierwsze cztery odcinki wspomnień zostały opublikowane w powielanym czasopiśmie „Sztumska Solidarność” w 1990 roku nr 10 – 14, pod tytułem „Wspomnienia deportowanego”. (Red.)

stoją. Obaj kolejno pochylali się nad matką, obejmowali ją bez słowa i przez dłuższą chwilę trzymali w szerokich ramionach, przyciskając jej głowę do swoich piersi. Na ich twarzach jakby nie dostrzegało się lęku.

W pokoju było ciemno i zimno. Nikomu nie przyszło do głowy, by zapalić światło. Wszyscy, jedni świadomie, inni naśladowując pozostałych, zaczęli się ubierać lub okrywać czymś, co dawało ciepło. Do drzwi nadal się dobijano. Po chwili w sieni zrobiło się jaśniej. Szparką pomiędzy drzwiami a podłogą do przedsionka zaczęła się sączyć strużka światła, widoczna także w pokoju. Nagle uwolnione z zamka drzwi wejściowe zostały z hukiem wepchnięte do środka, razem ze stojącym za nimi ojcem, który jakimś cudem zdołał utrzymać równowagę i nie paść do nóg czterem osobnikom, którzy wtargnęli butnie do jego domu.

Do naszego, na ogół spokojnego, domostwa wdarła się fala zimnego powietrza, a wraz z nią wrzeszczące na całe gardło indywidua, których początkowo nie można było zrozumieć. Dopiero nieco później dotarło do naszej świadomości, że ci przeraźliwi, hałaśliwi i buńczuczni żołdacy domagają się władczo dokumentów, a także podania nazwiska, imienia i wieku każdego członka naszej rodziny, szarpiąc wszystkich po kolei, a potem przestawiając, jak jakiś sprzęt, z jednego miejsca na drugie.

Protest głowy rodziny przeciw takiemu traktowaniu wywołał natychmiastową reakcję. Kolba jednego z żandarmów z dużą siłą wylądowała na piersi ojca, który na dokładkę otrzymał jeszcze wiązanekę wulgaryzmów. Cios był tak silny, że ojca rzuciło aż na ścianę. Widząc to, starsi synowie chcieli przyjsć mu z pomocą, lecz jak tylko zrobili krok w jego stronę, żołdaci błyskawicznie skierowali na nich lufy swoich karabinów. Przez cały czas trwania tej sceny z ich ust nie schodziły wyrazy (i dłuższe powiedzenia) uwłaczające godności Polski i Polaków. Nakaz ojca, by synowie zostali tam, gdzie są, i nie wykonywali gwałtownych ruchów, ostudził zapędy moich starszych braci.

Tymczasem żołdaci kontynuowali rozpoczęte wcześniej dzieło przeszukiwania domu, domagając się broni i twierdząc uparcie, że gdzieś tu jest ukryta. Korzystając z okazji, kradli przy tym każdą wartościową rzecz, jaka wpadła im w łapy. Kradnąc zaś, sami siebie usprawiedliwiali, co jaki czas powtarzając, że dorobiliśmy się na cudzej ziemi i cudzej krwi.

Po sprawdzeniu dokumentów oznajmiono nam, że zostaniemy wszyscy natychmiast zabrani i zawiezieni na stację kolejową, do oczekującego już pociągu. Starszy stopniem (co wynikało nie z ubioru, lecz bardziej z buńczuczności zachowania) polecił nam ubierać się i szykować do drogi, dodając, że mamy na to pół godziny. Po domu rozniósł się jeden głośny, żalony płacz, który odtąd już nieustannie towarzyszył nam w przygotowaniach do tej specyficznej, wymuszonej podróży.

Już wtedy, na początku drogi (która, jak się później okazało, była drogą przez trudy i mękę), wśród bestii znalazł się człowiek, który konspiracyjnym sposobem poinformował naszą mamę, jak powinna ubrać dzieci, a także ile wziąć jedzenia. Uprzedził, że droga będzie długa i ciężka, a cel nieznany i bardzo odległy. Oficjalna wersja głosiła, że jedziemy do raję, a nawet do Pana Boga.

— Zobaczycie, gdy dojedzicie! — odpowiadali na nasze pytania żołdacy, a w ich słowach zamiast wulgaryzmów pobrzmiwała teraz kpiarska nuta.

Wtłoczeni w sanie ruszyliśmy w kierunku stacji kolejowej, żegnając to, co było nam najdroższe, bez najmniejszej pewności, że jeszcze kiedyś tu powrócimy.

DROGA

Jeszcze zanim odjechaliśmy saniami, wypędzeni z własnego domu, ustawiono nas przed nim w rzędzie na wąskiej, wykopanej w śniegu ścieżce. Staliśmy więc, jeden przy drugim, splekani do cna, zasmarkani, zastraszeni i zrezygnowani. Był wczesny, bardzo wczesny ranek. Dookoła pustka i szara o tej porze biel śniegu. Mieliśmy wrażenie, że wszyscy śpią, tylko nasza rodzina została pozbawiona snu. W rzeczywistości jednak w osadzie nie spał nikt, zwłaszcza jej starsi mieszkańcy. Było zimno. Już kilka minut stania na dworze dawało się we znaki.

Splekana mama, tuląc do siebie trzymaną na rękę Zosię, miała na twarzy bezgraniczny smutek. Ja dreptałem w miejscu, stojąc koło ojca, który trzymał mnie za rękę. Spoglądałem na niego w górę z podziwem. Stał dumnie wyprostowany, miał przymrużone oczy i posępne oblicze, gniew jednak musiał nim targać okrutny. Odczuwałem to jako bolesny uścisk, kiedy na moment zapominał, że w swojej męskiej dłoni ma małą, kruchą rączynę dziecka. Czasami ból był tak mocny, że z moich ust wyrwał się okrzyk, nie płakałem jednak, wiedziałem bowiem, że ojciec nie znosi mazgajstwa, co niejednokrotnie powtarzał swojej żonie i dzieciom.

Być może nie płakałem także dlatego, że w moich oczach nie było już łez. Wszystkimi nerwami czułem za to, jaką nienawiścią pała ojciec do tych, którzy pozbawili nas domu i całego dobytku. Zapewne bolało go w szczególności to, z jaką bezwzględnością zostaliśmy wyrzuceni na mróz. „Boże, wybac mi, lecz ja także ich nienawidzę!” — myślałem, choć jednocześnie bałem się, patrząc, jak żołdaci przełożonymi na krzyż deskami zabijają okna i drzwi naszego ukochanego domu, z którego rodzice byli tak dumni.

Nic dziwnego, był ładny i niemal nowy. Niektórzy sąsiedzi zazdrościli go nam, a wówczas ojciec mawiał żartobliwie:

— Spalcie się i wybudujcie nowy, nie będzie wam żal!

Okolice też była cudowna. Zresztą które rodzinne strony nie są najcudowniejsze, zwłaszcza we wspomnieniach? Dom nasz, z którego suchą stopą można było przejść do zabudowań gospodarczych, stał w dolince okolonej niewielkimi wzniesieniami. Niedaleko, w innej dolince, znajdowało się jezioro, a obok niego staw. Cały ten teren otulał las, znajdujący się także w zasięgu ręki. Wszystko było nasze, a jednak musieliśmy zostawić to na pastwę losu, a sami udać się nie wiadomo dokąd, najpewniej na poniewierkę i tułaczkę.

Chyba dla podkreślenia swej dumy ojciec ubrał się w mundur, który wkładał, gdy wraz z mamą i resztą rodziny jechał w niedzielę bryczką do kościoła. Teraz przez tę jego dumę zaczynał przenikać chłód poranka. Stukanie obcasami lśniących nawet w półmroku oficerskich butów, które otrzymał (choć nie był oficerem) idąc do cywila, świadczyło o tym dobitnie.

— Przecież mogłeś założyć kozuch — narzekała mama.

— Jestem żołnierzem nawykłym do trudów — odpowiadał krótko.

Po jakimś czasie zarówno stukanie, jak i przeklinanie ludzi oraz Boga w języku rosyjskim i ukraińskim ucichło, a za moment padła komenda:

— Sobirajties'! Poszli! ²

Może z pięćdziesiąt metrów od naszego domu, na głównej drodze, stały sanie z zaprzęzoną do nich parą koni, zasypane śniegiem, jak wszystko wokół.

— Kobiety i dzieci na sanie, a pozostali za nimi!

Dwóch żołdatów usiadło z tyłu, jeden z przodu. Za saniami ustawiono ojca i trzech starszych braci. Na końcu kolumny, jako straż tylna, szedł jeszcze jeden żołdat.

Zmieściliśmy się w saniach z niemałym trudem. Stale ponaglani i popychani, ostatecznie zdołaliśmy się jakoś całą piątką ulokować, układając uprzednio pakunki, których było w sumie niewiele, gdyż nie pozwolono nam zabrać wszystkich. Została pierzyna, pledy i część odzieży, skrzętnie przygotowanej przez mamę na czas podróży. Nie pomogły ani krzyki, ani płacz, ani błaganie, że tu chodzi głównie o dzieci.

— Nie lzia! ³ — I koniec dyskusji.

Parsknęły konie, zaskrzypiały płozy sań. Najpierw odnieśliśmy wrażenie, że sanie się rozciągają, by następnie drgnąć i ruszyć. W słomie, którą były wyłożone, początkowo było nawet ciepło i przyjemnie. Gorzej z pewnością mieli idący za saniami. Zmuszeni do brnięcia w śniegu, sięgającym czasami do kolan, a nawet i wyżej, okrutnie się męczyli. Z koni kłębam buchała para.

² Zbierajcie się! Idziemy!

³ Nie wolno!

starsze dzieci, kładąc na niedomytej podłodze koce, a na nich uratowaną pierzynę i poduszki, co miało (zdaniem mamy) ograniczyć przenikanie zimna z podłogi.

Po dokładnym rozejrzeniu się po wagonie można było zauważyć, że jest niemal całkowicie wypełniony. W jego wnętrzu znajdowało się około pięćdziesięciu osób, w tym sporo dzieci. Stan poszczególnych rodzin był nie do pozazdroszczenia. Wiele z nich zmuszonych było nocować tu, w tym mrozie. Pociąg, jak wynikało z tego, co mówili, stał na stacji już od dwóch dob, a mimo to nikt nie wiedział, kiedy ruszy i dokąd ich powiezie. Z ust do ust przekazywane było tylko jedno sakramentalne słowo: Sybir.

Drzwi wagonu otworzyły się jeszcze może dwa albo trzy razy, tylko po to, by żołdaci znowu mogli kogoś wepchnąć kolbami, wkopać lub wrzucić do środka niczym worek kartofli, a także po to, by do lodowatego wagonu wpuścić kolejną dawkę przenikliwego chłodu. Niepożądany i nieoczekiwany przez nikogo z pasażerów pociąg składał się z dwunastu albo i piętnastu wagonów, co oznaczało, że można w nim było przetransportować nawet do tysiąca osób.

W krótkim czasie dowiedzieliśmy się, do czego służy tajemnicza dziura w podłodze. Korzystając z niej, najpierw wzajemnie się zasłaniano, później wstyd został zredukowany do minimum i zaniechano używania zasłon. Aby jednak nie być obiektem zainteresowania innych, dorośli wstrzymywali swoje potrzeby fizjologiczne do zapadnięcia zmroku, tak długo, jak im na to pozwalał zdrowy organizm, głównie żołądek. W przypadku dzieci zasłon nie stosowano w ogóle, od samego początku. W tej gehennie najbardziej poszkodowane były właśnie one. Wystraszone tuliły się do rodziców, nie chcąc się poruszać, mimo zachęty, nawet dla rozgrzewki. W tym bezruchu marzyły tak, że bardzo szybko stawały się najpierw blade, a potem sine.

Dzieci w wagonie było wiele, i to w różnym wieku, począwszy od trzymanych na rękach niemowląt. Najwięcej było dzieci w wieku przedszkolnym, sporą grupę stanowiły dzieci szkolne, a także młodzież obojga płci. Dorosłych było chyba najmniej, bo tylko rodzice owych dzieci i kilka osób starszych, samotnych.

W PODRÓŻY

Dzisiaj nie sposób uzmysłowić sobie tego, że człowiek może traktować drugiego człowieka w tak okrutny sposób, w jaki traktowano nas, Polaków. Gehenna ludzi w tych ekstremalnych warunkach podróży, niesamowicie trudnych do zniesienia przez dorosłych, a dla dzieci zabójczych — to los, jaki zgotowali nam ludzie z Kraju Rad.

W tej makabrycznej podróży trudne do wyobrażenia katusze przeżywały zwłaszcza matki mające małe dzieci lub niemowlęta. Maleństw tych nie było czym karmić i poić, chyba że miało się jeszcze pokarm własny. Takie „szczęśliwe” matki pozwalały swym dzieciom ssać aż do syta lub do zmęczenia i zaśnięcia. Starano się, jak to zazwyczaj bywa w takich okolicznościach, pomagać sobie nawzajem, lecz pomagając innym, należało się liczyć z tym, że pokarmu może zabraknąć dla własnego dziecka.

Po kolejnym całodziennym postoju pociągu, po zjedzeniu posiłków zastępujących śniadanie, obiad i kolację (niczym się w zasadzie od siebie nie różniących, jeśli chodzi o rodzaj pożywienia), wagon wraz ze znajdującymi się w nim ludźmi, dawno otulony ciemnościami, zasnął. I właśnie wówczas, gdy wszyscy spali lub spać powinni, coś drgnęło, stuknęły zderzaki i pociąg ruszył, goniąc identyczny wagon, znajdujący się przed naszym, który tak samo wiozł pasażerów gdzieś w nieznane, wbrew ich woli.

Śpiący bezwiednie przyjmowali najrozmaitsze pozy, będące często odzwierciedleniem ich przeżyć w ciągu dnia, przewijających się teraz w snach, które — jak życie — bywają przyjemne, ale i przykre. Tych przykrych musiało być więcej, słyszało się bowiem głównie okrzyki bólu i rozpacz, a także autentyczny płacz. Większość śpiących układała się w pozie embrionu, kurcząc się na tyle, na ile to było możliwe, po to, by tracić jak najmniej ciepła. Nie-ktoś, w poszukiwaniu ciepła, tulili się do siebie. Wszyscy bez wyjątku spali w ubraniach, tylko nieliczni zdejmowali obuwie, kładąc je pod głowę, a okrywali się tym, co zdołali przemyścić i ukryć przed bacznie obserwującymi oczyma żołdatów. Byli tacy, którzy mieli pierzyny. W zasadzie takich rodzin było najwięcej. Pozostali posiadali koce, ciepłe pledy, względnie duże, wełniane chusty, bardzo popularne na wschodnich rubieżach. Do przykrywania służyły również futra, pelisy i inne okrycia wierzchnie.

Jak już wspomniałem, miało się wrażenie, że wszyscy w wagonie śpią. Pozornie tak to wyglądało, chociaż z całą pewnością tak nie było. Co jakiś czas tu i ówdzie słyszało się szlochy, westchnienia i zwykły, ludzki płacz. Ktoś, nie mogąc spać, palił papierosa za papierosem, rozsnuwając woń dymu po całym wagonie. Tymczasem pociąg gnał, tak jakby chciał nadrobić czas stracony na postoju. Coraz to rozlegał się stukot kół na złączach szyn. Odnosiło się wrażenie, że tory ułożone są z krótkich kawałków szyn.

Wstawał dzień. Robiło się szaro, co wskazywałoby na to, że zbliża się lub już jest godzina siódma. Była to jednocześnie siódma godzina jazdy pociągu i to bez zatrzymywania się. Każdy, kto się obudził, pędził do otworu w podłodze i kuczał nad nim lub załatwiał swoją potrzebę na stojąco. Dookoła robiło się coraz bardziej mokro, ponieważ trafić do otworu stojąc nie było łatwo.

Dwaj chłopcy, sprawiający wrażenie bardziej żywych, postanowiło wyjść przez okno, by zorientować się, gdzie jesteśmy. Młodszy i lżejszy wspiał się na barki starszego i bardziej rosnącego. Stał tak chwilę, trzymając się prętów okiennych, aż wreszcie zeskoczył zrezygnowany, oświadczając, że nigdzie nie widać niczego prócz śniegu.

Ojciec wraz ze znajomym nauczycielem mocowali się z drzwiami, próbując je odsunąć albo chociaż odchylić. Kombinowali tak jakiś czas, potem zaś dosyć długo stali przy nich nieruchomo. Wkrótce za ich przykładem poszli inni mężczyźni. Jednak ten sposób załatwiania potrzeby fizjologicznej dostępny był wyłącznie dla mężczyzn, kobiety i dziewczęta nadal zmuszone były kucać nad otworem, maskując swoje czynności płaszczami lub sukienkami i bardzo nisko spuszczać przy tym głowy ze wstydu.

Kolejną czynnością dnia było przygotowanie śniadania. Na razie nie było źle, ponieważ jedzenia nie brakowało, niemal każdy miał też jeszcze coś do picia. Ci, którzy nie wzięli ze sobą wody, domagali się jej już na postoju, ale otrzymali jedynie wiązki obelg. Z tobołków, koszyków i innych zawiniątek, toreb lub walizek wydobywano chleb, masło, twarogi i wędliny. Krojono je i dzielono bardzo ostrożnie, obawiając się, że zanim dotrzemy do celu, zapasów może zabraknąć. W ten oto sposób zaczynało się przezorne, planowe niedojadanie — preludium głodu. Każdy kęs pokarmu czy okruszyna chleba były skrupulatnie zjadane.

Syberia — słowo to słyszało się coraz częściej, wręcz nieustannie, jakby wypływało z podświadomości. Nic dziwnego, u Polaków to geograficzne określenie miało swoje przesłanki historyczne, sięgające czasów bardzo odległych. Każdy, kto nawet pobieżnie znał historię swojego kraju, wiedział, że mieliśmy zatargi tak ze wschodnimi, jak i z zachodnimi sąsiadami. Jedni i drudzy bez przerwy szczyrzyli kły na piękny kraj leżący nad Wisłą, gnębili więc, jeśli mogli, i wynaradawiali ludność tego kraju, wywożąc ją na Syberię, skąd w zasadzie nie było powrotu. Zarówno jedni, jak i drudzy usiłowali wymazać z mapy Europy nazwę „Polska”, dokonując kolejnego, czwartego już rozbioru naszej ojczyzny.

Tego rodzaju wywody dominowały w dyskusjach wagonowej starszyny. Mówiło się także (lecz już znacznie ciszej) o tym, jak się wyzwolić, jak uciec z tego przekłętego wagonu i pociągu. Takich zapalczywców było jednakże mało, większość opanowała apatia, będąca następstwem rezygnacji z walki. Kto wie, być może tym, którzy zaczęli przystosowywać się do nowej sytuacji i warunków, było lżej, aniżeli tym zbuntowanym...

Kiedy bardzo późnym wieczorem, a właściwie nocą, pociąg zaczął zwalniać, niemal każdy zerwał się na równe nogi, oczekując, co będzie dalej. Wszystkim nagle przyszło do głowy, że być może otrzymamy coś ciepłego do zjedzenia, względnie chociaż ciepły napój. Skupiano się więc przy drzwiach z obu stron wagonu i czekano. Pociąg jeszcze toczył się po torach, a jego

pasażerowie już walili pięściami w drzwi, domagając się pożywienia i wody. Krzyczeli, a wręcz wrzeszczeli, ile tylko sił w płucach. Okrzyki te jeszcze się wzmożyły, gdy pociąg stanął.

— Pić! Jeść! Pić! Jeść!

Na odpowiedź nie trzeba było czekać długo. Najpierw dało się słyszeć kilka mocnych uderzeń w zewnętrzną stronę drzwi, potem zaś rozległo się wołanie:

— Spokój, swołocze! Odejdźcie od drzwi, bo będziemy strzelać!

Po czym, jak zwykle, padła jeszcze wiązanka sążnistych obelg.

Na moment zapanowała kompletna cisza. Pasażerowie pociągu zastanawiali się pewnie, czy gdyby doszło do strzelania, kule przeszłyby przez grube deski, z jakich wykonane były drzwi, które ktoś z zewnątrz usiłował teraz otworzyć, klnąc w tak wyszukany sposób, z jakim dotychczas mało kto się spotkał. Ale drzwi nie chciały się otworzyć. Najwyraźniej przymarzły. Soldaci ponownie zaczęli walić w nie kolbami i szarpać. Ostatecznie udało im się zrobić w drzwiach szczelinę ponad metrowej szerokości. Ukazały się w niej dwie zarośnięte głowy w uszankach.

Pierwsze słowa, jakie usłyszeliśmy, dotyczyły ostrzeżenia przed ucieczką, po którym padło zapewnienie, że w razie, gdyby ktoś z nas zechciał jej próbować, będą strzelali bez ostrzeżenia. Następnie z każdego wagonu wzięto po dwóch młodych mężczyzn i ustawiono ich w kolumnie, którą skierowano w stronę ledwo widocznego w oddali, słabo oświetlonego (zapewne naftowymi lampami) budyneczku.

Ojciec po raz kolejny próbował wykorzystać sytuację, by dowiedzieć się czegoś o celu podróży. Zagadnięty żołdak spojrział na niego z pogardą i nieważnością w oczach, po czym splunął, mówiąc:

— Nie twoje dzieło, ty sukinsynie! ⁴

Ostatnie słowo zostało wypowiedziane z takim naciskiem, że pozostały po nim syk długo jeszcze unosił się w powietrzu. Podkreśleniem odpowiedzi było powtarzane splunięcie.

Soldaci chodzili wzdłuż pociągu, po obu jego stronach, pilnie rozglądając się na wszystkie strony i trzymając broń pod pachą, lufą skierowaną ukośnie w ziemię. Wystarczyło tylko lekko ją podnieść, by móc strzelić z biodra, na to się jednak, przynajmniej na razie, nie zanosilo. Ci, którzy coś planowali, nie wypowiadali się na ten temat.

Upłynęło sporo czasu, zanim wybrani mężczyźni wrócili. Przez cały ten czas drzwi wagonu były otwarte, a wpływający przez nie ziąb pozbawiał ludzi resztek zgromadzonego ciepła. Każda dwójka mężczyzn przyniosła garnek i dwa wiadra wody, jeszcze ciepłej, o czym świadczyła unosząca się para. Polecono nam podchodzić z naczyniami. Właściwie ten rozkaz był niepo-

⁴ Nie twoja rzecz, ty sukinsynie!

trzebny, bo wszyscy i tak już tłoczyli się przy drzwiach, chcąc znaleźć się jak najbliżej garnka, który wstawiono do wagonu wraz z wiadrami napełnionymi wodą.

Każdy podawał takie naczynie, jakie miał. Były więc garnki, garnuszki, fajansowe kubki, a nawet porcelanowe filiżanki. Bardziej przewidujący zaopatrzyli się w miseczki, a nawet talerze. Przeważnie każdy miał jakąś łyżkę i inne sztucce. Byli jednakże i tacy, którzy nie zabrali żadnego naczynia i teraz patrzyli błagalnie na pozostałych, szukając kogoś, kto mógłby im użyczyć jakiegoś kubka. Każdy przecież tak długo marzył o tym, by zjeść coś cie-płego lub chociażby napić się ciepłej wody...

Naczynia przeważnie były już do czegoś używane lub nawet coś się w nich jeszcze znajdowało, lecz szybko je opróżniono i, czyste czy nie, podawano żołdatowi. Ten brał naczynie w rękę (zabezpieczoną wielką, brudną rękawicą z jednym palcem), drugą zaś ręką (ubraną w taką samą rękawicę) nabierał zupę narzędziem przypominającym puszkę po konserwie przybitą do krótkiego kija. Krótki trzonek powodował, że przy każdym zaczerpnięciu rękawica częściowo zanurzała się w zupie. To, co się na niej znalazło, żołdak strząsał na powrót do kotła, nie przerywając wydawania. Najwyraźniej humor mu dopisywał, gdyż przy każdym strząśnięciu rękawicy śmiał się, powtarzając:

— Dobra zupa! Smaczna zupa! Bardzo smaczna zupa!

Szczęśliwcy, którzy już dostali tę tak bardzo upragnioną „smaczną zupę”, długo jakoś przyglądali się jej, mieszając z niedowierzaniem, że coś takiego daje się do jedzenia ludziom. Była to bowiem brunatnoszara lura, w której czasami trafiał się kawałek ziemniaka, kilka krup lub odrobina kapusty. Ktoś znalazł także kawałek sznurka, inny z kolei okazał, niezbyt dobrze wygotowaną, sporych rozmiarów drzazgę. Nawet buchająca z garnka para, co skonstatowano później, zdaniem wszystkich śmierdziała straszliwie, znacznie gorzej od pomyj, jakie podawano w domu świniom.

Tylko rozsądek rodziców, a także pozostałych dorosłych, kazał połykać to paskudztwo, chociaż miało się wrażenie, że wszystko zaraz cofnie się z żołądka z powrotem do talerza (to, co z takim trudem zostało połknięte, bez wątplenia zostałyby zwrócone z wielką łatwością). Rodzice jednak powtarzali bez przerwy, że należy jeść, nie zastanawiając się nad tym, co się je, nikt bowiem nie wiedział, kiedy otrzymamy kolejny ciepły posiłek. Komu udało się zjeść wymarzoną „zupę”, szybko podstawił naczynie po wodę, teraz już zupełnie zimną. Nie dzi-wota — był mroźny wieczór, a raczej noc. Śnieg, oświetlany lampami żołdaków, skrzypiał pod ich buciorami, mienił się i skrzył niczym kryształ.

Kiedy rozdano zupę i wodę, należało odnieść naczynia tam, skąd je wzięto. Poszli więc ci sami, którzy zostali wyznaczeni do ich przyniesienia. Wracając do wagonów pod eskortą (która nie była przeciwna prowadzeniu

rozmowy), ktoś, komu Ruscy zdążyli już mocno zejść za skórę, postanowił skorzystać z okazji i „urwać się”. Musiał już wcześniej upatrzeć sobie dogodne miejsce, bo nagle uskoczył w bok i położył się za wzniesieniem powstałym z na-wianego śniegu. Gdyby tam pozostał (jak potem opowiadano), może i udałoby mu się uciec, ale jemu zdawało się, że już jest wolny. Wstał, chcąc pobiec dalej, lecz w ten sposób natychmiast się zdemaskował. Od razu został zauważony. W jego kierunku padły tylko dwa strzały, ale obydwa okazały się celne.

Po tych strzałach w miejscu postoju najpierw zapanowała złowroga cizsza. Później, gdy ludzie nieco ochłonęli, rzucono się na pomoc uciekinierowi, wywołując ogólne zamieszanie. Pierwsi, którzy dobiegli do leżącego, postanowili zanieść go do wagonu, lecz żołdaci, którzy także się tu znaleźli, nie pozwolili na to, stwierdzając, że mężczyzna nie żyje i zostanie przez nich pochowany. Rodzinie, która prosiła, by jej pozwolono pogrzebać zmarłego, także od-mówiono, oświadczając tylko, że zostanie pochowany po chrześcijańsku i dodając:

— Nie mamy zamiaru wozić trupa!

Jak zwykle ani płacz, ani błaganie nie pomogły. Decyzja żołdatów była stanowcza i nieodwołalna. Po tym tragicznym wydarzeniu, używając jako straszaka pojedynczych ostrzegawczych strzałów karabinowych, wszystkich zapędzono do wagonów, a kilka minut później zasunięto i zaryglowano drzwi.

W naszym wagonie (pewnie tak samo, jak i w pozostałych) do późnych godzin nocnych roztrząsano ostatnie wypadki, które wszystkich bez wyjątku przeraziły, zmuszając do przemyślenia i zweryfikowania planów, jakie (co się okazało w następnych dniach) pokątnie przygotowywano. Do wszystkich dotarło wreszcie, że to, co mówili żołdaci o użyciu broni bez ostrzeżenia, nie było wyłącznie czczym gadaniem.

Po długim, trwającym kilka godzin postoju pociąg ruszył i od razu nabrał dużej szybkości. Tym razem gnał tak przed siebie przez ponad dwie doby. Raz tylko zatrzymał się na krótko, lecz nie po to, by nakarmić głodnych czy też napoić spragnionych. To nastąpiło dopiero w trzecią z kolei noc, licząc od momentu wyruszenia z miejsca ostatniego postoju. Tak jak poprzednio, pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacji (tak zresztą było również przy następnych postojach), z nazwy której niczego nie można było wywnioskować, ani też niczego się dowiedzieć. Z uwagi na to, że postoje miały miejsce wyłącznie w nocy (a jeśli nie w nocy, to w czasie, gdy na dworze panowały już zupełne ciemności), na stacyjkach tych nikogo poza jadącymi Polakami i żołdatami nie było.

Usiłowano dowiedzieć się czegoś od ludzi, którzy przygotowywali w drodze „posiłki” i ciepłą wodę dla „Lachów”, lecz oni sami nie byli zorientowani. Ktoś napomknął, że ta trasa prowadzi chyba do Archangielska, ktoś inny, że na Ural, dodając, że do Kazachstanu też można tędy dojechać. W każdym razie wiadomo było chociaż, że najbliżej jest do Morza Białego.

Zupa na drugim postoju była jeszcze gorsza niż poprzednio, a woda zupełnie już zimna. Po zjedzeniu szarej lury wiele osób doznało dolegliwości żołądkowych w postaci galopującego rozwolnienia. Otwór w podłodze stale był zajęty. Bywało, że jeden poganiał drugiego, nie mogąc już wytrzymać. Niebawym problemem stał się brak jakiegokolwiek papieru, nieodzownego w takich okolicznościach. Darto wszystko, co podrzeć się dało i co mogło go zastąpić.

Co gorsza, poza rozwolnieniem jadących zaczynały atakować także inne choroby. Pierwszymi ich ofiarami stawały się dzieci, zwłaszcza te słabsze. Coraz częściej słyszało się ich rozdzierający serce płacz i błaganie o wodę, która by ugasiła rozpalone gorączką ciała. W takich sytuacjach bywało, że ktoś, kto miał coś do picia, wspomagał bardziej spragnionych, pozbywając się tego, co było teraz najdroższym, bo najtrudniej dostępnym, towarem. W po-szukiwaniu wody uciekano się również do środków zastępczych, jak chociażby zeskrobywanie szronu z metalowych części wagonów.

Najgorszą jednak chorobą była depresja i rezygnacja, czyli zdanie się na to, co przyniesie los. Byli jednak i tacy, którzy nie chcieli się poddać. To za ich sprawą w czasie tej podróży usłyszeliśmy strzały po raz drugi.

Co sprawniejsi skoczyli do okienek, lecz i tym razem nie udało im się niczego zobaczyć, chociaż natychmiast po strzałach pociąg zaczął hamować, a następnie przez bliżej nieokreślony czas wolno toczył się po zmarzniętych torach. Podróż, jak wynikało z obliczeń, trwała już jedenasty dzień, a właściwie jedenastą dobę (bo jest przecież różnica pomiędzy jazdą w dzień a jazdą przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy).

Na kolejnym postoju sprawa strzałów wyjaśniła się. Przekazywana od wagonu do wagonu wieść niosła, że z pociągu usiłowało zbiec czterech mężczyzn. Los dwóch z nich, zastrzelonych, znali tylko żołdaci, a najlepiej wilki, których całe watahy krążyły w okolicy o tej porze roku. Los pozostałych dwóch, którym udało się uciec, poznaliśmy znacznie później. Szczegóły dotarły do nas po ponad roku, gdy już byliśmy „dobrze urządzeni” w łagrze, z którego ojciec pisał do znajomych, by zaopiekowali się domem i tym wszystkim, co zostawiliśmy. W ten oto sposób i my otrzymaliśmy list, i to na dodatek od stryja, o którym wiedzieliśmy tylko tyle, że jedzie razem z nami, tylko w innym wagonie. Okazało się, że to właśnie on, wraz z trójką innych mężczyzn, uciekł z pociągu.

Jak wynikało z wymiętoszonego (i otwartego oczywiście) listu, z czwórki uciekinierów dwóch zastrzelono już w momencie skoku na nasyp kolejowy, jeden zaś został postrzelony, ale tak niebezpiecznie, że nie był w stanie iść o własnych siłach. Dziwnym i szczęśliwym dla stryja trafem, jego nie dosięgła, ba, nawet nie drasnęła, żadna kula, chociaż Rosjanie strzelali, nie żałując naboju. Uchroniły go jakieś zarośla, za którymi skrył się po sturlaniu z nasypu. Ponieważ pociąg się nie zatrzymał, nikt nie poszedł sprawdzić, czy leżący jeszcze żyją czy nie. Rannego stryj taszczył przez wiele kilometrów, przez zaśnieżone pola i lasy, grzęznąc w śnieżnych zaspach i odpoczywając w stogach siana. Gdy dowlókł się z nim do jakiegoś zabudowania, ten już dogorywał, on zaś nie czuł stóp, tak były odmrożone. Dalej iść już nie miał siły, zdał się więc na los. Gospodarze, którym zawierzył, byli Rosjanami, lecz rów-nocześnie okazali się być ludźmi. Zaopiekowali się obydwojma Polakami i nie wydali ich w ręce oprawców. List od stryja był to jeden jedyny list, jaki do nas dotarł od kogokolwiek, kiedy byliśmy już w łagrze.

*

Tymczasem po dwutygodniowej, upiornej i wyniszczającej, a nierzadko nawet zabijającej podróży zaczynaliśmy pomału wątpić w to, że ktokolwiek z nas opuści te wagony żywy, coraz częściej bowiem wynoszono z nich martwe ciała, przeważnie dziecięce. Nasza Zosia i jej rówieśnicy dogorywali. Dorosłych także coraz trudniej było rozpoznać. Niegoleni i niemyci mężczyźni wyglądali straszliwie. Kobiety, ograniczające się tylko do czesania włosów i nie mające możliwości utrzymywania higieny osobistej, musiały czuć się okropnie.

Starsi, wodząc palcami po ścianie i wyobrażając sobie na niej mapę, analizowali trasę, jaką teoretycznie mógł przemierzać ten pociąg widmo. Niektórzy odnosili wrażenie, że krąży w obrębie kilku republik; inni jeszcze bardziej puszczali wodze wyobraźni, twierdząc, że był już pod Biegunem Północnym i cofnął się na południe. Znajomy nauczyciel sądził — czemu ojciec przytakiwał — że zmierzamy nadal na północ i znajdujemy się obecnie gdzieś w okolicach Wołogdy. Na kolejnym postoju przypuszczenia te znalazły potwierdzenie, ponieważ ktoś dziwnym trafem zorientował się co do miejsca, w które dotarliśmy, i orzekł, że jesteśmy więzieni nie gdzie indziej, tylko na Sybir.

W pociągu nie było już mocnych. Ojciec ze starszymi synami przymierzał się do otworu w podłodze, dochodząc do wniosku, że należałoby go powiększyć, aby móc swobodnie wślizgnąć się pod wagon w czasie jazdy. Żałował przy tym, że nie był razem z tymi, którym udało się porozumieć i spróbować ucieczki. Z drugiej strony jednak martwił go los żony i najmłod-

szych dzieci. Obawiał się, że bez jego opieki może nas spotkać coś znacznie gorszego, niż to, co dotąd przeżyliśmy. Byli i tacy, co odradzali mu także narażanie życia swojego i synów.

— Lepiej umrzeć z honorem, aniżeli żyć na kolanach! — zwykł wówczas odpowiadać.

Tymczasem zapasy żywności wyczerpały się już do cna. Jeżeli ktoś miał jeszcze coś do jedzenia, chował to przed innymi, jedząc po kryjomu, przeważnie nocą. Do zimna można było jakoś przywyknąć, do głodu już nie.

Na kolejnym postoju niecierpliwie oczekiwano na otwarcie drzwi, lecz przez cały dzień i całą długą noc nikt ich nie otworzył.

— Zginiemy w tych wagonach z głodu i zimna! — mówiono, tracąc wszelką nadzieję.

Dopiero drugiego dnia w południe odsunięto drzwi na całą szerokość i kazano szybko wychodzić. Soldaci, biegając od wagonu do wagonu, wydzielali się na nas, waląc przy tym z całych sił kolbami w ściany wagonów i klnąc siarczyście. Z potoku ich bełkotliwych krzyków udało nam się wywnioskować, że mamy jak najszybciej zebrać manele, wyjść z wagonu, a następnie ustawić się przed nim i czekać.

Marek H. Kotlarz

Noc na Żuławach

(fragmenty)¹

[...] Byłem przemoczony i zmarznięty, czułem w nogach przebyte kilometry a na barkach ciężar pełnego offsetowych blach i bibuły plecaka. Gorzko żałowałem, że tak pochopnie zrezygnowałem z zabrania czapki, ale nic rano nie zapowiadało ani nawrotu zimy, ani takiego rozwoju wydarzeń. O tej porze miałem już być w Gdańsku i popijać gorącą herbatę w swoim przytulnym pokoju. Nawet gdyby jakikolwiek autobus jeszcze teraz nadjechał, nie miałbym szans dotrzeć na miejsce przed godziną milicyjną.

Od chwili, gdy rano wsiadłem do pociągu, wszystko układało się nie tak. Najpierw miał opóźnienie, potem szukałem awaryjnego adresu, bo nie było już w miejscu spotkania kuriera, a potem jeszcze ten niespodziewany patrol w drodze powrotnej. Dobrze, że paliłem na korytarzu i zobaczyłem, jak wchodzi do wagonu. Pociąg był niemal pusty, więc nie miałem za dużo czasu. Byłem sam w przedziale, więc bez namysłu wyrzuciłem plecak przez okno. Chwilę potem się zjawili, trzech zomowców w polowych mundurach, dwóch z długimi pałkami, a dowodzący nimi porucznik z kaburą u pasa. Poprosił o dokumenty. Przeglądając dowód spytał:

- A bagaż?

- Nie mam, byłem tylko w odwiedzinach u ciotki przez kilka godzin – wyjaśniłem.

- Gdzie dokładnie?

- W Elblągu, na Traugutta.

Przeglądali mi się podejrzliwie, ale oddali dowód osobisty i poszli dalej. Wsiadłem w Starym Polu i wracałem nasypem wzdłuż torów rozglądając się za plecakiem. Na polach leżał mokry śnieg i buty zaczęły przemakać. Potem z ciemniejącego szybko nieba zaczął śiąć lekki deszczyk. Gdy się ściemniło, mróz ściał śnieg w chrupiącą pod stopami powłokę. Trudno było odróżniać kształty, więc pochylałem się nad każdym kamieniem i kępą trawy, bo wszystko w ciemności przypominało plecak. Nie wiem, ile zrobiłem kilometrów, nim go znalazłem. I tak miałem szczęście, bo utknął w krzaku. Gdyby nie zechciało mi się przy nim wysikać, pewnie bym go nie zauważył.

Droga do Malborka powinna biec gdzieś w pobliżu, więc byłem niemile zaskoczony nie mogąc jej odnaleźć, musiała gdzieś wcześniej rozejść się z torami. Brnąłem rozmiękłymi polami mając nadzieję, że idę we właściwym kierunku. Po kolejnych kilku kilometrach poczułem pod stopami twardy asfalt i doczłapałem się do tego przystanku, Bóg jeden wiedział gdzie. Miałem dosyć wędrówki, zimna, deszczu i wyjazdów z domu. Czułem głód i z roz-

¹ Fragment nowej książki nad którą w tej chwili pracuje Marek Kotlarz.

rzewnieniem wspominałem cynaderki w sosie o niezidentyfikowanej barwie i wodnisty bigos z dworcowego bufetu, z których zrezygnowałem, bo nie wyglądały najciekawiej. Teraz gorzko żałowałem, że byłem taki wybredny. Od skąpego śniadania przelkniętego przed wyjściem z domu nie miałem nic w ustach.

Wiedziałem, że muszę stąd odejść, zaszyć się gdzieś na tych rozległych polach, gdzie poza nielicznymi wierzby nie sposób znaleźć było czegoś, co mogłoby osłonić przed wiatrem i deszczem. Już nie deszczem nawet, tylko tańczącą z wiatrem i tnącą boleśnie twarz śnieżną krupą w którą się zamienił. Gdzieś po drodze widziałem kilka takich wierzby z bulwiastymi głowami, może tam? Ale to za chwilę, jeszcze tylko kilka minut na ławeczce z wyłamanymi deskami, ale pod gościnną osłoną dachu i trzech chroniących od wiatru ścian. Odstawiłem plecak, wtuliłem się w kąt i zamknąłem oczy. Musiałem zasnąć, bo nagle poczułem, jak ktoś mną potrząsa. Niechętnie otworzyłem oczy.

– Nic panu nie jest? – nieokreślony cień pochylał się nade mną i trzymał mnie za ramię. Jeszcze jedno irytujące szarpnięcie. Wcale nie miałem ochoty budzić się z odrętwienia, które sprawiało, że nie czułem już zimna. Chciałem powiedzieć, by dał mi spokój, ale to było za skomplikowane, machnąłem tylko ręką próbując strząsnąć jego uchwyt, jednak nie dawał na za wygraną. – Proszę pana, wszystko w porządku? Proszę nie zasypiać.

– Już dobrze – udało mi się wreszcie wydusić – chyba zasnąłem.

– A tam dobrze – jeszcze raz mną potrząsnął – musi się pan obudzić.

Miał rację, musiałem, bo w przeciwnym razie nie da mi spokoju.

– Już dobrze – nie wiem, czemu te słowa wracały jak refren, ale wyprostowałem się, by udowodnić, że to prawda. – Byłem po prostu zmęczony – wyjaśniłem.

– Wypiło się?

– Skąd! – uraziło mnie jego podejrzenie. Teraz zacząłem dostrzegać więcej niż tylko zarys postaci. Miał czapkę uszatkę zapiętą pod szyją i watowaną kurtkę.

– Nie może pan tu spać, zamarznie pan!

– Nie mam gdzie iść – sam się zdziwiłem swoją szczerością, chyba jeszcze nie do końca panowałem nad sobą i sytuacją. Znowu poczułem, że mi zimno i miałem mu to za złe.

Pochylił się bardziej i przez chwilę milczał, jakby się zastanawiał. Chyba mnie obwąchiwał sprawdzając, czy mówiłem prawdę. Najwyraźniej ta organoleptyczna próba wypadła pomyślnie, bo puścił moje ramię, wyprostował się i polecił:

– Chodź pan ze mną! – Zawahałem się. Wyczuł to, bo powtórzył: – Chodź pan, tu nic dobrego pana nie spotyka. [...]

Przeszliśmy kilkaset metrów szosą, a potem skręciliśmy w polną drogę. Czuję, jak wraca mi krążenie w stopach i to nie było przyjemne uczucie. Ale w ślad za tym wracała świadomość i zacząłem się przyglądać idącemu przede mną mężczyźnie. Był niższy ode mnie o głowę i szczupłej postury, ale rower prowadził bez wysiłku, pomimo że koła grzęzły w błocie, które czułem pod stopami. Wlokłem się za nim, a on co pewien czas oglądał się sprawdzając, czy dotrzymuję mu kroku. [...]

W oddali pojawiło się światło, skrawek nadziei na ciepło, który powiększał się z każdym krokiem. Wreszcie dostrzegłem dom i okna z których się dobywało. Gdy podeszliśmy do ogrodzenia rozległo się ujadanie.

- Spokój Kazan, swoi – zawołał mój przewodnik i szczekanie się urwało. [...]

Mrok sieni rozpraszało światło wpadające przez otwarte do kuchni drzwi, za którymi dostrzegłem kaflowy piec z parującym sporej wielkości garnkiem stojącym na rozgrzanej płycie i siedzącą przy stole kobietę zajęętą krojeniem, jak wywnioskowałem po okazałym nożu trzymanym przez nią w dłoni. W powietrzu unosił się zapach gotowanej kapusty.

- Helu – zawołał mój gospodarz nie rozbierając się – daj panu gorącą herbaty, bo zmarzył na przystanku, a ja tylko śrutę zrzucę i schowam rower. A potem widząc, że stoję nieco zmieszany, dodał: – Plecak niech pan tu zostawi i zdejmie kapotę.

Wyszedł dokładnie w chwili, gdy w drzwiach kuchni pojawiła się kobieta w wełnianym swetrze i brązowej, długiej spódnicy z przepasanym na biodrach fartuchem w czerwonej kratę. Ku memu zdziwieniu nie wyglądała na zaskoczona nagłą wizytą.

- Dobry wieczór – przywitałem się – przepraszam, że sprawiam kłopot.

- A jaki tam kłopot, proszę wejść. [...]

Kobieta usiadła naprzeciwko i wróciła do krojenia boczku. Mogła mieć około sześćdziesiąt lat, może nawet mniej, bo siwe, sięgające ramion włosy ujęte z tyłu płaską spinką nieco ją postarzały. Oczy o łagodnym spojrzeniu, którym mnie obrzucała podnosząc niekiedy wzrok, miały kolor ciemnego bursztynu. Szczupłą twarz pokrywały delikatne zmarszczki, sprawiające wrażenie, jakby jeszcze nie zadomowiły się na dobre. Czuję, że czeka aż się odezwę pierwszy. Upiłem łyk herbaty parząc sobie wargi.

- Dziękuję – czuję jak gorący płyn spływa rozgrzewając żołądek – właśnie o tym marzyłem.

- Musiałeś mocno przemarznąć synku – stwierdziła przyglądając się mojej bez wątpienia czerwonej teraz twarzy. Nie wiem dlaczego, ale jej „synku” sprawiło mi przyjemność, tak dużo było w jej głosie wyraźnej wyczuwalnej troski, że przestałem się czuć jak intruz.

– Mam na imię Marek. – Skinęła głową przyjmując to do wiadomości. – Chciałem się dostać do Gdańska. – Milczała. – Sprawdziałem rozkład jazdy i chyba przysnąłem na przystanku. Obudził mnie pani... – zawahałem się – mąż i chyba powinienem mu podziękować jak wróci.

Zebrała deskę z pokrojonym boczkim, zsunęła kostki do garnka i zamieszała drewnianą łyżką. Najwyraźniej gotowała bigos. Wróciła do stołu i usiadła w tym samym miejscu.

– Jak Staszek wróci, podam kolację, teraz karmi zwierzęta.

Nie drążyła tematu, nie wypytywała skąd i dlaczego znalazłem się na drodze o tej porze, jakby uznając, że mogę powiedzieć tyle, ile zechcę. – W czterdziestym piątym, to był grudzień, tuż przed świętami, pobili Staszka bandyci w Nowym Stawie, zabrali pierzyny, które kupił i zostawili nieprzytomnego na śniegu, tuż przy rynku. To było za dnia, musiało się tam kręcić nieco ludzi, niedaleko mieli kwaterę Rosjanie, było też trochę Polaków. Nikt nie zareagował. Zabrał go do domu Niemiec, opatrzył i przenocował, a potem tu z nim przyjechał.

– Niemiec? – spytałem zdziwiony.

– Niemiec – podkreśliła, i spojrzała jakoś tak, że miałem ochotę wycofać pytanie, ale było już za późno. – Nazywał się Schultz. Ze dwa razy z nim się jeszcze widzieliśmy, potem kazali mu wyjechać.

– Myślałem, że już wtedy nie było tu Niemców – próbowałem zatuszować niezręczną wypowiedź.

– Niewielu, większość wyjechała nim wkroczyli Rosjanie, ale trochę zostało, trudno się rozstać z ojcowizną. Potem zaczęto ich wywozić, ale to rok później.

Skrzypnęły drzwi i do sieni wszedł pan Stanisław, a pani Hela poderwała się i zaczęła z kredensu wyjmować talerze. Przez otwarte drzwi widziałem, jak zdejmuje czapkę, waciak i gumofilce. Do kuchni wszedł w grubych wełnianych skarpetach, usiadł na tapczanie, wydobyl spod niego kaptcie i wzuł na nogi. [...]

– To ja panu coś zaproponuję, tym razem mojego – pan Stanisław wstał, wyjął z kredensu kieliszki i butelkę z opalizującą w świetle wiszącego nad stołem żyrandola ciemnoczerwoną zawartością.

– Wiśniówka – oświadczył – z naszych wiśni. W sam raz dla zziębniętych. – Napełnił kieliszki i usiadł. – Na zdrowie.

– Na zdrowie.

Pogrzebał w kieszonce flanelowej koszuli i wyjął na pół opróżnioną paczkę „Mocnych”.

– Stare zapasy – oznajmił – już się kończą, ale co tam. Zapali pan?

– Proszę zaczekać, mam coś – przypomniałem sobie i poszedłem do sieni. Wyjąłem z plecaka leżący na wierzchu kartonik i postawiłem na stole. – Dostałem od kolegi w Elblągu, sprzedawali na wagę, to niby złom tyto-

niowy – zdjąłem pokrywkę, pod którą leżał stosik najróżniejszej długości papierosów, niektóre z filtrami, inne bez. Widziałem, jak zaświeciły mu się na ten widok oczy. – Proszę się częstować. – Wybraliśmy coś dla siebie i zapaliliśmy.

– Pan z miasta – stwierdził raczej niż zapytał.

– Z Gdańska.

Pokiwał głową, jakby spodziewał się tej odpowiedzi.

– Nasz syn też mieszka w Gdańsku, pracował w stoczni.

– Pracował?

– Pracował – potwierdził – zamknęli go cholery.

– Staszek! – upomniała go pani Hela.

– A co mam oszukiwać? To prawda przecie. Pan wie, bo też z Gdańska.

– Wiem – wtrąciłem – w stoczni w grudniu byli koledzy z uczelni, wywieźli ich do Starogardu, skończyło się na kolegium. Opowiadali potem, co się tam działo.

– Janka wywieźli do Strzebielinka – wtrąciła pani Hela. – Wysyłamy paczki, ale nie dali zgody na widzenie. Obiecują, że teraz. Opowiadaj synku wszystko po kolei.

– O szturmie na stocznnię wiem tylko z relacji kolegów.

– Mów wszystko, od początku, co tam się działo? My tylko to co w gazetach i telewizji, a to jedno oszustwo.

Zacząłem od nocy trzynastego grudnia, o milicyjnych budach na ulicach i wyprowadzaniu działaczy związków z hoteli, o stojących pod stocznia czołgach z naklejkami „Solidarność” i z bukietami kwiatów w lufach, przy których kręcili się ludzie rozmawiający z żołnierzami.

– Tak było? – spytał pan Stanisław z niedowierzaniem.

– Sam to widziałem – skinąłem głową a on nalał kolejny kieliszek.

– I co dalej?

Mówiłem o strajku na uniwerku i panice, która co kilka godzin wybuchła, gdy ktoś zobaczył przejeżdżający ulicą milicyjny samochód. O tym, jak czternastego po południu pojechałem z kolegą do stoczni, by rozeznaczyć się w sytuacji, ale wojsko już wycofano, nie podobało się władzy ich bratanie z ludźmi z ulicy i stoczniovcami. Gdy wróciliśmy, na uczelni było pusto, podczas naszej nieobecności zapadała decyzja kontynuowania strajku w stoczni. Studenci zabrali plecaki i pojechali, przynajmniej część. A potem mówiłem o tym, co usłyszałem od nich: że mało tam było stoczniovców, nie to co w sierpniu rok wcześniej, może dwieście osób przy bramie, i o pacyfikacji, wyłamujących bramę transporterach, ale i o Zenku, który kopnął jakiegoś majora w twarz, gdy go wnosili do samochodu.

Słuchali nie przerywając. Gdy skończyłem, miałem ochotę opowiedzieć o tym, co dziś się stało i dlaczego się tu znalazłem, ale milczeli, jakby rozgryzali każde słowo mojego wcześniejszego opowiadania, więc dałem spokój.

Nie widzieli syna od wielu miesięcy, a teraz poznali jakąś część wydarzeń, w których mógł uczestniczyć, choć nie było do końca pewne, że był tam, przy bramie numer 2. Pan Stanisław kiwał głową zapatrzony w pusty kieliszek i poruszał wargami, jakby powtarzał sobie wszystko od początku, ale być może mełł w ustach przekleństwa lub się modlił. Kątem oka dostrzegłem, jak pani Hela ociera wierzchem dłoni oczy, a potem, zawstydzona, że to dostrzegłem, podrywa się energicznie.

– Przygotuję ci synku łóżko – rzuciła, a widząc, że poruszyłem się chcąc zaprotestować, szybko dodała: – Przecież musisz gdzieś się przespać, Pan Bóg by nam nie wybaczył, gdybyśmy cię teraz wypuścili.

– Mamy tu wolny pokój, nikt z niego nie korzysta – uspokoił mnie pan Stanisław – a rano pomyślimy, co dalej.

Prawdę mówiąc, nie miałem wyjścia, mój protest był tylko odruchem. Zresztą czułem już sympatię do tych ludzi, a oni też mnie chyba polubili. Gdy zostaliśmy sami, pan Stanisław sięgnął po kolejnego papierosa ze stojącego na stole pudełka, a że był wyjątkowo długi, przełamał go na pół, wyjął z kieszeni drewnianą lufkę i osadził w niej odłamaną część, drugą odkładając na stół. Nim zapalił, napełnił kieliszki po raz kolejny, bez słowa podniósł swój do ust i wypił, a ja poszedłem w jego ślady splukując słodycz trunku gorzką już tym razem herbatą.

– Trochę jest tam chłodno, nie grzejemy jak pusty stoi, ale będzie się czym okryć, pierzyna ciepła, puchowa..

– Gorzej niż na przystanku nie będzie – uśmiechnąłem się. – Przepraszam, że...

– Daj pan spokój – machnął ręką – gdyby nie pan, nic byśmy nie wiedzieli, co się działo. Potem były jakieś demonstracje? Pokazywali w telewizji, że chuligani.

Gdy opowiadałem o wydarzeniach mających miejsce szesnastego, o starciach z ZOMO i snujących się po zaśnieżonych ulicach kłębach gazu, o wbitej w zaspę pod dworcem tabliczce informującej o śmierci górników z kopalni „Wujek”, wróciła pani Hela, usiadła i przysłuchiwała się uważnie, a gdy skończyłem, spytała:

– I co teraz będzie?

– Nie wiem – przyznałem – ale ludzie nie zapomną. Chyba... – sam nie byłem tego pewny.

– Może nie zapomną, ale się boją. Już tak było przecież, a wtedy szuje i wszelkie tałatajstwo wyłazi – pan Stanisław nie był optymistą. – My tu już różne rzeczy widzieliśmy przez te lata.

– A państwo tu od dawna? – zapytałem. [...]

– Ano, ja przyjechałem w 1945 – zaczął pan Stanisław.

Pochodził spod Wilna. Ojciec poszedł w 1939 na wojnę i już nie wrócił, nigdy nie dowiedzieli się, co się z nim stało. Pan Stanisław miał wtedy siedemnaście lat, a jego brat był o rok młodszy. Zostali sami z matką na gospodarstwie. Zima była tamtego roku bardzo mroźna, brakowało wszystkiego, bo Sowieci zabierali wszystkie nadwyżki żywności. Zaczęły się wywózki na Sybir, a bywało, że mordowano ludzi na wsiach z najbliższego powodu. Ich ziemię włączono potem do kołchozu, „dobrowolnie” oczywiście, zostawiając im tylko dom i niewielki ogródek. Gdy docierały informacje, że szykuje się kolejna deportacja, ukrywali się na noc w lesie (wywożono tylko nocą), a potem wracali. Matka nie wytrzymała tego, zachorowała na tyfus i zmarła jesienią 1940 roku, a on z bratem zamieszkał u rodziny. Opuszczony dom zajęli Sowieci. Lekko nie było, niejedną noc przyszło im spędzać w wykopanej w lesie i zamaskowanej ziemiance. Któregoś dnia jego brat, Andrzej, poszedł sprawdzić, czy można wrócić do domu, bo sąsiad przyniósł wiadomość, że odjechali. Odjechali, ale z jakiegoś powodu wrócili i Andrzej wpadł w ich ręce przy próbie ucieczki. Wywieźli go na Syberię.

- Do dziś nie mogę sobie tego wybaczyć, że puściłem go samego – wyznał pan Stanisław. – Zamartwiałem się każdego dnia i nie mogłem sobie tego darować. To przecież był mój młodszy brat, powinienem się nim opiekować. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że przeżył Syberię i dostał się do Andersa.

Trudno to sobie teraz wyobrazić, ale gdy wkroczyli Niemcy, większość Polaków na Litwie początkowo się cieszyło, choć byli i tacy, którzy ostrzegali, jak się miało okazać, słusznie. Już wtedy wujek Tadeusz u którego mieszkali, emerytowany nauczyciel, miał kontakt z jednym z oddziałów Armii Krajowej, do którego pan Stanisław dołączył. Walczyli i z Niemcami, i z sowiecką partyzantką, która Polaków traktowała jak wrogów i dopuszczała się napaści na polskie wsie. W 1944, gdy wkroczyła Armia Czerwona, tylko przez przypadek uniknął aresztowania wraz ze swoim oddziałem, który nieopatrznie podjął współpracę z Rosjanami. Po wspólnie przeprowadzonej akcji na jeszcze obsadzonej przez Niemców stację kolejową, jego oddział otoczono i rozbrojono. Jednego ze swoich kompanów spotkał wiele lat później w Gdańsku, wcielono go do armii Berlinga z którą dotarł do Berlina, a gdy wrócił do Polski, skazano na 20 lat, wyszedł w 1956. Wielu jednak tego nie doczekało, po wielu ślad zaginął, jak ich wywieźli na Syberię.

Widząc, co się dzieje, postanowił wrócić do domu. Liczył na to, że tam skontaktuje się z kimś z podziemia. Jego rodzinna wieś znalazła się teraz na terenie Sowieckiej Republiki Białorusi. Zatrzymał się ponownie u wujka Tadeusza, który bardzo ucieszył się na jego widok, ale kilka dni potem przyjechało sowieckie wojsko i jakiś komisarz ogłosił, że wszyscy młodzi ludzie mają zgłosić się w wyznaczonym punkcie, zdać broń, a potem zostaną spisani i wypuszczeni. Nikt w to nie wierzył, ale pan Stanisław bał się narażać

wujka, więc poszedł wraz z kilkoma nastolatkami, bo starszych już wcześniej wywieziono. Namawiano go na podpisanie deklaracji, że jest narodowości białoruskiej, obiecując, że jak to zrobi, wróci do domu. Odmówił i trafił jako dezertor i polska swobocz do transportu. W strasznych warunkach spędził wraz z innymi kilkanaście dni w bydlęcym wagonie, nie mając pojęcia, gdzie ich wiozą. Jedzenia prawie nie dawali, po wodę wypuszczali z wagonu jedną osobę raz dziennie, ale tylko z jednym wiadrem, więc pili po jednym łyku, prosto z wiadra, ustalając kolejność, bo dla ostatnich brakowało. Kolejnego dnia zaczynano od tych, dla których poprzedniego zabrakło. Wreszcie ktoś na jakimś budynku dostrzegł przez szparę w deskach biało-czerwoną flagę na stacyjnym budynku, co wywołało nieopisaną radość. Choć już wcześniej zaświtała mu myśl o ucieczce, odkładał to, bo nie wiedział, gdzie się znajdują, teraz podjął decyzję. Namówił kilka osób i sprzączkami od pasków, bo innych narzędzi nie mieli, próbowali wywarzyć deski w podłodze, nic z tego jednak nie wyszło, zbyt mocno były przytwierdzone. Potem podczas któregoś postoju, gdzieś w szczerym polu, konwojenci rozsunęli drzwi od wagonów, by je przewietrzyć, bo po tylu dniach podróży śmierdziało niewiarygodnie – w wagonie nie było żadnej toalety a nikomu nie pozwolono wysiadać, więc wszystkie potrzeby załatwiano w jednym z rogów wagonu. Na każdym takim postoju po obu stronach pociągu ustawiano strażę, ale zaryzykował i w chwili, gdy wydawało mu się, że nikt nie widzi, zsunął się i wturlał pod wagon. Przed odjazdem konwojenci sprawdzali tory pod wagonami, ale podczepił się na jakimś legarze tuż pod podłogą. Nie było wygodnie, osłabione głodówką mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Znalazł na jednej z belek podpórkę pod kark i jakoś wytrzymał. Wydawało mu się, że to trwa wieki i czuł, że już nie da rady, gdy rozległy się krzyki konwojentów, dobiegły go odgłosy zasuwanych drzwi i pociąg ruszył. Nim nabrał prędkości, puścił się, a potem, odczekując na właściwy moment by nie trafić pod koła, wturlał na zewnątrz. Miał szczęście, wzdłuż torów biegł zarośnięty rów i stojący na końcu pociągu wartownik go nie dostrzegł. Potem okazało się, że uciekł w okolicach Lublina.

Nikt jeszcze nie wiedział, jak się potoczą wydarzenia w Polsce, kręciło się dużo sowieckiego wojska i tego nowego, z orzełkami bez korony – i jednym, i drugim wołał schodzić z drogi. Nikogo nie znał, ale dopisało mu szczęście. Ukrywał się kilka dni, by przeczekać ewentualne poszukiwanie zbiega. Dwa czy trzy razy poprosił w pobliskich gospodarstwach o jedzenie. Gdy któregoś razu zaproszono go do środka, zapytał o pracę – miał na myśli coś przy gospodarstwie czy na roli – ale skierowano go do stojącego za wsią wiatraka. Starszy już młynarz stracił niedawno syna i chętnie udzielił mu schronienia, bo potrzebował pomocnika. Któregoś dnia, to już był jesienią,

zajechali pod wiatrak żołnierze w polskich mundurach i przyglądali mu się podejrzliwie. Młynarz przedstawił go jako syna. Może uwierzyli, a może potrzebowali mąki a nie kłopotów, bo nie drążyli tematu.

Przez wiatrak przewijało się sporo osób a wraz z nimi docierały do nich wiadomości o walczącej Warszawie a potem o jej upadku. Gdy już minęła zima, pan Stanisław zaczął się zastanawiać, co dalej. Jego ojcowizna nie leżała już w granicach Polski i musiał sobie znaleźć jakieś miejsce w nowej rzeczywistości. Początkowo myślał nawet o Warszawie, ale ktoś przyniósł wieści, że to już nie miasto, a ogromne morze ruin. Nie brzmiało to zachęcająco. Któregoś razu młynarz zaczął przy kolacji, jak to miał w zwyczaju, wspominać przeszłość. Tym razem opowiadał o tym, że bratanek, kilka lat po wojnie z bolszewikami pojechał do Gdyni, skończył szkołę, dostał pracę w jakimś biurze, ożenił się i nieźle im się wiodło. To był jakiś pomysł, inny świat, inni ludzie, nowa nadzieja. Podziękował za wszystko i w maju wyruszył na północ. Do Gdańska dotarł na początku czerwca 1945 roku i przeraził się zniszczeniami. Miał wrażenie, że tak właśnie musiała wyglądać Warszawa, o której ludzie opowiadali. Nieco się zaniepokoił obecnością Rosjan, od której się na Lubelszczyźnie odzwyczaił w ostatnich miesiącach, ale wkrótce spostrzegł, że w tym mieście pełnym przybyszów z całej Polski nikt się nim nie interesował. Dzień po przejeździe pierwszy raz w życiu zobaczył morze.

– Jak całe życie spędziło się wśród pagórków i lasów, to prawdziwie niezapomniane przeżycie. Stałem na plaży i trudno mi było uwierzyć, że nawet przy najpiękniejszej pogodzie nie widać drugiego brzegu.

Wprawdzie przyjechał z myślą, by zatrudnić się gdzieś jako robotnik, nawet na morzu, ale wtedy dowiedział się od kogoś, że można dostać ziemię. Wiedział, jak orać pole, jak kosić dojrzałe łąny, jak je młócić i jak suszyć ziarno. Teraz, po pracy u młynarza, wiedział też, jak zamienić je w najprzedniejszego rodzaju mąkę. Kochał ziemię, nie wodę. Nawet wtedy nie przypuszczał, że los zanieśie go do krainy, gdzie wody przez pewien czas będzie aż za dużo.

Nie miał pewności, czy Rosjanie nie szukają go nadal po ucieczce z konwoju, więc na wszelki wypadek w urzędzie repatriacyjnym podał inne nazwisko. Nikogo nie zdziwiło, że nie miał dokumentów, a jego akcent poświadczał, że przyjechał z za Buga. Gdy wyjaśnił, o co mu chodzi, skierowano go do Urzędu Ziemińskiego. Tam wskazano mu miejsca, gdzie można szukać pustych gospodarstw. Mówiono, że na Żuławach najlepsza ziemia, choć nie dodano, przynajmniej nie wtedy, że zalana, bo Niemcy wysadzili wały przed nadejściem Rosjan. Dowiedział się o tym już później, w drodze do Nowego Stawu, gdzie dostał odpowiednie papiery i zaczął szukać swojego miejsca na tej ziemi.

– Nie było łatwo, niemal wszędzie stała woda, chmary uprzykrzających życie komarów, do wielu miejsc tylko łodzią można się było dostać – przymknął oczy przypominając sobie tamte dni, a i ja, słuchając jego słów, starałem się wyobrazić sobie te zalane wodą równiny, roje ptactwa płoszonego ludzkim głosem, gdzieniegdzie sterczące ponad lustrem wody rzędy wierzb i domy, niektóre zalane, a inne osiadłe, niby na wyspach, na skrawkach wolnych od wody wzniesień. [...]

Pan Stanisław w Nowym Stawie poznał dwóch mężczyzn, którzy przyjechali w tym samym co on celu i razem rozpoczęli poszukiwania. Jeden był spod Kielc, drugi z Wołynia, więc cała trójka była pod wielkim wrażeniem, gdy zobaczyli pierwsze żuławskie domy z podcieniami. Trudno im było uwierzyć, że mieszkali w nich chłopci, bo w niczym nie przypominało to chałup, nawet bardziej zamożnych gospodarzy, jakie spotykało się w ich rodzinnych stronach. Domów było dużo, niektóre zalane wodą, inne nie, ale niemal wszystkie wyglądały tak, jakby opuszczone została w wielkim pośpiechu, bo wszystko było na miejscu: stoły, krzesła, szafy, łóżka, czasami na stole stała niesprzątnięta zastawa, jakby gospodarze dopiero co wstali od posiłku. Meble były piękne, zastawa bogata, w salonie czasami trafiały się fortepiany, mieszkańcy musieli być naprawdę zamożnymi ludźmi. Były też mniejsze domy, wszystkie jednak murowane, solidne, zazwyczaj podobnie zasobne. W oborach niejedną raz trafiali na szkielety zwierząt. [...]

Tego dnia pan Stanisław był jednak sam i za daleko się zapuścił. Trafiła mu się okazja i skorzystał z samochodu, którym jechali dwaj inżynierowie inwentaryzujący uszkodzenia w systemie odwadniającym Żuławy. Wysiadł gdzieś po drodze, nieco zapomniał się podczas wędrowki, zrobiło się późno i nie miał jak wrócić do Malborka. Zaczął rozglądać się za noclegiem, gdy dokonał przerażającego odkrycia – na jednym z przydrożnych drzew wisiał człowiek, chyba jeszcze przez Niemców powieszony sądząc po stanie zwłok, ale wolał nie podchodzić i nie sprawdzać dokładniej. Zaczął żałować nazbyt pochopnie powziętej decyzji o rozpoczęciu tej samotnej wyprawy. Na wszelki wypadek zszedł z drogi i skierował się na północ, ku rzece. Były miejsca, gdzie woda rozlewała się szeroko po polach, ale trafiły się na łagodnych wniesieniach bardziej suche, choć zazwyczaj zarośnięte zielskiem miejsca. Widział jakieś zabudowania w oddali i w jednym z nich zdecydował się poszukać noclegu. Wybrał najbliższy i ruszył w jego kierunku. Płot przechylony, podwórce zarośnięte, ale suche, a i dom sprawiał miłe wrażenie, nie za duży, parterowy z poddaszem i prostopadłym krużgankiem na słupach, jakie trafiało mu się już oglądać. Wydawało mu się, że w oknie poruszyła się firanka, więc się zawahał. Potem jednak przeważała desperacja, dość miał błakania się, najwyżej poprosi o nocleg – postanowił – a rano się wyniesie. Wystarczy mu kąt w stodole. Gdyby to była jakaś zorganizowana grupa, ruch byłby bardziej widoczny, rozmowy słyszalne z daleka a na podwórzu

jakiś transport – tak sobie tłumaczył i postanowił zaryzykować. Podeszedł do drzwi i zapukał. Cisza. Zapukał jeszcze raz a potem nacisnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły, musiały być zamknięte od środka. Zawołał głośno, że jest sam i szuka noclegu na jedną noc. Minęła minuta czy dwie i już miał zrezygnować, gdy drzwi skrzypnęły i uchyliły się. Stała w nich ładna dziewczyna z warkoczami w kolorze ciemnego brązu, która wyglądała na niedużo od niego młodszą.

– To była Helga – uśmiechnął się i spojrzał na żonę, która dotąd przysłuchiwała się w milczeniu, zapatrzona w ciemne okno.

Byłem przekonany, że Hela, to zdrobnienie od Helena, ale teraz zacząłem się domyślać, że to nie było takie proste. Pani Hela oderwała wzrok od okna i odwzajemniła uśmiech, a potem sama zaczęła mówić:

– Bardzo się wtedy bałam, od ponad miesiąca byliśmy sami. Wcześniej, gdy nagle podniosła się woda, przechodziło w oddali dużo wojska, słysząc było kanonadę i odgłosy wystrzałów, zwłaszcza za rzeką i od strony Malborka, ale w bezpośredniej bliskości walk nie było. Potem wszystko zamilkło i wokół zrobiło się pusto. Widywałam czasem w oddali ludzi, ale nasz dom stał z dala od drogi i nie wyglądał na zamożny, więc nikt tu się nie zjawił. Raz tylko podeszli Rosjanie, ale zdążyliśmy się schować za oborą. Tam była taka ziemianka z wejściem zamaskowanym krzakami, gdzie kiedyś przechowywaliśmy ziemniaki, buraki i beczki z kapustą czy ogórkami. Zabrali z domu, co tylko wydawało im się cenne, zegary, zastawę stołową, srebrne sztuce i mnóstwo innych drobiazgów. To wszystko były pamiątki, ale co mogłam zrobić? Byli już pijani, nie łązili nawet po obejściu, zaglądali tylko do budynków. Przyjechali załadowaną po brzegi furmanką, więc nie był to pierwszy dom, do którego trafili. Szczęśliwie dla nas, bo niewiele już mogło się na niej zmieścić, więc większych rzeczy nie tknęli. Jedyna krowa, jaka nam wtedy została, pasła się za wierzbami i nie było jej widać. Po ich odjeździe zastali w domu nieopisany bałagan, wszystko porzucane było po podłodze.

– Czemu nie schowała się pani, jak przyszedł pan Stanisław? – zapytałem. [...]

– Podeszedł tak cicho, że dostrzeżliśmy go tuż przed domem. Widziałam przez okno, że był sam, a potem poczułam, gdy zaczął wyjaśniać dlaczego tu trafił, że nie muszę się obawiać. Nie umiem tego wytłumaczyć. [...]

Pani Hela mieszkała tu od urodzenia, była Niemką, tak przynajmniej wszyscy uważali, chociaż jej ojciec pochodził z mieszanego, polsko-niemieckiego związku. Jego brat ożenił się z Polką i przeniósł się do Gdańska. Jej ojciec uznał, że tam powinna pobierać wykształcenie. Do matury mieszkała u stryja, a u niego w domu mówiło się tylko po polsku. Obydwa języki znała równie dobrze. Mając trzynaście lat zakochała się nawet w polskim chłopcu, chodzili na spacer po Lange Brücke, ale potem kontakty się urwały, bo jego rodzina wyprowadziła się do Gdyni, mieli dość hitlerowskiego Gdańska i

szykan, jakie coraz częściej spotykały Polaków. Ojciec upomniął ją wtedy, by poza domem i przy obcych nigdy nie mówiła po polsku. Latem 1939 stryj przyjechał się pożegnać, przynosili się z rodziną do Warszawy, gdzie chciał wstąpić do wojska, polskiego wojska. Starszego brata pani Heli powołano do Wehrmachtu. Zginął w Belgii, w 1940, o czym dowiedzieli się, gdy do ich drzwi zapukał oficer z urzędowym powiadomieniem i egzemplarzem Mein Kampf, który zostawił im na pocieszenie. Gdy tylko wyszedł, ojciec wrzucił książkę do ognia.

Do 1942 było spokojnie, wielu produktów nie można było kupić, ale żyli z roli i niewiele potrzebowali rzeczy, których nie można było zrobić na wsi. Poza jednym – lekarstwami. Matka pani Heli zawsze była słabego zdrowia, łatwo się przeziębiała, a po śmierci jedyne go syna przestała się uśmiechać. Ojciec dbał o nią jak mógł, nie pozwalał pracować w polu, ale, poza gotowaniem, praca w ogródku była jedyną rozrywką przy której nieco się ożywiła, więc na to jej pozwalał.

Sam prowadził czterdziestohektarowe gospodarstwo, zajęć więc nie brakowało, bo wojsko potrzebowało zboża i cukru (uprawiali też buraki). Proponowano mu nawet w urzędzie Polaków do pomocy, ale odmówił. Latem, gdy było najwięcej pracy, najmował dwóch pracowników spod Kartuz, Kaszubów, którzy już przed wojną przyjeżdżali tu do nich. Gdy byli sami, rozmawiali z nimi po polsku.

W czerwcu 1942 jej ojciec pojechał do Malborka z wczesnymi ziemniakami, konie spłoszył wystrzał z samochodowego tłumika i szarpnęły w bok tak nieszczęśliwie, że wóz zawadził o stojące przy jednym z domów rusztowanie, które wraz z ceglami osunęło się przygniatając woźnicę. Ojciec zmarł dwa dni później nie odzyskując przytomności. [...]

Pani Hela drgnęła, gdy za drzwiami zegar wybił dziewiątą. Robiło się późno i przyszło mi na myśl, że powinienem już ich zostawić. Na wsi, jak pamiętałem z wakacyjnych wyjazdów, czas płynął innym rytem. Z drugiej strony wciągnęła mnie ich historia i bardzo chciałem poznać ją do końca. Gdy na początku rzuciłem swoje zdawkowe pytanie, od kiedy tu są, liczyłem na dwa trzy zdania w odpowiedzi, a obdarowano mnie historią zupełnie niezwykłą. Coś czytałem w książkach z drugiego obiegu o losach ludzi z Kresów, ale to były suche, historyczne wywody, a tu była żywa, autentyczna, przejmująca historia. Moja mama przyjechała z Mazowsza do Gdańska po wojnie mając kilkanaście lat. Jej opowieści o okupacji były interesujące, ale nie tak dramatyczne i nie dotyczyły tak zakłamanej przez władzę części dziejów. Liczyłem na więcej i uważnie przyglądałem się ich twarzom. Na szczęście nic nie wskazywało na to, żeby wybierali się spać, chyba ta opowieść i ich w jakiś sposób wciągnęła. Kto wie, kiedy ostatni raz o tym rozmawiali? Wszystkie dzisiejsze wydarzenia układały się w zadziwiający scenariusz i miałem nadzieję, że to jeszcze nie koniec. [...]

– Zupełnie zapomniałam, że upiekłam drożdżowe. Mam taką ruską głowę – wyjaśniła uśmiechając się przepraszająco.

– Ruską głowę? – zdziwiłem się.

– No, zapominam coraz częściej.

Roześmiałem się, nie spotkałem się jeszcze z takim określeniem. – Oni chyba nie zapominają – zauważyłem.

– Jak popili, to zapominali, na nasze szczęście – wyjaśniła pani Hela.

– Kiedyś tu przyszli, trochę podchmieleni, już jak był Staszek, i obeszli budynki. Znaleźli dwa worki mąki, co je Staszek załatwił za oficerki ojca i kanister bimbru od polskich żołnierzy. Zmajstrował w ziemiance taki aparat z miedzianych rurek, bańki po mleku i napędził tego beczkę. Za bimber dużo rzeczy można było załatwić. Zacier zrobił z melasy co mi została i gnijących już trochę kartofli, ale nikt nie narzekał. Namówił ich, by przed odjazdem coś zjedli, a potem poczęstował bimbrem. Nie mieliśmy szklanek, tylko filiżanki, które ocalały po poprzedniej wizycie ich pobratymców, z miśnieńskiej porcelany. Jak się rozgrzali, to jeden nawet wyjął zza pazuchy połeć solonej słoniny i podzielił się z nami. Nawet dobra była – przyznała z uznaniem. – Jak już dobrze się popili, po każdym toaście zaczęli rzucać filiżanki za siebie i nalewać kazali do nowej. Serce mi się na ten widok krajało, to były pamiątki po rodzicach. Dopiero jak powiedziałam, że zostały trzy ostatnie, przestali. Mam je do dzisiaj, to wszystko co mi zostało sprzed wojny, poza meblami. Potem posnęli przy stole a Staszek wyniósł mąkę i schował. Rano jeszcze raz obeszli gospodarstwo, bałam się, że będzie awantura, ale zapomnieli. Przed odjazdem zostawili nam nawet jeszcze trochę słoniny. Często się synku – podsunęła mi talerz z ciastem.

Było wyśmienite, z kruszonką. I rewelacyjnie smakowało z nalewką, którą ponownie rozlał pan Stanisław. Zapaliliśmy kolejnego papierosa z kartonika. Zaciągając się dymem, zastanawiałem się, jak nakłonić ich do dalszych zwierzeń. Nie chciałem być nachalny, ale odważyłem się zapytać:

– A co z pani mamą?

– Umarła zimą, ale przynajmniej szczęśliwa.

– Szczęśliwa?

Skinęła głową. – Któregoś dnia nasz Kaszub, nie pamiętam jak się nazywał, mówiłam, ruska głowa, poszedł do obory nakarmić zwierzęta, ale wrócił niedługo potem z chłopcem. Mógł mieć z dziesięć lat. Chudzina taka, umorusany, w podartym ubraniu. Znalazł go w stodole, w sianie, jak brał ją dla krów. Wystraszony był bardzo, ale też zrezygnowany, jakby już było mu wszystko obojętne. Nic nie chciał mówić, tylko patrzył takimi przerażonymi oczami, czarnymi jak węgiel. Daliśmy mu rosółu z kluskami, jadł łąpczywie, widać było, że nie miał nic w ustach od dawna. Opróżnił talerz i patrzył na nas prosząc o więcej, ale mama powiedziała, żeby odczekać, bo się rozchoruje. Widać było, że był zawiedziony, aż mi było żal. Umyliśmy

go i położyliśmy spać. Przespał noc i pół dnia jak zabity, zachodziliśmy tam czasem do niego, bo baliśmy się, że coś mu się stało. Do dziś pamiętam tę jego ciemne, od dawna nieprzycinane włosy na wielkiej białej poduszce. Po południu poszliśmy do niego z mamą. Usiadła na łóżku i zaczęła go głaskać, wtedy otworzył oczy, a potem usiadł przerażony, jakby chciał uciekać. „Nie bój się, jesteś bezpieczny” – powiedziała mama po niemiecku. Rozpłakał się. Wcześniej rozmawialiśmy po polsku, dopiero teraz zrozumiał.

Miałem wrażenie, że oczy pani Heli zawilgotniały a głos nieco się zalał. Nie musiała wyjaśniać, kim był chłopiec. Oni też od razu wiedzieli. Miał na imię Szymon i mieszkał z rodzicami w Sztumie. Potem ukrywali się w lesie. Od czasu do czasu rodzice zostawiali go i wracali z czymś do jedzenia. Mówili, że nie wolno mu się pokazywać. Ale kiedyś czekał przez kilka dni i nie wrócili. Było zimno i był głodny. Płakał i się modlił. Rodzice mówili, że tak trzeba, że Bóg pomoże. Ale potem głód był tak silny, że opuścił kryjówkę i wszedł do pierwszego napotkanego domu. Nakarmili go, dali nawet za duży sweter i pół chleba, ale przed nocą kazali iść. I tak to potem było. Nocował gdzie popadnie, zazwyczaj w lesie, chociaż było bardzo zimno, czasem ktoś go nakarmił i nawet pozwolił przenocować w stodole, ale starał się unikać ludzi. Wiedział, że jest Żydem, a Żydzi muszą się ukrywać, bo źli ludzie ich szukają i robią im krzywdę. I że nigdy nie wiadomo, kto jest dobry, a kto zły – tak mu mówili rodzice.

W jednym miejscu pozwolono mu mieszkać w oborze nawet przez kilka dni, przynosili jedzenie, ale potem też kazali iść. Robiło się coraz cieplej, nie marzył już tak bardzo spijając w rowach i krzakach, ale wciąż myślał o jedzeniu, więc znowu poszedł do jakiegoś domu. Jak go zobaczyli zaczęli krzyczeć „Verfluchte Jude” i poszczuli psami, ledwo uciekł. Potem już się bał i nigdzie nie wchodził, żywił się tym, co znalazł na polach i w sadach, wykraadał nocą z ogródków warzywa, raz czy dwa zwędził z kurnika jajka, a nawet kiedyś wieszający przed domem w płóciennym woreczku twaróg. Nie wiedział, jak długo wędrował, ale był już tak zmęczony, że wszystko mu zobojętniało, przestał się już bać i marzył tylko o tym, by zasnąć gdzieś, gdzie będzie mu ciepło. I tak trafił do domu pani Heli.

– Gdy znalazł go nasz Kaszub, nawet nie próbował uciekać. Do dziś trudno mi uwierzyć, że taki szmat drogi pokonał pieszo – wspominała pani Hela.

Zaopiekowali się nim, znaleźli mu jakieś stare ubranie po bracie pani Heli i przerobili na jego rozmiar. Matka pani Heli traktowała go jak wnuka, znowu zaczęła się uśmiechać, ale też bała się, że coś mu się stanie. Zastanawiali się nad tym, czy nie załatwić mu aryjskich papierów, powiedzieć sąsiadom, że to syn krewnych z Prus Wschodnich, ale by zdobyć aryjskie dokumenty, trzeba było mieć znajomości. Doszli do wniosku, że na razie lepiej nikomu o nim nie mówić. Kaszub urządził w ziemiance za oborą kącik,

gdzie mógł w razie odwiedzin się schować. Dbali o to, by zawsze był tam zapasa jedzenia na kilka dni. Wejście, od dawna zarośnięte krzakami, jeszcze dodatkowo obsadził wierzbina, tak że zupełnie nie było go widać. Szymek mieszkał w domu, ale nauczyli go, że jak ktoś przyjdzie, ma uciekać przez drzwi wychodzące na sad i chować się w ziemiance. Na szczęście dom był na uboczu i niezbyt często to się zdarzało. Między nim a matką pani Heli nawiązała się szczególna więź, jakby przelała na niego wszystkie uczucia do syna i męża. Odeszła w styczniu uśmiechnięta, a pani Hela została sama. Prawie sama, bo Szymon też stał się jej bardzo bliski. Spędzali ze sobą długie godziny, zaczęła go uczyć polskiego. Prawdę mówiąc, nie wie dlaczego, po prostu przyszło jej to do głowy. Uczyła go też czytać i pisać, zarówno po niemiecku, jak i po polsku. Był bardzo bystry i szybko robił postępy.

Najgorzej było w kolejne zniwa, bo po domu bez przerwy kręcili się sąsiedzi, więc Szymon prawie nie wychodził z ziemianki. Nocą zanosila mu gorący posiłek i zostawiała kanapki i mleko na następnym dzień.

W 1944 roku obsiali tylko połowę ziemi. Kaszub znów przyjechał, ale sam, bez kolegi, przywiózł natomiast papiery bratanka, który zmarł zimą, a był w podobnym do Szymona wieku. Tak Szymon został Stefanem, Polakiem z Kaszub, bratankiem który przyjechał ze stryjem, by pomagać w gospodarstwie. Pani Hela trochę się bała, bo choć przez rok nauczył się polskiego, to jednak nie władał nim tak dobrze jak Polak. Na szczęście nikt z sąsiadów nie znał tego języka, a w razie jakby ktoś się trafił, tak sobie wymyśliła, będzie mówiła, że to kaszubski. Nie wie, czy wierzyli w tę historię z bratankiem, ale nikt nie doniósł. Niemieccy urzędnicy mieli już ważniejsze niż szukanie Żydów zajęcia, front zbliżał się i wszystkie ich wysiłki koncentrowały się na przygotowaniach do obrony i ewakuacji. Zaczęło się niszczenie dokumentów i wywożenie bądź ukrywanie wszystkiego, co miało jakąś wartość.

Potem zjawił się pan Stanisław. Do dziś nie wie, dlaczego mu zaufała, może dlatego, że wydawał się równie zagubiony jak ona. Nakarmiła go tym co miała i przenocowała. Stefana przedstawiła jako brata. Byli Niemcami, więc nie dziwiło go, że Stefan nie mówił jeszcze wtedy biegle po polsku.

Panu Stanisławowi Hela od razu się spodobała, polubił też jej brata. Byli początkowo w stosunku do niego nieufni, ale życzliwi. Następnego dnia rozejrzał się po gospodarstwie i spytał, czy może pomóc. Zgodziła się. Przez cały dzień latał przeciekający dach. Kolejnego wziął się za naprawę ogrodzenia i wyciął zarastające wszystko chwasty. Trzy dni później pojechał do Urzędu Ziemskiego, powiedział, że znalazł gospodarstwo i dostał urzędowy papier na osiedlenie.

Zaczęli razem gospodarzyć. Zboża z poprzedniego roku, co leżało na strychu, nie udało się uratować, wszystko zniszczyły myszy, były prawdziwą plagą. Rozgościły się jak u siebie na tym skrawku wolnej od wody ziemi. Ale to nie był jedyny ich problem, brakowało wszystkiego. Z wielkiego go-

spodarstwa pozwolono im zachować sześć hektarów, które były albo zalane, albo zarośnięte zielskiem. Zresztą nawet gdyby nie, to i tak nie mieli czym obsiać. Najgorzej było pierwszej razem spędzonej zimy, bo nie było jak się ogrzać, więc pan Stanisław rozebrał drewniany krużganek, a dach, gdzie się łączył z domem, załatał blachą. Do wiosny wystarczyło. Już wtedy poznał historię Stefana, który zastąpił mu młodszego brata zatrzymanego na Litwie. Andrzeja szukał przez Czerwony Krzyż i gdy przyszła wiadomość, że mieszka w Anglii, był szczęśliwy jak nigdy, bo winił się za to, że go złapano.

Potem pomagał przy naprawie wałów, jak niemal wszyscy tutaj, aż woda opadła. Okazało się, że jego rolnicze umiejętności z Litwy zupełnie się nie przydają na Żuławach, bo tu ziemia, choć tłusta, musiała być inaczej uprawiana, głębiej przeorana. Dopiero gdy z UNR-y dostali dwa pociągowe konie, zaczęła rodzić plony. Ślub wzięli w 1947 roku, trzy lata później doczekali się syna, Janka. Zaczęło się poprawiać, dodano im jeszcze dwa hektary i dzięki ciężkiej pracy zaczęli wiązać koniec z końcem. Na krótko, bo potem zmuszono ich do przystąpienia do spółdzielni rolniczej. Po 1956 oddano im ziemię, dokupili jeszcze kilka hektarów i tak jakoś żyją do dzisiaj.

– A co z Szymonem... Stefanem? – spytałem.

Pan Stanisław zmarszczył brwi.

– Jak podrośł, zaczął szukać rodziców, ale wszyscy, których znał, wyjechali. Potem znalazł jakiegoś Polaka, który mieszkał wtedy w Sztumie a ten mu dał adres do Niemców z którymi utrzymywał rzadki kontakt, a którzy mogli coś wiedzieć. Stefan napisał do nich do Bochum. Odpisali, że mieli rodzinę w Stuhmerfelde, która opowiadała, że w marcu 1942 jeden z mieszkańców wziął od pary Żydów pieniądze za jedzenie i kazał się ukryć w komórce, dopóki im czegoś nie przygotuje. Jak weszli zamknął drzwi i poleciał do sołtysa zadzwonić po Schupo w Sztumie. Przyjechali i ich zabrali. Nie było pewności, czy to rodzice Stefana, ale to było wszystko, czego zdołał się dowiedzieć.

Potem skończył Politechnikę, został inżynierem, dostał dobrą pracę w Gdańsku. Nieopatrznie opowiedział przyjacielowi swoją historię a ten nie dochował tajemnicy. Myślę, że nie zrobił tego w złej intencji, po prostu ją powtórzył komuś i to wystarczyło – wyjaśniał pan Stanisław – my też zresztą nie widzieliśmy w tym nic złego, a i Stefan nie prosił go o dyskrecję. Na początku to nie miało znaczenia, dopiero w 1967 roku zaczęły się kłopoty, nie dostawał premii, pomijano go przy awansach. Był rozżalony, bo nie wiedział dlaczego, dopóki przełożony, bardzo przyzwoity człowiek, zawstydzony tym wszystkim, nie powiedział mu, że to przez pochodzenie, partia nie lubiła Żydów. W 1968 roku już się z tym nie ukrywano, zaczęła się oficjalna nagonka na „syjonistów”. Miał tego dość, wyjechał do Izraela, potem do Ameryki, dobrze zarabia, ale pisze, że tęskni. Zapraszał do siebie, ale mieliśmy jeszcze Janka. Kończył Technikum Budowy Okrętów. Mieliśmy go zostawić? Nama-

wiać do wyjazdu? A poza tym, co my byśmy robili w Ameryce? Tu jest nasz dom. Po sierpniu wydawało nam się, że będzie wreszcie lepiej, nawet nie materialnie, bo to wszystko się psuło, tylko że można wreszcie będzie odechnąć. Tu bywa różnie, młodzi i starzy wyjeżdżali za Gierka do Niemiec. Ale ja już raz wszystko straciłem, nie chcę zaczynać po raz kolejny. To Heli dom, nasz dom – poprawił się.

Zegar już jakiś czas temu wybił dziesiątą, ale nie zwróciliśmy na to uwagi. Teraz pan Stanisław sięgnął po stojący na parapecie budzik.

– Czas spać – oznajmił – obudzę pana rano.

Poszedłem do łazienki, w której stał pionowy wysoki bojler opalany drewnem, jak wywnioskowałem po mieszczącym się pod nim palenisku, ale woda była zimna, więc umyłem tylko twarz i ręce. Znalazłem też pastę do zębów, a palec zastąpić mi musiał szczoteczkę. W pokoju rozebrałem się i tylko w slipkach zanurzałem w puchowej pościeli. Była zimna, czułem nadal w ustach wypalone papierosy i alkohol, ale to nie przeszkadzało mi natychmiast zasnąć. Śniłem Żuławy, Litwę i Gdańsk, byłem żołnierzem AK i żydowskim chłopcem ukrywającym się w lasach., aż obudziła mnie pani Hela.

– Śniadanie czeka.

Zimna woda szybko zmyła resztki snu. Zegarek wskazywał szóstą. Ubrałem się i poszedłem do kuchni, gdzie pani Hela zdejmowała z kuchni parującą patelnię z jajecznicą na boczku. Chwilę potem zjawił się pan Stanisław, przywitał mnie krótkim: „Dzień dobry”, a potem minął stół i wszedł do pokoju. Przez otwarte drzwi dostrzegłem duże podwójne łóżko a nad nim wiszące na ścianie ślubne zdjęcie. Chwilę później wrócił i położył przede mną medalik z Matką Boską.

– Niech pana chroni, nosił go Stefan, dostał ode mnie przy chrzcie.

– Czemu go zostawił? – spytałem.

– Jak wyjeżdżał, powiedział, że Bóg jest jeden i nie ma matki. Nie wiem, czy nadal tak myśli, był rozszalony, ale ja wiem, że ma. Wszyscy mają matkę.

– Nie wiem, czy powinienem.

– Weź synku – powiedziała pani Hela. – Ja jestem luteranką, ale chodzę do katolickiego kościoła i widziałam przez te lata, jak czasem zmieniali się ludzie mdłący przed jej obrazem, a to już wystarczy. Taki sam nosi Janek, może się kiedyś spotkacie? Będzie ci o nas przypominał.

Nie potrafiłem odmówić. Schowałem medalik do kieszeni koszuli.

– Nie mam nic takiego, ale to może tym się odwdzięczę – wskazałem stojący od wczoraj na stole kartonik z papierosowym złomem.:

– No a pan? – zapytał pan Stanisław.

– Mam jeszcze w domu zapas, poza tym w mieście łatwiej coś dostać.

Nie protestował. Zjedliśmy jajecznicę, a potem poszedłem do sieni. Kurtka przeschnęła przez noc i z przyjemnością ją zakładałem. Plecak też już tak nie ciążył jak poprzedniego dnia. Tylko nadal mokre buty przypomniały nieprzyjemnie o wydarzeniach wczorajszego dnia.

Pożegnałem się z panią Helą całując ją w rękę, a ona położyła mi dłoń na głowie.

– Niech cię Pan Bóg prowadzi. Wiem, że młodzi ludzie mają ważniejsze sprawy, ale jak będziesz w pobliżu, ucieszymy się, gdy nas odwiedzisz.

– Dziękuję, na pewno wpadnę – obiecałem.

Pan Stanisław też coś na siebie założył i wyszedł za mną. Już nie padało, tylko wiatr jeszcze hulał, choć już słabiej. Niebo też wydawało się pogodniejsze. Na podwórku stała Syrena Bosto a w szoferce mężczyzna w moim mniej więcej wieku, z krótko przystrzyżonymi blond włosami.

– To Mariusz, syn sąsiada.

– Marek – uścisnąłem mu rękę. Widać było, że przygląda mi się z zaciekawieniem zupełnie tego nie kryjąc.

– Jedziemy do Malborka – wyjaśnił pan Stanisław. – Nie mówiłem wczoraj, bo gdy się umawialiśmy, nie był pewny, czy zdąży naprawić samochód, ale się spisał. Ma tylko dwa miejsca, więc musisz wsiąść z tyłu.

Był wyraźnie ucieszony moim zaskoczeniem. Wrzuciłem plecak na pakę i odwróciłem się do drzwi, w których stała pani Hela. Podniosłem rękę w geście pożegnania, pomachała mi w odpowiedzi.

Przed dworcem w Malborku wymieniliśmy uścisk ręki. Patrzyłem, jak odjeżdżają. Do Gdańska wróciłem bez przygód a mama rozplakała się na mój widok. Ojciec starał się opanować, ale gdy wziął mnie w objęcia, czułem, że drży.

– Co się stało? – spytała mama. – Wszyscy już tu wyobrażaliśmy sobie najczarniejsze scenariusze. Gdzie byłeś?

– W przeszłości – wyjaśniłem.

Pomimo obietnicy danej pani Heli, nigdy już tam nie wróciłem.

Ryszard Skowroński

ELEMENTARZ

* * *

Mam siedem lat
medalik na szyi
i uczę się czytać

resztką skupienia
sprowadzam sensy
do rozumnego
„las”

czego się później nauczyłem
to czytać niemymi wargami

czas siedzi obok
mając baczenie na wszystko
zwłaszcza że świat
nie spuszcza mnie z oczu
mnożąc byty ponad konieczność

minie wiele
zanim cokolwiek uporządkuję
zanim wieloświat za oknem
złoży mi się w jedno

a może to tylko źrenice
rozszerzą się do ciemności
wiążąc mnie z sekretem
którego i tak nie poznam

na razie jestem tutaj
pochylony nad elementarzem
dukając pierwsze słowo

Bóg bębni w okładkę
zniecierpliwionymi palcami
dając do zrozumienia
że pora zrozumieć siebie

wymykam się jak umiem

Lubiłem sobotnie ablucje
na wsi w świetle zachodu
przed domem z jaskółkami
gdy świat w drodze do mnie
przystawał pod topolą
ciekawych chwil

do miednicy z wodą
wpadało zaraz niebo
nie czyniąc mi krzywdy
moją duszę będącą wówczas
ugorem pogaństwa
zmywała woda łaski
studziennej

gliniany dzban rozsiewał
zapach tatarskiego ziela
kompres na opaleniznę
dziewięcioletniego karku
który nosiłem dumnie
do samych granic lasu
sosnowego

jeśli nawet zielony od środka
byłem panem tajemnic
ognichy krwistego berberysu
zdziczałych kotów
snycerki korników opowiadających
dziwne sceny z życia
starodrzewu

nie wiem kiedy i jak
opustoszał dom z jaskółkami
zapałem się wieczornych ablucji
w świetle zachodu
a czas oberwał ucho
glinianego dzbana pachnącego
tatarakiem

gdzie bym nie zwrócił oczu
we wszystkich kierunkach
nic

tylko wiersz mi pozostał
po tamtym zdrowiu

BEZDOMNOŚĆ

Bóg mi świadkiem
że zacisnąłem zęby
i brnę uparcie przed siebie

jakbym gołą piętą stąpał
po suchych żołądździach
stale ten ból

jak to lato mnie osłabiło

jestem już w wieku
w którym wiara czyni cuda
choć częściej nie czyni nic

nie wymierzyłem drogi
dokładam kawałek po kawałku
chodzę skrajem
nie dopisanego wiersza

ze wszystkich drogowskazów
pozostały tylko litery
i myśl o wierności
jak zdobyć ostatnią górę

traktuj mnie z respektem
mówi oko
bo widziałem więcej niż wypada

nawet moje instynkty
dają do zrozumienia
że już na wysokości pępka

kończy się żart

zimne poranki
zwarzone wiersze
kryształki szronu na powiekach

stara kobieta w oknie
pyta skąd jestem

żebym to ja wiedział

GOŁĄB

Na parapecie okna
przysiadł wędrowny gołąb
karmi go chłopiec
ten sam którego przeszyje kiedyś

skrytobójcza kula poezji

już z chmur kaligrafii
wyprowadził to swoje od a do z
wykrztusił ze swego wnętrza
wieloryba poezji

już nawet nie potrafi
pisnąć słowa
aby nie zadrasnąć
przestrzeni wokół

pozostał mu nałóg pytań
– czy o tym marzył
włócząc się po świecie
jak tamten gołąb

Aldona Borowicz

ZAMIAST FOTOGRAFII RODZINNEJ

Moja matka niegdyś na wpół francuskie dziecko
biegała do szkoły boso ale zawsze w wytwornym kapeluszu
Gdy została eremitką była oddechem lasu

Siadała przy oknie pośród pelargonii
pałac papierosy jeden za drugim
Wpatrzona w skarpe porośniętą dębami

Czy odkrywała wtedy przeszłość Czy tylko patrzyła na gwiazdy
spadające na zapomniane ewangelickie cmentarze

Nie cierpiała Niemców którzy wracali do swojej arkadii
z bukietami fiołków zerwanymi na pogorzelskich ich domów

Na starość wspominała pieczone kasztany w małym francuskim miasteczku
gdzie mój dziadek opowiadał górnikom o polskich jeżynach i ostach

Z dumą oglądała swoje zwinne nogi

Moja matka leżała w szpitalu z odciętą nogą
Już nie była sarną
Została odłamaną gałęzią w swojej pustelni

I wciąż jest zadrą w moich tkankach mięśni

CHWILA

Twoja samotność jest solą chlebem i winem
Codziennością rytualnych pielgrzymek za horyzont
lecz i tam coraz mniej już motyli
W skamieniałych skrzydłach gaśnie uwięziony promień

Więc twój smutek jest moją świątynią
w której z przerażonych pająków zrodził się ból
A mówią że pająki przychodzą ze szczęściem czterech kątów
Z jakiej materii i jakiej ciemności utkały swe sieci

Wciąż myślę o własnej niemocy radości
Kiedyś przyśnił mi się ojciec
Był przygarbiony Cichy Rzekł tylko

Nie lękaj się przyptywów fal
Przeprowadzę cię tam na drugą stronę rzeki
Lecz nie ma już i rzeki

Rzeka jest we mnie Oplywa moje ręce Nogi

Więc twój smutek jest moim ogrodem
Nie Kochamy już Bacha za cudowne fugi
Zacierają się kontury twarzy przyjaciół i bliskich
Istnieję na niby Trzymam nogi na jabłoni
I nie wiem co jest prawdę Co fałszem Co szumem liści

Czy żyją jeszcze we mnie moje siostry

Więc twoja samotność jest moim wyborem
wielu światów niewirtualnych

KIEDY GOJ PATRZY NA ZIEMIĘ

Pamięci P. Kuncewicza

Kiedy zwiotczał twój dziesięciopalczysty ból
zadrzała zieleń i zadudniły podziemne źródła
Być może spadał jak wysuszona skóra węża
między papirusowe zwoje w zatęchłych bibliotekach

Jeszcze pamiętam tę nagłą noc walkirii
gdy pijąc z nami czystą żytnią szukałeś małgorzaty
w podczerwieni burdelu rozbierałeś ją z czarnej bielizny
z sześciu wieków młodości aż do samych trzewi
Nadal śpiewaliśmy starą pieśń o królu z thule
aż w końcu dotarliśmy do wzgórz w brocken

by później samotnie wracać z twoim cieniem
do sześciu matek Prapoczątku i Kresu europy fausta

Zza horyzontu wypływało słońce z niewidzialną jasnością

i było tak jakbyś zaklinał mrok w ogromniejący kamień
i było tak jakby z głębi wszechświata goj patrzył na ziemię

chcąc zrozumieć naszą wędrówkę ku zapomnieniu
zatrzymałeś oddech w dzikim płomieniu i urnie

Jerzy Kosacz

DZIKIE GOŁĘBIE

Wykorzystałem zamieszanie
 jakie wywołało nasze zwycięstwo
 gdy wszyscy byli zapatrzeni
 w tryumfalne pochody
 i wsłuchując się w melodię fanfar
 z satysfakcją mrużyli oczy
 niepostrzeżenie zsunąłem się
 zokołu
 przemyślnie zacierając ślady
 umknąłem za miasto

Teraz ukrywam się
 przybrałem postać ptaka
 niekiedy tylko wspominam
 z kombatancką nutą
 jak to prosiłem kolegów:
 - nie trzymajcie mnie na tym
 piedestale
 zwolnijcie mnie chłopcy
 wojna jest skończona
 przeciwnik skompromitowany
 a mnie jest po prostu niewygodnie

Byli niewzruszeni
 mówili:
 - jesteś symbolem naszej walki
 i sami szli na piwo
 gdy ja miałem prezentować blizny
 i bohaterskie gesty szlachetnej walki

Tutaj, w wiekowym parku
 powołałszy związek wolnych
 ptaków
 przywództwo powierzyliśmy
 parze dzikich gołębi
 jednak od wczoraj
 ich gniazdo na starej brzozie
 jest puste
 odleciały w nieznane

ADAGIO CANTABILE

to tempo zatopiło mnie w sen
 tak głęboki
 że nagle przebudzony
 z trudem powracam na ganek
 gdzie pod nogami
 po kamiennej posadzce
 wiruje wieniec suchych liści
 w radiu nie ma już muzyki
 jakiś jazgot
 ktoś wie dzie spór o moralne prawa
 a przez gałęzie rozgwieżdżone niebo
 lśni
 - blisko jest stąd do Kanta
 i jego Królewca

PLENER

Korony drzew przecesał nagły
 wiatr
 potem prysznic rześnisteo deszczu
 ciemne chmury przesuwają się nad
 parkiem
 mokre liście sypią się do stawu
 iskrzą

Gdy nad wodą pojawi się chłopiec
 w czerwonej czapeczce z witką w
 rękę
 w Zajeździe wszystko już będzie
 gotowe
 na twój przyjazd
 panie Corot

SREBRNA ŁYŻECZKA

Śniłem wędrówkę po krainie odle-
 głej
 lecz dziwnie znajomej i bliskiej
 Przez las bukowy
 dotarłem do domu zarosłego winem
 Obcy ludzie

w staroświeckich strojach
 przyjęli mnie do kompanii
 Siedziałem wśród nich
 z filiżanką w ręku
 śledziłem wiatr
 w koronach drzew nad dworem

Ocknąłem się przed rumowiskiem
 trzymając poczerniałą
 łyżeczkę srebrną z inicjałem
 i tylko tyle przeniosłem
 na tę stronę

Z KORESPONDENCJI

Poeta Zbyszek K.

wyjechał do Ameryki i umarł
 jest kelnerem we Frisco
 Właśnie napisał mi, że wraca
 bo jest poetą
 i chce żyć

ZNAK

stoję wśród drzew
 wysokich
 niczym zawrót głowy
 ptak spada
 ktoś daje mi znaki

ŚMIERĆ PIĘKNODUCHA

moja piękna dusza
 ulatuje pod sufit
 do wlotu w świetlisty tunel
 mijam powietrzne wiry
 od uderzeń skrzydeł
 nadzieja mija mnie
 opada białe pióro
 żałosny spadek
 pierza rozpaczy i żalu
 w dole widzę banalną kompozycję
 tego co było moim mieszkaniem i
 klatką

na neurologii brzmi Albinioni
 korytarzami płyną postacie El Greca

wiem już że śmierć jest piękna
 dlatego umieram codziennie

Zbigniew Stelmach**NA WYKŁADZIE**

czasami czuję się jak
zużyty stary wiatrak
który stracił zęby w żarnach
od mielenia ozorem
byle czego
byle gdzie
z byle kim
małe płony rzucone
między wiatraki
nie starcząją nawet
na okruch chleba powszedniego
bez ciebie

Olsztyn, 4.12.1979

USPRAWIEDLIWIENIE

jestem kłamstwem
ja kłamię bo
jestem efektem życia
które kłamię
jestem zły
zły od życia które
jest we mnie złe
za to że kłamię iż
jestem kłamstwem zła
żyję jedynie swoim życiem

Olsztyn, 6.04.1978

EPITAPHIUM DLA SZWAGRA ...(edasięke)

Zbudzony szumem skrzydeł Przeznaczenia
Otwieram księgę złotych snów
Gdzie wszystko co martwe zaczyna żyć
Gdzie i Was kiedyś znajdę znów
Pokornie obracam głowę do Boga
Wyciągając jałmużnie rękę proszę
Wybaczenie sobie nawzajem winy
Bo inaczej tego krzyża nie uniosę
Mogłem mieć i miałem wszystko
Co było uchwytnie w zasięgu ręki
Przechodząc próg zostało u was
- Jedynie miłość ratuje od męki
Moja rodzina jak statek na morzu
Rzucana falami w różnych portach bywała
Przetrwaliśmy razem rzeczywiście wiele
I na obczyźnie się znów pokochała
Mama będąc kometą zajaśniała na niebie
A siostry niczym Kariatydy wspierały me ramiona
Z młodością biegłem do Ciebie
Żona jak marzenie dotknęła sedna łona

Ech bywajcie wszyscy Ci dalecy i bliscy
Kartka za kartką oglądam me życie
Byłem królem życia i to znakomicie
Rozdawałem uśmiechy cierpliwie się uczyłem
Kochałem jak mogłem i się zagubiłem
Karuzela życia zatarła granice
Moje miasto Bayer Katedry dwie szpice
Shania Twain do snu mnie kołyszę
Że ledwie Was i Ich słyszę
Własną krwią obmyty staję się kryształem
Zbawion intencjami bo szczerze kochałem
To co przeminęło przecież nie zginęło
A co w nas najlepsze obudzi się znów
Panie jestem gotowy wejść na Twoje ogrody
Wieczne życie i młodość mam już tego dowody
Zacieram granicę wszechświatów i czasu
Jasny tunel otwiera Jeruzalem Parnasu
Nikogo nie żegnam bym nie musiał go witać
Od dzisiaj będziemy swoje myśli czytać

Köln, 11.04.2010

Janusz Ryszkowski

Zbiegam cichutko z tej kartki

Zbigniew Stelmach, Poezje, Elbląg 2010.

Po raz pierwszy usłyszałem wiersze Zbyszka Stelmacha podczas jakiegoś wieczoru poetyckiego studentów Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie. I było to też po raz ostatni. Nasza znajomość nie miała literackiego zabarwienia. On ukończył ogólniak w Ostrowi Mazowieckiej, studiował pedagogikę kulturalno-oświatową. Trzymał się z będącym na naszym roku polonistyki, również Zbyszkim, ostrowianinem, którego ojciec Jan Kaczyński wykładał na WSP literaturę Młodej Polski. Wspominam o tym, bo sądzę, że ten pełen charyzmy nauczyciel mógł mieć duży wpływ na młodego adepta pióra. Poza tym, i to było ważniejsze, Zbyszek Stelmach miał dziewczynę ze Sztumu... Właśnie za żoną Bożeną przyjechał do naszego miasta, pracował w Zespole Szkół w Barlewiczkach. Pod koniec lat 80. wyjechali do Niemiec. Ze Sztumem utrzymują ciągle żywe kontakty.

Wspomniałem, że po raz ostatni słuchałem wierszy Zbyszka w Olsztynie, ale potem miałem z nimi kontakt, ostatnio głównie dzięki internetowi. Wiedziałem, że Muzy go nie opuściły, rozwijał się, zaczął wykonywać autorskie ballady ze stowarzyszeniem gitary. U schyłku tego lata dostałem obszerną (160 stron) debiutancką książkę, zatytułowaną po prostu „Poezje”.

Nie będę ukrywał, że będę tu o niej pisał niekoniecznie jako bezstronny recenzent. Upprzedzam lojalnie, kumoterstwem będzie zalatywało na kilometr... Zresztą, nie jest to lektura dla krytyków, znawców literatury, z ich strony poeta nie oczekuje uznania. Prowokacyjnie bowiem zaprasza do książki, będącej, co widać na pierwszy rzut oka, ogrodem nie do końca nieplewionym. Nie znaczy to, że w Stelmachowym ogrodzie napotkamy chwasty, jakieś słowne rupiecie, ale już jakąś porzuconą rabatę na pewno. To zatem nie wybór najcenniejszych wierszy, ale raczej swoisty liryczny dziennik: począwszy od roku 1973 i wierszy 19-latka, z kilkunastoletnią przerwą od lat 90 po 2010 r. Dokument dojrzewania człowieka i artysty, usiłującego dzięki materii słownej porządkować swoją relacje ze światem, z tym Drugim, ze sobą.

Otwiera „Poezje” cykl „Poetyckie inicjacje”. Tytuł wyjaśnia wszystko. Właśnie owo młodzieńcze targanie się po szczękach z rzeczywistością przemówiło do mnie najmocniej. Mimo pewnych niedostatków warsztatowych, zrozumiałych przy terminowaniu, czasem banałów. Dlaczego? To proste. To też o mnie, o moim pokoleniu. Oto „Życiorys” napisany w 1974 r.: *pragniemy*

płynąc jak rzeka płynie/ bez wysiłku i leniwie/ bez litości każdego dnia obarczamy Boga/ swoimi grzechami i błędami/ bo to najłatwiej/ żyjemy szybko godnie/ socjalistycznie byle jak/ bo i może byle jak skreślą nas/ z ewidencji.

Jaka nuta tu pobrzmiewa? To czysta liryka nurtu obywatelskiego, współbrzmiąca z wierszami poetów Nowej Fali (Barańczak, Kornhauser, Zagajewski, i inni), gdzie poezja musiała być nieufnością, ingerować z rzeczywistość społeczną.

Pojawia się w kolejnym wierszu „buntownicza myśl/ kryjąca się w korytarzach żył”. Motyw żyły był jednym z najbardziej wówczas rozpowszechnionych w młodej poezji. Pozwalał przechodzić do cielesności do metafizyki, zatrącając o ówczesne realia społeczne.

W drugim cyklu „Rajski ogród” dochodzi do innych inicjacji. Tych erotycznych, kreślonych subtelnie, a często też sentymentalnie, niemal po sztubacku. Podmiot tych wierszy jest do bólu szczery w swojej uczuciowości, przez to bezbronny, zatracający się w „pięknych sztumskich oczach”..

Kolejny zestaw wierszy „Miłej mej rajmilszej” dzieli od poprzedniego kilkanaście lat i jest to zapis, jak się domyślamy, uczuć mężczyzny już dojrzałego, co niekoniecznie musi przekładać się na dojrzałość wierszy. Stelmach zaczyna traktować poezję jako mowę okazjonalną, coraz bliżej mu do piosenki, ballady. Tak jakby odchodził od dykcji uprawianej w młodości na rzecz okazjonalności, zabawy, luzu. Nie traktuje pisania już – jak niegdyś – ze śmiertelną powagą, co nie znaczy, że pisze tylko o sprawach błahych. Pojawiają się wiersze, jak to określa autor, z ducha narodowo-chrześcijańskiego, a nazwa jednego z cykli „Wiersze emigracyjnego niepokoju” mówią chyba wszystko.

„Poezje” to zbiór na użytek mocno prywatny i domowy. Takie było zamierzenie autora, któremu nie chodziło o zaistnienie na literackiej giełdzie i sprawdzenie swoich notowań. Jak każda książka autora mająca związki ze Sztumem – musi cieszyć. Ta – pisana bez napinki, szczerze – szczególnie.

Tomasz Agejczyk

Szpital Jerozolimski – powstały z popiołów

Szpital Jerozolimski to perełka wśród malborskich zabytków. Większość z nich strawiły wojny, inne rozebrali nowi gospodarze miasta. Obiekty szpitalne nie przetrwały zawieruchy historii: św. Jerzego został zniszczony w XVII wieku, św. Ducha rozebrali Francuzi w 1807 roku, a najmłodszy św. Marii podpalili w 1945 roku na wiwat czerwonarmiści. Pozostały dwa: Jerozolimski oraz diakonisek (obecnie powiatowy), który w ubiegłym roku obchodził rocznicę powstania. [Którą?]

Oprócz lokalnej wartości historycznej szpital jest jednym z trzech, które pozostały z byłych terenów Prus (po elbląskim i fromborskim) jak również jedynym, który znalazł się na światowej liście zagrożonych zabytków - World Monuments Watch 2006.

Codziennie mijany przez wielu ludzi, podupadał bez opieki z jakiegokolwiek strony. Stał się niemyłym świadkiem wielu wydarzeń, a na początku lat 90-tych XX wieku los jego był już przesądzony – miał zostać rozebrany. Dziś w mieszkańcach budzi pozytywne odczucia, obecnie każdy wie, gdzie zabytek się znajduje i z chęcią wymieniany jest na liście obiektów godnych zobaczenia. Nie ma już wstydu z doprowadzenia budynku do całkowitej ruiny. Można powiedzieć, że Szpital odrodził się jak feniks z popiołów. A to wszystko dzięki zaangażowaniu i współpracy międzynarodowej.

Wszystko zaczęło się od byłego mieszkańca Malborka - Edwina Eggera, który przyjeżdżał prawie corocznie, aby odwiedzać grób ojca i dziadka, którzy zostali pochowani na cmentarzu za budynkiem szpitala. Obserwował, jak budynek byłego przytułku niszczał. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych zobaczył zamurowane okna i drzwi. - Na szczycie budynku, od strony Sztumu, była dziura zrobiona przez złodziei. Deszcz i śnieg mogły dostawać się do środka. Tablica o treści „Budynek do rozbioru” była jednoznaczna. Uznałem taki stan za niewłaściwy i nie mogłem do tego dopuścić. Zainteresowałem tym wiele osób w Niemczech – wspomina.



Szpital Jerozolimski (pierwszy z prawej) na panoramie miasta z 1750 roku J. H. Dewitza



Szpital Jerozolimski po remoncie w 1907 roku – budynek pełnił wtedy pierwotną funkcję, czyli miejsca dla biednych, zmęczonych życiem osób

Jego działanie przyczyniło się do utworzenia 1 września 2003 roku Stowarzyszenia Szpitala Jerozolimskiego Zakonu Niemieckiego w Malborku z siedzibą w Gerbrunn koło Würzburga. Za główny cel postawiono pozyskanie środków na renowację budynku Szpitala Jerozolimskiego w Malborku. Na czele stanęli: Edwin Eggert, dr Hans Kaltenecker oraz dr Klaus Hemprich. W kwietniu 2004 roku podpisane zostało porozumienie między stowarzyszeniem a władzami miasta, które dotyczyło współpracy i odbudowy budowli. Pod koniec 2004 roku udało się uzyskać pierwszą dotację, 50 tys. euro, na rekonstrukcję, z niemieckiego Ministerstwa Kultury. Największym sukcesem było pozyskanie pieniędzy z Unii Europejskiej, z programu Kultura 2000 oraz środków Stowarzyszenia Wspierania Szpitala, Gminy Miejskiej Malbork, Rządu Republiki Federalnej Niemiec oraz Międzynarodowego Centrum Fonetyki Stosowanej z Belgii. Dzięki 150 tys. euro wzmocniono fundamenty, sklepienia piwnic, zrekonstruowano pierwsze piętro, zabezpieczono zabytkowy szczyt północny budynku. Z likwidowanych placówek Deutsche Banku pozyskano bezpłatnie meble.

Gmina Miejska Malbork otrzymała w 2008 roku dofinansowanie na realizację projektu pn. Rewaloryzacja Szpitala Jerozolimskiego w Malborku. Środki finansowe w wysokości 219.607,36 zł pochodzące z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego przeznaczone na iniekcję krystaliczną ścian oraz odbudowy historycznych wejść do budynku.

Ostatecznie w dniu 11 marca 2011 roku dokonano otwarcia wystawy Malbork w starej fotografii a tym samym przekazania obiektu Miejskiemu Domowi Kultury, który nim zarządza.

- Wydarzenie, jakim było otwarcie pomieszczeń na parterze Szpitala Jerozolimskiego jest dla nas wielką radością. Obchodzimy Święto Wielkanocne i tak jak Chrystus, który powstał z grobu, tak również Szpital Jerozolimski powstał z ruiny. Nasz związek przez swoją inicjatywę ratowania budynku przed zagrażającym zniszczeniem, od 2003 r. stara się z dużym zaangażowaniem i z użyciem własnych środków finansowych, by



Budynek szpitala w 2005 roku przed remontem, fot. T. Agejczyk

drugi z kolei budynek z cegły – po ratuszu – został odrestaurowany i wszedł w swój nowy okres rozkwitu – ze wzruszeniem wspomina niestrudzony Klaus Hemprich.

Od początku lipca tego roku prowadzone były prace konserwatorskie szczytu północnego oraz elewacji zachodniej budynku, sfinansowane ze środków Stowarzyszenia z dotacją rządu Republiki Federalnej Niemiec. Ogólna suma wyniosła 52,7 tys euro (czyli ok. 208 tys. zł). Pomimo wielkiej pracy, którą włożono w ratowanie zabytku, nadal jest jeszcze wiele do zrobienia.

Ze względu na brak odpowiedniej dokumentacji powstanie Szpitala Jerozolimskiego jest trudne do określenia. Pogląd o średniowiecznym pochodzeniu przetrwał przez długie dziesięciolecia dzięki słynnemu niemieckiemu konserwatorowi zabytków, wieloletniemu opiekunowi zamku w Malborku dr. Bernhardowi Schmidowi (1872-1947), który w swoich publikacjach wielokrotnie datował budynek na średniowiecze: „Tysiąc kroków przed miastem, przy drodze do Sztumu [Stuhm] leży szpital Jerozolimski, poszarzały ze starości ceglany budynek z XVII wieku, którego fundamenty pochodzą z czasów Zakonu [...] Szpital Jerozolimski istniał już w XIV wieku, a obecnie znajduje się Dom Starców [...] Od czasów reformacji został przejęty przez protestantów.” oraz „... na zewnątrz bram stoi jeszcze stary zakonny szpital jerozolimski, gotycka budowla z muru pruskiego, która w XVII wieku została obmurowana”. Tym samym utwierdzał przekonanie przedstawione w XIX wieku przez m.in. H. Eckerdta, E. Heinela.

Bazując na dwóch zachowanych testamentach z 1527 i 1528 roku, gdzie szpital określany jest mianem nowego, koło św. Jerzego można przypuszczać, iż początek istnienia to XVI wiek. Zastosowany materiał, wątki ceglane oraz dekoracje tynkarskie szczytów zachowanego budynku wskazują na XVI lub początek XVII wieku. Pierwotny szpital to budynek trzykondygnacyjny z podpiwniczoną częścią północną, z kaplicą umieszczoną na parterze gdzie wisił ogromny gotycki krucyfiks przypominającym wszystkim o obowiąz-

ku miłosierdzia. Zbawiciel został przestawiony w sposób charakterystyczny dla gotyku z silnie wymodelowaną klatką piersiową oraz ascetyczną twarzą z przymkniętymi oczami. Krucyfiks o wymiarach 4 x 2,5 m przetrwał na tym miejscu do lat 60-tych XX wieku, następnie został zabrany do kościoła św. Jana, gdzie do dzisiaj wisi na południowej ścianie kruchty. Resztę pomieszczeń zajmowały pokoje dla chorych rozmieszczone amfiladowo zarówno na parterze, jak i na pierwszym piętrze oraz jadalnia z kuchnią i pomieszczenie prowadzących szpital. Na wysokim poddaszu mogły znajdować się magazyny. Wejście do budynku znajdowało się w ścianie zachodniej – przetrwało do naszych czasów w stanie nienaruszonym.

Wojna polsko-szwedzka (1621-1626) przyczyniła się do znaczących zniszczeń w mieście, spalono wiele domów w tym również Szpital św. Jerzego, a pola należące do Szpitala Jerozolimskiego nie obsiano, co sprawiło podjęcie przez przełożonych obu szpitali decyzji, iż od dnia 19 września 1629 roku wszelkie wydatki będą wpisywane w jedną księgę. Administrację szpitala sprawowali pod nadzorem głównego burmistrza dwaj przełożeni wybierani z kręgu prezbiterium kościoła św. Jerzego. Do ich zadań należała kontrola obowiązków matki szpitalnej (szafarki, zwanej również Hoffmutter), tzn. czy zgodnie z potrzebami wydaje pieniądze i czy wydaje je uczciwie, czy pensjonariusze są zadowoleni, czy też skarżą się na personel. Wymagano od szafarki wzorowej pobożności i moralnie dobrego prowadzenia się, które byłoby przykładem dla pensjonariuszy, funkcję powinna sprawować uczciwie, z oddaniem – tak, jakby spełniała ją dla siebie. Do administracji szpitala należeli również dwaj koszowi (kwestarze – zaopatrzeniowcy), mieszkający w szpitalu ale nie będący pensjonariuszami. W wyznaczone dni chodzili z koszami prosząc o produkty żywnościowe dla zakładu. W święta kościelne stali z puszkami przy kościele zbierając jałmużnę. Szpital miał za zadanie wspierać biedne, zmęczone życiem osoby obu płci (od czasów reformacji tylko wyznania ewangelickiego). Udać się tam mogła każda osoba w poprzednim wieku, gdy tylko było wolne miejsce, w latach 1860–1862 mieszkało przeciętnie 20 pensjonariuszy, przy 25 miejscach. Aby otrzymać miejsce trzeba było opłacić tzw. wkupne.

Na planie z 1639 roku ukazującym system fortyfikacji bastionowych otaczających miasto, interesujący nas obiekt znajduje się poza pasmem obronnym miasta, jednak sam otoczony jest fortyfikacjami bastionowymi od południowego-wschodu (na którym zlokalizowano cmentarz), południa i południowego-zachodu. Obiekt przedstawiony został jako budynek wolnostojący bez zabudowy towarzyszącej z dachem dwuspadowym, rozbudowanymi szczytami i wejściem głównym umieszczonym pośrodku ściany zachodniej, a więc w tym samym miejscu co obecnie.



Odbudowany Szpital Jeruzolimski w 2010, fot. T. Agejczyk

Najprawdopodobniej w okresie potopu szwedzkiego (lub po nim) szpital został spalony i w latach dziewięćdziesiątych XVII wieku odbudowany. W tym właśnie czasie wprowadzono nową konstrukcję wspomagającą uszkodzone mury, zwłaszcza wschodni i zachodni. W nich to bowiem wykuto bruzdy i umieszczono niezależną konstrukcję drewnianą, na której oparto strop parteru i I piętra oraz więźbę dachową typu jętkowo-krokwiowego z pokryciem dachówki ceramicznej mlich-mniszka. Według XIX-wiecznych podań na jednej z belek wyryto datę 1692 oraz monogram wykonawcy (nie odnalezione podczas ostatniego remontu). W trakcie tych prac obniżono wysokość I piętra na co wskazuje rozkład gzymsów na południowym i północnym szczycie, uzupełniono sklepienie kolebkowe w piwnicach, na piętrze od strony wschodniej wykuto trzy nowe otwory okienne a trzy stare zamurowano. Pierwotny, amfiladowy rozkład wnętrza zachowano, wprowadzając wewnętrzne ściany działowe o konstrukcji szkieletowej, wypełnione cegłą. W takim stanie budynek przetrwał do końca XIX wieku. - Wysokie stare lipy ocieniają go z zewnątrz i otaczają głęboką, murowaną, okrągłą studnię, której woda jest chłodna jak lód i czysta jak kryształ. W dobudowanym domku – portierni, siedział zawsze stary długobrody szpitalnik, który każdemu spragnionemu wędrowcowi oferował trunek, jednak przejeżdżającemu bogaczowi podstawił puszkę. Szpital także posiadał podcienia [al-

tany lub przedsionki], gdzie można wypocząć. Na ścianie olbrzymi krzyż z umierającym. Za tym szpitalem znajduje się szaniec pochodzący z czasów wojny polsko-szwedzkiej, gdzie dzieci zrobiły plac zabaw, tocząc zacięte bitwy i puszczając w niebo latawce – tak opisuje E. Heinel w *Erinnerungen an Marienburg 1849-1850*. W północnej części cmentarza (szańców) powstał murowany wiatrak, którego ruchoma część zawaliła się w 1903 roku, a podstawa pozostała do dzisiaj.

Kolejny czytelny okres adaptacji to 1907 rok, kiedy to częściowo zmieniono podziały wewnętrzne parteru i pierwszego piętra. W tym czasie wykuto dwa otwory drzwiowe w ścianie wschodniej (do mieszkania na parterze oraz do piwnicy). Przemurowano również fragment sklepienia w piwnicy południowej nad korytarzem prowadzącym z nowego otworu drzwiowego oraz fragment sklepienia kolebkowego przy ścianie zachodniej. Na szczytach i niektórych odcinkach międzygzymsowych położono nowe tynki. Oprócz tego otynkowano fragmenty zniszczonego lica ściany wschodniej, malując go i maskując pierwotny układ cegieł w wątku holenderskim. Wymieniono zniszczone belki stropowe, a na oknach założono drewniane okiennice. Na przedłużeniu szczytu północnego od strony wschodniej wymurowano ogrodzenie z furtą i bramą wjazdową na cmentarz ewangelicki.

W czasie II wojny światowej budynek nie ucierpiał. Po wojnie przeszedł w ręce miejskie (Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunalnego i Mieszkanio-owego). W latach 1961-63 przeprowadzono adaptację na cele mieszkalne. W tym czasie zmieniono dotychczasowy układ amfiladowy parteru i częściowo piętra oraz wykorzystano wysokie poddasze z pięcioma mieszkaniami, oświetlając je systemem lukarn. W piwnicy wzniesiono nowe ścianki działowe oraz zbudowano kilka nowych kominów. Również w tym czasie wprowadzono nowe schody do piwnic zarówno od strony wschodniej, jak i zachodniej. Wymieniono częściowo konstrukcję drewnianą dachu, wprowadzono nowe łąty oraz pokrycie ceramiczne. Adaptacja ta, w części nie przemyślana, doprowadziła do przeciążeń ścian i szczytów, co w konsekwencji doprowadziło do zniszczenia i wybrzuszeń ścian i szczytów. Pożar w latach 70-tych doprowadził do zawalania się części szczytu południowego, a odbudowa została przeprowadzona bez dbałości o zarys historyczny. W celu ratowania szczytu południowego dostawiono murowane przypory a szczyt północny wsparto konstrukcją drewnianą. W latach 80-tych rozpoczęto proces wykwaterowywania mieszkańców, które zakończono w 1989 roku. Zdeprawowany budynek wstawiono na sprzedaż. Nabywcą obiektu został prywatny przedsiębiorca z Gdańska, który chciał stworzyć w nim niewielki hotelik. Brak jakichkolwiek prac doprowadziło do katastrofalnego stanu całego obiektu, w pewnym momencie na murze umieszczono napis „Budynek do rozbiórki”, co stało się impulsem do międzynarodowej inicjatywy odbudowy.

Marta Kluszczyńska

W Steblewie teraz nie ma diabłów

Straszne historie i legendy o topielcach, cmentarzach, na których straszły i diabłach – prawie każdy z nas słyszał jakąś w dzieciństwie. Czy w dobie kultury współczesnej, pełnej techniki i nauki nadal jest na nie miejsce? Na podstawie legendy o diable ze wsi Steblewo położonej na Żuławach Gdańskich chciałabym opisać, dlaczego takie legendy powstawały, czym były dla lokalnej społeczności i dlaczego może się wydawać, że słyszymy ich coraz mniej.

Steblewo jest wsią o układzie placowo-ulicowym, a dokumenty wskazują na jej założenie już w 1343 roku¹. W zabudowie wsi zwracają uwagę ruiny kościoła i dwa domy podcieniowe, typowe dla terenu Żuław, kojarzone potocznie z budownictwem mennonickim. Kościół w Steblewie został spalony w 1945 roku, jego pozostałości stoją w centrum wsi, będąc ciekawą atrakcją turystyczną zwłaszcza dla nowożeńców i poszukiwaczy tajemnic, którzy w jego podziemiach doszukują się korytarza łączącego wieś z Malborkiem. W trakcie jednego z wywiadów miałam okazję usłyszeć taką historię dotyczącą tego miejsca: „No tak się zdaje. Od Malborka tutaj, no to pod Wisłą, to tak się zdaje. (...) Oj Boże tu ludzie snują legendy, że tu jest od Malborka, jest podobno przejście do tego kościoła, a z tego kościoła, że ma być przejście do Grabiny-Zameczek. A czy to prawda, to kto to wie, nikt nie przeszedł, nikt nie zobaczył. W tym kościele to tam ludzie zaraz po wojnie rozmaici, tam i ruskie. Może dlatego tam tak długo siedziały. Może myśleli, że tam Bóg wie co tam. I kopali, i tam widać jest dziura zrobiona. Przy wielkim ołtarzu tam dziura wykopana, bo tam mówili, że tam jest tunel”².

Legendy lokalne związane są najczęściej z miejscami, w których może grozić nam niebezpieczeństwo, jak jezioro czy środek lasu, ale także z nietypowymi, wyróżniającymi się na tle okolicy. We wsi żuławskiej takim obiektem mogły być domy podcieniowe – choć istniały niemal w każdej wsi³, dosyć mocno różniły się od pozostałych domostw. Większość osadników po wojnie pochodziła z terenów, gdzie budynków tego typu nie budowano –

¹ Lipińska B., Formy przestrzenne średniowiecznych wsi żuławskich. O krajobrazie żuławskim. [w:] Rocznik Żuławski 2008, Nowy Dwór Gdański: Stowarzyszenie Miłośników Nowego Dworu Gdańskiego Klub Nowodworski 2008, s.54.

² Informator S. Z. ur. w 1930 roku, wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku w Steblewie.

³ W Polsce najwięcej domów podcieniowych odnaleźć można zwłaszcza na terenie Żuław Gdańskich i Wiślanych.

były to więc dla nich elementy obce w architekturze wiejskiej. Dostyc duże, z charakterystycznym podcieniem nad drzwiami frontowymi, mogły budzić zainteresowanie.

W Steblewie podziwiać możemy dwa domy podcieniowe – obydwie pochodzą z połowy XVII wieku, zostały przebudowane na początku XIX wieku. Historia, którą miałam okazję usłyszeć, dotyczy jednego z nich: „W podcieniowym, po lewej stronie, tam jest taka sala. (...) Bo tam urzędowały po prostu, jak to powiedziec po polsku, szatany. Diabły tam urzędowały. Karmazyn – tak się nazywało. Karmazyni. Tam był jakby kościół ich. Tam był ten cały kościół ich. Tam jest taki chór w tej dużej sali, a piec z żelaza taki żeliwny, taki wysoki naprawdę”⁴.

Podobne sformułowania usłyszałam także podczas dwóch kolejnych rozmów: „Tutaj gdzie mieszkała moja siostra, to że tam był diabeł farmazon”⁵ oraz „Po lewej stronie jest ten, ten dom na filarach takich. (...) To byli farmazyni tu. Tam w tym drugim, dalej, to farmazyni”⁶.

Karmazyn, farmazyn – dla mnie te pojęcia były obce. W końcu określić na diabła mamy w Polsce bez liku, każdy region zdaje się mieć swoją typologię, hierarchię i rodzaje postaci demonicznych. Jednak w rzeczywistości karmazyn ma znaczenie niezwiązane z demonologią, gdyż jest to XVII-wieczny senator lub magnat. Jak można przeczytać w leksykonie demonologii polskiej, farmazyn to: „1. w demonologii kaszubskiej istota dwupostaciowa o cechach ludzkich i demonicznych zarazem, w szczególności mason, który zaprzedał duszę diabłu. Po śmierci pokutujący i szkodzący ludziom. W celu zapobieżenia zgubnym oddziaływaniom farmazonów przywalano ich mogiły eratykami; 2. ludowe określenie człowieka bez przekonań religijnych, zwykle „niedowiarka” ze sfer wyższych”⁷.

Bliskość Kaszub mogłaby wskazywać na pierwsze wyjaśnienie, podobnie jak praktyki i zwyczaje przypisywane owym farmazonom, o czym wspominali moi rozmówcy: „Jak ktoś się chciał zapisać, to musiał iść na krzyżowe drogi, krew spuścić, się podpisać”⁸; „I jak zjeżdżały się tutaj te do tego kościoła, to później wszyscy szli na popijawkę. Szły do tej świetlicy dużej. Świetlica miała około, no ja wiem ile metrów tam będzie. Ze 100 metrów kwadratowych”⁹; „Jak oni tam rozmawiali, bo tam był ich kościół. Oni tam odmawiali, luceptry mieli swoje msze. To okiennice były zamknięte, ciemno i tam nikt nie mógł zobaczyć, patrzeć”¹⁰.

⁴ Informator B. J. ur. w 1938 roku, wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku w Steblewie.

⁵ Informator K. D., wywiad przeprowadzony przez A. Paprot w Steblewie.

⁶ Informator B. S., wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku.

⁷ Podgórska B., Podgórski A. K., *Wielka księga demonów polskich : leksykon i antologia demonologii ludowej*, Katowice: Kos 2005, s. 189-190.

⁸ Informator B. S., wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku.

⁹ Informator K. D., wywiad przeprowadzony przez A. Paprot w Steblewie.

¹⁰ Informator B. S., wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku.

W przytaczanych relacjach podkreśla się także odmienność religijną. Świetlica w domu była miejscem mszy dla farmozona, jednocześnie była niedostępna dla mieszkańców, tajemnicza. Miejscem niezwykłym pozostała również po II Wojnie Światowej, co potwierdzają poniższe wypowiedzi:

B. J.: Ja to co pracowałam, to była duża sala, duża,. Na czarno malowana. I jak wieś, pamiętam pierwszą chyba zabawę robili. To oni chcieli tą tapetę zerwać, no i zerwali. To czort jeden był tylko jak ten piec stał, to tu na ścianie był diabeł. Diabeł. Człowieku kapelusze, cylinder miał w reku, noga podniesiona do góry, tak jakby chciał do tańca iść. Z tym że chcieli go zamalować to oj.

M. K.: To było namalowane na ścianie?

B. J.: Na ścianie, pod tapetą. Ale tam malowali chłopci, naprawdę dużo się męczyli, nieraz go nie było widać. A nieraz to się ustawił czy coś, że widać było, widać taki cień takiego czorta no.

M. K.: Teraz jeszcze można tam coś takiego znaleźć, zobaczyć?

B. J.: Już nie, już teraz nie ma. Oho już ładnych parę lat. Tam już GSy remonty robiły, tam i GSy malowały, cudowały i przeszkadzało. To była wielka sala, przegrodzone było regałami. Za tymi regałami ten diabeł z tyłu, no ale jakoś tam się przeżyło¹¹.

B. S.: Na ścianie był diabeł namalowany. (...) Tam malowali, zabawy robili. Trzy razy drapali, a jeszcze go było widać. Jeszcze jest. (...) I tego tam malowali go i tam te zabawy robili¹².

Nasuwa się pytanie kim był farmazon dla poprzednich mieszkańców wsi. Wszyscy informatorzy zgodnie orzekli, że wydarzenia związane z jego życiem miały miejsce przed 1939 rokiem. Z opowieści wynika, że był on kimś w rodzaju gospodarza, pana we wsi. Wskazuje się na jego niezwykle zdolności i znajomości.

K. D.: To była mowa taka. Że on niby gospodarz wyjechał, a on wszystko wiedział co się dzieje. Bo miał diabła i ten diabeł mu wszystko mówił już tego¹³.

B. S.: To albo szedł, mówili: „Jedzie do Malboga”. To koniami jeździli. Samochodów tu nie mieli, te Niemcy też. Przed wojną to mało kto. To jak była wypłata to przyszedł do biura, do księgowego, i po nazwisku. Temu dwa, temu trzy. Patrzy czemu dwa tylko. Oni wiedzą za co. Ten wziął tyle tych jabłek, ten gruszek tyle, wszystko wiedział. Raz chłopcy leżeli, dziesiąta, śniadanie: „Dziś sobie poleżym dłużej”. Od razu wiedział, szła bryka na

¹¹ Informator B. J. ur. w 1938 roku, wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku w Steblewie.

¹² Informator B. S., wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku.

¹³ Informator K. D., wywiad przeprowadzony przez A. Paprot w Steblewie.

koniach, a szum robił, jak diabeł szalony przejechał. „O Jezus teraz panie pojechał”. Mówił, że w Malborgu. A on był lucyprem, był gdzie indziej, a tu był¹⁴.

Widać tutaj dwie sprzeczne wizje tego, kim lub czym był farmazon. Pierwsza z nich zakłada, że była to osoba, która zaprzedała duszę diabłu, posiadała jakieś moce, jednak generalnie sama diabłem nie była. Druga natomiast opisuje farmazona jako Lucypra, czyli spolszczone kaszubskie Lucifer, określające: „1. według demonologicznej demonologii piekielnej zbuntowanego anioła strąconego z nieba przez Boga, cesarza demonów, władcę piekieł, niekiedy jednak wymienianego na drugim miejscu po Satanasiu, jako księcia piekielnego; 2. potocznie: każdego diabła, szatana¹⁵”. W relacjach mieszkańców Steblewa farmazon było określeniem wskazującym na konkretne postaci, steblewskich właścicieli ziemskich, określenie lucyprer miało zaś za zadanie wskazywać, do jakiej kategorii powinniśmy dane postaci zaliczyć: „A to były lucypry., ten diabeł¹⁶”. Dodatkowo jak wspomniałam, w niektórych wypowiedziach to nie Farmazon był diabłem, lecz miał on diabła do pomocy.

Informatorzy zgodnie przyznają, że jednym ze zwyczajów Farmazona były wyjazdy do Malborka (często wymawiane Malborg). Opowieści o wyjeździe również wiążą się z wydarzeniami, które uznać można za magiczne. Celem wypraw były spotkania, zjazdy, co łączy naszego Farmazona (oczywiście w relacjach, a niekoniecznie w rzeczywistości) z ruchem masonskim.

B. S.: Jak jechał do Malborka, aż mu kuczer¹⁷ mówi: „Panie, nie zdążymy. Jest za późno już na ten czas co pan mówi”. „Nie martw się”, mówi: „my zdążymy, jeszcze będziemy mieć czas”. Jak wjechał na prosta szosę tutaj na Tczew, bo do Malborka musiał jechać. To ten kuczer nie wiedział, gdzie on jest. W powietrzu, ino chrum przez te konie wszystko. Patrzy - o Malborg. Mówi: „O patrz, jeszcze mamy czas¹⁸”.

B. J: Właśnie wie pani, mieli zjazdy w Malborku w zamku. I on, proszę panią, nikt nie wie jak to było, tylko kuczer jeden przeżył. Bo kuczer to ten, co powozi bryczką tych Lucyprów do Malborka. I on mówi, że..., To taka kobieta opowiadała, proszę panią. On spojrzął na zegarek i mówi: „No dobrze, już jedziemy”, bo za 5 minut ma być w Malborgu, a jest w Steblewie. On nie wiedział, jak to się stało. On tylko świsnął, strzelił bat i poszli. I nie wiadomo, czy to diabeł go tam gdzieś niósł czy co. Ale to właśnie było to. I on co roku zmieniał, zmieniał swojego tego, jeźdźcę. Zawsze zabijali tych swoich, co powoził ich.

¹⁴ Informator B. S., wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku.

¹⁵ Podgórska B., Podgórski A. K., op. cit., s. 274.

¹⁶ Informator B. S., wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku.

¹⁷ Furman, woźnica.

¹⁸ Informator B. S., wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku.

M. K.: Co roku tak zabijał i brał następnego?

B. J.: Tak, za dużo wiedział czy co, ja tak tylko myślę¹⁹.

Brutalne traktowanie woźnicy w opowieści może wskazywać na ogólny lęk przed złym traktowaniem chłopów przez pana. Bo choć opowiadania o farmazonie możemy odczytywać tylko jako miłą, barwną historyjkę, warto spojrzeć na nią jako tekst kultury, w tym wypadku folkloru ustnego.

Aby uznać coś za folklor, powinno spełniać kilka kryteriów. Bogatyriew i Jacobson wskazują, że taki tekst powinien zostać wprowadzony do społecznego obiegu, nadal stanowić jego część, i co ważne być akceptowanym przez zbiorowość²⁰. Co daje to naszej historii o diable steblewskim? Teksty folkloru są odbiciem poglądów i emocji. Krawczyk-Wasilewska mówi nawet, że wyrażają one kolektywną ideologię²¹. Teksty takie wskazują na wiedzę o świecie, jaką posiada dana społeczność i jaką otrzymała ona w spadku po przodkach oraz dzięki kontaktom. Daje obraz doświadczeń, jednak są one uproszczone, wyidealizowane, a czasem zupełnie wymyślone²². Diabeł steblewski jest tego dobrym przykładem. Już sama jego narodowość – niemiecka, wskazuje na pewien stereotyp, jaki panował, często nadal panuje. Przed wojną Polacy stanowili 2-5% społeczności mieszkańców Żuław, w większości robotników rolnych (spis ludności z 1929 roku)²³. Po 1945 roku na Żuławach zamieszkali niemal wyłącznie Polacy. Doświadczenia wojny, połączone z informacjami obiegowymi i legendami mogą skutkować wspólnymi uprzedzeniami, których możemy doszukać się w opowieści.

B. J.: Taki to był diabeł, że tu dużo tych starych gospodarzy takich to byli farmazyni. To Niemcy byli.

M. K.: I to przed wojną jeszcze?

B. J.: Tak to było przed wojną, to nie było po wojnie. Po wojnie to tam już nie było tego. Tylko tyle był że, po wojnie to Niemców nie było, nie mieli takiej władzy²⁴.

W wypadku historii o diable steblewskim widać dosyć wyraźnie, że część społeczności Steblewa, zwłaszcza ta, która mieszkała już we wsi po wojnie i w latach 60. i 70. Traktuje tę opowieść jak informację o wydarzeniu. Jest to dla nich relacja, a nie legenda. Natomiast dla innych mieszkańców, jest to tylko legenda, traktują ją jako zmyśloną opowieść o upiornych wydarzeniach. Doskonale widzimy tutaj, że historia ta jest równocześnie

¹⁹ Informatorka B. J. ur. w 1938 roku, wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku w Steblewie.

²⁰ Kajfosz J., *Magia w potocznej narracji*, Katowice: Wydawnictwo uniwersytetu Śląskiego 2009, s. 18.

²¹ *Ibidem*, s. 21.

²² *Ibidem*, s. 57.

²³ Jagielski T., *Steblewo, Historia wsi żuławskiej*, Pruszcz Gdański: AGNI 2008, s. 40.

²⁴ Informatorka B. J. ur. w 1938 roku, wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku w Steblewie.

memoratem i fabulatem. Memoratem jest to opowiadanie, które zarówno dla nadawcy, jak i odbiorcy informuje o obiektywnej, prawdziwej rzeczywistości. Często dodaje się, że historię tę widział znajomy, najwyżej znajomy znajomego, co jeszcze bardziej podkreśla autentyczność. „Teść pracował i wiedział, wszystko tam wiedział”²⁵. Za fabulaty uznaje się te teksty folkloru, które społeczność zauważa jako legendy, dowcipy, historie wymyśloną treścią²⁶. Pomimo tego, iż treść memoratów i fabulatów może być tak samo zmyślona, pierwsze z nich traktuje się jako prawdziwe, jest to rodzaj fikcji realistycznej, drugie natomiast z założenia uznaje się za zmyślane, co jednak nie odbiera im funkcji, jakie ma tekst folkloru. A dlaczego jedni uznają historię o diable za prawdziwą (wtedy memorat), a inni za zmyśloną legendę (fabulat)? Wynika to zarówno ze sposobu, w jaki patrzy się na świat (tutaj widzimy, że społeczność Steblewa różni się, być może podział przebiega na linii wieku, jednak nie sprawdzałam tego, jest to tylko hipoteza na bazie kilku przypadków). Wiara w treść lub jej brak wynikają również z indywidualnych predyspozycji, nabytej wiedzy i przebytych doświadczeń. W memoracie mamy do czynienia z większym skupieniem na treści, ważniejsze są informacje, niż forma. Odczułam to również podczas pobytu w Steblewie, gdyż każda z opowieści nieco różniła się od siebie. Historie te opowiadane były w formie wspomnień, tak jak je zapamiętano. Przypominanie i dalsze przekazywanie podobne było do opowiadania biografii, niekoniecznie po kolei. I co ważne, bardzo często odwoływano się do osobistych doświadczeń. Zwłaszcza wywiad przeprowadzony z osobą, która pracowała w domu podcieniowym, pełen był osobistych wspomnień dotyczących wydarzeń z młodości.

B. S.: Jak ksiądz po kolędzie był. I tam było biuro w tym czerwonym domu. I ja poszedł i szukam stróża. Bo masz ten. I przyszła Majrowicz. Mówię: „Majrowicz, chodź tu”. A ja patrzę światło mieli podświetlone. Pod tym magazynem patrzę: „Ej, gdzie ty idziesz”. A chłop bez głowy, na pole zaszedł. A to był ten Lucyper. Stróżował, poszedł przy koniach w stajni sobie siadł. Mówi: „Proszę mi nie przeszkadzać, bo ja teraz obchód”. I go widział, w czarnym kapeluszu, wszystko. Oni się pokazywali, ludzie widzieli. Tam w tym domu, to przyszedł w nocy w karty grali, a mieli szafę na drzwi, bo to było podzielone. Odepchnął szafę mówi: „Ja mam teraz obchód, przestańcie w karty grać”. I go widzieli normalnie, w tym cylindrze, wszystko panie dokładnie. Żeby dzieci opowiadały, ale stare chłopcy. Ale to dużo ludzi opowiadało. A im dęba stały uszy, uszy na dęba, strach mieli, strach. Rzucili poszli²⁷.

²⁵ Informator B. S., wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku.

²⁶ Kajfosz J., op. cit., s. 33-34.

²⁷ Informator B. S., wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku.

B. J.: Ja mogę powiedzieć, bo ja tam miałam w sklepie PGR-owskim pracowałam. Oj nie raz to były cuda. Nie raz chciałam napalić w piecu, już się paliło, odeszłam i tfu zgasło. i koniec no. Mówię: „Ty diable chodzący”. Ale nieraz stracha dostałam. Przeważnie jak raport pisałam to sama w sklepie. A tam była hola wielka. Wie pani, to jak słyszałam takie stukanie, pukanie jego, o ten diabeł idzie. I miałam takie odczucie, że gdzieś koło mnie chodzi. Ale to jakoś się wytrzymało. A nieraz uciekłam z raportem bo się zlekłam²⁸.

Oczywiście takie historie miały miejsce nie tylko w domu podcieniowym.

K. D.: Musiała byś jeszcze iść odszukać L., bo i u nich był ten diabeł. Gdzie indziej. Ona, tam matka jej opowiadała, że u nich też tam straszy ten Farmazon²⁹.

Na szczęście udało mi się odszukać kobietę, o której wspomniano.

B. J.: Proszę panią co oni mieli się bać, kogo, jak myśmy mieli w domu. Też właściciel podły taki był, że nieraz dokuczał straszyl, tragedia była, ja jak weszłam do korytarza, chciałam iść do naszego mieszkania, to normalnie oczy zamykałam, ręce do przodu i szłam, tak bałam się spotkać. A spotykali, dlatego, że i kuzyn, i wujek mieszkał. Kuzynka jak szła, wytłumaczyła jak wygląda, ale nikomu przykrości nie robił nie, tylko tyle że przeszkadzał, łąził po schodach na górze, tup tup tup, a tu coś tam się turlało, no straszne było³⁰.

Legends miejskie, podania, bajki – wszystkie historie dotyczące miejsca, w którym aktualnie jesteśmy, pozwalają nam poczuć emocjonalną więź z danym terenem. Pozwalają nam oswoić się z nim, trochę jak z człowiekiem – często im lepiej znamy czyjąś historię, tym staje się nam on bliższy, bardziej nasz, niż obcy. W tym wypadku obcość terenu jako całości, jak i architektury, różniącej się od tej, która pojawiała się na terenach, skąd pochodziły osoby przesiedlane, może mieć za zadanie „udomowić” miejsce.

A dlaczego opowiadanie legend zanika? Czy ludzie odnaleźli inny sposób na osvajanie obcości, czy może nie jest to im już potrzebne? Na pewno znaczenie miał rozwój technologii – telewizory i komputery poszerzyły nasz świat, z małego lokalnego terytorium obejmującego miasto czy wieś, świat stał się światem w pełni. Aby jednak zrozumieć proces zanikania tekstu folkloru, musimy poznać proces, jaki zachodzi podczas jego życia. Reprodukowanie historii, ustne jej przekazywanie pozwala na ciągłą aktualizację pod względem zawartej w historii treści. Niektóre elementy z czasem

²⁸ Informator B. J. ur. w 1938 roku, wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku w Steblewie.

²⁹ Informator K. D., wywiad przeprowadzony przez A. Paprot w Steblewie.

³⁰ Informator B. J. ur. w 1938 roku, wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku w Steblewie.

są pomijane, inne dodawane. Zasadniczo sama treść jest stała, jednak możliwości poetyckie, szansa opowiedzenia historii w inny sposób, pozwala na jego dopasowanie do stale zmieniającej się rzeczywistości. Nawet historie dotyczące przeszłości, opowiedziane przez pryzmat teraźniejszych potrzeb, wierzeń i sposobów widzenia świata, wskazują na elementy ważne teraz dla danej społeczności³¹. Nadchodzi jednak taki moment, że pomimo tych korekt tekst przestaje być adekwatny. Kajfosz zwraca uwagę, że taki moment następuje, gdy „tekst ma za mało punktów stycznych z systemem myślenia danej społeczności”³². W momencie w którym traci swoją powszechność, przestaje być zrozumiały, gdy odbiorcy przestają być nadawcami tekstu - staje się folkloryzmem³³.

Miałam okazję rozmawiać z kobietą mieszkającą aktualnie w jednej z części domu podcieniowego. Spytałam, czy nie boi się, czy w ogóle zna historie z tym domem związane. Odpowiedziała, że nie ma czego się bać. Że jej nie straszy, a ludzie są gorsi niż duchy. Podobny stosunek do farmazona mieli informatorzy.

B. S.: Nie, nie bali się. Tam mieszkają jeszcze jedna rodzina. To jest taki lasek, tam rosną drzewa takie. To się tam nie bali, no bo co tam się bać. Kiedyś było pełno, należeli do tego kościoła, do tych lucyprów. Teraz tego nie ma, przedtem było³⁴.

Czy historia o Farmozonie jest już folkloryzmem? Historia o diable, w różnych wariantach pojawiła się w czterech z sześciu rozmów przeprowadzonych na terenie Steblewa. Świadczy to o jej rozpowszechnieniu wśród mieszkańców, zwłaszcza tych, którzy urodzili się przed 1939 rokiem. Jednak czy historia ta jest nadal żywa w miejscowości? Jak zmienił się stosunek do opowieści na przestrzeni ostatnich lat:

B. S. Ludzie opowiadali sobie. To ja wszystko wiem od tych starych ludzi. Bo te młode co teraz, to może coś słyszeli, ale nie wierzą. Tam nie wierzą. Dziś nie wierzą w takie głupstwa. Przedtem to człowiek widział i człowieka bez głowy, żołnierza bez głowy, na magazynie, jak szedł. I nas było więcej. Mówię: „widziałeś żołnierza”, „jo, ale bez głowy”. Jak to jest? Dziś tego nie ma, dzisiaj jest całkiem inaczej. Nie wierzą w to i nie ma. Przedtem było, ja sam widział³⁵.

³¹ Kajfosz J., op. cit., s. 23.

³² Ibidem, s. 21.

³³ Ibidem, s. 22.

³⁴ Informator B. S., wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku.

³⁵ Informator B. S., wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku.

B. J.: E a kto taki starszy jest. Dużo ludzi poumieralo i nie wiedzą nawet już teraz. A Ci młodzi to. Ci co byli starzy w tym czasie, to już nie żyją. Nie ma ich. I nie wiedzą. No ale³⁶.

K. D.: Nie wiem jak z tym diabłem było. Był Farmazon. Ale go nikt nie widział. Mówili tylko że był, ale nikt nie widział³⁷.

M. K.: A jeszcze, czy coś się opowiadało tutaj o tych ludziach co tu przed wojną żyli? O Niemcach, o Holendrach, o menonitach?

S. Z.: Nie nas tam tak. Kto by nam to opowiedział? Nikt³⁸

S. Z.: No ludzie rozmaite legendy snują. Ale jak to było, to naprawdę nikt wie. Może ktoś tam, gdzieś wyszuka kiedyś³⁹.

W książce Steblewo, Historia wsi żuławskiej Jagielski zapoznaje nas z wieloma legendami, jednak w większości odnoszą się one do czasów wcześniejszych, przypominają początki osiedlania się na Żuławach. Jednak żadna z nich nie została wspomniana przez osoby, z którymi miałam okazję rozmawiać podczas badań na terenie Żuław Gdańskich. Natomiast historia o Farmazonie była dosyć dobrze zrelacjonowana, włącznie z takimi szczegółami, jak koniec nawiedzania Steblewa. Jak pożegnał się z mieszkańcami?

K. D.: Ale mówili, że jak odchodził to się krwią swoją podpisał.

A. P.: Ale gdzie się podpisał? Tam na tym domu?

K. D.: Tam na murze.

A. P.: A kiedy to było?

K. D.: No podpisał się jak wychodził już stamtąd ten diabeł, to chyba w tej świetlicy.

A. P.: Ale to kiedy?

K. D.: O no to zaraz po wojnie. Teraz nie ma diabłów. Teraz są uświadomione ludzie⁴⁰.

Teksty folkloru, choć potocznie kojarzą nam się z terenami wiejskimi, są typowe dla każdej społeczności. Wskazuje na to chociażby popularność wśród klasy średniej tzw. legend miejskich, które spełniają kryteria tekstów

³⁶ Informatorka B. J. ur. w 1938 roku, wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 8 IX 2010 roku w Steblewie.

³⁷ Informator K. D., wywiad przeprowadzony przez A. Paprot w Steblewie.

³⁸ Informator S. Z. ur. w 1930 roku, wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 08 IX 2010 roku w Steblewie.

³⁹ Informator S. Z. ur. w 1930 roku, wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 08 IX 2010 roku w Steblewie.

⁴⁰ Informator K. D., wywiad przeprowadzony przez A. Paprot w Steblewie.

folkloru. Folkloru nie rozpatrujemy bowiem poprzez przedmiot o którym opowiada, gdyż jest on zmienny, zależny w czasie od aktualnych, najważniejszych dla danej społeczności treści, obaw, poglądów⁴¹.

Dzięki temu, że teksty takie przekazywane są ustnie, ciągle podlegają one swego rodzaju cenzurze – dalej przekazywane, czy reprodukowane są tylko te opowieści, które nadal wydają się być słuchaczom aktualne. Cenzorem jest człowiek, jednostka, jednak jest on częścią grupy, w której żyje i z którą podziela poglądy, wizje świata. Oczywiście poszczególne jednostki różnią się od siebie, jednak właśnie to, że tekst staje się powszechny, wskazuje że jest w nim treść istotna dla większej części społeczności lokalnej.

Twierdzi się, że w regionie żuławskim nie zachowały się ślady folkloru⁴². Zmiana mieszkańców tej ziemi spowodowała brak ciągłości. Zwykle młodsze pokolenie ma okazję poznać świat i sposób, w jaki sobie z nim poradzić dzięki starszym. Środowisko w jakim żyjemy dostosowane jest do nas, czy może lepiej, my i nasze zachowania dostosowane są do warunków w jakich przyszło nam żyć. W wypadku m. in. Żuław, w wyniku akcji przesiedleńczej, która miała miejsce po wojnie, nie ma typowej ciągłości kulturowej. Sami mieszkańcy mówią:

S. Z.: A co tu będą ludzie gadać, jak tu są ludzie jeden z Rus drugi z Prus. Tutaj wziąć tych starszych, co tu byli to już poumierali, to tu kiedyś tak jak opowiadają legendy, że tu szli Prusacy, ten tego, że tam przewozili Wisłą na tych barkach zboże do Gdańska. Ale to nie są nasze czasy, ani naszych dziadków, to są pradziadki, to jest inna rzecz, kiedyś co było teraz⁴³.

Nie oznacza to jednak braku regionalnego kolorytu. Historie takie jak ta o diable steblewskim świadczą o istnieniu folkloru na danym terenie, To nie tylko barwna historyjka, lecz część tła kulturowego danego regionu, świadczy o jego specyficzności. Wskazuje na typowe dla danego czasu obawy i nastroje społeczne. Podobnie zanikanie tradycji opowiadania legend lokalnych daje obraz zmiany, jaka ma miejsce nieustannie. Warto więc słuchać lokalnych historii, bo nie chodzi w nich tylko o zabawną lub straszną anegdotkę.

⁴¹ Kajfosz J., op. cit., s. 15.

⁴² Gola G., Żuławy-laboratorium tożsamości [w:] Rocznik Żuławski 2008, Nowy Dwór Gdański: Stowarzyszenie Miłośników Nowego Dworu Gdańskiego Klub Nowodworski 2008, s. 8.

⁴³ Informator S. Z. ur. w 1930 roku, wywiad przeprowadzony przez M. Kluszczyńską 08 IX 2010 roku w Steblewie.

Karolina Manikowska

Cmentarzowi na ratunek

Mirowo jest niewielką wioską, oddaloną o jakieś 2-3 kilometry od Nowego Stawu. Jej historia sięga średniowiecza. Podobnie, jak inne wsie żuławskie, zasiedlili ją w późniejszym okresie również osadnicy pochodzenia holenderskiego, czyli menonici. We wsi zachowało się kilka tzw. zagród holenderskich, czyli takich, w których dom mieszkalny zablokowany jest z budynkami gospodarczymi (najbardziej powszechny jest typ wzdluzny, czyli dom, obora



Ekipa pracująca przy ratowaniu cmentarza w Mirowie, fot. T. Wąsik

i stodoła połączone w jednej prostej linii). Po dawnych mieszkańcach pozostał również cmentarz. Niestety, czas nie obszedł się z nim łaskawie. Po 1945 r., kiedy ludność niemiecka i potomkowie osadników holenderskich opuścili teren Żuław, nie został prawie nikt, kto znałby ludzi spoczywających na cmentarzu. Na domiar złego, miejsce to stało się wyzwaniem dla wszelkiej maści hien cmentarnych – począwszy od „przedsiębiorczych” kamieniarzy, pozyskujących granit i marmur z poniemieckich nekropoli, przez poszukiwaczy „skarbów”, na pospolitych wandalach kończąc. Nic więc dziwnego, że jego stan był rozpaczliwy. W dokumentacji PKZ z lat 80. XX w. można jeszcze zobaczyć nagrobki w formie żeliwnych krzyży, ale obecnie pozostały po nich jedynie granitowe podstawy. Teren zaś porósł gęstą, samosiewną zielenią, która uniemożliwiała obejrzenie cmentarza w okresie wiosenno-letnim. Nie można było tak tego zostawić.

Temu stanowi rzeczy postanowili zaradzić członkowie nowego malborskiego stowarzyszenia – Inicjatywy Aktywny Malbork (IAM). Początkowo luźna lokalna inicjatywa, która w ubiegłym roku połączyła kilkudziesięciu malborskich rowerzystów, biorących udział w 2 rajdach rowerowych (tzw. Malborska Ósemka - trasa wiodąca przez obie śluzy: w Szonowie i na Rakowcu), zyskała osobowość prawną w pierwszych miesiącach tego roku. Głównymi celami statutowymi IAM są: promowanie aktywnego stylu życia w każdej grupie wiekowej, inicjowanie i wspieranie wszelkich inicjatyw na rzecz promocji i rozwoju turystyki, krajoznawstwa i ochrony przyrody, pro-



Tomasz Wąski przy uratowanych nagrobkach, fot. K. Manikowska

mocja dóbr kultury i tradycji regionu, edukacja ekologiczna społeczności lokalnej, integracja mieszkańców miasta i regionu oraz promowanie i organizacja wolontariatu.

Jako stowarzyszenie, IAM zorganizowała w tym roku kilka treningów Nordic Walking (m.in. na trasie Sopot-Gdynia, w elbląskiej Bażantarni i Lasach Sztumskich), rajdy rowerowe po Żuławach, oraz rajd rowerowy upamiętniający rocznicę śmierci wy-

bitnego lotnika z wiązanego z Malborkiem – Ferdynanda Schulza (poprzedzony zimowym rajdem pieszym jego śladami, współorganizowanym z SMM „FORUM”). Największym dotychczasowym osiągnięciem IAM była organizacja Dnia Rzeki Nogat, dokonana 27 sierpnia we współpracy z Klubem Nowodworskim, dzięki zaangażowaniu licznych partnerów (płetwonurkowie z OSP Malbork, wędkarze z Garnizonowego Klubu Wędkarskiego, joannicy) i Miasta Malbork, z wiceburmistrzem Maciejem Ruskiem na czele). Cmentarz w Mirowie znajduje się na terenie powiatu malborskiego i część członków IAM miała okazję go obejrzeć podczas indywidualnych wycieczek rowerowych (w tym niżej podpisana), co spowodowało chęć zmiany smutnego stanu rzeczy.

Latem spotkaliśmy się z burmistrzem Nowego Stawu i sekretarzem gminy, którzy przychylnie odnieśli się do pomysłu uporządkowania nekropolii. Na początku października także z panią sołtys Mirowa, która zaaprobowwała naszą propozycję, oraz z przedstawicielami Stowarzyszenia Miłośników Nowego Stawu. Zaproponowali oni, że wezmą udział w porządkowaniu cmentarza. Uzyskaliśmy również pozytywną opinię WUOZ w Gdańsku. Rozpoczęcie prac wyznaczaliśmy na połowę października. Po tygodniu kapryśnej pogody, w sobotę, 15 października, zaświeciło słońce, co odebraliśmy jako dobry znak dla przedsięwzięcia. Część członków IAM dojechała do Mirowa na rowerach, spotykając się na miejscu z kolegą z Nowego Stawu, ale prawdziwą niespodziankę zrobili nam członkowie wspomnianego nowostawskiego stowarzyszenia, którzy bardzo poważnie podeszli do sprawy i stawili się do pracy w silnej ekipie. Część samosiewów została już uprzednio wycięta, ale trzeba było oczyścić cmentarz z zaścielających go konarów oraz dokończyć wycinkę. W południe dołączyła do nas grupka najmłodszych mieszkańców wsi, zaproszonych przez członków Stowarzyszenia Miłośników Nowego Stawu, którzy pomogli nam w porządkach, a następnie narysowali i namalowali swoje wrażenia związane z akcją. Ten mini-plener zorganizowało nowostawskie stowarzyszenie. Po skończonej pracy posililiśmy się kielbaskami upieczonymi nad ogniskiem, w którym spłonęły usunięte gałązki.

Kolejne prace, w mniejszym gronie, przeprowadziliśmy 12 listopada. Wówczas ustawiliśmy przewrócone nagrobki, niestety, pozbawione krzyży, które pierwotnie je zwieńczały. I tym razem w pracach pomogły nam miejscowe dzieci, które również dokonały kilku własnych odkryć.

Dzięki uprzątnięciu gałęzi i innym pracom porządkowym, układ założenia cmentarnego stał się czytelny. Okryliśmy również podstawę menonickiej steli Helene Janzen, zm. w 1891 r.; pozostała jej część jest potłuczona, ale podczas kolejnych spotkań planujemy scalić odnalezione kawałki i połączyć je z odnalezioną podstawą oraz poustawiać inne nagrobki, które leżą na ziemi. Prawdziwą ozdobą cmentarza jest zachowana w całości inna stela menonicka, wystawiona Davidowi Janzenowi, zmarłemu w 1861 r. Zachowało się też parę innych nagrobków, na których można odczytać nazwiska pochowanych: uszkodzony cippus z piaskowca, wystawiony dzieciom z rodziny Wiens: Luise zm. 1888, Marie, zm. 1894, kolejnej Luise, zm. 1890, Hermannowi, zm. 1891, Annie, zm. 1897, drugiej Annie, zm. 1882 i kolejnej ich imiennicze, zm. 1885 oraz uszkodzony cippus Louise Gross, zm. w 1877. Podczas ostatniej wizyty odnaleźliśmy jeszcze jeden nagrobek z tablicą inskrypcyjną, niestety, rozbitą na kawałki. Zabezpieczyliśmy je i po oczyszczeniu nagrobka zamierzamy przykleić je na miejsce. Choć brakuje wielu fragmentów, wiadomo na pewno, że jest to nagrobek kilkorga dzieci z rodziny Wiebe, w tym dwuletniej Heleny, zm. w 1894r. i nieznanego rocznego dziecka, zm. w 1885r.

Dla stowarzyszenia IAM najcenniejsze jest to, że zyskaliśmy partnera w Stowarzyszeniu Miłośników Nowego Stawu, którzy ochronę dziedzictwa swojej gminy uznają za rzecz oczywistą. Być może wspólnymi siłami uda nam się zmienić los tej zapomnianej nekropolii i przywrócić należną godność osobom, które tam spoczęły. Ważnego wsparcia udzieliły nam też władze Nowego Stawu oraz Pani sołtys Mirowa. Dowiedzieliśmy się również o tym, że na cmentarzu spoczywa członek rodziny jednej z mieszkanek Mirowa. Mamy nadzieję, że sama opowie nam o tym i o innych dawnych mieszkańcach, którzy zostali pochowani w tym miejscu.

Wszystkich zainteresowanych zapraszamy do śledzenia kolejnych etapów akcji na stronie www.iam.malbork.pl, gdzie będziemy zamieszczać daty wyjazdów do Mirowa oraz relacje z nich, ilustrowane zdjęciami.



Uratowane nagrobki na cmentarzu w Mirowie, fot. K. Manikowska

Paweł Głogowski

O czym opowiadają dekle studzienek?*

Jednym z niewątpliwych uroków prowincji jest dość duża ilość zachowanych tu pomniejszych zabytków i detali historycznych. Wiele drobiazgów w „centrum” nie miało często szans na przetrwanie. Te z dala od głównych dróg miały szansę zachować się do naszych czasów.

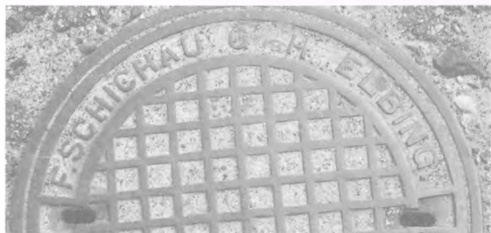
Po pierwsze: wojna znacznie okrutniej obchodziła się z dużymi miastami, a zwłaszcza stolicami państw czy regionów, a przy ich odbudowie mało kto zaprzętał sobie głowę detalami. Po drugie: zachowane często po wojnie ideowo „niesłuszne” (szczególnie w naszej okolicy) za bardzo kłuły w oczy swą gotycką czcionką czy nieprawomyślnym herbem. Wreszcie po trzecie: bogatsze zazwyczaj centra już dawno dokonały jakiegoś remontu czy modernizacji. Podczas zmian na nowe często nie brano pod uwagę owych, ciekawych może, ale przecież nie aż tak cennych, czy ważnych detali. To właśnie powolny, tak niemiły nam często, rytm życia prowincji pozwolił ocalić okruchy minionego świata.

Duże budowle, zabytki o gabarytach malborskiego zamku rzucają się w oczy, są podziwiane, kontemplowane, komentowane. Tymczasem właśnie drobiazgi, choć również są świadectwem przeszłości, umykają naszej uwadze. W bieganinie codziennego życia nieczęsto dostrzegamy te, jak lubię je nazywać, zabytki „małej architektury”. Pomijamy je, już to z uwagi na małe rozmiary, już to z powodu ich lokalizacji – w końcu ilu z nas w codziennie, w drodze z domu do pracy i z powrotem patrzy uważnie pod nogi, albo zadziera głowę wysoko?

Niektóre ciekawostki historyczne dosłownie ścielą się u naszych stóp. Zwróćmy uwagę na to, po czym depczemy. Ciekawym, zabytkowym elementem małej architektury naszych okolic, na co dzień praktycznie niezauważanym przez nikogo (może oprócz zbieraczy złomu), są pokrywy włązów, klapy studzienek kanalizacyjnych i hydrantów oraz kratki ściekowe. Przetrwały dzięki swojej funkcjonalności. A pewnie i dzięki temu, że są tak oczywiste, iż niemal niewidzialne. Do dziś zachowało się sporo starych, przedwojennych egzemplarzy, będących interesującymi, i często pięknymi, pamiątkami historycznymi. Ich poszukiwanie dodatkowo dostarcza uważnemu tropicielowi mnóstwo atrakcji i satysfakcji z kolejnych dokonywanych odkryć. Każdy nowy, niewidziany dotąd w okolicy wzór, czy odmiana jest jak trofeum dla poszukiwacza lokalnych „skarbów”.

Dekle studzienek kanalizacyjnych opowiadają swoje historie. W Sztumie wśród około 25 rodzajów takich pokryw dominują zdecydowanie te wyprodukowane w dwóch elbląskich odlewniach: znanej już stałym czytelnikom

„Prowincji” fabryce Frantza Komnicka oraz stoczni Ferdynanda Schichaua. A mają one wiele różnych odmian i typów. Trafiają się jednak i takie, o dość egzotycznej proveniencji – jak te z Nowej Soli nad Odrą. O ich rodowodach świadczą nazwy producenta.



Studzienka Schichau'a w Sztumie



Studzienka Komnicka w Sztumie

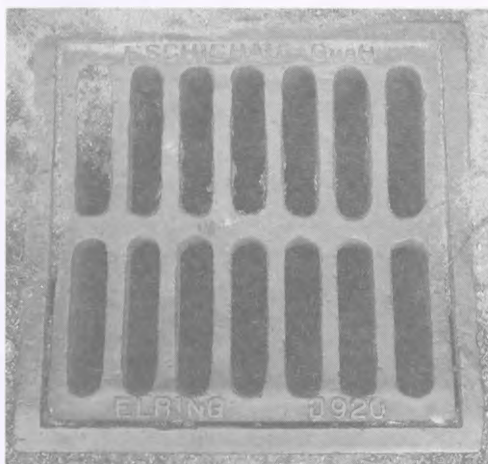
Bogatsze miasta mogły sobie pozwolić na zamówienie indywidualnych pokryw. W Malborku czy Kwidzynie najczęściej jest dekliny nazwą miasta: odpowiednio Marienburg i Marienwerder. Miały one też często własne odlewnie. Prowadził taką między innymi Emil Zorn z Malborka. Na ulicach Malborka i Kwidzyna można wypatrzeć także studzienki i kratki ściekowe pochodzące ze znanej grudziądzkiej firmy Herzfeld - Victoriuss czy bydgoskiej Windschild - Langelott.



Studzienka Zorna w Malborku



Studzienka w Malborku



Kratka Schichau'a w Kwidzynie



Kratka Schichau'a w Kwidzynie

Z kolei w Dzierzgoniu spotykamy prawie wyłącznie pokrywy z Królewca. Szkoda tylko, że z każdym kolejnym remontem następnych ulic naszych miast ubywa tych może drobnych, ale jakże ciekawych pamiątek...

Spacerując po okolicy warto też czasami patrzeć uważniej do góry, czy zapuszczać się choć na chwilę w pozornie mało ciekawe zaułki. Nad dachami starych domów i budynków gospodarczych, baszt czy świątyń zachowało się jeszcze całkiem sporo zabytków kowalstwa artystycznego, choćby ozdobnych, metalowych chorągiewek. Moja kolekcja dokumentujących je fotografii z regionu liczy już ponad 250 egzemplarzy! Uważnemu przechodniowi chorągiewki opowiadają ciekawe historie. Często są ozdobne i zwykle mają wycięte daty postawienia danego budynku (a czasem jego renowacji). Najstarsza chorągiewka w Sztumie nosi datę 1742, na hotelu Baster z kolei widzimy rok 1910.



Chorągiewka na Baszcie Maślankowej w Malborku



Chorągiewka na kapliczce w Sztumie

Ciekawostką są tak zwane repery. To stare, królewsko-pruskie jeszcze znaki z oznaczeniem wysokości obiektu nad poziomem morza. Można znaleźć je na ścianach ważniejszych budynków: kościołów czy urzędów, na ogół blisko wejścia.

Wnikliwy poszukiwacz może wypatrzeć jeszcze przebijające spod farby resztki gotyckiego napisu lub dostrzec starą lampę. Na zachowanych tu i ówdzie starych ogrodzeniach i bramach przetrwały czasem tabliczki znamionowe nieistniejących już zakładów czy wytwórców. W przydomowych ogródkach, wśród krzewów i krasnali stoją stare pompy i hydranty.



Pompa na ul. Kopernika w Sztumie



Hydrant w Malborku



Reper na kościele poewangelickim w Sztumie

Nawet brzydka, obskurna klatka schodowa sypiącej się kamienicy może nas nagle zaskoczyć mosiężną klapką w drzwiach z napisem „Briefe”, ciekawą poręczą schodów, resztką secesyjnych malowideł czy płaskorzeźbą!

Warto mieć oczy szeroko otwarte podczas spacerów po naszej małej ojczyźnie. Nawet w głębokim lesie możemy natknąć się, np. na stary głąz z napisem w języku niemieckim, upamiętniający śmierć leśniczego z rąk kłu-



Skrzynka na listy w Sztumie

sownika. Warto wsłuchiwać się w historie opowiadane nam przez nawet te najbanalniejsze przedmioty sprzed stu lat. I warto je utrwać, gdyż z każdym rokiem jest ich niestety coraz mniej...



Zapisane kamienie w Benowie



Płaskorzeźba na budynku przy ul. Nowowiejskiego w Sztumie



Napis na młynie w Ryjewie

Jerzy Kosacz

Magiczne Białki



Biesiada opozycji kwidzyńskiej w Białkach: Wiesław Gnitecki, Konrad Kosacz, Jerzy Kosacz, Tadeusz Okulski, Henryk Szostak, fot. archiwum

Miejscami magicznymi zwykliśmy nazywać takie, które utkwiły nam w pamięci w jakiś szczególny sposób. Kojarzą się one ze wspomnieniami znaczących momentów naszego życia, z towarzyszącymi im nastrojami, wrażeniami, a przede wszystkim z tym, co znacząco porysowało nasz życiorys. Każdy ma ileś tam własnych miejsc magicznych, a ich liczba jest proporcjonalna do intensywności swoich przeżyć. Są miejsca kojarzące się nam z epizodami historii swojej „małej ojczyzny” zaludnionej bliskimi i przyjaciółmi, ale głównie z naszymi życiowymi zakrętami.

Tak jak i inni mam swoje miejsca magiczne przechowywane w pamięci. Jedno z nich to moje byłe ranczo w Białkach pod Kwidzynem, gdzie żyłem i pracowałem w zawirowanych latach 80-tych.

Ale zanim tam trafiłem, nastąpił stan wojenny. W Kwidzynie, w pierwszym rzucie było nas sześciu. Jeszcze w sobotę, 12-go grudnia wygarnięto nas przed północą z domów, by nazajutrz wywieźć z miasta. Kwidzyński aparat przemocy znałem dość dokładnie, zarówno jawny jak i tajny, a tu byli sami z importu i bez respektu. Jeden mi odczytywał decyzję o internowaniu, którą



Jerzy Kosacz z dziećmi przed domem
w Białkach, fot. archiwum rodzinne

udało mi się na moment wypożyczyć mu z ręki, dzięki czemu powiedziałem żonie, gdzie ma mnie szukać. Inny, któremu dobrze patrzyło z oczu powiedział mi na boku, żebym się ubrał najcieplej i zabrał ze sobą lekarstwa, bo byłem w trakcie kuracji. Pożegnanie z żoną, z czwórką dzieci, i z Arą, której miałem w tym momencie za złe, że charty są bezgłose i nie umieją szczekać. Moi nocni goście cały czas jej się bali, choć zapewniałem, że to chart rosyjski, więc ta suka nie powinna być dla nich groźna. Pamiętam jeszcze pożegnanie na schodach z sąsiadem Piotrkim Sitnickim, który wręczył mi pakiet papierosów ze słowami: – „Nic się nie bój, my za tobą”, co jeden z konwojentów skwitował: – „Zapraszamy do taxi”. Piotrek z propozycji nie skorzystał, bo nie mógłby później po nocach upominać się o uwieczonych pędzlem i dużymi literami na kwidzyńskich murach.

Wsadzili mnie do pustej suki i zabrali na dalsze polowanie w miasto. Jeździli dość długo w różne miejsca, a w pewnym momencie, gdy minęliśmy szpital to naszły mnie dziwne skojarzenia z pobliską skarpą piaskową i zapamiętanymi lekturami o okupacji. Przeszło mi, gdy zawróciliśmy do miasta pod dom, gdzie mieszkał Roman Rewiński. Po jakimś czasie słyszę rozmowę, że Rewiński zabarykadował się i przysięga, że nikogo do domu nie wpuści. Gdy usłyszałem, że biorą przyrzędy, które w tym dniu otwierają wszystkie drzwi w Kwidzynie, zacząłem łomotać, upominając się o rozmowę z szefem grupy. Powiedziałem, żeby przekazał, że czekam na Romana

w suce. Po prostu zrobiło mi się żal żony Romka, że nie dość, że bez męża, to zostanie jeszcze bez drzwi, na co się wyraźnie zapowiadało tej mroźnej nocy. Roman, który właśnie ze szwagrem destylował to, co się wówczas destylowało w co drugim kwidzyńskim domu – pojawił się w suce wyluzowany i pięknie pachnący produktem końcowym z domowego laboratorium. Powiedział mi: – „Myślałem, że mnie dopadli i to coś poważnego, a tu pieprzą o jakiejś wojnie, więc jak o tobie usłyszałem, to ich wpuściłem”. A ja w ten oto sposób zostałem kolaborantem.



Jedno ze spotkań kwidzyńskiej opozycji w Białkach: Jerzy Kosacz, ks. Wiesław, Jerzy Kozdroń, fot. archiwum

Zwieźli nas na komendę sześciu, czyli wszystkich wytypowanych jeszcze wiosną przez lokalną SB ze stosowną opinią kwidzyńskiego Komitetu Miejskiego PZPR. Znaleźli się tam ze mną: Leszek Kaczmarek, Andrzej Wypych i ś.p. Witek Piotrowski z Celulozy, Stachu Piłat z ZEMu i Romek Rewiński z RDP, czyli liderzy zakładowych komitetów i ja jako przewodniczący MKK Solidarności w Kwidzynie. Dokładnie nas zrewidowali, spisali, skuli i zaprosili do suki w podróż w nieznane. Było bardzo mroźno a samochód był przewiewny. Koledzy nie wierzyli mi, gdzie nas wiozą, aż pojazd rozkraczył się pod tablicą Iława. Później, gdy dali nam do ręki decyzje o internowaniu, niektórzy z nas w miejscu osadzenia mieli wpisany zaiksowany Kamieńsk i dopisaną Iławę. Kamieńsk, to ciężkie więzienie w poniemieckich zabudowaniach koszarowych, które sptonęło po buncie więźniów we wrześniu 1981, czyli trzy miesiące przed stanem wojennym.

W iławskim więzieniu zamknięto internowanych z woj. olsztyńskiego, elbląskiego, części gdańskiego i wielu innych łapanych gdzieś po drodze, jak np. prof. Geremek z którym tam się zetknąłem. Więzienie było nieprzygotowane, pospiesznie przierzucano kryminalnych, by zrobili nam miejsce. Pierwsze dni trwało przemieszczanie z celi do celi, po różnych oddziałach, aż trafiłem do trzydziestoosobowej stanowiącej mieszanekę z różnych regionów. Warunki bardzo niedobre, zimno, ciasno, łóżka trzyposiomowe. W największym stresie byli ci więźni z ulicy lub z pracy, których rodziny nie wiedziały, co się z nimi stało. Czasami strażnik wrzucał parę kopert i znaczków a towarzystwo dzieliło to w wielkich nerwach. Jedni byli załamani, inni tylko zagubieni, a niektórzy mądrzyli się o Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu, o rzekomo strajkującej całej Polsce i o innych mrzonkach.



Sylwester 1984 w Białkach, fot. archiwum rodzinne

W Kwidzynie nastąpiła kompletna pacyfikacja związku. Upomniał się o nas tylko dyrektor LO, Józef Łukasiak, co przypłacił natychmiastową utratą stanowiska.

Tak jak umiałem, próbowałem sprowadzić kolegów na ziemię, a skończyło się to mianowaniem mnie ich rzecznikiem w rozmowie z naczelnikiem wię-

zienia, której miałem zażądać w imieniu wszystkich. Byłem święcie przekonany, że za odegranie tej roli dostanę solidny łomot i wyląduję w jakieś jednoosobowej piwnicy.

Przechodziłem chorobę żołądka i ledwie udawało mi się trzymać fason, ponadto bałem się nie mniej od innych, ale dziarsko przystąpiłem do swego ostatniego „bohaterskiego” wyczynu. Przy wieczornym apelu wystawiało się tzw. kostkę, tzn. długie ławy z ułożonym odzieniem wierzchnim i buty. Po otwarciu drzwi powiedziałem dyżurnemu strażnikowi, że domagamy się pilnie rozmowy z naczelnikiem więzienia. Klawisz zbaraniał, ale odpowiedział, że tu nie ma „my” i każdy mówi tylko za siebie. Kilka razy jeszcze były otwierane drzwi, a ja powtarzałem o upoważnieniu udzielonym mi przez kolegów. Coraz wyżsi stopniem strażnicy straszili konsekwencjami odmowy wystawienia kostki, a na korytarzu robiło się coraz gęściej od klawiszy z pałami.

W końcu wywołali mnie z celi i puścili ustawioną ścieżką do dyżurki oddziałowego i niepotrzebnie się kulilem, bo tylko przyglądali się straceńcowi, któremu się ewentualnie wleje, jak będzie taki rozkaz. Za biurkiem siedział naczelnik więzienia, ale prezentował się jak naczelnik naczelników wszystkich obozów – skórzany płaszcz, daszek czapki nasunięty na oczy i groźby. Przekazałem mu, czego się domagamy a on lustrując mnie spod daszka czapki w pewnym momencie zaczął mówić spokojniej i oświadczył, co on może, a czego nie może.

Uznał, że nie może być adresatem postulatów ogólnych jak: regulamin internowania, Międzynarodowy Czerwony Krzyż, MOP itp., natomiast to, co w jego gestii, to załatwi od jutra, tylko natychmiast mamy wystawić kostkę. Obiecał koperty i znaczki, ciepłą wodę dla gołocych się, rozładowanie tłoku i pomniejsze sprawy oraz wizyty duszpasterskie z najbliższej

parafii. Do tego było mi go najtrudniej przekonywać, a takich żądań musiało być więcej, bo już od najbliższej niedzieli w oddziałowej świetlicy odbywały się msze święte.

Następnego dnia naszą celę rozparcelowano rozrzucając po całym więzieniu. Wylądowałem na najwyższym piętrze w celi dwuosobowej na końcu korytarza, a od innych oddzielonej dyżurką oddziałowego. Nie na długo, bo potem trafiłem do

innego budynku. Posługując się więzienną „techniką” poszukiwałem innych kwidziniaków, którzy mogli być internowani i znalazłem. Przywieźli tu jeszcze Jacka Kopisto i naszego doradcę prawnego Andrzeja Czyżewskiego. Z celi piętro niżej dostałem wiadomość, że siedzi tam solidarnościowiec z Kwidzyna Mirosław Górski. Dałem tam cynk, by zważali na niego, bo to pewnie jakiś kapuś, gdyż w kwidzyńskiej „S” takiego nie było. Mirek był jednak zbyt dobrze znanym liderem NZS i „S” na Akademii Medycznej w Gdańsku i za tamtejsze zasługi internowano go po kilku dniach pracy w kwidzyńskim szpitalu, więc mój cynk nie mógł mu zaszkodzić wśród kolegów. Po latach, na oficjalnym spotkaniu przedstawiano mi jakichś innych jeszcze internowanych solidarnościowców z Kwidzyna. Rozpoznałem wśród nich tylko jedną osobę, znaną w mieście z prowadzenia meliny, więc mogła ona mieć jakieś zasługi wobec „Solidarności”, ale tylko wobec tych jej członków, którzy być może tam zaopatrywali się w gorzałę bez kartek.

Nazywało się to obozem internowania a siedzieliśmy w zwykłym więzieniu pozamykani w celach z wszystkimi rygorami skazanych. To dopiero znacznie później otwierano cele na oddziałach. Karmili nas tym, co nie wszyscy jedli. Małe białe robaczki w kaszy, ani oglądany na spacerze, leżący przy kuchni zamrożony koń z zadartymi kopytami, którego kucharz rąbał po kawałku – nie pobudzały apetytu. Od Bożego Narodzenia zaczęły przychodzić paczki z domu. Dostawaliśmy ocenzurowane listy i były widzenia. Żona dostała przepustkę na wyjazd z Kwidzyna do Ławy i odwiedziła mnie z dziećmi. Gdy przekazywałem grypsy zakapowała mnie najmłodsza córeczka wrzeszcząc: Mamo, tata coś mi włożył w rajtuzy!

Z różnych zorganizowanych materiałów urządziłem warsztacik graficzny produkujący okolicznościowe znaczki i karty obrazujące stan naszych umysłów i stosunek do wrażej władzy. Niestety, regularnie rekwirowano mi narzędzia, materiały i „dzieła”, a miał w tym swój udział skutecznie przestraszony chłopak spod Olsztyna z mojej celi.



Sylwester w Białkach w 1984, wśród gości przyszli burmistrzowie i starostowie kwidzyńscy, fot. archiwum rodzinne

Dostarczono 22.11.91. 8

KOMENDA WOJEWÓDZKA MO
 MILICJI OBYWATELSKIEJ
 w Elblągu

23 L. dz.
Pieczęć nagłówkowa

DECYZJA NR 42/CH/81
o internowaniu

Uznając, że pozostawanie na wolności obywatela

nazwisko i imię KOSACZ JERZY

imiona rodziców Edward

data i miejsce urodzenia 24 lutego 1942 r. w Dudziśław ZSRR

zawód (zajęcie) i miejsce pracy Woj. Biblioteka Publiczna Kwidzyn

miejsce zamieszkania Kwidzyn ul. Konarskiego 21/2

zagrażałoby bezpieczeństwu Państwa i porządkowi publicznemu przez to, że _____
organizowałby nielegalne zbiegowiska

na zasadzie art. 42. dekretu z dnia 17.12.47 o ochronie bezpieczeństwa Państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego

postanawia się:

- internować ob. KOSACZ JERZEGO s. Edwarda
i umieścić go w ośrodku odosobnienia w XXXXXXX; Izanie
- wykonanie decyzji zlecić Funkcjonariuszom SA MO w Elblągu

KOMENDANT WOJEWÓDZKI MO

Smayh

Elbląg, dnia 12.12.1981 r.

Decyzja o internowaniu Jerzego Kosacza, fot. archiwum Biblioteki Elbląskiej

Jak się siedzi, to ważne jest z kim się siedzi. Najsympatyczniej było z Leszkiem Kaczmarkiem (teraz mieszka w Kanadzie), którego nie opuszczała fantazja. Jednych zegarki leżały w depozycie, inni mieli je przy sobie. Leszkowi zabrali, więc najpierw dopominał się o zwrot. Prosił o kontakt z psychologiem, ponieważ bez zegarka traci poczucie czasu, a w

końcu wykonał sobie z kartonu zegar z kukułką i ruchomymi wskazówkami. Chyba zbyt często dopominał się u klucznika o dokładny czas przesuwając wskazówki, bo gdy zachorowała mu kukułka, to za prośbą o weterynaryjną pomoc dla niej trafił na twarde łoże. Ale stamtąd też potrafił stanąć do raportu, upominając się ujawnienia lokalizacji cmentarza internowanych, by zawczasu powiadomić o tym rodzinę. Sam, zanim trafił do kwidzyńskiej „Celulozy”, mieszkał właśnie w Iławie.

Na moim oddziale była biblioteka, którą prowadził więzień kryminalny. Skorumpowałem go większą ilością szlugów, a on wytłumaczył przełożonemu klawiszowi, że nie daje sobie rady z tymi przemądrzałymi, wśród których podobno są bibliotekarze, więc może oni sami się obsłużą. W już mojej bibliotece bibliotekarzami mogli być oczywiście tylko kwidzyniacy, więc przez parę tygodni rządziłszy tam, aż nas z hukiem wylali.

A potem kompletnie wysiadło mi zdrowie i po krwotoku leżałem pół dnia na noszach iławskiego pogotowia ratunkowego na bramie. W tym czasie naczelnik przekonywał SB, że nie potrzebny mu żaden trup polityczny, a smutni zapewniali go, że to oni są dysponentami denata, którego nie zamierzali wypuszczać z rąk. Jako pierwszy z iławskich internowanych wylądowałem w szpitalu miejskim, gdzie troskliwie zajęli się mną tamtejsi lekarze. Przez kilka tygodni, dzień i noc, pilnowali mnie tam zmieniający się uzbrojeni strażnicy. Rewanżowałem im się za to ochroną ich samych przed okazywaną im bez ogródek wrogością i niechęcią ze strony niższego personelu szpitalnego. Nie stać mnie było jednak na litość, gdy regularnie łupiłem ich, ogrywając w karty do przysłowiowych ostatnich portek. Gubiła ich zawziętość w chęci odegrania się a nie spostrzegli, że to była moja ideowa forma odgrywania się za niewolę na tych (w większości) Bogu ducha winnych magazynierach złodziei przemienionych nagle w obrońców reżimu.

Lekarzom z Iławy zawdzięczam przemianę rutynowej choroby mojej dwunastnicy, w niezwykle poważny przypadek choroby nowotworowej, co po pewnym czasie spowodowało najpierw zdjęcie straży (wybawionej tym sposobem z karcianej opresji), a po kilku kolejnych tygodniach wypisanie



Tablica informacyjna, która przysporzyła Jerzemu Kosaczowi sporo kłopotów, fot. archiwum

mnie z tym beznadziejnym rozpoznaniem. Tak więc siedziałem nie długo, nie krótko, w sam raz. Uniknąłem pierwszego lania internowanych w kwietniu i późniejszej masakry w kwidzyńskim więzieniu, dokąd trafili łaWiacy.

Spotykałem się wówczas z licznymi dowodami zwykłej solidarności ludzi, którzy pomagali innym jak tylko mogli. Potem, również w kwidzyńskim szpitalu, spotkała mnie życzliwa opieka młodych lekarzy z dr. Edkiem Zielińskim na czele. Inaczej niż młodszy lekarze z kwidzyńskiego szpitala zachowywali się później niektórzy ich starsi koledzy, zapominający o swym powołaniu, wobec internowanych pobitych w 1984 w więzieniu w Kwidzynie.

Przed wyrejestrowaniem z więzienia czekała mnie jeszcze rozmowa z funkcjonariuszem SB (młody absolwent historii po UMK – ja też próbowałem przesłuchiwać swoich śledczych), w czasie której zapewnił mnie, recytując jak z kartki, że w Polsce Ludowej nic dobrego nie czeka, ani mnie, ani moich dzieci, ani całej rodziny. Jedyna rozsądna decyzja, jaką powinienem podjąć, to wyjazd na Zachód, a w tym wyjeździe władze skłonne są mi udzielić stosownej pomocy wydając paszport. Nie dodał, że wydawano je wówczas tylko na jednokrotne przekroczenie polskiej granicy. Jeszcze przy powtórnym uwięzieniu w 1985/1986 wypominano mi odrzucenie tej propozycji. Moja rodzina też.

Gdy wypuszczano mnie z niewoli, w więzieniu w Ławie pozostawali: Leszek Kaczmarek, Jacek Kopisto, Mirek Górski i Andrzej Czyżewski, któremu za jego prokuratorskie pochodzenie zafundowano najdłuższy pobyt.

Po powrocie z internowania spotkałem się z odmową zatrudnienia w kilkunastu miejscach w Kwidzynie. Nawet decydując się na najprostszą pracę fizyczną byłem przez pewien czas bezrobotnym, choć tacy podobno wtedy w PRL nie istnieli. Lubię zapach obrabianego drewna, więc wybrałem sobie zawód rzemieślnika stolarza i na skonstruowanej krajedzie wycinałem deseczki do krojenia jarzyn. W mojej sześciuosobowej rodzinie bywało cienko, lecz nie normując sobie czasu pracy, mogłem już myśleć o własnym warsztacie – stolarni. Tak trafiłem do Białek, gdzie kupiłem od gospodarza rozwalające się opuszczone siedlisko z chałupą.

Zacząłem własnoręcznie murować stolarnię i szło mi to lepiej, niż związane z tą budową sprawy urzędowe. W Urzędzie w Sadlinkach odmówiono mi zgody na formalny zakup tej działki, co było możliwe dla każdego innego tylko nie dla mnie. Usłyszałem uzasadnienie, że władza nie ma pewności, czy chcę tam postawić stolarnię, czy być może drukarnię?

Uzyskane już zezwolenie na budowę wyrwano mi z ręki do wglądu, a w rejestrze wydanych zezwoleń znikła kartka, na której było ono wpisane. Urzędnicy gminni tłumaczyli się, że tylko wypełniali rozkazy. Takie atrakcje to była wówczas normalka. Ale dookoła mnie istniał wtedy jeszcze inny świat, niczym second life, i istniał on w realu.

Przyjaciele i znajomi, głównie z „Solidarności”, okazali się po prostu solidarni po koleżeńsku. Przyjeżdżali do mnie do Białek z rodzinami i w atmosferze pikniku chirurg mieszał zaprawę, mecenas pogłębiał wykopy, magister inżynier targał pustaki a profesory zbijały dechy. Dookoła latały nasze dzieciaki wyśpiewując nieprzyzwoite politycznie piosenki a niewiasty warzyły strawę i jeszcze pętały się jakieś dziwne psy. Zbieraliśmy się wtedy w Białkach dość często tworząc tam własną oazę wolności i niezależności na tyle, na ile to było możliwe w esbecko-pezetpeerowskiej rzeczywistości. Bezpieka podejrzewała nas, że knujemy tu przeciwko ustrojowi i mieli w tym trochę racji. W końcu przywykłem do częstych rewizji pomieszczeń, do konfiskat i do zatrzymywania na przesłuchania.

Zajmowałem się własnoręcznym zbijaniem palet dla „Celulozy” i szło by mi to zupełnie nieźle, mimo gimnastyki z zaopatrywaniem się w deski, gdyby nie przestoje w pracy powodowane odsiadką. Marzyła mi się wówczas mała wytwórnia stylowych mebli i kosztem rodzinnych dochodów sporo za-inwestowałem w specjalistyczne maszyny.

To w Białkach odbywały się pierwsze, bardzo skromne sylwestrowe zabawy przebierańców, których tradycja trwa w Kwidzynie do dzisiaj. Teraz nazywa się to balem kostiumowym, na którym podobno corocznie bawi się kwidzyński high life.

A potem zabrano mnie znowu w grudniowym mrozie z Białek i znowu do pułda. W tym dniu przyjechał do mnie do pomocy Olek Kuriata (przedstawiający się jako Prezes Klubu Malinowych Nosów), którego zamiejscowi esbecy nie znali i pytając mnie kto to jest – usłyszeli że to mój rzecznik prasowy, bo było mi smutno samemu jechać w nieznanne. Po ich konsultacji z Kwidzynem dostałem opeer za żarty z władzy i powieźli mnie samego.

W pobliskich Sadlinkach, na szczycie komina cegielni pojawił się wymalowany napis Solidarność żyje, co było skandalem nie tylko lokalnym, bo było to widoczne, także z przejeżdżających pociągów. Były i inne sposoby podtrzymywania u rodaków ducha sprzeciwu wobec komuny. Szyld na mojej stolarni okazał się niecenzuralny, ale nie powodu treści, tylko ze względu na formę plastyczną, przypominającą biało-czerwony znaczek zdelegalizowanego związku. Pod innym pretekstem zabrano mi koncesję na rzemiosło stolarskie. Gdy siedziałem, nieznani sprawcy okradli z maszyn stolarnię i chałupę.

Później pozbyłem się swoich Białek. Więcej ich nie widziałem i nie chcę widzieć. Mam w głowie już zmitologizowany ich obraz, wypełniony twarzami ówczesnych przyjaciół, z dodanymi prawdziwymi i zmyślnymi legendami innych. I niech tak pozostanie. Taka jest magia Białek nie tylko dla mnie, ale i dla pewnego niewielkiego kręgu kwidzyniaków.

Andrzej Kasperek

Notatki izraelskie



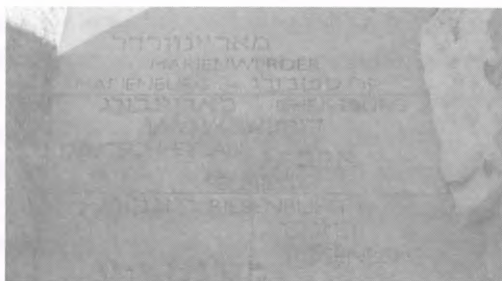
Wesele w Kanie Galilejskiej, fot. A. Kasperek

W dniach 11-23 września uczestniczyłem w Seminarium dla edukatorów z Polski zorganizowanym przez Instytut Yad Vashem i Ośrodek Rozwoju Edukacji. Pojechałem tam z grupą nauczycieli z Pomorskiego i Lubuskiego.

Siedem bram Jerozolimy

Port lotniczy nosi nazwisko Ben Guriona. Jeden z założycieli państwa Izrael urodził się w Płońsku. Podobnie jak wielu innych ojców narodu pochodził z Polin. Tak w hebrajskim i jidysz brzmi nazwa Polski. Ponoć osiedlający się tu w średniowieczu Żydzi, wypędzani z Europy Zachodniej, brali to za dobry znak. Po lin oznacza: „tu odpoczniesz.” Nasz kraj stał się dla uchodźców schronieniem. A nawet czymś więcej, o czym świadczy nadane Polsce miano rajy żydowskiego (paradisus Iudaeorum). Lubimy to powtarzać, oj lubimy. Ale zapominamy, że polska tolerancja od XVII wieku staje się coraz bardziej pojęciem historycznym. A może wręcz legendarnym. Nie zmienia to faktu, że według niektórych badaczy 80% wszystkich Żydów ma polskie korzenie.

Będziemy mieszkać w niezłym hotelu Jerusalem Gold. Na szczęście jest położony w centrum. Po kilku godzinach odpoczynku wybieramy się na zwiedzanie Jerozolimy. Opro-wadza nas John, Żyd z Londynu, który kilka lat temu przeniósł się do Izraela. Alija, tak po hebrajsku nazywa się powrót do ojczyzny. Prawo osiedlenia przysługuje wszystkim, których przynajmniej jeden dziadek był Żydem. Choć w rozumieniu Halachy, czyli prawa religijnego jest nim ten, kogo matka była Żydówką.



Mur w Dolinie Gmin, fot. A. Kasperek

Pierwsze spotkanie z miastem mitycznym. Widziane za dnia pokazuje swój kolor – jasnożółtą barwę kamienia jerozolimskiego, z którego je wzniesiono. Także dziś wyklada się nim elewacje nowych domów. Jest bardzo twardy i mieni się w słońcu, co sprawia, że Jerozolimę nazywa się miastem ze złota. Simon Sebag Montefiore, w swej książce „Jerozolima. Biografia” cytuje opinię arabskiego podróżnika i geografę z X wieku Al-Muqaddasiego o tym mieście: „złota czara pełna skorpionów”.

Siedem bram Jeruzalem. Stare Miasto składa się z czterech części: mu-szmańskiej, chrześcijańskiej, żydowskiej i ormiańskiej. Przez Bramę Lwów wchodzimy do kwartału arabskiego. Na ścianie z jasnego piaskowca napis Via Dolorosa, czyli Droga Bolesna. W kościele katolickim używa się nazwy Droga Krzyżowa. Jej stacje znajdziemy w każdej świątyni. Franciszkanie w średniowieczu oprowadzali pielgrzymów w Jerozolimie trasą powtarzającą Pasję. Potem odtwarzanie scen Męki Pańskiej stało się stałym elementem liturgii wielkopostnej. Początek wyznaczają Kaplice Skazania i Biczowania, a potem mijamy kolejne stacje. Idziemy trasą, którą dwa tysiące lat temu po-dążał Chrystus niosąc krzyż. Dziś jest to gmatwanina uliczek, zapchanych sklepikami, warsztatami fryzjerskimi, kantorami. Pełnymi gwaru, nawoły-wań muezinów, okrzykami przekupniów oferujących świeży sok z granatów, przyprawy i chińską tandetę.

Tłum się rozstępuje na chwilę, aby zaraz zamknąć się jak woda, w którą wrzucono kamień. Przypomina mi się obraz Hieronima Boscha, na którym Chrystus dźwigający krzyż otoczony jest przez złe, podłe i obojętne twarze. Mało komu udało się tak genialnie oddać samotność Jezusa. Wtedy ten tłum też zajmował się zarabianiem na życie i swoimi sprawami. Ledwo zauważył wędrowkę człowieka z krzyżem, poświęcił jej tylko chwilę uwagi. Gdzie-

niegdzie na ścianach są tablice z numerami: V, VI, VII. Trzeba się pilnować, żeby się nie zgubić. Dochodzimy do Bazyliki Grobu Świętego, gdzie znajduje się pięć ostatnich stacji.

Kościół wybudowano na miejscu Golgoty, czyli Góry Czaszki. Pierwsza świątynia powstała tam w IV wieku. Była wielokrotnie burzona i odbudowywana. Jej obecny kształt pochodzi z czasu wypraw krzyżowych. Architektura chaosu, zlepek kaplic, krypt, rotund... Ten architektoniczny nieporządek przeniósł się też na spory i kłótnie wśród chrześcijan o to, kto ma prawo opiekować się tym albo tamtym miejscem uświęconym krwią i męką Zbawiciela. Prawosławni kłócą się z katolikami, Koptowie z Etiopami. Spalona kaplica dzierzawiona przez syryjskich ortodoksów jest dowodem na to, jak się trudno dogadać. Jeśli Syryjczycy ją wyremontują, to znaczy, że mają do niej prawo. Koptowie się na to nie godzą... Bywało, że pomiędzy zakonnikami różnych wyznań dochodziło do rękoczynów. Przypomina się biskup warmiński, autor „Monachomachii, czyli wojny mnichów”.

W środku kościoła kłębi się tłum. Ludzie cisną się przy płycie, na której złożono ciało Jezusa. Prawosławni pielgrzymi rozlewają na niej olejek nardowy, aby go wytrzeć białą chustą. Będzie w ich domach relikwią, aż do chwili śmierci, kiedy spocznie na ich twarzy w trumnie. Inni po prostu dotykają płyty rękoma. Jeszcze inni układają na niej kupione u handlarzy dewocjonaalia, aby się uświęcić. Po kilku dniach przyszedłem tu wieczorem, było pustawo. Jakiś turysta układał wyciągnięte z reklamówki zapakowane w papier różańce, medaliki etc. Nawet ich nie rozwinął. Przypominał faceta odgrzewającego sobie jedzenie w mikrofalówce. Czekałem, aż zadzwoni brzęczyk oznajmiający, że już gotowe. Przy Kaplicy Świętego Grobu prawosławni pielgrzymi zapalają pęki świeczek. To na pamiątkę Cudu Świętego Ognia, który odbywa się tam w każdą Wielką Sobotę. Pojawia się ogień, którego nikt nie zapala. Przyglądam się pątnikom i pątniczkom. Skromnie ubrane osoby, często o czarnych od ziemi, spracowanych rękach. Pewnie przez lata oszczędzały na tę podróż życia.

Na dachu krypty św. Heleny mają swoje eremy czarnoskórzy mnisi. Etiopscy zakonnicy mieszkają w glinianych chatynkach takich, jakie zostawili w ojczyźnie. Przez kaplicę zakonu koptyjskiego wychodzimy do miasta. Przykrym zaskoczeniem jest brud i bałagan na ulicach. Trzeba do tego przywyknąć. Akurat wyrusza procesja franciszkanów, z minaretu nawołują do modłów, krzyczą arabscy chłopcy. Jestem oszołomiony. Dociera do mnie, jaka to mieszanka religii, ras, zwyczajów...

Zmierzamy pod Ścianę Płaczu, zwaną też Murem Zachodnim. Jest to jedyny ocalały fragment Świątyni Salomona, najświętsze miejsce Żydów. W tym miejscu mogą się modlić swobodnie dopiero od 1967 roku, od wojny sześciodniowej. Aby dostać się na plac przed ścianą, trzeba przejść przez bramkę z wykrywaczem metalu, taką jak na lotniskach. Do tego należy się przyzwyczaić. Pełno ich, są w muzeach, sklepach, restauracjach, na dworcach. Dociera

do nas, że Izrael jest ciągle państwem w stanie wojny. Jeszcze kilka lat temu, przed wybudowaniem muru oddzielającego terytoria Autonomii Palestyńskiej, eksplozje w barach, szkołach, na targowiskach były na porządku dziennym. Dojście do ściany jest rozdzielone – kobiety mają osobny sektor.

Podchodzimy, po drodze brodaty starzec w jarmułce pyta po rosyjsku: „Kipa wam nużna? Chotitie tefilin?” Czyżby rozpoznał słowiańskie rysy? Rosyjski stał się czwartym językiem Izraela po hebrajskim, arabskim i angielskim. Słysząc go wszędzie, jest mnóstwo napisów cyrylicą. W ciągu ostatnich dwudziestu lat Izrael przyjął przeszło milion rosyjskich Żydów. Zresztą Bóg jeden wie, czy wszyscy są Żydami? Aż wierzyć się nie chce, że mały kraj, liczący sześć milionów mieszkańców, przyjął tak ogromną liczbę ludzi i wszyscy się pomieścili, znaleźli lokum, pracę. Przybysze zachowali swe zwyczaje, nawyki, język. Ktoś napisał, że to nie oni zintegrowali się z nowym państwem. To społeczeństwo zintegrowało się z nimi. Dziś stanowią ważną siłę polityczną.

Modlący się żydzi. Większość ubrana na czarno, w kapotach lub marynarkach, białych koszulach i w filcowych kapeluszach. Można spotkać chasydów. W przepisowych chałatach, na głowie często sztrajmł, czyli lisiura – futrzana czapka. Długie brody, pejsy zwinięte w spiralę, spod ubrania wystają nitki cyces. Niektórzy zakładają do modłów tefilin, czyli pudełeczka z fragmentami Tory przymocowane rzemieniami do czoła i lewej ręki. Jakbym oglądał obrazy Maurycego Gottlieba.

Część modlących wpada w trans, przymknięte oczy, kołysanie ciała. Chowam aparat fotograficzny, wolę zachować ten obraz pod powiekami. Modlitwa to rzecz intymna. Wcisnąłem kartkę z prośbą w szparę. Przyciskam czoło do rozgrzanego kamienia i odmawiam „Ojcze nasz”. Kiedy kończę od-ruchowo robię znak krzyża. Wtopa, jakby powiedzieli moi uczniowie.

Zaraz za Ścianą Płaczu błyszczy złota kopuła meczetu Omara, zwanego Kopułą na Skale. To na niej wedle Biblii Abraham miał złożyć ofiarę ze swego syna Izaaka. Muzułmanie wierzą, że tu Mahomet doznał wniebowstąpienia. Dla nich to jedno z najświętszych miejsc świata, obok Mekki i Medyny.

Syndrom jerozolimski – tak nazywany jest stan urojeniowy, który co roku dotyka kilkaset osób. Napięcie psychiczne powstałe pod wpływem zetknięcia własnych wyobrażeń i lektur z obecnością w miejscach znanych z Biblii w połączeniu z mieszkanką religii (chrześcijaństwo w stu wydaniach, islam, judaizm, bahaizm) i trudną rzeczywistością współczesnej Ziemi Świętej sprawia, że niektórzy fiksują, stają się Mesjaszami etc. Po wyjeździe zdrowieją...

Yad Vashem

Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu Yad Vashem jest położony na Wzgórzu Pamięci. Powstał na mocy ustawy parlamentu Izraela w 1953 roku. Nazwa Instytutu została wybrana w oparciu o cytaty z



Kipu chotitie, fot. A. Kasperek

Biblii: „I dam miejsce w moim domu i w moich murach oraz imię wieczyste i niezniszczalne.” (Iz 56,5) „Jad wa-Szem” to właśnie znaczy: miejsce i imię. Bo głównym zadaniem jest gromadzenie materiałów o ofiarach, które zostały zamordowane wyłącznie z powodu swojego żydowskiego pochodzenia oraz utrwalenie imion tych ludzi, a także zniszczonych społeczności, organizacji i instytucji. Instytut powstał, aby ocalić pa-

mieść ofiar, wbrew temu, co zamierzali oprawcy. Jednym z najważniejszych miejsc w ogromnym kampusie jest Sala Imion. Tu zgromadzono imiona i nazwiska sześciu milionów ofiar Shoah. Tak po hebrajsku nazywa się Zagładę.

Obok dokumentowania i upamiętniania Holokaustu, Yad Vashem kładzie także nacisk na opracowywanie programów edukacyjnych i finansowanie badań naukowych. Od wielu lat Instytut organizuje seminaria i szkolenia dla nauczycieli z całego świata dotyczące sposobów uczenia o Zagładzie, walki z antysemityzmem, reagowania na stereotypy rasowe, religijne, narodowościowe. Regularnie uczestniczą w nich nauczyciele z Polski. Zwiedzaliśmy teren kampusu: Aleję Sprawiedliwych, czyli tych, którzy z narażeniem życia ratowali Żydów w czasie wojny. Zasadzono dla nich drzewka; Polacy mają ich przeszło pięć tysięcy, są tam m.in. drzewka Ireny Sendlerowej, Czesława Miłosza i jego brata Andrzeja, Jana Karskiego, Władysława Bartoszewskiego... Wielkie wrażenie wywiera wizyta w Dolinie Nieistniejących Gmin Żydowskich, Muzeum Holokaustu, Muzeum Sztuki. Jan Paweł II w czasie swej wizyty powiedział: „W tym miejscu pamięci umysł i serce, i dusza odczuwają wyjątkową potrzebę milczenia. Milczenia, by wspominać. Milczenia, by próbować uchwycić jakiś sens wspomnień, które cofają nas w przeszłość. Milczenia, ponieważ nie ma słów dostatecznie mocnych, aby opłakiwać straszliwą tragedię Shoah.”

To miejsce będzie mi się kojarzyło się z zapachem rozmarynu, który rośnie wszędzie. Jego zapach rozchodzi się wokół, upalne powietrze uwalnia olejki eteryczne. W przerwach zajęć wychodziłem na zewnątrz. Wiatr wiejący ze wzgórz przynosił ulgę. Temat holokaustu to coś, z czym zmagam się od dziesiątków lat. Setki książek, filmów, godziny dyskusji. Wydawało mi się, że wiem dużo, sporo widziałem, ale okazywało się, że kilka godzin zajęć bywa czasem trudnych do zniesienia. Wiatr rozwiewał te koszmary.

Kiedy wychodzi się z muzeum historycznego, po grozie filmów, zdjęć i innych dowodów zagłady, czeka nas ukojenie. Stajemy na tarasie i parzymy na Miasto. Dla Żydów wypełniły się słowa modlitwy wypowiedane na święto

Pesach: „Poprowadź wkrótce pędy z pnia, który zasadziłeś - zbawionych, z radosnym śpiewem, na Syjon. Leszana haba biruszalaim. W przyszłym roku - w Jerozolimie!” Graficzny znak Instytutu to pordzewiały kawałek drutu kolczastego, z którego wyrasta gałązka oliwna. Życie zwyciężyło.

Dwa razy zostałem dosłownie powalony. Wizyta w niezwykłym pomniku poświęconym milionowi zamordowanych dzieci robi ogromne wrażenie – to ciemna sala rozświetlona świecami, których płomyki pomnożone są przez system luster tak, że przypomina to rozgwieżdżone sklepienie niebieskie. Monotonny głos odczytuje imiona, narodowość, wiek. Apel poległych, który nigdy się nie kończy. Wstrząsający efekt uzyskany najprostszymi środkami.

Drugi raz poczułem się, jak po ciosie w brzuch w czasie wizyty w filmotece. Można tam wybierać spośród setek filmów fabularnych i dokumentalnych. Sami przed komputerem decydujemy co chcemy oglądać. Na początku przypomniałem sobie piękną scenę z „Korczaka” Wajdy – wychowawczynie przywozi z Palestyny pomarańczę wyhodowaną w kibucu. Wszyscy są zachwyceni, że Żydzi zajmują się rolnictwem, czymś innym niż w Polsce, nie są handełasami”. Później trafiłem na przedwojenne filmy w wersji jidysz z żydowskiej Warszawy, Krakowa, Białegostoku, Wilna i Lwowa. Prawdziwy cymes. W katalogu znalazłem materiały kręcone w getcie warszawskim. Film powstał pewnie dla celów propagandowych. Rzecz przerażająca. Surowy, nieobrobiony materiał, ma siłę miażdżącą. Przypomniał mi się „Epilogu norymberskiego” Jerzego Antczaka – scena, kiedy na sali sądowej pokazano fragmenty filmu, na którym buldożery spychają nagie trupy więźniów do zbiorowych mogił. Ponoć hitlerowscy zbrodniarze byli wstrząśnięci. Kiedy to oglądałem byłem uczniem podstawówki, widok był tak przerażający, że nie mogłem zasnąć przez całą noc. Teraz też patrzyłem jak zamurowany – nagie trupy, szkielety ledwo obciążone skórą zbierane jak śmieci z ulic, spadające z wózków, układane w sągi jak polana, zrzucone do głębokich dołów mogilnych. Tak, to ludzie ludziom zgotowali ten los. Jedyne, co mogą zrobić to odmówić modlitwę za zmarłych. Tylko w ten sposób mogą zaświadczyć, że byli ludźmi. Przywrócić im człowieczeństwo.

Orit i Axel

Szkolenie w Yad Vashem było bardzo intensywne. Kto myślał, że to będzie dwutygodniowa wycieczka ten srodze się zawiódł. Program zajęć był bardzo bogaty – obejmował 120 godzin wykładów, warsztatów, dyskusji, kursów, spotkań z ocalonymi z Zagłady oraz wycieczek. Niekiedy zajęcia zaczynały się o 4 rano, czasem kończyły się o 22.30.

Poznaliśmy naszych mentorów – Orit Margaliot i Alexa Dancyga. Orit nie mówi po polsku (większość zajęć była prowadzona po angielsku), ale wiele rozumie. Pracuje z polskimi grupami, szkoli izraelskich przewodników, którzy jeżdżą do Polski z grupami uczniów z Izraela. W myślach nazywam ją Sulamitką. Pracuje długo, ale nie popadła w rutynę. To jej pasja,

a nawet coś więcej – to zobowiązanie wobec swego narodu. Czasem było widać, jak przeżywa te zajęcia. Ogląda z nami fragment serialu „Kompania braci”. Patrzymy na scenę wyzwolenia obozu koncentracyjnego. Na jej twarzy widzę skurcz... Jest wytrwała, nie rezygnuje. Prawdziwa córka Izraela. „Jest jako róża Saronka” – ta z Pieśni Salomonowej i ta z palestyńskiego wiersza Władysława Broniewskiego:

„Ponad tą ziemią w przeszłość wmodloną
pełno biblijnych słów.

Nie wiem, co znaczy Róża Saronu,
z czyich wykwitła snów.”

Za to Alex jest jak róża jerychońska – niczym kłębek zardzewiałego kolczastego drutu pędzony przez wiatr po pustyni. Może ukłuć, drażni i irytuje, i jest w tym świetny. Wystarczy jednak kilka kropli deszczu i rozkwita. Wyjechał z Polski jako kilkuletni chłopak w 1957 roku. Nie zapomniał, skąd są korzenie jego rodziny. Pracuje jako spec od nawadniania w kibucu Nir Öz, czyli Bohaterska skiba, na pustyni Negew, koło Strefy Gazy. Zdarza się, że rakiety wystrzeliwane przez Hainas spadają na jego pola. Służył w wojsku jako spadochroniarz. W czasie wojny z Syrią, pod ostrzałem krzyczał „hura!”, kiedy dowiedział się z tranzystorowego radyjka, że Polacy zremisowali z Anglikami w meczu na Wembley. W 1990 roku zaproponowano mu prowadzenie kursów dla przewodników opiekujących się wyjeżdżającymi do Polski grupami. Do chwili obecnej wyszkolił już ponad 350 przewodników. Zajmuje się też organizacją przyjazdów polskich nauczycieli na wizyty studyjne do Yad Vashem. A przecież mógłby leżeć z piwem na hamaku pod palmą. Robi wielką rzecz, po prostu nie do przecenienia. To w znacznym stopniu dzięki niemu i Orit dwadzieścia pięć tysięcy młodych Żydów, którzy od lat przyjeżdżają do Polski wnosi inny jej obraz – widzą coś więcej niż getta i obozy koncentracyjne.

To bardzo ważne, żeby Polska nie kojarzyła im się tylko z wielkim cmentarzem. Pracują nad zmianą utrwalonych stereotypów u Polaków ale przede wszystkim, tych zakorzenionych wśród Izraelczyków. Pisarz Amos Oz powiedział w wywiadzie: „Polska wywołuje mieszane uczucia u Żydów izraelskich. I nadal będzie wywoływać takie uczucia. Myślę, że jeszcze przez wiele lat to się nie zmieni. Żydzi i Polacy żyli w małżeństwie przez setki lat. To było długie, ale nieszczęśliwe małżeństwo. Czasem było ono pełne przemocy. I to polsko-żydowskie małżeństwo zakończyło się tragicznie. Zakończyło się ogromną zbrodnią Niemców przeciwko Żydom i Polakom. Obowiązkiem naszym i kolejnych generacji jest współpraca, próba wzajemnego poznania się.”

Ocaleni

Mieliśmy okazję do spotkań z ocalonymi. Wśród nich byli Genja i Nachum Manorowie, których nazwiska znalazły się na słynnej liście Schindlera, rozślawionej przez film Spielberga. Pani Genja żartuje, że mamy okazję



Spotkanie z ocalonymi z Listy Schindlera, państwem Nachumem i Genją Manorami; od lewej: Jolanta Stępkowska, Małgorzata Niewiadomska, Sławomir Muzyka, Jarosław Palicki, Jerzy Dutkiewicz, Andrzej Kasperek, Ryszard Leszkowski, Dorota Rutka oraz Piotr Figiela, fot. R. Szymczak

poznać gwiazdy Hollywoodu, pojawili się wszak na ekranie przez trzy sekundy. Opowieść osiemdziesięcioośmioletniego pana Nachuma pełna jest wstrząsających momentów. Mnie zadziwia nie tylko jego narracja – bardzo sprawna i uporządkowana. Nie mogę się nadziwić jego polszczyźnie. Wyjechał z Polski w 1945 roku, a mówi świetnie, szczególnie jeśli zestawić jego akcent, leksykę i składnię z mową Polaków, którzy spędzili kilka lat w USA lub UK i teraz „drajwują karem po kornerze”. Ale jest tu coś jeszcze – jego mowa jest jak zabytek, jest niczym owad zatopiony w bursztynie. Fraza jest piękna, myśl wyrażona starannie. Nie popsują jej powojenne kataklizmy.

Następne spotkanie jest z pisarką i ilustratorką Aloną Frankel. Kilka lat temu przeczytałem wywiad z nią. Było to po wydaniu jej wspomnieniowej książki „Dziewczynka”. Swoją drogą to istny festiwal: „Dziewczynka w czerwonym płaszczyku” Romy Ligockiej, „Dziewczynka w zielonym sweterku” Krystyny Chiger... Pani Alona jest wciąż piękną kobietą (rocznik 1937). Bardzo zresztą świadomą swej urody. Izaak Babel napisałby o niej pewnie, że: „była przedstawicielką tego urzekającego gatunku Żydówek, których senny łagodny uśmiech odbierał przytomność oficerom miejscowych garnizonów.”

Niestety, nie doszło do zaplanowanego spotkania z Romualdem Jakubem Wekslerem-Waszkińskim, którego historia życia to materiał na film. Jego matka, świadoma tego, że czeka ich niechybna śmierć, wcisnęła go w

ręce wiejskiej kobiety zaklinając: „Pani jest chrześcijanką, pani wierzy w Jezusa, więc niech pani w imię tego Żyda, w którego pani wierzy, uratuje moje dziecko. Gdy dorośnie, zostanie księdzem.” I został nim, nic nie wiedząc o swoim prawdziwym pochodzeniu. Jedna z zadziwiających historii, które przydarzyły się ocalonym z Zagłady.

Sztetl

Amerykański musical „Skrzypek na dachu” grano w Teatrze Muzycznym w Gdyni przez piętnaście lat przy kompletach na widowni; po kilku latach wznowiono go i nadal publiczność dopisuje. Chyba Polacy najbardziej kochają Żydów śpiewających i tańczących na scenie. Ale później niech idą do garderoby, aby się przebrać. Jarmułkę i pejsy niech odłożą na półkę; tak jest w porządku. Coś mi się wydaje, że miał rację Stanisław Wyspiański pisząc w „Weselu”: „PAN MŁODY: No, jesteśmy przyjaciacie. ŻYD: No, tylko że my jesteśmy tacy przyjaciacie, co się nie lubią.”

Tewje wzrusza nas, żydowski folklor zachwyca (popatrzcie na te tłumy w czasie festiwalu na krakowskim Kazimierzu), ale jestem ciekawy, jak współcześni Polacy reagowaliby na widok tłumów chasydów na ulicach Warszawy. Warto zaznaczyć, że stolica była przed wojną największym w Europie skupiskiem ludności żydowskiej, mieszkało w niej prawie 400 tysięcy osób deklarujących pochodzenie żydowskie. Dziś pozostały tylko nikłe ślady po getcie. Nie darmo płakał poeta:

„Nie masz już, nie masz w Polsce żydowskich miasteczek,
W Hrubieszowie, Karczewie, Brodach, Falenicy
Próżno byś szukał w oknach zapalonych świeczek,
I śpiewu nasłuchiwał z drewnianej bóżnicy.
Znikły resztki ostatnie, żydowskie łachmany.
Krew piaskiem przysypano, ślady uprzątnięto...”

Ten fragment „Elegii miasteczek żydowskich” Antoniego Słonimskiego przypomina się, gdy widzimy na ulicach Jeruzalem tradycyjnie ubranych Żydów, często z modlitewnikiem w dłoni, z rozwianymi połami chałatu pędzących przed siebie.

Przejeżdżałem codziennie autobusem przez dzielnicę ortodoksów Mea Szearim. Jest to rodzaj dobrowolnego getta. Jego mieszkańcy chcą żyć tak, jak ich przodkowie sto czy dwieście lat temu gdzieś na kresach Rzeczypospolitej. Nikt tu nie czeka na turystów. Plakaty informują, że należy mieć właściwy strój; proszą, żeby uszanować miejscowe zwyczaje. Nie należy robić tu zdjęć, bo można zostać oplutym lub zwyzywanym.

Czuję się tak, jakbyśmy weszli do sztetl, czyli żydowskiego miasteczka. Tego z powieści Szolema Alejchema czy Izaaka Singera. Tego z rozdzierającej, nie tylko żydowską duszę, piosenki „Main sztetele Belz”. Kobiety noszą peruki, bo pobożne Żydówki po ślubie często gołą swe głowy. To jeden z 613

zakazów i nakazów, których muszą przestrzegać wyznawcy religii mojżeszowej. Mnóstwo dzieci, bo obowiązuje biblijna zasada „idźcie i rozmnażajcie się”, biedne sklepiki i warsztaty. Domy odrapane, brudno na ulicy. Może nie jest to ulica Krochmalna, której opis dał Żeromski w „Ludziach bezdomnych”, ale mam wrażenie, jakbym cofnął się o sto lat. Mury są oblepione plakatami i afiszami – ciągle jest to podstawowy sposób porozumiewania się. Rabini zabraniają korzystania z gazet, telewizji nie wolno oglądać, ale widać osoby rozmawiające przez telefony komórkowe. Nie tylko w jidysz, często po angielsku. Biednie, bo mężczyźni zajęci modlitwą i studiowaniem Talmudu nie mają czasu na pracę. Ortodoksi nie uznają państwa Izrael, ale korzystają z jego hojności, bo partie religijne są języczkiem u wagi w czasie wyborów i formowania koalicji rządowych.

Szabat w Jerozolimie jest traktowany bardzo poważnie. Życie po prostu zamiera. To niezwykły widok – miasto, które liczy przeszło siedemset tysięcy mieszkańców nieruchomieje. Samochody przestają jeździć, ludzie spieszą do synagog. Jest ich bardzo wiele, bo każdy ma swoją. Jak w starym dowcipie. Marynarze znajdują na bezludnej wyspie żydowskiego rozbitka. Dziwi ich, że wybudował dwie synagogi. A on wyjaśnia: „Pierwsza synagoga jest po to, bym miał gdzie chodzić na modlitwę, druga to ta, w której moja noga nigdy nie stanie”.

Idziemy do jesziwy Machon Meir, czyli szkoły rabinackiej, której wielka sala staje się w szabat salą modlitwy. Zakładam kipe, czyli jarmułkę. Alex wyjaśnia przed wejściem, że materiał, sposób wykonania i jej kolor ma swe znaczenie. Okazuje się, że kupiłem mykę Żydów ortodoksyjnych. Znowu płama. Patrzą na modlących się – każdy robi to inaczej, jedni się kiwają, inni wznoszą twarze do góry, niektórzy gadają między sobą a ktoś po prostu czyta ogłoszenia w gazecie. Czyżby liczył na to, że Bóg go oświeci w sprawie kupna używanego samochodu? W pewnym momencie rozpoczyna się taniec. Modlący krążą wokół sali, wznoszą ręce. Tak modlą się chasydzi. Wracamy na kolację. Poznajemy rytuał zapalania świec, dzielenia się chałką, modlitwy kidusz nad kielichem wina lub soku winogronowego. Ale nie ma ani czulentu, ani innych charakterystycznych potraw.

Pewnego dnia wstajemy w nocy. O 4 rano wyruszamy do sefardyjskich synagog, aby obserwować modlitwy, które odbywają się przed żydowskim Nowym Rokiem, czyli Rosz ha-Szana. Jest prawie ciemno. Orit prowadzi nas od bóżnicy do bóżnicy i wyjaśnia na czym polega selichot, cykl modlitw i liturgii pokutnych. Sefardyjczycy odmawiają go przez cały miesiąc. Synagogi są czasami bardzo małe i skromne. Początkowo mam poczucie niestosowności tego wchodzenia i wychodzenia. Ale okazuje się, że nie jesteśmy wcale traktowani jako intruzi. Modlący się wskazują nam wolne miejsce, wręczają modlitewniki a nawet częstują herbatą. Mam poczucie współuczestniczenia. Patrząc na modlących się, słucham dźwięku rogu, czyli szofaru.

Zadziwiająca jest ta pobożność. To zaufanie pokładane w Bogu. To (czasami) zatracenie w modlitwie. Kobiety modlą się osobno, w babińcu. Ale mam wrażenie, że judaizm jest religia starych mężczyzn. To oni dominują na modlitwach. Odwrotnie niż w Polsce, gdzie dziś katolicyzm opiera się na starych kobietach. Czy to coś znaczy? Ci ludzie wstali w środku nocy a przecież czeka ich dzień pracy. Wielu jest skromnie odzianych, ręce mają spracowane, brody zmierzwione. Nie mogą pozbyć się skojarzeń – już ich widziałem na obrazach Aleksandra Gierymskiego, który wielokrotnie malował Święto Trąbek. Nad Wisłą nie ma już zastygłych w modlitwie starozaconnych. Nikt nie strąca do rzeki swoich grzechów...

Sabra i saponin

Sabra to pustynny kaktus, opuncja; kolący, ale w środku delikatny i słodki. Tak nazywano dzieci urodzone w Izraelu. Pierwszych Żydów, którzy wyrosli w Erec. Oni, niczym potomkowie ich przodków wyprowadzonych przez Mojżesza z ziemi egipskiej, z domu niewoli, nie znali już hańby niewolnictwa, strachu i poddaństwa. Byli wolnymi ludźmi. Marzenie syjonistów zaczęło się spełniać już przed wojną. Maria Kuncewiczowa w 1938 roku pojechała do Palestyny, czego owocem stała się książka „Miasto Heroda”. Autorka знаła doskonale środowisko Żydów z Kazimierza nad Wisłą, w którym mieszkała. Pierwsze zdziwienie przeżyła jeszcze przed wyjazdem, przy spotkaniu z małą Hebrajką, urodzoną w Tel Awiwie, siostrzenicą sąsiadów: „Dziecko imieniem Rachel zastanowiło mnie bardzo. Było absolutnie odmienne od swoich kazimierskich kuzynów. Jego lewantyńska egzaltacja, odruchowość, wyłączność nie znały hamulca obawy przed szykaną.[...] nie dostosowywała spostrzeżeń, złości, zachwyty do obcego sądu, wyzuta z obłudy tych dzieci żydowskich, które zajęte są przechytrzeniem świata.” Książka jest bardzo ciekawa, dziś niesłusznie zapomniana. Autorka opisuje Jerozolimę, kibuce („schłopiałe, dumne Jessyki”, „dziwne chłopstwo. Tak wiele okularów, zegarków i we wzroku tyle przeczytanych książ”), entuzjazm pionierów oraz ich dumę. Nie ukrywa też, że już od początku przybysze zetknęli się tam z wrogością Arabów. Wiele jest opisów agresji, zamachów, strzelanin... Ale dochodzi do wniosku, że: „Ostatnio gęściej padają Arabowie niż Żydzi, bo słabych Żydów dziś już w Palestynie nie ma. Są Machabeusze, wysportowani po europejskich boiskach, za cenę życia pragnący własnych wojen, są dziewczyny »ogromne, jak wojsko uszykowane«, które pragną własnych żołnierzy, są osoby zamknięte we snach, są poeci żądni ekstaz Hiobowych.”

Nie zapomina o polskim antysemityzmie. Książkę kończą zapisy rozmów Żydów, którzy wracają z wizyty w Jerozolimie. Mąż mówi do żony: „Gdzieś kogoś potrąca – zaraz pogrom. A ja ci mówię, jest lepiej. W zeszłym roku trzem Żydówkom w Sosnowcu obleli futra kwasem, w tym roku, zauważyłaś?, tylko jednej.” Pamiętajmy, że jest rok 1938, za rok wojna...

Deklaracja Niepodległości z roku 1948 głosiła: „Państwo Izrael otwarte będzie dla żydowskiej imigracji z Diaspory i będzie wspierać rozwój kraju dla pożytku wszystkich jego mieszkańców. Zbudowane będzie na podstawach wolności, sprawiedliwości i pokoju – tak jak je widzieli prorocy Izraela. Państwo żydowskie zapewni wszystkim swoim mieszkańcom równość społeczną i polityczne prawa niezależnie od wyznania, rasy i płci. Gwarantować będzie wolność wyznania, sumienia, słowa, edukacji i kultury. Chronić będzie miejsca święte wszystkich religii.” Państwo, które zostało wymodlone, powstało z marzeń. Było realizacją śmiałego i niezwykłego projektu powrotu milionów Żydów z rozproszenia. Bo, jak mówi Kuncewiczowej osiadła w Erec młoda Żydówka z Warsza (tak w jidysz nazywa się Warszawa): „Czy to jest życie? Przecież nawet Żydzi najzupełniej zasymilowani, tacy, dla których wszystkie drzwi są otwarte, uzyskują to za cenę milczenia. O sobie muszą milczeć! O własnej najprawdziwszej istocie!” Dla tych, którzy nie chcieli się bać, chcieli porzucić handel i lichwę, uprawiać ziemię i nosić dumnie uniesioną głowę powstało to państwo. A po wojnie, po okropieństwach holokaustu, po tym, jak Europa stała się cmentarzem sześciu milionów Żydów, istnienie państwa żydowskiego stało się koniecznością.

Dla ocalałych z Zagłady było to miejsce jedyne, w którym mogli mieszkać. Tyle, że nikt tu na nich tu nie czekał. Sabrowie określali tych, którzy przeżyli Holocaust pełnym pogardy określeniem „saponin” (po hebrajsku: mydło), które miało znaczyć: „pozwoliliście z siebie robić mydło”. W podtekście: „My byśmy na to nie pozwolili!” O Shoah nie mówiono, nikt nie chciał słuchać opowieści ocalałych. Zmieniło się to dopiero od procesu Adolfa Eichmanna na początku lat sześćdziesiątych.

Polscy Żydzi stanowili kiedyś awangardę pionierów. Dziś to już przeszłość. Kolejne alije sprowadzały do Palestyny (a później Izraela) Żydów z Europy, Azji i Ameryki. Kiedy patrzę na twarze młodych żołnierzy to widzę pełną gamę odcieni – od jasnych blondynów do ciemnych i zupełnie czarnych, potomków wychodźców, którzy mieszkali w krajach arabskich i Etiopii. Armia jest nie tylko obrońcą państwa, które jest ciągle w stanie wojny, ale też jego zwornikiem. Na ulicach spotyka się co krok wojskowych. Młodych chłopców i dziewczyny. Są w wieku moich uczniów, w lekkich mundurach koloru khaki, z długą bronią. Broń z ostrą amunicją zabierają nawet, kiedy jadą na urlop. W Yad Vashem mają szkolenia, dowiadują się, co spotkało ich przodków. Holocaust jest jednym z mitów założycielskich Izraela. Młodzi żołnierze mają stać się świadomymi obrońcami, mają sprawić, żeby Żydzi nigdy już nie byli mydłem. Automaty składają w kozły, obok stoją skrzynki z nabojami, leżą plecaki. Nie da się zapomnieć o wojnie.

Do wojska idą wszyscy – chłopaki na trzy lata, dziewczyny na 19 miesięcy. Bardzo mało osób się dekuje. Traktują to jako zaszczytny obowiązek. W czasie spotkania z uczniami i nauczycielami szkoły średniej pytamy ich o to.

Uczniowie odpowiadają z przekonaniem, że chętnie pójdą w kamasze. Ich za- pał przypomina patriotycznie wychowaną młodzież II Rzeczypospolitej. Czy zdają sobie sprawę z tego, jak będzie wyglądała ich służba? Czym się może skończyć udział w takich akcjach, jak ta w Libanie w latach osiemdziesiątych czy operacja „Płynny ołów”? Ich ojcowie mieli łatwiej. Wojna sześciodniowa i wojna Jom Kippur to była walka o przetrwanie. Role były wyraźnie określone.

Ciągle nie jest rozwiązany problem palestyński. Blokada Strefy Gazy i napięta sytuacja na Zachodnim Brzegu, budowa muru oddzielającego terytoria okupowane, to wszystko sprawia, że państwo żydowskie nie ma dziś dobrej prasy na świecie. W wywiadzie dla „Polityki” profesor Zygmunt Bauman powiedział: „Czymże jest mur wznoszony dziś wokół terenów okupowanych, jeśli nie próbą prześcignięcia zleceniodawców muru wokół warszawskiego getta?” Zarzucił politykom izraelskim, że tak naprawdę nie chcą pokoju, bo stan wojny jest im na rękę: „Rakiety spadające na przygraniczne izraelskie miejscowości nie są – z ich przynajmniej punktu widzenia – niemile widziane. Rozpaczaliby pewnie i wpadli w popłoch, gdyby nagle tych rakiet zabrakło. Powiedziałbym, że między ekstremistami izraelskimi i palestyńskimi istnieje sprzężenie zwrotne. Potrzebują się nawzajem dla przetrwania, żyć by bez siebie nie mogli.” Mocne słowa, ale czy sprawiedliwe? Jednak terytoria okupowane, nie są obszarem, na którym przeprowadza się politykę planowej zagłady. Kiedy pytam Izraelczyków o mur, wysuwając argument, że nigdy żaden (chiński czy berliński) się nie sprawdził, odpowiadają mi, że ten mur jest tymczasowy. Daj Boże! Jedno jest pewne – ilość zamachów w Jerozolimie spadła gwałtownie. Tereny Autonomii Palestyńskiej leżą tuż za miastem a mur widać z dachów domów. Polski ksiądz dominikanin, który oprowadzał nas po Górze Oliwnej, mieszkający w Jerozolimie od wielu lat na pytanie, o to czy zgoda pomiędzy Palestyńczykami a Żydami jest możliwa, odpowiedział: „Tak, dwa tygodnie po końcu świata.” I to ma być optymizm?

Mam jednak wrażenie, że Izrael przegrywa w swej walce. Nie militar- nie, ale propagandowo. Minęły czasy, kiedy do kibuców przybywali mło- dzi Amerykanie i Europejczycy zafascynowani ideą wspólnej pracy, ciekawi Izraela. Dziś antyizraelskość jest wręcz modna. Pewnie dla niektórych to bezpieczna forma antysemityzmu. Poglądy Baumana skądś się biorą. Incy- dent z tureckim statkiem, który płynął do Gazy można było załatwić deli- katniej. Ktoś przegapił tę cienką czerwoną linię. Wygrywa czarny PR. Skutek jest taki, że państwo żydowskie ma dziś na świecie najgorszą opinię od czasu swego powstania.

Trip to the North

W programie po angielsku wysłanym mi przed wyjazdem znalazło się określenie: Trip to the North. Tak nazwano wyprawę do Galilei, czyli kra- ju Jezusa Chrystusa. Droga początkowo prowadzi przez Pustynie Judzką.

Wcześniej tędy jechaliśmy na Górę Masada i nad Morze Martwe. Zastanawiałem się wówczas, skąd się wzięło określenie „kraj mlekiem i miodem płynący”. Jałowa pustynia to widok przygnębiający, do tego otchłań depresji, w której leży słynne martwe jezioro zionące siarką, pełne błota i asfaltu. Jest piekielne gorąco... Nie, to nie dla mnie.

Ale kiedy skręci się na północ i posuwa wzdłuż Jordanu, krajobraz się zmienia i kraj staje się zielony, pełen kwiatów, pól uprawnych, plantacji. To rzeczywiście Ziemia Obiecana. Jeden dzień na tę trasę to bardzo mało. Choć trzeba przyznać, że odległości pomiędzy poszczególnymi miejscami znanymi z Biblii są niewielkie. Można wyobrazić sobie, jak Jezus pokonuje je pieszo lub na osiołku. Zobaczyliśmy rzekę Jordan i mogliśmy się w niej zanurzyć, Górę Błogosławieństw, gdzie miało miejsce Kazanie na górze, Tabghę – tu stał się cud rozmnożenia chleba, Kafarnaum – tu są ruiny starożytnej synagogi i kościół zbudowany nad domem rodzinnym św. Piotra, zobaczyliśmy Jezioro Galilejskie, górę Tabor oraz Bazylikę Zwiastowania Pańskiego w Nazarecie. Kana Galilejska to arabska miejscina, brudna i zaniedbana. Piaszczystą drogą, wokół której pełno kramów oferujących oczywiście wino, idziemy do „kościółka wesel”. Przyjeżdżają tu ludzie, aby wziąć ślub. Mamy szczęście – mijamy orszak Koptów, cudownie egzotyczny, nowożeńcy są w koronach. Ona wygląda jak biblijna królowa Saba. Są szczęśliwi. Oby im się spełniły ich marzenia!

Mam mieszane uczucia – przyjeżdżają tu miliony pielgrzymów z całego świata, którym można sprzedać każdą pamiątkę, za każdą cenę, przecież każdy ma rodzinę, babcię i ciotki, kolegów... Kto nie chce zabrać ze sobą dla różańca, świętej wody, wina (pamiętajcie, że butelka, którą kupiliście wcale nie musi zawierać napitku, którym dla zachęty was poczęstowano) czy innych dewocjonaliów. Komercjalizacja, ale nie ma się co oburzać. Zawsze tam, gdzie pątnicy byli sprzedawcy „świętych” pamiątek. To, co bardziej rozczarowuje to fakt, że prawie nie ma tu prawdziwych zabytków. Kościoły są stosunkowo młode, z końca XIX i początku XX wieku. Tak samo jest w Jerozolimie. Prawie wszystkie świątynie upamiętniające Jezusa i Maryję są nowe. Wyjątek to meczet Wniebowstąpienia (islam uznaje Chrystusa za jednego ze swoich proroków) ze śladem stopy Chrystusa odcisniętym na kamieniu. Zapamiętam też kościółek w kształcie łyżki Dominus Fleuit, czyli Pan Zapłakał. Postawiono go w miejscu, w którym Zbawiciel usiadł i zapłakał nad losem Jeruzalem. Tam mieliśmy mszę świętą. Zamiast ołtarza jest tylko okno z panoramą Miasta. I w zupełności wystarczy!

Niedługo opuszczam Ziemię Świętą. W Nazarecie u arabskiego handlarza kupuję sobie koszulkę. Wybieram model z napisem „Israel. Since 1948”. Zastanawiam się czy wziąć taką z dużym napisem, czy z małym. Dwa tygodnie temu chyba nie wybrałbym takiego napisu. Ale pewnie padłem ofiarą palestyńskiego sabotażu. Po pierwszym praniu napis zniknął. Zupełnie. To nic. Następnym razem kupię taką z haftowanym literami...

Wiesław Olszewski

Kajakiem na Kresy



Spotkanie polsko - ukraińskie pod mostem w Sarnach, fot. W. Olszewski

Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej – określenie, które do literatury wprowadził Wincenty Pol, to miejsca darzone ogromnym sentymentem przez większość Polaków a zwłaszcza tych, których korzenie tam sięgają. A takich wśród nas jest wielu.

Nowy Dwór Gdański od kilku lat utrzymuje partnerskie kontakty z miastem Sarny na Ukrainie realizowane głównie przez młodzież, na niwie sportowej, kulturalnej i edukacyjnej. Latem 2010 roku w nowodworskim Klubie Turystycznym PTTK pojawiła się myśl by rozszerzyć tę współpracę o turystykę. Inicjatywa spływu kajakowego rzeką Słucz, nad którą leżą Sarny, spodobała się włodarzom obu miast i przyjęta została z entuzjazmem.

Droga do realizacji pomysłu została otwarta. Zaczęła się prawdziwa praca. Ze względu na znaczną odległość, procedury celne oraz przepisy drogowe na Ukrainie zrezygnowaliśmy z zabierania własnych kajaków. Wypożycze-



Ruiny zamku Siemaszków nad rzeką Słucz, fot. W. Olszewski

nie na Ukrainie nie było łatwe, turystyki kajakowej praktycznie tam nie ma. W końcu naszym ukraińskim partnerom udało się znaleźć wypożyczalnię w Łucku, stolicy sąsiedniego obwodu.

Teraz dojazd. Po przeanalizowaniu ekonomiczno-organizacyjnych aspektów zdecydowaliśmy się na podróż autobusem rejsowym do Lwowa. Tego miasta w swych planach pominąć nie mogliśmy. Jak dla każdego chyba Polaka, być na Ukrainie i nie odwiedzić Lwowa to grzech. Podróż z Warszawy do Lwowa przebiegła sprawnie i planowo. Nawet na granicy nie straciliśmy zbyt wiele czasu. Inaczej było w drodze powrotnej. Tu nasi – unijni celnicy dali prawdziwy popis. Odprawa trwała siedem godzin, autokar prawie rozmontowali. Traktowanie przez nich jadących z nami Ukraińców, głównie studentów, budziło w nas uczucie wstydu.

Do Lwowa dotarliśmy wcześniej rano. Pozostawiliśmy bagaże w zarezerwowanym hostelu i wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca ruszyliśmy zwiedzać miasto. Wycieczka trwała do późnych godzin popołudniowych, nogi odmawiały już posłuszeństwa a my ciągle czuliśmy niedosyt.

Następnego dnia jeszcze krótki spacer po starówce i wyjazd do Nowogrodu Wołyńskiego skąd rozpoczynaliśmy spływ kajakowy. Podróż autobusem trwała kilka godzin, przez okna mogliśmy zobaczyć „kawał Ukrainy”. Im dalej od Lwowa tym więcej starej wiejskiej zabudowy, architektury drewnia-



Ulewa na trasie wyprawy, fot. W. Olszewski

nej, malowniczych cerkwi. Na coraz gorszych drogach liczne jednokonne zaprzęgi a wokół ogromne połacie nie uprawianej ziemi - widoczny brak unijnych dopłat obszarowych. Podczas krótkich postojów w mijających miasteczkach pierwsze przejawy sympatii ze strony mieszkańców. Na dźwięk polskiej mowy szczególnie reagowały osoby starsze, które pamiętały tam „czasy polskie” lub zostali przesiedleni z okolic Zamościa, Hrubieszowa w ramach „Akcji Wisła”. Nawet nie pytani podkreślali, że z Polakami żyli dobrze, „mirowo”, czyli w pokoju i w zgodzie.

Nowogród Wołyński do 1796 oficjalnie nazywał się Zviahel. Obecną nazwę wprowadzono ukazem Katarzyny II jako symbol przejęcia miasta przez Imperium Rosyjskie po rozbiorach Rzeczypospolitej. Główną atrakcją turystyczną są ruiny twierdzy z dzwonem, który informował o wpłynięciu do miasta statku oraz o tym, że będzie od niego pobierane cło. O naszym wpłynięciu nie rozgłaszał ale też cła od nas nie pobierano.

Nowogród Wołyński był miejscem urodzin ukraińskiej poetki - Łesi Ukrainki, znajduje się tam jej muzeum oraz pomnik. W centralnej części miasta stoi ogromnych rozmiarów pomnik wodza rewolucji. Obecność postumentu Lenina budzi ciekawość i zdziwienie nie tylko przybyszów ale i samych Ukraińców.

Po krótkich poszukiwaniach dotarliśmy do „rieczki” czyli rzeki Słucz, która odtąd miała być naszą główną arterią. Słucz - największy dopływ Horynia, o długości 451 km i powierzchni dorzecza 13 900 km², rozpoczyna swój bieg ok. 30 km na północny wschód od miasta Wołoczyska. Minąwszy po drodze Starokonstantynów i Nowogród Wołyński w granice przedwojennego polskiego Wołynia wpływa na północ od Korca niedaleko ujścia Korczyka. Dawniej uznawana była w części biegu za zachodnią granicę historycznej Ukrainy. Odtąd aż po Hubków tworzy dolinę wśród skał granitowych, a okolica tamtejsza, posiadająca liczne osobliwości przyrody, jest nazywaną Szwajcarią Nadśluczańską i stanowi Nadśluczański Park Krajobrazowy. Przełom ten znajdujący się na pograniczu Wyżyny Wołyńskiej i Polesia Wołyńskiego należy do nielicznych miejsc na Wołyniu, gdzie w naturalny sposób odsłaniają się skały tworzące wąwóz o stromych zboczach.

Przy plaży miejskiej rozbiliśmy pierwszy obóz, skontaktowaliśmy się z naszymi partnerami z Saren i po krótkim odpoczynku ruszyliśmy zwiedzać miasto.

Nazajutrz, zanim słońce na dobre wstało, przybyły nasze kajaki i współtowarzysze spływu. Po powitaniu, wzajemnej prezentacji uczestników i przygotowaniu kajaków (okazało się, że będziemy płynąć na składakach), ruszyliśmy na trasę pierwszego odcinka. Zaczynamy od najpiękniejszego odcinka rzeki. Jest to przełomowy odcinek doliny, zwany Szwajcarią Nadśluczańską. Rzeka, rozcinająca w tym miejscu krawędź Wyżyny Wołyńskiej, płynie w głębokim jarze. Strome brzegi wznoszą się na ponad 50 metrów, prąd jest bystry i poprzegradzany licznymi progami skalnymi. Skały granitowe oraz progi kamienne z jednej strony stanowią niezwykle atrakcję, z drugiej zaś utrudniają spływ i stanowią niebezpieczeństwo dla kajaków. Już po kilkuset metrach pierwszy kajak trzeba było kleić.

Jeszcze w granicach miasta ukazuje się nam okazały, wysoki, wieloprzęsłowy most w ciągu drogi Żytomierz – Równe, zbudowany „za Polski”. Robi wrażenie. W takiej malowniczej scenerii, wśród wysokich granitowych skał kończymy pierwszy odcinek przy miejscowości Bieriegowoje, przepływając 23 km. W umówionym miejscu biwakowania czekała już na nas ekipa techniczna: samochód z namiotami i innym sprzętem oraz płonące ognisko. My rozbijaliśmy obóz, w tym czasie nasi gospodarze przygotowywali pyszne, narodowe potrawy. Potem rozmowy i śpiewy do późnej nocy. I tak co wieczór.

Przez następne dwa dni i około 60 kilometrów krajobraz prawie się nie zmieniał. Przeważnie brzegi dość strome, wysokie i stosunkowo mało miejsc łatwych do wyjścia z kajaka lub zalesione polany przy wzgórzu z wystającymi głazami granitowymi. W niektórych miejscach las sosnowy dochodzi do samej rzeki. Nurt szybki, liczne głazy wystające z wody lub zalegające tuż pod powierzchnią oraz kamienne progi na całej szerokości koryta rzeki. Ich obecność zdradza marszcząca się woda. Na całym szlaku liczne, najróżniejszych konstrukcji, przeważnie prymitywne, mosty pontonowe lub wręcz drogi biegnące po dnie rzeki. Co kilka kilometrów ukazują się malownicze, drewniane wsie z piaszczystymi drogami i krzyżami na rozstajach. W większych miejscowościach charakterystyczne, na niebiesko malowane, cerkwie ze złożonymi kopułami.

Trzeciego dnia doплыliśmy do miejsca, gdzie Wyżyna Wołyńska osiąga punkt kulminacyjny. Rzeka płynie w głębokim wąwozie. Zbliżyliśmy się do wsi Hubków. Najpierw wylania się piękna cerkiew, a następnie wysoko na prawym wzgórzu malownicze ruiny zamku Siemaszków. Jeden z najdawniejszych grodów wołyńskich, do r. 1709 miasteczko. W początkach XVI w. dobra tutejsze należały do rodu Siemaszków. Zamek istniał już w XV w., a po zniszczeniu przez Tatarów w r. 1504 odbudowany, był rezydencją dziedziców. Zburzony przez Szwedów w 1708 roku nie powstał już z ruiny. Wobec wymarcia mieszkańców miasteczka w czasie wojny skutkiem morowej zarazy, założono 4 km. na zachód na lewym brzegu Słuczy miasteczko Ludwi-

poł, obecnie Sosnowe. Miasto zostało spalone w roku 1944 przez Niemców w ramach odwetu za ataki miejscowych oddziałów partyzanckich na wojska niemieckie. Odbudowane po wojnie brzydko i byle jak.

Minąwszy Wyżynę Wołyńską krajobraz się zmienia. Rzeka płynie rozległą doliną, kreśli duże zakola ale nie meandruje, nurt znacznie spokojniejszy. Poziom wody niski, liczne łachy piaszczyste i płycizny, trzeba wypatrywać torów dla swobodnej żeglugi. Po obu stronach rozległe łąki ze stadami koni, krów i gęsi, z rzadka pola uprawne. Najczęściej w pewnym oddaleniu od rzeki dość liczne wsie, przeważnie tradycyjne, drewniane, z kopułami cerkwi. Sielskie, u nas zapomniane już, sceny. W pasących się stadach są zwierzęta należące do wszystkich mieszkańców wsi, pilnowane codziennie przez innego gospodarza (najczęściej mali chłopcy). Spędzane w południe i wieczorem same bezbłędnie rozchodzą się do swoich zagród. W pław przez rzekę przepędzane jest bydło, przejeżdżają furmanki a nawet traktory.

Na ostatni, piaty nocleg dopływamy do wsi Tynnoje. Najpierw ukazały się pierwsze zabudowania tej dużej, czterotysięcznej wsi, potem pojawiła się przed nami tajemnicza budowla hydrotechniczna. To ogromny, niedokończony jaz, stanowiący element fortyfikacji Odcinka Umocnionego „Sarny”. Był to budowany w latach 1936 – 39 ciągnący się na długości 80 kilometrów pas umocnień, największy i najsilniejszy na wschodniej granicy II Rzeczypospolitej. W jego obrębie wzniesiono ponad 200 betonowych schronów bojowych i innych obiektów fortyfikacyjnych. Siedziba dowództwa budowy mieściła się w klasycystycznym Pałacu Młyńskich z pierwszej połowy XIX w. w miejscowości Tynne. Stacjonował tu również oddział Korpusu Ochrony Pogranicza. Na tej linii w dniach 17 – 20 września ‘39 ok. 600 rezerwistów (siły główne przerzucono do walki z Niemcami) Pułku KOP „Sarny” stawilo silny opór sowieckiej 60 Dywizji Strzeleckiej. Właśnie tu stoczono najcięższe walki graniczne w całej kampanii wrześniowej na wschodzie. W boju tym zginęło ok. 200 obrońców, wielu wziętych do niewoli rozstrzelano przy cerkwi w tej miejscowości.

Ostatni dzień spływu. Za Tynnoje licznie występują pozostałości fortyfikacji obronnych, niektóre z nich częściowo stoją w rzece, większość wysadzona. Krajobraz coraz bardziej monotony. Po około 20 kilometrach wiosłowania widać już kominy i pierwsze zabudowania miasta Sarny. Wówczas, po całym tygodniu pięknej pogody, nastąpiło oberwanie chmury. Ostatnie kilkaset metrów, z przepłyniętych 159–ciu kilometrów, pokonaliśmy w strugach ulewnego deszczu. W związku z tym powitanie nas przez Mera Miasta i przedstawicieli Rady Miejskiej miało miejsce pod mostem drogi Dorohusk – Kijów. I pogoda i włodarze miasta sprawili, że czuliśmy się przyjęci z honorami godnymi wodniaków.

Miasto Sarny powstało w 1885 roku jako ważny węzeł kolejowy z niewielką drewnianą stacyjką. Tak pojawiła się na mapie poleskiej kolei. Przed 1939 rokiem należało do Polski i było miastem powiatowym w województwie poleskim, a od 16 grudnia 1930 r. w wołyńskim. Dziś liczy blisko 30 tysięcy mieszkańców i niczym się nie wyróżnia. Zabudowa przedwojenna, parterowa, mocno już zniszczona oraz szara, poradziecka. Widać też nieliczne jaskółki nowoczesności.

Spływ kajakowy rzeką Słucz, w opinii uczestników, okazał się prawdziwą przygodą w każdym wymiarze. Zdecydowanie stosowniejszym jest określenie „wyprawa” niż „impresa turystyczna”. Pojechalśmy grupą osiemnastoosobową, w tym całe rodziny. Przedział wiekowy: od gimnazjalistów po siedemdziesięciolatków (wzbudzali szczery podziw Ukraińców). Nie byliśmy pionierami na tej rzece. Wcześniej nawiązaliśmy kontakty z kolegami z innych klubów, którzy tą rzeką płynęli, którzy podzielili się doświadczeniami, udostępnili nam opis szlaku.

Dla nas, „ludzi z północy”, wszystko wydało się egzotyczne: i klimat, i przyroda, i krajobrazy, i architektura, i ludzie. To przede wszystkim ludzie sprawili, że przeżyliśmy zdecydowanie coś więcej niż kolejną imprezę turystyczną. Rozmawiając o naszych planach wyjazdu wiele osób, mniej lub bardziej otwarcie wskazywało, że wybieramy się do miejsc nieprzyjaznych. W nas też obecny był cień niepokoju wynikający z funkcjonujących stereotypów i historycznych zaszłości. Tym większym było nasze pozytywne zaskoczenie.

Kontakty z naszymi partnerami jak i z przygodnie spotykanymi ludźmi były miłe i serdeczne, wręcz neutralność emocjonalna była rzadkością. Najmniejszych problemów w porozumiewaniu się po polsku. Nie można jednak było nie zauważyć młodej ukraińskiej państwowości i „niemowlęcej” wręcz demokracji. Na opisach obiektów zabytkowych kilkunastuletnie luki (na czasy polskie) a nawet stwierdzenie, że Lwów był 600 lat pod polską okupacją. My mieszkańcy tzw. Ziemi Odzyskanych pamiętamy, że jeszcze niedawno i u nas rok 1945, był rokiem zero. Mieszkańcy zachodniej części, uważający się za „prawdziwych” Ukraińców, mają chyba spory problem ze swoją tożsamością. Nie do końca wiedzą, czy bliżej im do wschodnich, mocno zrusyfikowanych rodaków, czy do zachodnich sąsiadów. Na pewno chcą do Unii. Podczas długich rozmów przy ognisku okazywało się, że wielu ma jakieś odległe polskie korzenie, że określenie „to jeszcze polskie” jest tam synonimem solidności i jakości a o wołyńskich wydarzeniach 1943 roku mówili „te niedobre czasy”.

Janusz Namenanik

Dzierzgoń z targów końskich słynący



Targi końskie w Dzierzgoniu,
fot. z archiwum autora

Początki jarmarków wiążą się ze średniowiecznymi przywilejami papieskim i biskupimi, na mocy których Zakon Kaznodziejski mógł organizować specjalne dni handlowe. Jarmarki związane były najczęściej z obchodami świąt miejscowych patronów kościelnych. Czasami odbywały się tylko raz w roku, skąd wzięła się nazwa (od niemieckiego Jahrmarkt = targ roczny).

Najstarsza wzmianka określająca terminy jarmarków w Dzierzgoniu pochodzi z niemieckiego kalendarza na rok 1752. W tymże roku miały się odbyć trzy jarmarki: w Wielki Post, w dwie niedziele po Nawiedzeniu Najświętszej Marii Panny, a ostatni w trzeci poniedziałek przed Marcinem. Były to zwykle miesiące: marzec, czerwiec i listopad. Tak ustalone terminy w znacznym stopniu przetrwały przez prawie dwa wieki, czyli do końca jarmarków w 1944 roku.

W opracowaniach historii Dzierzgonia jedynie wzmiankuje się o targach i jarmarkach. Materiały źródłowe na ten temat są bardzo rozproszone w literaturze. Dotychczasowi autorzy, sygnalizując temat jarmarków, podają na przykład różne dane dotyczące ich liczby w roku. Wynika to z faktu, że korzystali oni z nikłej ilości źródeł (niekiedy jednego), co w gruncie rzeczy nie pozwoliło im na przedstawienie w miarę pełnego obrazu.

W opracowaniu tym dokonałem próby przedstawienia blisko 100-letnich dziejów dzierzgońskich jarmarków, a dokładniej okresu 1848-1944. Obrazuje to załączona tabela. Przy jej sporządzaniu wykorzystano około 100 źródeł. Trud ten się opłacił, ponieważ zestawienie to umożliwi obserwację ich ewolucji.

W tekście dość często używamy określeń: targ i jarmark. Jako targ, rozumiemy jeden dzień targowy, w którym dominowała jedna branża, np. len lub konie i bydło. Natomiast jako jarmark, traktujemy zespół dni targowych następujących kolejno po sobie z ewentualną przerwą na dzień świąteczny.

Targi i jarmarki odbywały się według pewnego rytmu i określonych zasad. Zgodnie z zaplanowanym harmonogramem uwzględniającym potrzeby państwa jako całości oraz biorąc pod uwagę miejscowe potrzeby i tradycje. Sporządzony był plan targów, obejmujący całe państwo, w którym to usta-

lono, że targi branżowe odbywały się przez cały rok, a w danej branży co 3 dni. To znaczy, że co trzeci dzień przez cały rok można było gdzieś na terenie kraju sprzedać lub kupić, np. konie.

Jarmark powiązany był z tradycyjnym cotygodniowym targiem. W Dzierzgoniu obowiązywały następujące jego zasady: w każdy piątek odbywał się tzw. świński targ, w trakcie którego prowadzono handel owcami, kozami i świniami. Lokalny targ cotygodniowy w XIX w. odbywał się głównie w środy i soboty, natomiast w XX wieku ustalono, że odbywać się będą tylko w soboty. Przetrwiała do dziś tradycja sobotniego targu zwanego też „rynkiem”, bo odbywał się on kiedyś na Rynku miasta. Gdy targ przypadał na dzień świąteczny, to odbywał się on w dzień poprzedzający święto. W przypadku jarmarków obowiązywała również zasada, że w piątek poprzedzający targ zwany „kramnym” handlowano bydłem i końmi.

Jarmarki wielkie, zwane uprzywilejowanymi, charakteryzowało to, że zaplanowany dzień targu jarmarcznego był ważniejszy niż lokalny targ cotygodniowy, a gdy ich terminy się zbiegały to oczywiście odbywał się uprzywilejowany.

Wielkości jarmarków należy upatrywać głównie w długości ich trwania. W Dzierzgoniu w XIX wieku zdecydowanie dłuższe były jarmarki czerwcowe i listopadowe, w trakcie których handlowano na ogół 6 dni, od marcowych i wrześniowych, gdzie handel prowadzono tylko od 3 do 4 dni.

Przyjrzyjmy się bliżej jednemu przypadkowo wybranemu z listy jarmarkowi, jaki odbył się w czerwcu 1874 roku. Przebiegał on w następujący sposób: 17 i 18 czerwca (wtorek, środa) - handlowano płótnem (jarmark); 19 czerwca (czwartek) - handlowano bydłem i końmi (jarmark);

20 czerwca (piątek) - targ lokalny (świnie, owce, kozy); 21 czerwca (sobota) - cotygodniowy targ lokalny; 22 czerwca (niedziela) - kramy (jarmark).

Można więc stwierdzić, że na owe 6 dni handlu składały się 4 dni jarmarku uprzywilejowanego oraz 2 dni targów lokalnych. Postępując się zestawieniem, które znajduje się na końcu opracowania, zaobserwować można tendencję rozwojową dzierzgońskich jarmarków. W okresie lat 1848 – 1905 były 4 jarmarki w roku, w latach 1906 do 1921 już 6 jarmarków w roku, a od 1923 do 1941 było ich aż 9 na rok.

Z wywiadu, jaki przeprowadziłem w sierpniu 2011 roku, z paniami Ireną i Erster Wölk, mieszkającymi obecnie na terenie Niemiec, a w czasie wojny przebywającymi w Dzierzgoniu, dowiedziałem się, że przez całą wojnę, do roku 1944 odbywały się jarmarki.

Jak widać w zestawieniu, ilość dni jarmarcznych w różnych latach oscylowała od 9 do 13, z wyraźną przewagą 12 w roku. Ciekawie przedstawia się handel lnem i płótnem. W latach od 1848 do 1896 roku były dwa dni występujące jednocześnie po sobie (wtorek i środa w listopadzie), w trakcie których prowadzono handel lnem. Urywa się on na dwa lata, aby w 1899

roku powrócić, ale tylko już na 1 dzień, a w roku i w 1917 roku zaprzestano już całkowicie handlu tym produktem. Nastąpił wówczas taki rozwój przemysłu włókienniczego, iż zaprzestano domowego przerabiania lnu. Zupełnie podobna sytuacja miała się z płótnem. W okresie lat 1848 do 1888 roku były dwa dni w roku (występujące po sobie) przeznaczone na handel płótnem, a od 1889 do 1903 roku już tylko jeden dzień w roku. W 1904 roku całkowicie zaprzestano sprzedaży.

Zupełnie odwrotnie miała się sytuacja w przypadku handlu końmi i bydłem. W znakomitej większości przeważały konie i dlatego też nazywano ten dzień jarmarku pferdemarkt (niem. – targ koni). W latach 1848 –1905 odbywały się one łącznie 4 dni w roku. Na początku, czyli do 1859 roku odbywały się one w piątki, a od 1861 roku do końca dzierzgońskich jarmarków były to głównie czwartki. Targ, w trakcie którego rozstawiano kramy przez pół wieku, w analizowanym przez nas czasie odbywał się przez 4 niedziele w roku. Było tak w latach 1848 – 1899.

Wraz z nastaniem XX wieku przestano handlować w niedzielę. Targ kramny od 1900 roku odbywał się głównie w poniedziałki, do 1905 roku w dalszym ciągu były to 4 dni w roku, a od 1906 roku tylko dwa dni w roku.

Od 1874 r odbywał się w Dzierzgoniu wrześnieowy jednodniowy tzw. targ pełny, który niekiedy zastępowany był targiem na źrebaki. Przez długi czas, bo do 1905 roku jarmark odbywał się 4 razy w roku (III, VI, IX, XI), od



Targi końskie na rynku w Dzierzgoniu, fot. z archiwum autora

1906 roku doszły jeszcze dwa miesiące, a od 1923 roku było aż 9 jarmarków w roku. Zauważyć można, że stały się one częste ale zdecydowanie krótsze, dominował jednak zawsze na nich targ koński.

Masowy udział kupujących jak i sprzedających na targach jarmarcznych uwarunkowany był w znacznym stopniu od dostępności informacji o terminach i rodzajach targów. Źródłami tych informacji były głównie kalendarze. W przypadku Dzierzgonia były to kalendarze w języku polskim, jak i w języku niemieckim, z tym, że tych drugich w omawianym okresie było zdecydowanie więcej. Szczególny rozwój kalendarzy przypada na XIX wiek. Zaletą tego typu wydawnictwa była niska cena, a więc i masowa dostępność. Nakłady były znaczne i wynosiły od kilku do kilkudziesięciu tysięcy, np. „Kalendarz Mariański” Karola Miarki wydawany od 1884 roku w nakładzie 10 tys. egzemplarzy już w 1890 roku miał nakład 45 tys. egzemplarzy. Zawsze, niezależnie od miejsca ich wydania, podawano informacje o jarmarkach różnych układach. Mogły być ułożone alfabetycznie według nazw miejscowości. Zdarzały się też podziały na jarmarki krajowe i zagraniczne. Informacje o jarmarkach, w tym i dzierzgońskich, znaleźć można było również w prasie lokalnej, np. w „Gazecie Toruńskiej”, która wydawana była od 1868 roku.

Mogły być losowe przypadki przełożenia lub odwołania uprzednio zapowiedzianego jarmarku. W 1831 roku w Prusach Wschodnich oczekiwano wielkiej epidemii. Odwołano wtedy wszystkie jarmarki. Władze wprowadziły kwarantannę.

Istniały prawnie usankcjonowane zasady, które obowiązywały na targach i jarmarkach. Były to ogólne przepisy państwowe, jak i lokalne regulaminy. W wilkierzu miasta Dzierzgonia z 17 marca 1631 podpisanym przez króla Zygmunta III zawarte są przepisy określające handel, stosowane miary i wagi, jak również zasady sprzedaży ryb. W punkcie 82 istnieje tam dość ciekawe zarządzenie porządkowe: „Przed jarmarkiem i większymi świętami należy przeczyścić kominy, pod groźbą kary 5 gr. na rzecz rady.”

W Prusach obowiązywała zasada, że tylko na rynku miasta wolno było handlować. Handel pokątny uprawiany przez Żydów i Szkotów był surowo karany. Cotygodniowy dzierzgoński targ (środy i soboty) odbywał się na Rynku. Jego obszar powiększono w ten sposób, że usunięto z niego zrujnowany ratusz i jeden z budynków. Jeżeli chodzi o miejsca dawnego handlu w Dzierzgoniu to warte wspomnienia są jeszcze dwa. Obecna ulica Przemysłowa nosiła kiedyś nazwę Straganiarskiej, co nasuwa nam przypuszczenie, że w jakimś okresie stały tam stragany. Współcześni opisywacze dziejów Dzierzgonia dość znacznie zagmatwali nam lokalizację tzw. „świńskiego rynku”. Optuję jednak za tym (w oparciu o monografię Piepkorna), że targ trzody chlewnej znajdował się tam, gdzie obecnie stoi budynek straży pożarnej.

Niektóre z zasad przestrzeganych na targach i jarmarkach możemy również znaleźć w „Grudziądzkim Kalendarzu Mariańskim” na 1938 rok, gdzie czytamy: „Jeżeli data targów małych (lokalnych) przypada na dzień świąteczny, to targ odbywa się w dniu poprzednim. Obrotem targowym targów małych są płody surowe przyrody, zwierzęta domowe z wyłączeniem większych zwierząt (jak koni, krów, wołów), artykuły żywnościowe wszelkiego rodzaju, naczynia i narzędzia gospodarcze i rolnicze, oraz przedmioty, których wytwarzaniem zajmuje się ubocznie okoliczna ludność. Obrotem targowym targów wielkich ogólnych (pełnych) są wszystkie przedmioty wolnego obrotu towarowego oraz zwierzęta domowe wszelkiego rodzaju. Obrotem targowym targów wielkich kramnych są wszystkie przedmioty wolnego obrotu towarowego z wyłączeniem większych zwierząt domowych. Obrotem targowym wielkich zwierzęcych targów są zwierzęta domowe wszelkiego rodzaju oraz przedmioty będące obrotem targów małych.”

Jednym z największych a zarazem najznacniejszych dla miasta był targ koński. Piepkorn pisze, że: „Targi koni były największe ze wszystkich targów. Dzierzgońskie targi koni były wyróżniające się nie tylko w prowincji Prusy Wschodnie, ale i w całych Niemczech.” Autorzy opisujący historię Dzierzgonia porównują je do targów końskich w Welawie (obecnie Znamiensk w obwodzie kaliningradzkim w Rosji – red.). Sądzę, że porównanie to jest zbyt śmiałe. Rozmiar targów w Welawie był znacznie większy. Jak podaje „Kurier Warszawski” z 10 sierpnia 1865 roku to: „Jarmark Welawski (Wehlau w Prusach Wschodnich) na konie jest niepospolitego znaczenia. W ciągu 5 dni przybywa tam około 10000 koni na targ i tyle się sprzedaje. Tegoroczny jarmark trwający od 9 do 13 lipca (1865) przedstawił 8900 koni. Pociągi z końmi sprzedanymi zajmowały blisko 300 wagonów dziennie”

Na ówczesnym targu w Dzierzgoniu wystawiano na sprzedaż wszystkie typy koni, lekkie i ciężkie, konie robocze i konie do jazdy wierzchniej, konie przydatne w gospodarstwach rolnych, żrebaki i konie hodowlane. Jak pisze Piepkorn, na dzierzgońskim Rynku wystawiano jednocześnie 400 – 500 koni, a więc ich ilość w stosunku do targów w Welawie była znacznie mniejsza. Boczne ulice przyległe do Rynku na ogół ciche i spokojne tętniły życiem. W dniach jarmarków konie utrudniały życie mieszkańcom miasta i niejednokrotnie stanowiły dla nich zagrożenie. W trakcie jarmarków przyjeżdżali do miasta barwni cyganie, którzy przy okazji też załatwiali swoje interesy. Setki tysięcy marek trafiało do kieszeni hodowców najlepszych koni.

Oprócz zaplanowanych targów, w Dzierzgoniu odbywały się również targi dodatkowe. Informacje o nich można było znaleźć w prasie. I tak „Gazeta Toruńska” z 10 kwietnia 1883 roku donosiła, że targ remontowy będzie się 22 maja, a np. „Gazeta Gdańska” z 11 stycznia 1917 roku, że 18 stycznia o godzinie 8 miał się odbyć zakup koni dla wojska.

Oprócz targów jarmarcznych były targi cotygodniowe. Opis takiego targu sporządzonego przez naoczego świadka warto tu przytoczyć: „Po ponad 100 latach doświadczeń i praktyki w każdą sobotę w Dzierzgoniu odbywał się cotygodniowy targ rolny. Targ rozpoczynał się wcześniej rano. Na zacienionej stronie Rynku ustawiano w rzędzie: masło, jaja, owoce, warzywa, ziemniaki, kwiaty. Sprzedaż prowadzili ludzie z sąsiednich wsi oraz właściciele ogrodów w mieście. Prawdą jest, że handlującym brakowało języka i umiejętności zachwalania swoich towarów tak jak to czynili handlarze w Królewcu, mimo tego posiadali solidną bazę stałych klientów. Na targu był zawsze duży wybór świeżych ryb słodkowodnych, takich jak: leszcze, liny, szczupaki, płocie. Od czasu do czasu były karpie, ale zawsze oferowano żywe węgorze. Ryby pochodziły z licznych stawów hodowlanych zlokalizowanych w pobliżu miasta jak i z jeziora Kuksy. Specjalną atrakcją była gra (trzy karty?) na drewnianej skrzynce po rybach.”

Jarmarki i targi odgrywały oprócz ekonomicznej również znaczną rolę społeczną. Stwarzały możliwości kontaktów, przekazywania sobie wiadomości oraz były rozrywką po monotonnej pracy na roli. Ciekawie, a zarazem krytycznie w 1818 r. ustosunkowuje się do targów Stanisław Kaczkowski: „Spójrzmy w kalendarz. Oto miasteczka mają po 12 i więcej w roku jarmarków małych. Niektóre okolice są tak nawet szczęśliwe, że miłośnik jarmarków może całe życie strawić w podróży, nie oddalając się sześciu mil od domu. Cóż na nich zobaczymy?... kilkanaście sztuk bydła, parę kop łyżek i słoików drewnianych, wóz garnków, stół ze szkaplerzami i tasiemkami, tuzin dziadów i bab profanujących głosem hipokryzji modły u drzwi kościoła, cyganów wymuszających ostatnie siły zdychającej szkapie, kupy pijanych chłopów umawiających się na przypadający znowu za dwa dni jarmark o parę mil i szereg żydów czyhających na swoje łupy.”

Kaczkowski ubolewa: „Ileż szkody niosą dla kraju takie jarmarki. Miasteczka, w których się odbywają, uważają dzień jarmarczny za święto, próżnują. Okoliczne chłopstwo porzuca najpilniejsze roboty domowe i biegnie, nie z potrzeby, lecz z zwyczaju. Rzemieślnik kładzie narzędzie i chwyta za kwaterkę, a złodziej śpieszy z kradzieżą korzystając z zamieszania w tłumie.” Autor tej wypowiedzi widzi naprawę sytuacji poprzez zmniejszenie liczby jarmarków, a handel proponuje przenieść do stałych kramów opodatkowanych na rzecz gmin.

Jarmarki dzierzgońskie przeszły do historii. W swoich czasach odegrały one znaczącą rolę w życiu miasta. Do dzisiaj pozostał nam jedynie tradycyjny targ w sobotę.

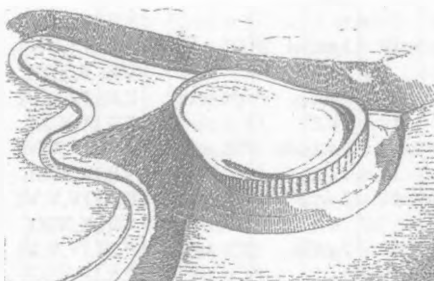
Dzierzgońskie jarmarki uprzywilejowane (wielkie) w okresie 1848-1941

ROK	Ilość jarm. w roku	Ilość dni jarm. w roku	Ilość dni, dzień, miesiąc L E N	Ilość dni, dzień, miesiąc PŁÓTNO	Ilość dni, dzień, KONIE BYDŁO	Ilość dni, dzień, KRAMY	Inne branże (miesiące)	Miesiące, w których odbyły się jarmarki
1848	4	12	2,śr.cz.XI	2,śr.cz.VI	4,piątki	4, niedz.	-	IV,VI-VII,IX,XI
1852	4	12	2,śr.cz.XI	2,pn.wt.VI	4,piątki	4, niedz.	-	III,VI,IX,XI
1855	4	12	2,wt.śr.X-XI	2,wt.śr.VI	4,piątki	4, niedz.	-	III,VI,IX,X-XI
1856	4	12	2,wt.śr.X	2,wt.śr.VI	4,piątki	4, niedz.	-	III,VI,IX,X-XI
1859	4	12	2,wt.śr. XI	2,wt.śr.VI	4,piątki	4, niedz.	-	II,VI-VII,IX,XI
1861	4	10	1,wt.XI	1,wt. VI	4,czwartki	4, niedz.	-	III,VI,VIII-IX,XI
1864	5	12	2,wt.śr.XI	2,ndz.pn.VI	4,czwartki	4, niedz.	-	III,VI(2x),IX,XI
1865	4	12	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	-	III,VI,IX,XI
1866	4	12	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	-	III,VI,IX,XI
1867	4	12	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	-	III,VI,IX,XI
1868	4	12	2,wt.śr. XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	-	III,VI,IX,XI
1869	4	10	1,wt.XI	1,wt. VI	4,czwartki	4, niedz.	-	III,VI,IX,XI
1870	4	12	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	-	III,VI,IX,XI
1871	4	12	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	-	III,VI,IX,XI
1872	4	12	2,wt.śr.XI	2,wt.śr. VI	4,czwartki	4, niedz.	-	III,VI,IX,XI
1873	4	12	2,wt.śr.XI	2,so.ndz.V	4,czwartki	4, niedz.	-	III,V,IX,XI
1874	4	13	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1875	4	13	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1876	4	13	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1877	4	13	2,wt.śr.XI	2,wt.śr. VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1878	4	12	2,wt.śr.XI	1,wt. VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1879	4	12	2,wt.śr.XI	1,wt. VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1880	4	12	2,wt.śr.XI	1,wt. VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1881	4	13	2,wt.śr.XI	2,w*śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1882	4	13	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1883	4	13	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	IX żreb.	III,VI,IX,XI
1884	4	13	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1885	4	13	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	IX żreb.	III,VI,IX,XI
1886	4	13	2,pn.wt.XI	2,pn.wt.VI	4,środy	4, sob.	IX żreb.	III,VI,IX,XI
1887	4	13	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	IX żreb.	III,VI,IX,XI
1888	4	13	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1889	4	12	2,wt.śr. XI	1,wt. VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1890	4	12	2,wt.śr.XI	1,wt. VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1891	4	12	2,wt.śr.XI	1,wt. VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1892	4	12	2,śr.czw.XI	1,wt. VI	4,czwartki	4, niedz.	IX żreb.	III,VI,IX,XI
1893	4	12	2,wt.śr.XI	1,śr. VI	4,czwartki	4, niedz.	IX żreb.	III,VI,IX,XI
1894	4	12	2,wt.śr.XI	1,śr. VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1895	4	13	2,wt.śr.XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1896	4	12	2,wt.śr. XI	2,wt.śr.VI	4,czwartki	4, niedz.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1897	4	12	-----	1,pn. VI	4,czwartki	4, niedz.	3x żreb.	III,VI,IX,XI
1898	4	11	-----	1,śr. VI	5,cz.wt.śr.	4, niedz.	IX żreb.	III,VI,IX,XI
1899	4	11	1,śr.XI	1,śr. VI	4,czwartki	4, niedz.	IX żreb.	III,VI,IX,XI
1900	4	11	1,czw. XI	1,czw. VI	4,piątki	4, pon.	IX żreb.	III,VI,IX,XI
1901	4	11	1,śr. XI	1,czw. VI	4,czw.pt.	4, pn.wt.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1902	4	11	1,śr. XI	1,czw. VI	4,czw.pt.	4, pon.	IX pełny	III,VI,IX,XI
1903	4	11	1,śr. XI	1,czw. VI	4,czw.pt.	4, pon.	IX żreb.	III,VI,IX,XI
1904	4	10	1,śr.XI	-----	4,czw.pt.	4, pon.	IX żreb.	III,VI,IX,XI
1905	4	10	1,czw.XI	-----	4,piątki	4, pon.	IX żreb.	III,VI,IX,XI
1906	6	10	1,czw.XI	-----	6,czwartki	2, wtorki	IX żreb.	I,III,V,VI,IX,XI
1907	6	10	1,pon.XI	-----	6,wt.czw.	2, wtorki	IX żreb.	I,III,V,VI,IX,XI
1908	6	10	1,czw.XI	-----	6,czw.pt.	2,czw.pt.	IX żreb.	I,III,V,VI,IX,X
1909	6	10	1,czw.XI	-----	6,czwartki	2,czw.pt.	IX żreb.	I,III,VI,IX,XI
1910	6	10	1,sob.XI	-----	6,czwartki	2,czw.so.	IX żreb.	II,III,VI,VII,IX,XI
1911	6	10	1,sob.XI	-----	6,śr.czw.	2,pn.wt.	IX żreb.	II,III,VI,VII,IX,XI

1912	6	10	1,sob.XI	-----	6,czwartki	2, wtorki	IX źreb.	II,III,V,VII,IX, XI
1913	6	10	1,sob.XI	-----	6,czwartki	2,wt.sob.	IX pełny	II,III,V,VII,IX,XI
1914	6	10	1,czw.XI	-----	6,czwartki	2,pn.sob.	IX pełny	II,III,V,VII,IX,XI
1915	6	10	1,czw.XI	-----	6,czwartki	2,piątki	IX źreb.	II,III,V,VII,IX,XI
1916	6	10	1,pon..XI	-----	6,czwartki	2,piątki	IX źreb.	II,III,V,VII,IX,XI
1917	6	9	-----	-----	6,czwartki	2,śr.czw.	IX źreb.	II,III,V,VII,IX,XI
1919	6	9	-----	-----	6,czwartki	2,pon.wt.	IX źreb.	II,III,V,VII,IX,XI
1920	6	9	-----	-----	6,czwartki	2,pn.czw	IX źreb.	II,III,V,VII,IX,XI
1921	6	9	-----	-----	5,czwartki	2x pełny	IX źreb.	II,III,V,VII,IX,XI
1923	9	11	-----	-----	9,czwartki	2,wt.pt.	-----	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1924	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,pn.wt.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1925	9	11	-----	-----	9,czwartki	2,pn.śr.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1926	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,wt.czw.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1927	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,wt.pt.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1928	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,pn.śr.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1929	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,pn.śr.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1930	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,wt.śr.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1931	11	12	-----	-----	7,czwartki	2,pn.śr.	IX,X,XI pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1932	9	13	-----	-----	9,czwartki	3,pn.sob.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1933	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,poniedz.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1934	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,poniedz.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1935	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,poniedz.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1936	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,poniedz.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1937	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,poniedz.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1938	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,poniedz.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1939	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,poniedz.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1940	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,poniedz.	IX pełny	II,III,IV,V,VI, VII,IX,X,XI
1941	9	12	-----	-----	9,czwartki	2,poniedz.	IX pełny	-- " --

Andrzej Czapliński

Tajemnice Góry Zamkowej i Szwedzkiego Szańca



Rysunek grodziszczca
w Starym Dzierzgoniu, fot. archiwum

„Góra zamkowa” w Starym Dzierzgoniu od średniowiecza funkcjonowała w pamięci zbiorowej jako relikwyt dawnej warowni pruskiej, później zaś krzyżackiej. Ślad owej „pamięci” znajdujemy w dwóch dokumentach z 1312 r. W dokumencie lokacyjnym wsi Stary Dzierzgoń z 11 kwietnia 1312 r. w opisie granic znajdujemy informację o znajdującym

się nad rzeką Dzierzgonką (aquam Syrgen) wzgórzu nazywanym burchwal oraz mons burchwal. Również dokument lokacyjny Starego Miasta z 3 maja 1312 r. wymienia dwa grodziska, z których pierwsze identyfikować można z grodziskiem w Starym Mieście (eynem berge, der do burcwal heyset,), drugie zaś z grodziskiem w Starym Dzierzgoniu, nazwanym tu dla rozróżnienia alde burcwal. Dokumenty te wspominają już jedynie o zachowanych w krajobrazie relikwytach grodów w Starym Dzierzgoniu i Starym Mieście.

Wiadome jest, że gród w Starym Dzierzgoniu funkcjonował znacznie wcześniej niż lokowana w 1312 r. wieś. Nazwa wsi również pochodzi od nazwy grodu. Jej genezę opisuje krzyżacki kronikarz Dusburg, który nawiązując do wydarzeń pierwszego powstania pruskiego informuje jakoby rycerze zakonu pod wodzą mistrza krajowego Henryka von Weida, w noc wigilii Bożego Narodzenia podstępnie zdobyli „zamek Pomezanow” (castrum Pomesanorum), „który położony był wówczas w miejscu, nazywanym obecnie Christburgk Antiquum”. Po zdobyciu grodu bracia krzyżacy z uwagi, iż nastąpiło to w noc narodzenia Chrystusa nazwali go Cristburgk, co oznacza „zamek Chrystusa” (castrum Christi). Podana w Kronice ziemi pruskiej etymologia wydaje się być raczej legendarna, a bynajmniej nie powinno jej się łączyć z okresem pierwszego powstania pruskiego, gdyż już w dokumencie z 1239 r. znajdujemy informacje o miejscu zwanym Kirsberg, którą odnieść można do grodu w Starym Dzierzgoniu. Jak podaje Dusburg, Krzyżacy utraciwszy niebawem „Stary” Dzierzgoń posadowili się w „Nowym” Dzierzgoniu zapewne w 1248 r. i na niego przenieśli nazwę Christburgk. Od tego czasu zauważalne jest już rozróżnienie w stosowaniu nomenklatury wobec „starego” i „nowego” Dzierzgonia. Pierwszy ślad wspomnianego rozróżnienia znajdujemy w

tekście traktatu dzierzgońskiego z 1249 r., gdzie Stary Dzierzgoń występuje jako *antiquum Christiborc*, w odróżnieniu od założonego w 1248 r. Dzierzgonia, który określony został jako *novum Christiborc*.

Zajmijmy się więc „Górą Zamkową” zwaną także przez miejscową ludność „Zamczyskiem”. Położona w lesie pomiędzy Zakrętami a Starym Dzierzgoniem „Góra Zamkowa”, pierwotnie była grodziskiem Prusów, które w drugiej połowie XIII w. zostało zajęte przez Zakon Krzyżacki.



Prace archeologiczne Niemców na wzgórzu zamkowym, fot. archiwum autora

Archeolodzy pod okiem Himmlera

Z „Górą Zamkową” spotkałem się wertując niemieckie materiały do historii „Kamieni Wilhelma”. W pamiętnikach ostatniego właściciela Słobit i Prakwic Aleksandra zu Dohna natknąłem się na urywek, który warto zacytować. „Gdy za czasów Ryszarda Wilhelma von Dohna (dziadek Aleksandra), wszędobylski leśniczy - łowczy Gustaw Adolf Schmidt, bez zezwolenia wykopał tu kilka przedmiotów, dostał ostrą reprimendę od księcia”. „Góra Zamkowa” to wzniesienia, których rozmiary sięgały 60 metrów wysokości. Znajduje się ona w pętli rzeki Dzierzgoń i do dziś można rozpoznać potrójne obwałowania, na których niegdyś wspierały się drewniane palisady budowli.

Gdy podczas spotkania z Himmlerem wnuk Ryszarda Wilhelma, opowiedział o drewnianym grodzisku, ten z entuzjazmem zaproponował przeprowadzenie wykopalisk. Ówczesny właściciel dóbr Aleksander zu Dohna zgodził się na to pod warunkiem, że prace przeprowadzą archeolodzy i całość zostanie sfinansowana przez III Rzeszę. Wiosną 1935 roku przeprowadzono fachowe przekroje przez wały, nie dokonano jednak żadnego sensacyjnego odkrycia. Stwierdzono, że istotnie miały tu miejsce ciężkie walki, a drewniane umocnienia grodziska były często palone. Dzięki Kazimierzowi Madeli, mieszkającemu w Niemczech, zapoznałem się z odręcznymi notatkami z przeprowadzanych wykopalisk na Wzgórzu Zamkowym. Raport ten sporządził Hans Schleif kierujący wykopaliskami. W dokumencie „Ausgrabung Alt Christburg 1936-1937 - Vorläufiger Schlussbericht” Hans Schleif pisze: „Po dwumiesięcznych wykopaliskach próbnych w jesieni 1935 r., podczas lata 1936 wykonano około połowy przewidywanego planu prac. W miesiącach maj - październik zakończono naukowe prace terenowe, tak że można przeprowadzić ocenę wykopalisk oraz ich wydanie”.



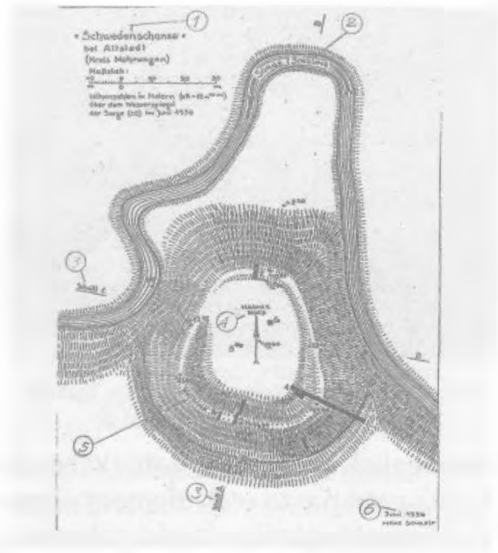
Wykopaliska na Wzgórzu Zamkowym
w 2010 r., fot. A. Czapliński

ba zwiedzających. Wieleset dzieci szkolnych obejrzało wykopaliska, podczas wykonywania prac, otrzymując obszernie wyjaśnienia, począwszy od uczniów najniższej klasy szkoły wiejskiej w Starym Dzierzgoniu, którzy jak chrząszcze popęły przez wały, do 170 chłopców ze szkoły w Koszalinie (w oryginale podano nazwę „Napola” czyli prawdopodobnie chodziło o szkołę dla młodych nazistów - przyp. aut.), którzy wraz z wychowawcami przebywali przez 6 godzin w Starym Dzierzgoniu podczas swoich manewrów w Prusach Wschodnich. Między wieloma innymi, zwiedzało Górę Zamkową także 6 oddziałów żeńskiego Arbeitsdienst, podczas ich wycieczek po nadgraniczu. Naturalne wykopaliska zwiedzali także liczni historycy, interesujący się prehistorią, z bliższej i dalszej okolicy, profesorowie i studenci. Szczególnie szczegółowo zapoznali się z wykopaliskami oraz znaleziskami. Bezpośrednio przed zakończeniem prac, w dniu 23 października wykopaliska zwiedzili uczestnicy zjazdu Reichsbundu für Deutsche Vorgeschichte, który obradował w Elblągu”. Źródła niemieckie podają, że zwiedzająca Wzgórze młodzież z Hitlerjugend wycinała swoimi sztyllecikami, na okolicznych drzewach, inicjały i swastyki. W 2010 r. odnalazłem takie drzewo.

Wstępne prace wykopaliskowe nie wzbudziły jednak entuzjazmu. Dopiero jesienne prace, zakrojone na szeroką skalę przyjęto z euforią. Trwały one do jesieni 1937 r. W pracach wykopaliskowych jako kopacze pracowali członkowie R.A.D z oddziału 2/31 z Susza w ilości 45-50 osób, przy czym ilość ta została znacznie zmniejszona podczas miesięcy żniwnych, a później całkowicie wycofana. Praca R.A.D szczególnie wysoko oceniana była podczas wizytacji Rechsarbeitsführera w dniu 19 czerwca 1937 roku. Trudności w zakresie transportu kopaczy rozwiązał sam Reichsführer SS Heinrich Himmler, który przydzielił samochód do przewozu ludzi marki Daimler Benz. Pokrywał także koszty eksploatacji tego samochodu. Sam Himmler kilkakrotnie wizytował Górę Zamkową. Z jego pobytami wiąże się anegdota. Himmler przypadkowo znalazł zwykły kamień wielkości pięści i z entuzjazmem zaczął wykrzykiwać: „Toż to jest starogermański młot!” W każdym kamieniu widział ślad germańskości.

Wstępne sprawozdania ukazały się w grudniowym zeszycie czasopisma „Germanien” w 1937 roku; w „Geisige Arbeit” w 1937 r. nr 12, a także większe opracowanie w tygodniku „Der Arbeitsmann” w grudniu 1936 r. oraz dłuższy artykuł w „Germanenerbe” 1937 r. (wrzesień - październik). Przekład z języka niemieckiego brzmi tak: „W miarę jak poznawano wykopaliska, tym większa była licz-

Zdaniem hitlerowskich uczonych prace wykopaliskowe uznano za udane. Twierdzili, że wyjaśnili historyczny rozwój Góry Zamkowej od początku jej zasiedlenia aż do zakończenia jej użytkowania we wczesnym średniowieczu. Jej historia to trwające z tysiące lat walki o krainę na wschód od Wisty, która została zakończona utworzeniem Pruskiego Państwa Zakonnego i germańską kolonizacją. Warto zacytować jeszcze jeden fragment raportu: „Góra Zamkowa była przed 3000 lat wielokrotnie użytkowanym, lecz niezasiedlonym miejscem, pierwotnie słabo chronionym przez mocny, drewniany płot. Podczas stuleci migracji



Rysunek szanica w Starym Dzierżgoniu, fot. archiwum

wczesnogermańskich, Góra Zamkowa, poddana była działaniu walk granicznych z ludami bałtyjskimi. Liczne odnowienia i podwyższenia, stale od nowa spalanych wałów świadczą o zaciekłości tych walk. Niezwyczajnie bogata ilość fragmentów ceramicznych i innych drobnych znalezisk wyznacza wyraźnie ostateczne zwycięstwo elementów germańskich nad zastanymi i wchłoniętymi bałtyjskimi. Dopiero po ruszeniu Gotów na dalszą wędrówkę następuje spokój. Grodzisko nie jest potrzebne i niszczeje. Prawie półtora tysiąclecia, które pozostawiło jedynie znikome, ale wyraźne ślady, ukazują stan grodziska bardzo podobnym do obecnego. Dopiero gdy Prusowie, po 1230 roku, musieli się bronić przed wdzierającym się niemieckim Zakonem, grodzisko zostaje ponownie ufortyfikowane przez potężne nasypy na starych wałach. Co prawda zostaje rychło stracone, jednak podczas wielkich powstań pruskich w następnych dziesięcioleciach, zmienia kilkakrotnie posiadacza. Wreszcie począwszy od planowej niemieckiej kolonizacji, po 1320 roku, staje się ono jedynie „miejscem nazywanym grodziskiem” jako punkt graniczny pomiędzy dwoma niemieckimi wioskami”.

Badacze Himmlera bardzo chcieli udowodnić, że ziemie te historycznie należały do plemion germańskich. W ostatniej sekwencji w/w raportu piszą: „Szczęśliwie udało się uzyskać, dla trzech głównych okresów czasowych: wczesnogermańskiego, pruskiego i wczesnozakonnego, po raz pierwszy w Prusach Wschodnich, przejrzyste i charakterystyczne rozpoznanie budowli obronnych. To samo dotyczy jeszcze w większym stopniu, wczesnogermańskiej ceramiki osiedlowej. Co prawda ceramika z czasów pruskich jest w Prusach Wschodnich wystarczająco poznana, jednak ważnymi i pierw-



Autor przy zabytkach odkrytych w trakcie wykopalisk, fot. A. Czapliński

wykopalisk znaleziono zabytki ze schyłku epoki brązu (w pierwszym tysiącleciu przed naszą erą), elementy ceramiki płasko- i kulistodennej misy, kubki, czerpaki, garnki, czarki, talerze, amfory oraz jeden grób kloszowy.

Prawdopodobnie wykopaliska miały odszukać ślady wyprawy krzyżowej przeciw Prusom w pierwszej połowie XII wieku, po której założono osadę Christburg (obecny Stary Dzierzgoń), a także odkrycia archeologiczne miały udowodnić historyczne prawa Niemców do tych ziem.

Po dojściu nazistów do władzy powoływano instytuty naukowe badające prehistorię. Organizowano otwarte wystawy na powietrzu. Usiłowano udowodnić w ten sposób takie ryzykowne tezy, jak ta o germańskim charakterze elit w starożytnej Grecji, które po odkryciu demokracji w starożytnej Helladzie, spauperyzowały się. Na ten cel przeznaczano ogromne fundusze, a badania prowadziła specjalna komórka nazwana Ahnenerbe – SS.

Historię „Ahnenerbe - SS” i losy archeologa Hansa Schleifa opisał dr Seweryn Szczepański z Olsztyna w Magazynie Popularnonaukowym „Archeologia żywa”, nr 2 z kwietnia 2009 r. W artykule pt. „SS - man z łopatą” można przeczytać, że „... Jako główny cel, SS- Ahnenerbe stawiało sobie: Badanie zasięgu ducha, czynów i spuścizny indogermańskiej rasy nordyckiej i przekazywanie narodowi wyników tych badań w formie jak najbardziej interesującej”. „... Wydział Wykopalisk przeprowadził szereg badań na obszarze niemalże całej Europy. Pierwsza łopata została wbita przez członków komórki w maju 1935 r. na wzgórzu Erdenburg koło Bersnberg. W tym samym roku rozpoczęły się także badania osady germańskiej w Barhorst koło Nauen. W Prusach Wschodnich rozpoczęto wykopaliska na grodzisku w Starym Dzierzgoniu. Ich wyniki przewyższały chyba oczekiwania badaczy, którzy prześcigali się w entuzjastycznych opisach trwałości osadnictwa germańskiego. Według nich: „Wschodnie plemiona wczesnogermańskie w pierwszym tysiącleciu przed Chrystusem były pierwszymi kolonistami i panami tego grodu. Goci następnie przejęli gród jako wielowiekową starogermańską siedzibę. Po pruskiej wędrowce i zajęciu przez nich grodu, w XIII w.

szorazowymi są stwierdzenia, które uzyskane zastały dla czasów przejściowych, od czasów pruskich do średniowiecza. Poza tym musimy podkreślić jednoznaczny kulturowopolityczny wynik. Na Górze Zamkowej nie znaleziono ani jednego słowiańskiego fragmentu ceramiki”.

Jak już wspomniałem, pracami kierowali naukowcy Hans Schlieff i Walther von Seefeld, z tym, że ten pierwszy był kierownikiem. Podczas

przeszedł on w ręce zakonu krzyżackiego jako znak odzyskania niemieckiego prawa do tej ziemi”. Kierownik wykopalisk, Untersturmführer SS dr Hans Schleif przeprowadził także badania na sąsiednim grodzisku pruskim w Starym Mieście”. Tezy wysnute przez te badania są mocno naciągane i przesycone nacjonalizmem. Przecież w 1935 r. dr Otto Kleeman tłumaczył członkom wybieżki rowerowej wartość znalezisk



Zabytki archeologiczne z wykopalisk w 1936 r., fot. archiwum autora

archeologicznych. Apelowal „zgłaszajcie znaleziska natychmiast nauczycielom lub powiatowym opiekunom zabytków archeologicznych. W oparciu o te dowody zawsze możemy wykrzyczeć światu - ten kraj pozostania niemiecki, ponieważ te narody (Litwini, Polacy) nigdy go nie zasiedlały, a nasi przodkowie przez swoją pracę uczynili go niemieckim”.

H. Schlaif urządził prowizoryczną wystawę znalezionych zabytków archeologicznych w stajni ówczesnego wójta Starego Dzierzgonia. Wszyscy ją zwiedzali. Potem znaleziska wywieziono do Niemiec. U wspomnianego wójta zamieszkiwała ekipa archeologów. Jako ciekawostkę podam fakt, że ten wójt tuż przed wkroczeniem Sowieców popełnił samobójstwo, zabijając całą rodzinę. Ocalała tylko jedna córka, która w tym czasie była w lesie. W latach dziewięćdziesiątych była w Starym Dzierzgoniu, poszukiwała śladów po rodzinie i opowiedziała mi rodzinną historię. Jednak po domu i stajni zostały tylko fundamenty. Gdzie są groby jej bliskich nie wiadomo.

Hans Schleif skończył swój żywot tak samo jak ideologia, którą wyznawał i wyznawali jego mentorzy Himmler i Hitler. Podczas walk o Berlin 25 kwietnia 1945 r. zastrzelił swoją żonę i dwoje dzieci, bliźnięta Aleksandra i Konstantina, oraz sam popełnił samobójstwo. Odszedł w niebyt jak historia, którą naginał do nazistowskich potrzeb.

Polscy archeolodzy na tropie tajemnic

W 2009 i 2010 r. archeolodzy, tym razem polscy, powrócili na Górę Zamkową. Wspomniany wyżej dr Seweryn Szczepański uczestniczył w pracach (2009 r.), którymi kierował dr Daniel Gazda. Znaleziono liczne szczątki ceramiki, które zdaniem badaczy na tym etapie prac obalają teorię Hansa Schleifa. Są one bowiem raczej pochodzenia bałtyjskiego.

W sierpniu 2010 r. dr Daniel Gazda z grupą studentów Instytutu Antropologii i Archeologii Akademii Humanistycznej im. Adama Gieysztor w Pułtusku, kontynuował prace archeologiczne na Wzgórzu Zamkowym



Dr Daniel Gazda w trakcie prac archeologicznych, fot. A. Czapliński

w Starym Dzierzgoniu, w towarzystwie Joanny Jezierskiej z Muzeum Zamkowego w Malborku, oddział w Kwidzynie.

Badania wykazały, że Wzgórze Zamkowe było już zasiedlane w 500 r. p.n.e. Odkryto ślady palenisk, doły na odpadki, jamy zasobowe, kilkadziesiąt szczątków naczyń ceramicznych z okresu prusko - krzyżackiego, wy-

kopano groty do strzał, nóż, hak, potwierdzono istnienie okresu wczesno żelaznego na Wzgórzu. Dla przypomnienia Schleif nazywał ten okres wczesnogermańskim.

Wykopaliska zakrojono na szeroka skalę. Wykonano dwa wykopy szerokopłaszczyznowe na krawędzi skarpy majdanu centralnego Wzgórza Zamkowego, wykop szerokopłaszczyznowy na majdanie głównym o pow. 50 m sześciennych oraz zaczęto przekopywać poprzecznie wał o wysokości 8 metrów.

Kierownikiem prac był dr Daniel Gazda, który tak mówił: „Prace na Wzgórzu Zamkowym to projekt wieloletni. Powstała Misja Pomezkańska - Bałtycka, która ma za zadanie opisać ostateczną wersję chronologiczną powstania i funkcjonowania warowni Pomezaniai”. Szeroko zakrojone prace przerwano niestety z powodów niezależnych od archeologów. Na pewno jednak wrócą na Wzgórze Zamkowe w latach następnych.

W poszukiwaniu szwedzkiego szajca w Starym Mieście

Przy niemieckich badaniach „Góry Zamkowej” pojawił się wątek tzw. „Szwedzkiego Szańca” w Starym Mieście. Legenda mówi, że dawni mieszkańcy Prakwic usypali go podczas najazdu szwedzkiego w XVII wieku. W zacisznej niszy, otoczonej stromym pagórkem z jednej i meandrem rzeki Dzierzgoń z drugiej strony, mieszkańcy wsi ukrywali się przed najeźdźcą. Czas zatarł pierwotny wygląd kryjówek. Ale przy odrobinie chęci można go sobie wyobrazić.

W 2005 roku dzięki uprzejmości wspomnianego już Kazimierza Madeli uzyskałem dostęp do innych odręcznych notatek z przeprowadzanych wykopalisk, które sprawę Szwedzkiego Szańca przedstawiają w innym świetle. Sporządził je także Hans Schleif. Tytuł oryginału brzmi „Die Swedenschanze bei Altstadt, Kreis Mohrunger”, czyli „Szwedzki szaniec koło Starego Miasta, powiat Morąg”. Raport opublikowano w „Prähistorische Zeitschrift” XXVI, 1936, str. 218. Zapisano w nim: „W związku z szeroko zakrojonymi, jeszcze nie zakończonymi, pracami Reichsführera SS Heinricha Himmlera na Górze

Zamkowej przy Starym Dzierzgoniu, wykonano kilka niewielkich wykopów zwiadowczych na „Szwedzkim Szańcu” w lesie prakwickim, których celem było uzyskanie materiału porównawczego o właściwościach glebowych, stanie zachowania oraz konstrukcji wałów. Za zezwoleniem właściciela, księcia Dohna-Schlobitten, przeprowadzono wykopaliska w czasie 18-28 maja 1936 r. z pomocą 8 członków Reichsarbeitsdienstabteilung (Państwowej Służby Pracy) w ciągu 150 godzin roboczych. Miejscowym kierownikiem był J. Loehausen. „Szwedzki Szaniec” znajduje się 1500 m na wschód od wsi Stare Miasto, w V-podobnej pętli Dzierzgonki (strumienia „Sorge” lub staropruskiej „Sirguny”). Przez niewielkie tylko spiętrzenie można dolinę strumienia rozszerzyć do wielkości małego jeziora chroniącego wysoką na około 12 m powierzchnię pagórka grodziska, chroniąc go od północy, zachodu i wschodu. Od strony południowej powierzchnia grodziska, o zarysie połowy owalu, oddzielona jest wałem odcinającym i położoną przed nim fosą, od lekko falistej „Koenigseer Heine”.

Stwierdzono, że wewnątrz znajdowało się grodzisko. Przy jego zdobywaniu wał musiał być podpalany, o czym świadczyły spalone belki. Były to nieobrobione okrągłaki grubości ramienia. Nie znaleziono śladów plecionki. Prawdopodobnie za pionowymi słupami, związanymi u dołu przez wspólne podkłady, postawiono ścianę z okrągłaków, za którą sypano ziemię z kopanych fos. Nie rozpoznano wejścia do wnętrza grodziska. Wysłano więc wniosek, że przy tak małych grodziskach, wejściem była mała furtka na jednym z obu bocznych zboczy, do której prowadziła wąska ścieżka.

Na podstawie jednego, jak podaje autor „szczęśliwego” znaleziska tj. brunatnego, cienkościennego garnka z pogrubionym profilem krawędzi, określono przypuszczalny wiek obwarowań. Ponieważ znaleziony garnek dokładnie odpowiadał późno pruskiej ceramice jaką znaleziono na Górze Zamkowej oraz cmentarzyskach i osadach Prus Wschodnich i Zachodnich, stwierdzono, że grodzisko zbudowano krótko po 1230 roku, przeciwko Zakonowi i prawdopodobnie zniszczono po nieszczęśliwej dla Prusów bitwie nad Zorge w 1233 roku. Nazwa „Szwedzki Szaniec” pochodzi z późniejszego okresu, kiedy nie było już w tym miejscu małego grodziska, a jedynie pozostały obwałowania. Liczne fragmenty innych naczyń świadczyły o częstych pobytach w tym miejscu ludności.

Niestety, polscy archeolodzy dotąd nie zainteresowali się „Szwedzkim Szańcem”. Wiadomo jednak, że na terenie gminy Stary Dzierzgoń udokumentowano istnienie dwóch grodów Prusów z bogatą historią. Badania Góry Zamkowej może rozświetlić jej tajemnice.

Roman Niemczyk

Gdy książka była orężem

Na ziemi sztumskiej pierwsze czytelnie i biblioteki powstały w drugiej połowie XIX wieku, jeszcze przed 1880 r. Pierwszą bibliotekę założono w Starym Targu, dwie następne w Pierzchowicach i Postolinie. W 1883 r. powstały kolejne - w Małych Ramzach oraz w Mikołajkach Pomorskich. Procedura organizacyjna zakładania sieci bibliotek była w tamtym czasie stosunkowo prosta. Otóż delegaci powiatowi Towarzystwa Czytelni Ludowych mianowali bibliotekarzy, a ci z kolei tak zwanych kolektorów. Korzystanie z książek było bezpłatne.

Towarzystwo Czytelni Ludowych – to organizacja oświatowa założona w 1880 r. w państwie pruskim (Wielkopolska, Pomorze, Warmia i Mazury oraz Śląsk). Towarzystwo to szerzyło oświatę wśród ludności polskiej, zakładało biblioteki i czytelnie, organizowało różnego rodzaju odczyty i pogadanki. Działalność Towarzystwa Czytelni Ludowych napotykała na szykany ze strony niemieckiej. Pomimo tych prześladowań Towarzystwo funkcjonowało na Powiślu (i nie tylko) do wybuchu drugiej wojny światowej¹.

Delegatem na cały powiat sztumski był Kazimierz Donimirski z Małych Ramz, działacz narodowy i społeczno-oświatowy na Powiślu, oddany całym sercem rozpowszechnianiu czytelnictwa i funkcjonowaniu bibliotek. Oprócz tego był m.in. wybitnym organizatorem Kótek Rolniczych, towarzystw oświatowych, banków ludowych (np. Banku Ludowego w Sztumie w 1910), prezesem Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego, prezesem Związku Polaków w Niemczech na Powiślu. Jego żona, Maria Donimirska z domu Rzepnikowska, przewodniczyła Towarzystwu Kobiet św. Kingi oraz Kołu Ziemianek.

Na przełomie lat 1909/1910 w miejsce delegatów zaczęto powoływać komitety powiatowe na całym Powiślu. Podczas pierwszej wojny światowej prezesem komitetu na powiat sztumski mianowano hrabinę Helenę Sierakowską, wielką działaczkę społeczną, kulturalną i oświatową. To ona w 1917 r. stanęła na czele komitetu, który zbierał dary dla poszkodowanych i pokrzywdzonych przez wojnę Polaków z Kongresówki.

W 1913 r. przewodniczącą Towarzystwa Czytelni Ludowych na powiat sztumski powołano Stefanię Oświęcimską, mieszkającą w Michorowie, zaś bibliotekarką została Mieczysława Lniska, żona administratora z Michorowa, natomiast Witold Donimirski, polski działacz polityczny, społeczny i oświatowy, został kasjerem.

¹ Po zakończeniu II wojny światowej podjęto próby reaktywacji Towarzystwa Czytelni Ludowych. Jednak ówczesna władza uniemożliwiła taką działalność. Obecnie koła Towarzystwa znajdują się, m.in. w Gnieźnie, Wrześni oraz Strzelnie.

Tzw. komitetowymi zostały: Helena Sierakowska na wsie: Waplewo z okolicznymi folwarkami, Stary Targ i Nowy Targ; Witold Donimirski z Czernina na Kalwę i Tropy, Dziewięćwłók, Igły i Jurkowice; Anna Janta-Połczyńska z Michorowa na Montki, Nową Wieś, Mirowice, Postolin, Pułkowice i Watkowice; Kazimierz Donimirski z Małych Ramz na Dąbrówkę Pruską, Pierzchowice, Trzciano, Sadłuki, Straszewo, Kołoząb i Małe Ramzy; Jadwiga Czarlińska z Zajezierza na Czernin, Białą Górę, Sztumską Wieś, Sztumskie Pole, Pietrzwałd, Parpary i Koniecwałd; K. Królikowski (drogerzysta) na miasto Sztum.



Witold Donimirski (1874-1939),
 fot. archiwum rodziny

Przebieg pierwszej wojny światowej wpłynął hamująco na dalszy rozwój czytelnictwa i na dalsze organizowanie sieci bibliotek na ziemi sztumskiej. Należy jednak podkreślić, że dzięki zaangażowaniu i wytrwałości wymienionych działaczy stan ilościowy bibliotek przed zakończeniem pierwszej wojny światowej znacznie się powiększył i objął aż 21 miejscowości na ziemi sztumskiej. Oto one: Bukowo, Czernin, Dąbrówka Pruska, Krasna Łąka, Małe Ramzy, Michorowo, Mikołajki Pomorskie, Mirany, Nowa Wieś, Nowy Targ, Pierzchowice, Postolin, Pułkowice, Sadłuki, Stary Targ, Straszewo, Sztum, Sztumska Wieś, Trzciano, Waplewo i Zajezierze.

Wielkim wydarzeniem dla Powiśla był lipcowy plebiscyt z 1920 r. Wtedy to ożywioną działalność przejawiało Towarzystwo Czytelni Ludowych, gdzie m.in. w Trzcianie ochronę polską prowadziła od kwietnia 1920 r. Maria Szuffraga, zaś głównymi organizatorami szkolnictwa i czytelnictwa byli Anna Piasecka, Gertruda Bysikiewicz, rodzina Bukowskich i Kowalskich. W tym też samym czasie przybywają wybitni przedstawiciele kultury, a mianowicie poeta Jan Kasprówic, kompozytor Feliks Nowowiejski i pisarz Stefan Żeromski, którzy wspierają akcję plebiscytową. Trzeba podkreślić, iż w czasie przygotowań do lipcowego plebiscytu w 1920 r. nastąpiło ożywienie działalności kulturalno-oświatowej na ziemi sztumskiej. Z perspektywy czasu można powiedzieć, że sam okres plebiscytowy okazał się jednak zbyt krótki na rozwiązanie długofalowej akcji czytelniczej.

Dzień 11 lipca 1920 r. ostatecznie przesądził o losie Sztumu oraz okolicznych miejscowości. Mimo przegranego plebiscytu ruch oświatowy i czytelniczy na ziemi sztumskiej nie zmałał.

W sprawozdaniu Towarzystwa Czytelni Ludowych zapisano: „Towarzystwo Szkolne zorganizowało również na Powiślu pięć bibliotek wędrownych, a w styczniu 1924 r. otwartych zostanie 10 ognisk Czytelni Ludowych liczących około 4000 książek popularnych dla włościan. Sprawami bibliotek zajmuje się p. M. Donimirska z Małych Ramz”.

Z tego sprawozdania nasuwa się wniosek, że mimo przegranego plebiscytu, mieszkańcy ziemi sztumskiej energicznie przystąpili do dalszego rozwoju sieci bibliotek i popularyzacji czytelnictwa, do szerzenia oświaty i kultury polskości na tych ziemiach.

Od 1926 r. następuje dalszy rozwój sieci placówek bibliotecznych, które występują pod nazwą Towarzystwa Czytelni Ludowych – Powiśle. Placówki te znajdowały się w następujących miejscowościach: Mikołajki Pomorskie, Nowy Targ, Pierzchowice, Stary Targ, Sztum, Trzciano i Waplewo. Wymienione placówki znalazły się pod nadzorem i zarządem przedszkolek lub przewodniczących towarzystw kobiecych, natomiast nad całością czuwała Helena Sierakowska.

Warto w tym miejscu wspomnieć o działalności towarzystwa pod wezwaniem św. Kingi, które w latach 1920 – 1930 odegrało wielką rolę w rozwoju i rozpowszechnianiu czytelnictwa. Towarzystwo to funkcjonowało pod bezpośrednim nadzorem Marii i Wandy Donimirskich oraz Heleny Sierakowskiej. W 1923 r. towarzystwo liczyło 622 kobiet, które były zrzeszone w czterech kołach, w Sztumie, Postolinie, Starym Targu oraz w Mikołajkach Pomorskich. W 1926 r. jest zauważalny dalszy rozwój czytelnictwa na ziemi sztumskiej. W tym roku Helena Sierakowska zgłosiła zapotrzebowanie do kraju na dowóz (dostarczenie) do Sztumu polskich książek, czasopism i innych periodyków.

Równoległe z działalnością Towarzystwa Czytelni Ludowych zaczęła funkcjonować sieć bibliotek oraz czytelni Związku Towarzystw Młodzieży. Związek posiadał własne czasopismo „Życie Młodzieży”, na łamach którego promował i popularyzował swoją działalność oraz przynależność do polskości. Sprawozdania z działalności czytelniczej za 1930 r. wspominają, iż Związek Towarzystw Młodzieży dysponował już pięcioma bibliotekami: w Sztumie, Cygusach, Trzcianie, Telkwicach oraz Michorowie z około 400 tomami książek. Był to dość pokaźny zbiór, pamiętając o tym, że władze niemieckie bardzo niechętnie spoglądały na poczynania Polaków.

Rok 1933 przyczynił się do dalszego rozwoju czytelnictwa. Do akcji bibliotecznej włączyło się Towarzystwo Szkolne, które w powiecie sztumskim założyło pięć nowych bibliotek - w Nowej Wsi, Mikołajkach Pomorskich, Starym Targu, Postolinie oraz w Trzcianie. Kierownikiem Towarzystwa

Szkolnego wybrano Franciszka Wojciechowskiego, natomiast najaktywniejszymi bibliotekarzami zostali działacze Związku Towarzystw Młodzieżowych i Związku Polaków w Niemczech.

Należy zauważyć, iż rozwój czytelnictwa na ziemi sztumskiej nie obejmował tylko wypożyczania książek. Organizowane były również specjalne wieczorki poświęcone popularyzacji i rozpowszechnianiu czytelnictwa, organizowano też różnego rodzaju odczyty oraz konkursy tzw. dobrego czytania.

Najpoczytniejszymi autorami byli głównie: H. Sienkiewicz, J.I. Kraszewski, S. Żeromski. H. Mniszkówna, M. Rodziewiczówna, S. Reymont oraz Z. Nałkowska.

W 1936 r. Niemcy przystąpili do szerokiej akcji germanizacyjnej, do szykan i prześladowań ludności polskiej zamieszkującej te ziemie. Wycofano z bibliotek najpoczytniejsze pozycje tych autorów, zaś niezwykle ostrą cenzurą objęto „Krzyżaków” oraz trylogię H. Sienkiewicza. Książki te jednak krążyły w tzw. „drugim obiegu”, dostarczały największych przeżyć duchowych, artystycznych i patriotycznych.

W latach trzydziestych XX wieku książka polska na ziemi sztumskiej znalazła się w szczególnie trudnych i skomplikowanych warunkach. Częste rewizje bibliotek i konfiskaty nie sprzyjały rozwojowi czytelnictwa. Miejscowa, polska ludność, bała się po prostu oficjalnie wypożyczać i czytać polską literaturę. Podczas przeprowadzonych rewizji polskich książek szczególną gorliwością odznaczał się niemiecki inspektor szkolny dr Josef Irmler. Dla przykładu, w Nowym Targu przeprowadził kilkakrotną rewizję biblioteki, którą kierował miejscowy robotnik Franciszek Piasecki. Rewizje objęły również bibliotekę w Starym Targu, którą prowadziła Marta Arentowiczówna. Prześladowania polskich bibliotek nasiliły się jeszcze bardziej w 1937 r., gdzie rewizjami objęto także biblioteki szkolne. Cenzura i prześladowania w tym czasie osiągnęły swoje apogeum.

W biurze Związku Polaków w Sztumie zostały zarekwirowane wszystkie pozycje J.I. Kraszewskiego i H. Sienkiewicza, a z biblioteki w Nowej Wsi władze niemieckie zabrały około dwie trzecie księgozbioru w celu szczegółowej analizy ich treści. W Miranch skonfiskowana została cała biblioteka w związku z aresztowaniem Franciszka Wieczorka (biblioteka przestała funkcjonować).

Należy podkreślić, iż miejscowe władze lokalne na siłę zaczęły rozprawiać i rozpowszechniać różnego rodzaju wydawnictwa niemieckie. Taki rozwój wypadków stawiał polskie biblioteki i czytelnictwo w wyjątkowo trudnej sytuacji. Miejscowa ludność polska otrzymywała książki przesyłane ze zbiórek w kraju, ale nie nasyciły one głodu czytelniczego, zaś niektóre z nich były już mocno zniszczone.

Na przestrzeni lat 1933 – 1939 najważniejszą rolę w rozwoju czytelnictwa na ziemi sztumskiej odegrało Towarzystwo Szkolne, jednak nie można również zapominać o szerokim udziale w tej akcji wspomnianego Towarzystwa św. Kingi. Oba te Towarzystwa miały swoje placówki w Sztumie, Sadłukach, Mikołajkach Pomorskich, Trzcianie, Postolinie, w Starym i Nowym Targu. Organizowały one na swych spotkaniach odczyty, prelekcje, referaty, wiersze i dyskusje. Wyświetlano także przeźrocza na tematy historyczne dotyczące miast polskich, oręża polskiego, polskich zwycięstw, jak i też uczono patriotycznych pieśni. Ponadto organizowane były pogadanki o higienie, zdrowiu i lecznictwie.

Obok zaprezentowanych bibliotek funkcjonowały również biblioteki szkolne, a przede wszystkim domowe. Zbiory bibliotek domowych były różne: od zasobnych w domach włościańskich, do nieco skromniejszych w domach najuboższych mieszkańców ziemi sztumskiej.

Najbardziej znaną i cenioną była biblioteka Sierakowskich z Waplewa, znana pod zaborem pruskim, ale przede wszystkim w Polsce. Otóż w 1881 r. dział beletrystyki liczył już 1237 dzieł w 3328 tomach, zaś na początku lat trzydziestych XX wieku biblioteka w Waplewie liczyła około 10 tys. tomów, z których część była skatalogowana. Biblioteka Sierakowskich zawierała książki napisane w języku francuskim i niemieckim, a część zbiorów była napisana w języku arabskim i chińskim; znajdowała się tu też pewna ilość starodruków i rękopisów.

Trzeba wiedzieć o tym, że biblioteka w Waplewie posiadała wartość archiwalną i służyła przede wszystkim jako warsztat naukowy dla rodziny Sierakowskich, głównie Adama Sierakowskiego syna Alfonsa i Marii z Sołtanów. Część bibliotecznych zbiorów Sierakowscy zdążyli wywieźć tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej do Osieka koło Rypina, natomiast samą bibliotekę Niemcy zarekwirowali i wywieźli do Rzeszy. Niewielka, zachowana część zbiorów biblioteki waplewskiej znajduje się obecnie w Bibliotece PAN w Gdańsku, zaś rękopisy w Państwowym Archiwum również w Gdańsku.

Należy również wspomnieć o bibliotece Donimirskich, która była drugą pod względem ilości zasobów książkowych. Znajdowała się ona w trzech miejscowościach, a mianowicie w Czerninie, w Małych Ramzach i w Buchwałdzie. Czernińska biblioteka liczyła około 1000 tomów w języku polskim i trochę w języku francuskim. Obejmowała ona przede wszystkim literaturę klasyczną, głównie Mickiewicza, Słowackiego, Orzeszkowej, Rodziewiczówny i Prusa.

Ciekawa była również biblioteka w Małych Ramzach, która do wybuchu drugiej wojny liczyła około 400 tomów i obejmowała dzieła Sienkiewicza, Mickiewicza, Żeromskiego, Prusa, Morcinka, Kossak – Szczuckiej, Korzeniowskiego i Rodziewiczówny. W bibliotece tej znajdowały się też pamiątki rodzinne, m. in. praca doktorska Antoniego Donimirskiego „De merci-

bus privatis In bellis transportands atque de libertata bonorum privatorum hostium In us servanda” („O handlu prywatnym i o zwolnieniach zajętych dóbr wrogów” - Red.), syna Teodora Donimirskiego z Buchwałdu (Bukowa), pamiątki po Ignacym Łyskowskim, jak również akt nominacji Antoniego Donimirskiego na starostę sztumskiego z początku XIX wieku 1803-1808.



Zjazd rodziny Sierakowskich w Waplewie przed II wojną światową, fot. z archiwum rodziny

Kolejną, również istotną i ciekawą była biblioteka Janta-Polczyńskich w Michorowie, która liczyła około 500 tomów. Niestety, spłonęła ona w 1945 r.

Prywatne biblioteczki były w posiadaniu niewielu mieszkańców ziemi sztumskiej. Prywatne księgozbiory, jak też czasopisma, czy inne periodyki polskie pochodziły na ogół z różnych nagród, były nabywane głównie w Polsce.

Historia i dzieje polskiej książki oraz polskiego czytelnictwa i bibliotek na ziemi sztumskiej są ściśle powiązane z historią i korzeniami Polaków zamieszkujących te tereny.

Pamiętać należy o tym, że akcja zorganizowanego czytelnictwa miała miejsce w latach wzmożonego nacisku germanizacyjnego i trwała aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Z kolei terytorialny zasięg czytelnictwa polskich książek i czasopism stopniowo ulegał kurczeniu się na przestrzeni lat w wyniku prowadzonej akcji germanizacyjnej.

Podstawowym celem rozwoju czytelnictwa i bibliotek na ziemi sztumskiej było hasło: „Polska książka jako oręż w walce przeciwko wynarodawianiu”. Mieszkańcy tych ziem śmiało szli przez życie i nie było tu widać panicznego strachu, czy zniewolenia przed pruskim mundurem. Mała ojczyzna przetrwała, między innymi dzięki polskiej książce, która odegrała ważną rolę wśród tej ludności. Dzięki polskiej książce mieszkańcy ziemi sztumskiej uczyli się dziejów ojczystych oraz patriotyzmu i pomimo tak ciężkich i niebezpiecznych czasów, w których przyszło im żyć, przetrwali, zaś obecne pokolenie może być dumne z losów naszych przodków.

Janusz Ryszkowski

Przyrzekli kółko śpiewu lepiej popierać

O doktorze Feliksie Morawskim



Dr Feliks Morawski, fot. archiwum

1 listopada 1945 r., pierwsze obchody Wszystkich Świętych w polskim Sztumie. Z raportu Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej: *„Odbyła się żałobna akademka ku czci poległych o wolność i konferencja ku czci poległych o wolność. Ludność cywilna wzięła liczny udział w powyższej akademii oraz całym pochodzie z wieńcami udano się na grób dr Morawskiego. Dr Morawski rzekomo miał być jednym z wielu ofiar niemieckich który umarł w 1929 r.”*

Z takich jak ten fragmentów, wycinków, napomknień usiłuję złożyć obraz (także pośmiertny) Feliksa Morawskiego, polskiego doktora w przedwojennym Sztumie. Barwna i ciekawa postać: bankowiec, dusza teatrzyków i kółek śpiewaczych, działacz narodowy, filantrop. No i lekarz, cieszący się autorytetem wśród obu narodowości. Kiedy kilka lat temu będąca w podstawówce córka szukała materiałów do prezentacji o patronach sztumskich ulic, okazało się, że o Morawskim i jego rodzinie nie ma żadnej większej publikacji... To był chyba pierwszy impuls, by taką rzecz, głównie z pomocą starych gazet, napisać.

Doktor o duszy artysty

„Dziennik Poznański” z 1889 roku: „W Wyrzburgu zdał 25 bm. (czerwca – przyp. autora) rodak nasz pan Feliks Morawski z Komorska egzamin państwowy na lekarza”. Kilkanaście miesięcy po osiedleniu się w Sztumie, a było to przypuszczalnie krótko przed czerwcem 1890 r., bo w tym właśnie miesiącu dał ogłoszenie do „Gazety Toruńskiej” o rozpoczęciu praktyki, przystąpił do zawiązania „kółka śpiewu”. Musiała to być jego autorska inicjatywa, skoro na zebraniu założycielskim został wybrany przewodniczącym. Pozostaje zagadką, skąd u Morawskiego wzięły się zamiłowanie do śpiewu i teatru oraz pewna znajomość artystycznego rzemiosła. Z rodzinnego domu (ojciec był nauczycielem), czy może czasów studenckich w Gryfii, Jenie czy może Wyrzburgu? Skąd wreszcie czerpał organizacyjne wzory dla nowo powstającego towarzystwa o wyraźnie narodowym, bo polsko-katolic-

kim, charakterze? Tu już można rzucić nieco więcej światła. Otóż 12 lipca 1891 roku na zabawie towarzystwa przemysłowego w Grudziądzu odbył się pierwszy zjazd śpiewaków, zwany często „małym”, bo uczestniczyły w nim trzy stowarzyszenia. Uchwalono wtedy, by zakładać „kółka śpiewackie” w Prusach Zachodnich. Feliks Morawski, jako jeden z niewielu, odpowiedział na ten apel. Może nawet uczestniczył we wspomnianym zjeździe? Pochodził przecież z Komorska, a to nie tak znowu daleko Grudziądz...

W niedzielę, 18 października 1891 roku, w sztumskiej Strzelnicy spotkało się około 30 osób. Z dość obszernej korespondencji zamieszczonej w „Gazecie Toruńskiej” wiemy, że „rękodzielnicy z miasta wszyscy się stawili, a kilku gospodarzy nawet z daleka przybyło, lecz niemile dało się odczuć nieobecność kilku z większych naszych obywateli z okolicy, którzy nazwiskiem i znaczeniem przysporzyliby założyć się mającemu się towarzystwu członków i powagi”. Co tu kryć – piszącemu do gazety zabrakło przedstawicieli polskich rodzin ziemiańskich.

Rybak, krawiec i rządca...

Celem założonego towarzystwa – jak napisano – było pielęgnowanie polsko-katolickiego śpiewu, „wzajemne pouczenie się w zasadach katolickich z wykluczeniem wszelkich spraw politycznych”.

Szczegółowa relacja w „Toruniance” pozwala na przytoczenie nazwisk osób zaangażowanych w prace zarządu. Zastępcą doktora Morawskiego, jako przewodniczącego zarządu, został Czesław Czarliński, inspektor z Zajeźrzeża (zapewne syn Anny, siostry Henryka Donimirskiego, właściciela tych dóbr), sekretarzem Jurkiewicz, skarbnikiem mistrz krawiecki Franciszek Sikorski. Ławnikami, czyli członkami zarządu, zostali: rybak Gołębiewski z Przedzamcza, rządca Wojciechowski z Michorowa, kupiec Block ze Sztumu i obywatel Korzeniewski z Miran.

Członkiem koła mógł zostać każdy katolik nieposzlakowanej opinii, przedstawiony przez dwóch członków, a przez zarząd w tajnym głosowaniu przyjętych. Statut wyróżniał członków czynnych, czyli takich, którzy śpiewają i chodzą na zebrania oraz honorowych, popierających cel towarzystwa i „tylko na walne i nadzwyczajne zebrania chodzą”.

Ustalono, że zebrania zarządu będą odbywały się w każdy czwartek w lokalu kupca Emila Błocka (była to czwarta kamienica wschodniej pierzei Rynku). Nadzwyczajne zebrania (oraz walne) w trzecią niedzielę stycznia, kwietnia, lipca i października. Przestrzegano tego sumiennie, o czym świadczą informacje zamieszczone w „Toruniance” w roku następnym.

Spotkania kółka śpiewu organizowano także w „lokalu Wojciechowskiego”. Co się pod tą nazwą kryło, nie wiemy. To znaczy wiemy, ale niezupełnie jeszcze do końca. Natrafiłem w gazecie na informację, że w 1895 roku Gawroński ze Straszewa kupił w Sztumie hotel Angielski Dom. Ale po jakimś

czasie sprzedający się rozmyślił i wycofał z kontraktu. Zapłacił 500 marek zwyczajowej kary. Nazywał się Wojciechowski. Ale to jeszcze nie rozwiązuje sprawy lokalizacji restauracji z hotelem. Coś mi podpowiada, że był to wcześniejszy i późniejszy Dom Niemiecki, znajdujący się przy dzisiejszej ulicy Jagiełły, gdzie dziś parking, a do 2010 r. pomnik Wdzięczności. Ale mogło także chodzić o należący później do Pawła Nawrockiego zajazd także przy Jagiełły, usytuowany na wysokości baszty więziennej.

Miłość nie tylko do śpiewu

Na jeszcze jedno nazwisko trzeba zwrócić uwagę. Chodzi o „obywatela Korzeniewskiego” z Miran. Doktor Morawski za niecały rok zostanie ożeniony, jak się dawniej mówiło, z Aurelią Korzeniewską, córka zamożnego gospodarza z tej właśnie wsi. O ślubie w postolińskim kościele donosiła nawet prasa. Czy panna Aurelia też należała do kółka, czy w taki sposób się poznali? Nic o tym wiarygodnego nie wiadomo, ale ten związek miał też jeszcze inne konsekwencje. Otóż wedle rodzinnej tradycji, dzięki posagowi, młodzi mogli kupić dom na Przedzamczu (dziś ul. Jagiełły), który przez całe lata był miejscem, gdzie skupiało się życie Polonii. Znajdowała się tam pierwsza siedziba Banku Ludowego.

Dodać jeszcze trzeba koniecznie, że sztumskie kółko było jednym z pięciu, jakie działały samodzielnie w Prusach Zachodnich (Starogard, Lubawa, Szczodrowo, Pelplin). Inne były w ramach towarzystw, np. przemysłowych, czy ludowych.

Dwa miesiące po założeniu zwołano w sali hotelu Królewskiego na pierwsze zebranie nadzwyczajne. Członkowie przygotowali nie tylko gwiazdkę dla ubogich dzieci, ale też zaprezentowali pieśni. Dzięki hojności pań, w tym Magdaleny Donimirskiej z Zajeziera, rozdano mniejsze i większe prezenty.

Debiutem teatralnym sztumskiego kółka były przedstawienia, pokazane w Strzelnicy 21 lutego 1992 roku. Jednoaktówki „Adama i Ewa” (najpewniej przeróbka z francuskiego) oraz „Podejrzana osoba” Jana Kantego Gregowicza cieszyły się dużym powodzeniem. Spora sala „tak zapełniona była, że śpilki nie można było wepchnąć” – czytamy w „Toruniance”. „Przed rozpoczęciem teatru odśpiewano pieśń, tak samo w pauzach i na zakończenie”. Pierwsze 20 krzesel zajęła rodzina Donimirskich. Młodzi aktorzy wypadli świetnie, a potem była zabawa taneczna do białego rana.

„Całą tę zabawę mamy panu prezesowi Kółka śpiewackiego, dr. Murawskiemu (sic!) z Sztumu, do zawdzięczenia, który nie szczędził pracy i z prawdziwą ofiarą oddał się temu. Niemniej mamy państwu Donimirskim do podziękowania, którzy się zawsze sercem dla naszej wspólnej pracy okazują (...). Kończę w nadziei, że się na tej dzisiejszej zabawie nie skończy, i

śpiewacy Kółka urządzą nam znów jaką zabawę, boć przeszło 100 członków należy i to wszystko wesołe wiarusy, którzy dodają ducha i ożywią trochę naszą okolicę uśpioną.”

Nie rozpaczaj miły bracie

I rzeczywiście, na owej zabawie się nie skończyło. Koło śpiewu wyruszyło także poza lokalne opłotki. Nie chodzi przy tym o zabawy, jakie organizowało np. w lasku waplewskim (czerwiec 1892), ale o występy bardziej prestiżowe. W tymże roku, 10 lipca, zorganizowano w Chełmnie Zjazd Przemysłowców połączony ze Zjazdem Śpiewaków Polskich Prus Zachodnich. W komitecie organizacyjnym znalazł się dr Morawski.

Z programu zjazdu wiemy, że rozpoczął się on wspólnym wykonaniem pieśni Moniuszki „Nie opuszczaj nas”. Po referatach i wystąpieniach - w kwestii prawnej towarzystw przemysłowych wystąpił sztumianin Jurkiewicz, sekretarz koła śpiewu - odbyły się popisy zespołów. Sztumianie wystąpili jako drudzy, wykonując „Pieśń nieszczęśliwych”, utwór ludowy. Znalazłem aż cztery wersje tej pieśni, przytaczam tę, która była najprawdopodobniej wykonywana w Chełmie, a wcześniej na przedstawieniu teatralnym w lutym 1892.

Jak się macie Bartłomiej, jak się bracie masz?
Jak się miewa żonka wasza, cały domek wasz?
„Bogać dobrze, miły bracie, wszędzie bieda wszak!
Dyc i Janek nam powiadał, że i u was tak.”
Oj tak bieda, miły bracie, że aż wspomnieć źle!
Już też te troski nasze nie ustąpią, nie!
Wszędzie smutki, utrapienia, że aż człeka strach!
To też człeku świat ten obrzydł, przykry własny dach.
„Nie rozpaczaj miły bracie, minie trud i znój!
Jeno spuśćmy się na Boga, wszak też widzi zdroj.
Przecież on się umiłuje, lepszy stworzy czas,
Wszystkie winy nam daruje i pocieszy nas.”

Korespondent „Dziennika Poznańskiego”, podsumowując imprezę, stwierdzał, że „ubolewać należy, że zjazd śpiewaków zepchnięty został dla obfitości prac zjazdu przemysłowców niejako na plan drugi i nie mógł nam dać dostatecznego poglądu na stan odnośnych usiłowań w kierunku pielęgnowania śpiewu narodowego w Prusach Zachodnich.” Z zadowoleniem jednak przyjęł, że towarzystwa zajmują się „przede wszystkim pielęgnowaniem naszych pieśni ludowych i patriotycznych, a nie rzucają się na wielkie i trudne do wykonania utwory. Toteż produkcje śpiewne zadowolily wszystkich.” (nr 159)

Kolejny - II Zjazd Przemysłowców i Śpiewaków Polskich Prus Zachodnich odbył się dwa lata później - 8-9 lipca - w Pelplinie. Tym razem dr Morawski znalazł się w składzie biura głównego komitetu, w którym powierzono mu funkcję skarbnika. Może to jego zasługą było, że z Hohendorfu (Czernina) wpłynęło na fundusz imprezy 50 marek?

Konkurs, w którym wystąpiło 14 zespołów - jak donosił korespondent „Gazety Poznańskiej” (nr 155) - „wypadł wspaniale”. Sztumscy śpiewacy zaprezentowali się pelplińskiej publiczności kompozycją Mozarta „Na powitanie”. Jury przyznało cztery nagrody, każde pozostałe kółko - w tym nasze - otrzymało poprawny obraz „Lisowczyków”.

Dla Kościuszki: arie i kuplety

W 1894 roku przypadały także obchody kościuszkowskie. Wieczornice przygotowano wówczas w kilku miastach Prus Zachodnich, w tym w Sztumie. 15 kwietnia w sali Strzelnicy urządzono koncert z udziałem - jak anonosowano - Heleny Ryglewskiej, śpiewaczki teatru lwowskiego oraz polskiego teatru w Petersburgu, uczennicy konserwatorium wiedeńskiego oraz Józefa Dobiesława, jej małżonka, artysty dramatycznego teatru krakowskiego i monologisty. „Całe urządzenie tej uroczystości mamy do zawdzięczenia kółku śpiewu w Sztumie, a najwięcej prezesowi p. dr Morawskiemu, który zawsze z wielką gorliwością pracuje nad rozwojem tego kółka i urządza zabawy itd., za co mu serdecznie Bóg zapłać od całego towarzystwa, które się dzisiaj tak licznie zebrało.”

Program rocznicowego koncertu miał nie tylko budzić uczucia patriotyczne, ale i bawić. Członkowie kółka odśpiewali pieśń „Bracia rocznica”. Potem doktor Morawski, „w dłuższej swej i pięknej przemowie (...) skreślił żywot naszego bohatera Kościuszki”. Józef Dobiesław recytował „Bitwę racławicką” Teofila Lenartowicza, zapewne z pamiętnym mottem „Pamiętaj! Racławice nasze kosy i kłonicy”. „Słowa tego utworu wywarły na słuchaczach podniosłe wrażenie”.

Obdarzona pięknym głosem Helena Ryglewska, której akompaniowała Henrykowa Donimirska z Zajeziera, wykonała arie z „Halki” („Gdyby ranem słońkiem wlecieć mi skowronkiem...”) Stanisława Moniuszki oraz z „Cyrulika sewilskiego” Gioachino Rossiniego. Do zdecydowanie lżejszego repertuaru należały choćby śpiewane przez nią kuplety, a także monologi humorystyczne w wykonaniu małżonka.

Kiedy duchy z nieba skrycie...

Balladę „Śmierć zdrajcy ojczyzny” deklamował „p. Rutkiewicz z Sztumu”, członek kółka śpiewu. Był to utwór zapomnianego dziś zupełnie poety Antoniego Goreckiego (1787-1861), przyjaciela Mickiewicza w czasach wileńskich i paryskich. Wiersz ten, opublikowany w 1818 roku, stał się jego

znakiem firmowym. W owym czasie „Nie było domu, w którym by go nie czytano; uczone go się nawet na pamięć skwapliwie” – pisał w swoich warszawskich wspomnieniach Kazimierz Władysław Wójcicki. Ale kiedy to czernił swym piórem (koniec lat 70. XIX wieku) musiał dodać, że „już padł w głębokie zapomnienie” i w swoich memuarach przypomniał. Więc i my...

Rutkiewicz, zapewne młodzieniec o spojrzeniu lekko zamglonym, wyłania się z półmroku, jaki spowił scenę w Strzelnicy. Zaczyna: „Noc była ciemna, milczenie ponure/Lało spokojność na całą naturę;/ W tym księżyc zajaśniał mile/ Bo już zbliżały się chwile/ Kiedy duchy z nieba skrycie/ Na promykach gwiazdy schodzą...”. Wtedy dreszcz jakiś niespokojny wstrząsa wrażliwszą częścią publiczności. Ale wkrótce, gdy padają słowa o pojawiającej się zdrajcy postaci w żałobie, z raną na piersi, nikt nie pozostaje obojętnym. Zjawia mówi:

Ojczyzna jestem, ta rana,
Ty wiesz, od kogo zadana.
Synu! Ty w ciemnym złożyłeś mnie grobie,
A ja przychodzę dać ratunek tobie.

(...)

Ja ci przebaczam, bo nie matki czynem
Mścić się nad synem.

Ale wtedy wpada przez okno duch „czarnej postaci”. Duszę zbrodnia w ciemne porwał chmury...

Tak, to musiał być przejmujący moment. Cisza, a potem brawa. Nieśmiało, a chwilę później już rzęsiste.

Ciekawe, że relacje o sztumskich obchodach ukazały się aż w dwóch numerach „Gazety Toruńskiej” - z wtorku i czwartku. Różnią się one od siebie niektórymi szczegółami i rozłożonymi akcentami. W pierwszej korespondencji np. autor odnotował obecność rodziny Donimirskich oraz hr. Adama Lwa Sołtana z Waplewa i wytknął brak przedstawicieli miejscowego duchowieństwa.

Krotochwile i chmury burzowe

Na 17 maja „koło śpiewu” zapowiedziało koncert w ogrodzie Strzelnicy, a potem przedstawienia: „Tajemnice starego miasta” i „Wyjątek z trójki hultajskiej”. W „Toruniance” nie omówiono tych występów. Zajrzałem z ciekawości do zaproponowanej wówczas sztumianom krotochwili ze śpiewkami „Tajemnice starego miasta” Karola Kaucza. Nie stawiała aktorom, ani publiczności specjalnych wymagań. Akcję można streścić w kilku słowach. Zakochany czeladnik piekarski zabiega o rękę Basieńki, jej opiekun majster Bułowski nie chce o tym słyszeć. Ale wydarzy się coś, co powoduje, że wszystko dobrze się kończy.

4 listopada, także w Sali Strzelnicy, amatorzy wystawili „On nie jest zazdrosny” oraz „Słowiczek” Władysława Bełzy.

Następny rok - 1895 okazał się bardzo trudny dla „kółka śpiewu”, choć początki były jeszcze obiecujące. W lutym zaanonsowano wystawienie na cel dobroczynny dwóch kolejnych jednoaktówek - „Stryj przyjechał” Władysława Koziembrodzkiego i „Kominiarz i młynarz” Błotnickiego.

A potem nastąpił impas w działalności polskiego stowarzyszenia. Czy miało na to wpływ powstanie w tym czasie niemieckiego Geverbeverein? „Gazeta Toruńska” pisała: „Rodakom przypominamy, że istnieje tu polskie „kółko śpiewu”. Do tego towarzystwa i takowe popierać powinni, aby wzmocnić siły do walki z opłakanymi skutkami i szowinizmem.”

Niechaj śpiew polski powróci

Tymczasem dwukrotnie zwołane zebrania nadzwyczajne kółka nie doszły do skutku. Na 80 członków przybyło zaledwie 12. Na próby śpiewu z 20 członków czynnych 3-4. Dlatego na 1 grudnia zwołano raz jeszcze nadzwyczajne zebranie „aby się przekonać, czy nie będziemy musieli Towarzystwa rozwiązać. Smutne to, zważywszy, że towarzystwa polskie w innych o wiele mniej polskich okolicach prosperują i wspomagają się, a tu obojętność rodaków, czy bojaźń przyznania się do narodowości polskiej doprowadzi nas do rozwiązania Towarzystwa”.

Taka dramatyczna decyzja nie zapadła. Stawiło się na zebraniu „około 20 członków”, którzy byli jednomyślni co do tego, by utrzymać „kółko”, „przyrzekli w przyszłości lepiej popierać”. 16 członków zapewniło, że na lekcje śpiewu regularnie będą uczęszczać. Zdecydowano, że do nieobecnych na zebraniu zostaną wysłane listy z informacją, że kolejna absencja skończy się wykluczeniem z towarzystwa, podobnie jak nieuregulowanie składek. „Być może, że z 80 członków zostanie 30, lecz członków, którzy przynajmniej pamiętać będą o tem, że są członkami, a nie tylko członkami z nazwiska, którzy się bądź z opieszałości, albo z bojaźni przyznania się, że są Polakami, w Towarzystwie wcale nie pokazują”. Uchwalono, że co trzecią niedzielę odbywać się będą posiedzenia kółka z odczytem. Poza tym jak co roku zostanie przygotowana gwiazdka dla biednych.

Redakcja „Gazety Toruńskiej” skomentowała tę wiadomość tak: „Prosimy wszystkich Wiarusów tamtejszych, by nie zrażali się atmosferą smutną i przygnębiającą (...) Niechaj śpiew polski i serdeczne stosunki towarzyskie powrócą ciepło i łączność, której Wam z duszy życzymy”.

Marta Chmieleńska

Milicjant konspiratorem

Marian Babiński - nieznaną historią konspiracji



Marian Babiński w 1946 roku, fot. archiwum rodziny



Tablica na budynku dworku w Zielonkach

Był upalny koniec czerwca 1946 roku. Pomorze, w tym też Dolne Powiśle, dźwigało się po zakończonej wojnie. W okolicach Sztumu i Malborka pełno było poniemieckich gospodarstw, które teraz przejęte zostały przez Polaków. W dworku Zielenice (obecnie Zielonki) mieścił się majątek państwowy administrowany przez Józefa Piątka. Jak się okazało, człowiek ten należał do siatki AK

działającej na tym terenie, a dzięki zeznaniom zatrzymanej kilka miesięcy wcześniej łączniczki 5. Wileńskiej Brygady AK, wiedział o tym także szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Malborku. Na jego biurko trafiły przysłane z województwa dane dotyczące administratorów ziemskich z okolic Sztumu współpracujących z partyzantką niepodległościową. Akcją ujęcia Józefa Piątka kierował szef PUBP w Malborku Zygmunt Ratajczak, a towarzyszyli mu st. sierżant Marian Babiński, ppor. Czesław Jabłoński i grupa dwunastu milicjantów z malborskiej Komendy Powiatowej. 28 czerwca, w piątek, udali się do Zielnic, szybko jednak dowiedzieli się, że Józefa Piątka nie ma na miejscu. Wówczas Ratajczak zabrał dwóch milicjantów i pojechał go szukać, reszta pozostała w majątku. Obaj młodzi pracownicy PUBP w Malborku podczas akcji byli po cywilnemu, miało to pomóc im w przeprowadzeniu wywiadu i - być może - ustaleniu konspiracyjnych powiązań w Zielenicach. Mężczyzna pracujący w majątku jako buchalter zaprowadził ich do pokoju na piętrze. Był to Jan Bieniak, konspirator i bliski współpracownik Piątka, który bez trudu domyślił się, że Babiński i Jabłoński są funkcjonariuszami bezpieczeństwa i postanowił pozbyć się nieproszonych gości. Zaproponował herbatę i poszedł po ukrytą broń. Po powrocie do pokoju zastrzelił obu funkcjonariuszy. Jabłoński zginął na miejscu od strzału w głowę, Marian Babiński trafiony został w lewą skroń. Kula przeszła mu przez dłoń, na której wspierał głowę, siedząc przy stole. Bieniak rzucił się do ucieczki. Początkowo chciał dotrzeć do dworku w Czerninie, gdzie pojechał Piątek i gdzie ukrywał się Zdzisław Badocha „Żelazny”. Widząc zaalarmowanych strzałami milicjantów, ukrył się w pobliżu. Został odnaleziony po dwóch dniach. Został skazany na karę śmierci. Wyrok został wykonany.

Na tle późniejszych wydarzeń, a mowa tu o przypadkowym zabiciu Zdzisława Badochy „Żelaznego”, który jako dowódca jednego ze szwadronów 5. Wileńskiej Brygady AK mjra Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, jednego z najgroźniejszych przeciwników resortu na Pomorzu w ciągu ostatnich miesięcy, śmierć Babińskiego i Jabłońskiego została wykorzystana propagandowo przez władzę ludową. Resort wystawił oba ciała na widok publiczny na

najwyższym pięttrze budynku, w którym obecnie mieści się hotel „Stary Malbork”. Po kilku dniach odbył się wielki pogrzeb, kondukt zawitał także do kościoła na mszę, ale wówczas nawet towarzysz Bolesław Bierut uczestniczył w procesji Bożego Ciała. Kondukt pogrzebowy przeszedł ulicami Malborka od obecnej 17 Marca przez Aleję Rodła i skierował się pod obecny Urząd Miasta i dalej do kościoła MBNP. Pogrzeb Mariana Babińskiego odbył się na cmentarzu przy ul. Jagiellońskiej, trumnę ze zwłokami Jabłońskiego rodzina zabrała po mszy do Gdyni.



Pogrzeb Mariana Babińskiego w Malborku w 1946 roku, fot. archiwum rodziny

Milicjant konspiratorem

W latach osiemdziesiątych, kiedy ówczesne władze potrzebowały bohaterów do wypełnienia miejsca w tzw. Alei Zasłużonych na cmentarzu na Wielbarku, zwłoki Mariana Babińskiego ekshumowano i przeniesiono na nowe miejsce. Spoczął tam w towarzystwie również przeniesionego z cmentarza na Jagiellońskiej milicjanta Mieczysława Śliwoniuka. Pomnik stał w tym miejscu spokojnie do 2010 roku, kiedy administrator cmentarza, porządkując sprawy finansowe nekropolii rozpoczął rozbiórkę od lat nieopłaconego grobu.

- Zobaczyłem rozebrany pomnik i postanowiłem spróbować zatrzymać rozbiórkę – mówi Robert Jamroz, mieszkaniec Malborka. - Od dawna zajmuję się historią partyzantki niepodległościowej i od wielu lat wiedziałem, że w tym miejscu pochowany jest ten funkcjonariusz, który zginął w Zielenicach. Kiedyś przez przypadek przejrzałem teczkę personalną Babińskiego i trafiłem tam na wiele ciekawych informacji. To co zainteresowało mnie najbardziej to notatka o tym, że w 1948 roku, a więc 2 lata po śmierci Babińskiego Wydział ds. Funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego wpadł na trop swoich ludzi współpracujących z organizacją Wolność i Niezawistość, wśród nich był też Babiński. Przeprowadzona kwerenda w aktach rzeszowskiego dostarczyła niezbitych dowodów na bohaterską działalność grupy agentów WiN-u w szeregach Urzędu Bezpieczeństwa.

Cała historia rozpoczęła się w jesieni 1944 roku w Rzeszowie, pracujący od niedawna w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego Stanisław Ludwikowski, żołnierz Samoobrony Wołyńskiej nawiązał kontakt z Katarzyną Fuglewicz, ps. „Jadwiga”. Kobieta działała w komórce wywiadu Obwodu AK Rzeszów, była jedną z osób zajmujących się rozpracowywaniem tworzących się organów bezpieczeństwa. Ludwikowski od razu zgodził się



Rodzina Mariana Babińskiego przy grobie Mariana, fot. M. Chmielińska

na współpracę. Nie posiadał jednak dojścia do informacji najbardziej interesujących podziemie, wszak był tylko starszym kurierem w wydziale poczty specjalnej. O nawiązanych kontaktach informował swojego kolegę z Samoobrony – Mariana Babińskiego. Ten, podobnie jak Ludwikowski, do pracy w UB wstąpił wkrótce po zajęciu tych terenów przez Sowietów. Co skłoniło tych ludzi do

pracy w resorcie? Czy działali na polecenie organizacji? Istnieją bowiem wyraźne instrukcje, aby żołnierze AK przenikali do tworzących się organów władzy. Może sądzili, że sytuacja polityczna niebawem się zmieni i w ten sposób będą mogli służyć dalej krajowi? Tego zapewne nie dowiemy się już nigdy. Na pewno nie przekonują ich idee komunizmu, świadczy o tym ich zaangażowanie w pracę wywiadowczą dla podziemia, do której przystępują niemalże od razu po wstąpieniu do UB. Obaj pochodzą z patriotycznych polskich rodzin z Wołynia, obaj służyli w lokalnych oddziałach Samoobrony Wołyńskiej, gdzie bronili polskiej ludności w czasie ukraińskich rzezi, obaj wreszcie odnieśli ciężkie rany w trakcie tych walk.

Referent w Urzędzie Bezpieczeństwa

Babiński pracuje w referacie d/s walki z bandytyzmem. Jego informacje są najcenniejsze. To w jego dziale planuje się akcje przeciwko podziemiu, tam spływają meldunki informatorów i informacje zdrajców o członkach organizacji. Meldunki przekazywane przez Babińskiego i Ludwikowskiego są tak cenne dla organizacji, iż osobiście chce ich poznać ówczesny szef wywiadu i kontrwywiadu, a także zastępca komendanta Obwodu AK Rzeszów - Mieczysław Kawalec, ps. „Żbik” i „Iza”. Na spotkaniu, które ma miejsce w pierwszych dniach stycznia 1945 roku, Kawalec odebiera od nich przysięgę, a także nadaje im pseudonimy - Ludwikowski to „99”, Babiński „98”.

Praca wywiadowcza rozkręca się na dobre. W ręce wywiadu AK trafiają plany budynków, więzień i aresztów UB, informacje o liczebności i obsadzie posterunków ochronnych, godzinach zmian wart, hasłach itp. Operujące na Rzeszowszczyźnie oddziały podziemia są uprzedzane o planowanych przeciwko nim obławach i akcjach. Osoby zagrożone aresztowaniem są informowane o fakcie zainteresowania nimi bezpieki. Babiński do współpracy pozyskuje kolejną osobę zatrudnioną w WUBP. Jest to Stanisław Graczkowski, pseudonim „97”, a wkrótce po nim do działalności wciąga Franciszka Topolskiego, pseudonim „96”, jednak ten niedługo po rozpoczęciu pracy wywiadowczej ginie w trakcie walki z oddziałem partyzanckim AK, na jego

miejsce niestrudzony Babiński znajduje kolejnego funkcjonariusza resortu - Mieczysława Dzieniowskiego, który po zabitym Topolskim otrzymuje jego pseudonim. Z Dzieniowskim i Graczkowskim kontakt utrzymuje tylko Babiński, on też odbiera od nich meldunki i przekazuje poprzez „Jadwigę” – Kawalcowi.

Praca w konspiracji

W pierwszych dniach kwietnia 1945 roku przygotowywana jest wielka akcja napadu na UB w Rzeszowie i uwolnienie wszystkich więźniów. Kluczową rolę do odegrania mają tu nasi agenci, do nich należy unieszkodliwienie posterunków, odcięcie łączności oraz sparaliżowanie plutonu ochrony. Kiedy wszystko było związane na ostatni guzik, akcja zostaje w ostatniej chwili odwołana z powodu awarii samochodów wiozących do Rzeszowa grupy szturmowe. Planowana akcja była jedną z wielu, do jakich doszło na terenie całej Polski w pierwszych dniach maja 1945 roku, kiedy to zdobyto wiele siedzib UB oraz uwolniono wielu aresztowanych żołnierzy podziemia.

Komendant Obwodu AK Rzeszów, przemianowanego po rozwiązaniu Armii Krajowej na Delegaturę Sił Zbrojnych Obwód Rzeszów, w uznaniu zasług Ludwikowskiego i Babińskiego występuje z wnioskiem o pochwałę, awans i nagrodę dla konspiratorów. Nie zachowały się do dnia dzisiejszego żadne materiały, z których by wynikało, czy istotnie zostali nagrodzeni i awansowani. Ich praca trwa nadal. W kwietniu 1945 roku doprowadzają do uwolnienia pilnie strzeżonego więźnia jakim jest Maciołek vel Wolny Józef, szef lokalnej organizacji. Ponieważ jest on szczególnie chroniony ze względu na jego ważność dla UB, agenci przemycają do celi środki farmakologiczne, dzięki którym Wolny może symulować gwałtowny atak choroby. Przewieziony w trybie nagłym do szpitala, zostaje odbity przez czekający tam patrol dywersyjny.

Niebezpieczny agent „Szarotka”

W maju 1945 roku konspiratorzy przekazują informację o szczególnie groźnym agencie UB o pseudonimie „Szarotka”, który z racji swojej wcześniej przynależności do AK informuje bezpiekę o ukrywających się żołnierzach podziemia. Ponieważ jego wielokrotnie składane meldunki dzięki Babińskiemu i Ludwikowskiemu nie są wykorzystywane przez UB, chce się koniecznie widzieć z szefem rzeszowskiego urzędu, aby zapytać o powód bezczynności resortu. Wskazany przez naszych konspiratorów zostaje zlikwidowany przez komórkę likwidacyjną. W pierwszych dniach maja 1945 roku z UB dezertuje Mieczysław Dzieniowski. Nie wiadomo na razie, czy nie wytrzymał olbrzymiego stresu związanego z działalnością wywiadowczą, czy też po prostu miał dość służby w resorcie.

Przydział do Malborka

W listopadzie 1945 roku Marian Babiński zostaje wysłany do Centralnej Szkoły Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi, wcześniej, bo w czerwcu 1945 jest za dobrą służbę w organach bezpieczeństwa (!) nagrodzony oraz awansowany na stopień starszego sierżanta. Po ukończeniu kursu prosi o przydział do jednostki w Malborku, ponieważ tutaj przebywa cała jego rodzina, która została ewakuowana z Wołynia, dziwnym zrządzeniem losu w pobliskich Lasowicach Wielkich pod Malborkiem (wtedy jeszcze Leżwiczach Wielkich) osiada rodzina Stanisława Ludwikowskiego. Babiński za wszelką cenę chce być z rodziną, bowiem w grudniu 1945 roku w Malborku umiera przedwcześnie jego ojciec Dominik. Matka wraz z trzema młodszymi od Mariana siostrami są w trudnej sytuacji finansowej. Właściwie jest on jedynym żywicielem rodziny. Decyzją przełożonych, wiosną 1946 rozpoczyna pracę w PUBP w Malborku, składa raporty o zwolnienie ze służby, jego kontakty z organizacją Wolność i Niezawisłość, po wyjeździe z Rzeszowa urwały się.

Ostatnia akcja

Na swoją ostatnią akcję został ściągnięty z urlopu. Na skutek zdrady łączniki majora „Łupaszkii”, WUBP uzyskał informację o administratorach Państwowych Majątków Ziemskich pod Sztumem, szczególnie jeden z nich - Piątek vel Platkowski - jak wynika z uzyskanych materiałów, od dawna udziela pomocy działającej na tym terenie V Wileńskiej Brygadzie AK. 28 czerwca 1946 roku szef PUBP w Malborku Zygmunt Ratajczak otrzymuje polecenie zatrzymania Piątka, mieszkającego w nieodległych Zielenicach... Jest to koniec drogi Mariana Babińskiego. Na budynku dawnego majątku wciąż istnieje tablica informująca o jego śmierci, jako funkcjonariusza MO.

Co stało się z pozostałymi konspiratorami w szeregach UB? Jesienią 1945 z resortu odszedł Stanisław Graczkowski i wrócił w rodzinne strony do województwa bydgoskiego. W pierwszych dniach lutego 1946 z UB zwolnił się Stanisław Ludwikowski. Przez pewien czas mieszkał z rodziną pod Malborkiem. Z relacji rodziny wiemy, że bardzo przeżył śmierć swojego przyjaciela Mariana Babińskiego. W późniejszych latach obie rodziny połączyły się więzami małżeńskimi.

W pierwszych dniach lutego 1948 roku w ręce Urzędu Bezpieczeństwa wpadł Mieczysław Kawalec „Żbik”, który przez pewien czas, po aresztowaniu ppłk. Łukasza Ciepłińskiego pełnił funkcję prezesa IV Zarządu WiN. Poddany okrutnemu śledztwu i torturom, w czasie których podawano mu nawet bardzo silne leki psychotropowe, wyjawiał fakt współpracy z funkcjonariuszami UB. Zeznania innych osób, pozwoliły resortowi na zgromadzenie wiedzy o całej działalności grupy. Aresztowano Graczkowskiego i Ludwikowskiego,

za Dzieniowskim rozesłano listy gończe. Ludwikowski i Graczkowski zostali aresztowani w kwietniu 1946 roku i przewiezieni do Warszawy, gdzie przed Wojskowym Sądem rejonowym w dniu 30 listopada 1948 roku zapadły wyroki. Ludwikowski został skazany na karę śmierci natomiast Graczkowski na karę 15 lat pozbawienia wolności za: „przestępstwa z art 1 Dekretu z dnia 30.10.1944 roku popełnionego w ten sposób, że w Rzeszowie będąc funkcjonariuszami Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Rzeszowie brali udział w nielegalnych związkach A.K. A później „Delegatura Sił zbrojnych na kraj” mających na celu obalenie demokratycznego ustroju Państwa Polskiego.” (pisownia oryginalna). W wyniku wniesionych próśb o ułaskawienie, kara śmierci wymierzona Ludwikowskiemu została zamieniona na więzienie. Obaj odzyskali wolność w 1956 roku.

W aktach zachowały się niektóre meldunki, jakie składali agenci wywiadowi AK, są tam listy aresztowanych, nazwiska i adresy konfidentów, terminy planowanych akcji przeciwko partyzantom, nazwiska osób, które będą aresztowane, terminy transportów jakimi będą z Rzeszowa wywożeni aresztowani polscy patrioci. Są też meldunki opisujące sposoby wejścia do więzień i siedzib UB, a nawet tak wydawałoby się niewiele znacząca informacja, jak miejsce ukrycia przycisku otwierającego zamykane elektromagnesem drzwi... W jednym z meldunków przechwyconych przez UB najprawdopodobniej w kierownictwie IV Zarządu WiN, a napisanych przez kogoś z kierownictwa wywiadu WiN obwodu Rzeszów, znajduje się informacja z której wynika, że dzięki działalności Babińskiego i Ludwikowskiego około 90 proc. akcji przeciwko podziemiu w okresie ich działalności, a więc od września 1944 do października 1945 na terenie WUBP w Rzeszowie, było nieudanych. Trudno jest nam dzisiaj precyzyjnie ocenić i przełożyć pracę tych dzielnych ludzi na ilość ocalonych konspiratorów - ocalonych czy też uratowanych od fizycznej likwidacji, wyroków śmierci, czy też kar długoletniego więzienia. Dobrze się stało, że dzięki miłośnikom historii udało się im przywrócić należne miejsce w historii oporu i walki z komunistycznym terrorem i stalinowskim zniewoleniem.

Epilog

Dzięki interwencji Roberta Jamroza, w tym zamieszczonemu w „Gazecie Malborskiej” artykułowi jego autorstwa o nieznanym bohaterze, sprawą zainteresowały się władze miasta, które po otrzymaniu informacji z Instytutu Pamięci Narodowej obiecały zająć się tym tematem. W sprawę zaangażowało się także malborskie koło Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, którego przewodniczący, Piotr Szwedowski w porozumieniu z Andrzejem Rychłowskim, burmistrzem miasta i Mirosławem Żołądeckim, administratorem cmentarza zaplanował dużą uroczystość mającą upamiętnić tę postać.

10 listopada 2011 roku w obecności rodziny Mariana Babińskiego, władz miasta, młodzieży szkolnej i mieszkańców został odsłonięty i poświęcony pomnik, na którym napis przypomina o prawdziwej drodze i życiu tego człowieka.

Mirośław Melerski

Dzieje pewnego imadła



Melerski Wiktor i rodzina w Ćiechocinku w 1954 roku, fot. archiwum rodzinne

Mój ojciec, Wiktor Melerski (1914 -1996) był żołnierzem Wojska Polskiego w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku. Zmobilizowany został w sierpniu do jednostki w Bydgoszczy. Po wybuchu wojny wraz z innymi żołnierzami trafił do Twierdzy Modlin, skąd przedzierał się ze swoją jednostką do Rumunii. Tam został internowany i osadzony w obozie na Węgrzech, gdzie przebywał do zakończenia drugiej wojny światowej.

Po powrocie do kraju otrzymał pozwolenie od ówczesnych władz państwowych na pozyskiwanie mienia po wojsku niemieckim na Mierzei Wiślanej. Generalnym celem jego penetracji było pozyskiwanie samochodów ciężarowych. Wraz z kolegami i przyszłymi współnikami firmy transportowej „STOKÓŁ” zwiózł transportem kolejowym do Lipna (w pobliżu Włocławka), gdzie wówczas mieszkaliśmy, 12 samochodów ciężarowych pozostawionych przez wojska niemieckie.

W mojej dziecięcej wówczas pamięci utkwiał fakt, jak ojciec opowiadał, że w okolicach Suchacza, w przydrożnych rowach leżały jeszcze szkielety ofiar wojny. Dookoła pełno było pozostawionych karabinów, hełmów i innego sprzętu, np. w jednym miejscu natrafili na stertę akumulatorów. Okolice były jak wymarłe. Oprócz strażnic wyzwolicieli, żołnierzy Armii Czerwonej, tylko ślady chaosu wojennego. Przed kontrolami i rewizjami ze strony Rosjan ratowała ich bańka samogonu z Kujaw i zabrane własny prowiant.

W trakcie tych poszukiwań ojciec wraz ze kolegami przebywał również na terenie zniszczonego wówczas byłego obozu Stutthof. Był to rok 1946. Podczas pobytu na terenie dawnego obozu, jak mi opowiadał, znalazł i zabrał imadło, które zamontował w swoim garażu w Lipnie. Używał je przez wiele lat.

W roku 1954 lub 1955 do ojca przyszedł jego kolega - współnik Roman Tarnowski, także mieszkaniec Lipna, mechanik samochodowy i prywatny przedsiębiorca transportu ciężarowego. Spotkanie odbyło się w garażu. Roz-

mawiali jak zwykle o swojej pracy, samochodach i trudach codzienności. W pewnym momencie Roman Tarnowski nagle zasłabł. Po ocuceniu go Tarnowski zapytał mojego ojca:

- Wiktor, skąd masz to imadło?

- Z dawnego obozu koncentracyjnego Stutthof - odpowiedział zgodnie z prawdą.

- A czy ty wiesz, że ja na tym imadle pracowałem przez kilka lat w tym obozie? - odpowiedział.

Ojciec nie krył zaskoczenia, bo cóż to za niezwykle zrzędzenie losu, że przypadkowo znalezione imadło przez wiele lat było narzędziem pracy w tak strasznym miejscu, jak Stutthof. Zaproponował oczywiście, że odda je koledze, może na pamiątkę. Tarnowski zdecydowanie odmówił.

-tu wstawić zdjęcie imadła-możan je oblać tekstem

Tę opowieść usłyszałem od Ojca jeden raz, kiedy przedstawiciele władzy ludowej przybyli do naszego domu w Lipnie i skonfiskowali ojcu sześć wyremontowanych już samochodów ciężarowych, na których gromadzenie wcześniej wyrazili zgodę. Nakazali również zakończyć prywatną działalność gospodarczą.

W roku 1996 zmarł mój ojciec, a imadło trafiło do mnie. W Lipnie już nie mieszkam od wielu lat, ale ta przedziwna „pamiątka ze Stutthofu” wędruje ze mną. Odszyfrowałem inskrypcje z imadła: wyraźnie widoczne są cyfry i litery- 125?? 571, BERLIN. LUD.LOEW & Co.AG. Wyjaśnień szukałem w Muzeum Stutthof, skąd otrzymałem poniższe potwierdzenie: „Nawiązując do naszej rozmowy telefonicznej chciałabym Pana poinformować, że Roman Tarnowski był więźniem KL Stutthof od 22.05.1943 r. Miał on numer obozowy 23 159. Adres jego zamieszkania zgadza się z podanym przez Pana, więc jest to ta sama osoba.”

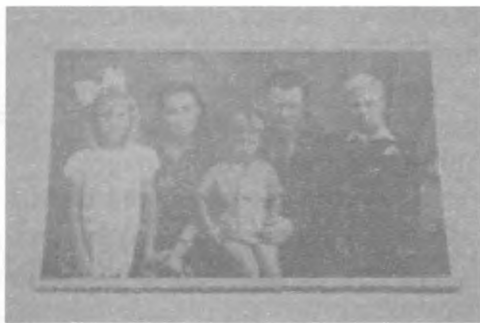
I w zasadzie mógłbym zakończyć historię imadła ze Stutthofu. Ale ta ojcowska opowieść sprzed lat obudziła w mnie chęć głębszego poznania obozowych losów Romana Tarnowskiego. Dzięki przychylności pracowników Muzeum Stutthof udało mi się zdobyć skany zachowanych dokumentów obozowych więźnia Romana Tarnowskiego. Na stronie internetowej www.historycy.org trafiłem na informację, że Roman Tarnowski, pseudonim „Pancerz”, od 1942 roku był komendantem Armii Krajowej w Lipnie. 5 maja 1943 roku w wyniku obławy Gestapo znaczna część konspiracyjnej siatki AK Rejonu Lipno została aresztowana. W tej grupie znalazł się również Tarnowski.



Imadło z historią, fot. Max Melerski



Roman Tarnowski w 1927 r,
fot. archiwum rodzinne



Roman Tarnowski z rodziną w 1946 roku,
fot. archiwum rodzinne

Takiej informacji nie można było już zbagatelizować. Zachęciło to mnie do dalszych poszukiwań. Pojechałem do Lipna. Dzięki pomocy mojej kuzynki Hanny Kuberskiej dowiedziałem się, że nikt z rodziny Romana Tarnowskiego nie mieszka od lat w Lipnie. Jedynym dzieckiem, które jeszcze żyje jest córka, pani Krystyna Krzeszewska zamieszkała w Piszcu. Po wielu telefonach udało nam się w końcu spotkać w Warszawie, u córki. Wybrałem się tam z synem Maksymilianem, który wspomagał mnie jako fotograf. Rodzina wyraziła zgodę na rozmowę i przekazanie do publikacji zdjęć i pamiątek po ojcu i dziadku.

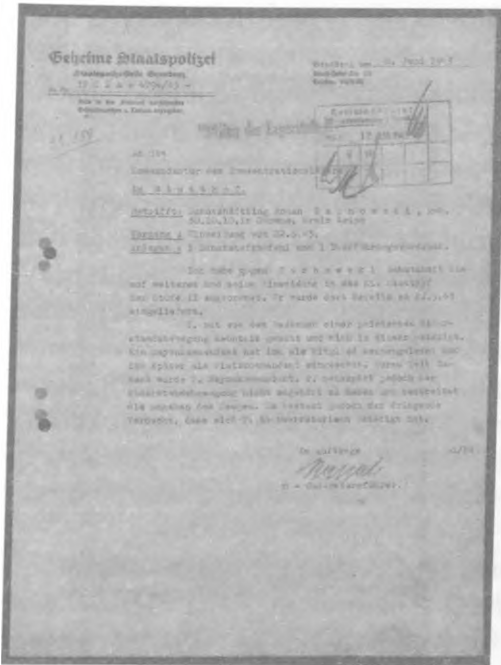
Jak Roman Tarnowski trafił do Stutthofu?

Roman Tarnowski urodził się 30 grudnia 1910 roku w miejscowości Osówka w powiecie lipnowskim. Rodzicami jego byli Jan i Józefina z domu Zielska. W momencie aresztowania mieszkał w Lipnie przy ulicy Wolności 44. Z zawodu był ślusarzem - mechanikiem. Żonaty z Kazimierą z domu Marciniak. Był ojcem trojga dzieci – dwóch synów Jerzego i Andrzeja oraz córki Krystyny.

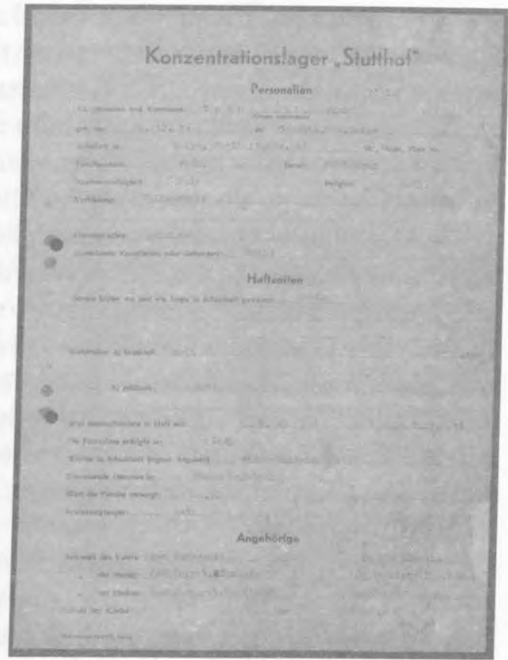
W karcie obozowej „Konzentrationslager Stutthof – Personalien” wpisana jest data aresztowania Tarnowskiego przez Gestapo w Grudziądzu w dniu 6 maja 1943 roku.

Dokument drugi wystawiony przez Gestapo w Grudziądzu, datowany na 8 czerwca 1943, podpisany przez Untersturmführera Rassatz (?) - podpis nieczytelny, zawiera informacje, że Roman Tarnowski został przetransportowany do obozu koncentracyjnego Stutthof 22 maja 1943 roku. Zakwalifikowany do Lagerstufe II, jako więzień polityczny. W uzasadnieniu powodu aresztowania i skierowania do obozu koncentracyjnego czytamy:

„T. (Tarnowski) wiedział o istnieniu polskiego ruchu oporu i brał w nim udział. Komendant rejonu poznał go, jako członka ruchu oporu i później powołał go na miejscowego komendanta. W krótkim czasie po tym Tarnow-



Dokument Gestapo o aresztowaniu Romana Tarnowskiego, fot. archiwum Muzeum Stutthof



Obozowa karta personalna Romana Tarnowskiego, fot. archiwum Muzeum Stutthof

ski został komendantem rejonowym. T. (Tarnowski) twierdzi, że nie należał do żadnej organizacji ruchu oporu i podważa zeznania świadka. Jednakże istnieje poważne podejrzenie, że Tarnowski brał udział w wysoce niebezpiecznych, zdradzieckich działaniach.”

Z uzasadnienia funkcjonariusza Gestapo jasno wynika, że Roman Tarnowski został zdradzony i wydany przez innego członka ruchu oporu. Fakt ten potwierdza w rozmowie córka Krystyna: Po wojnie przyszedł do ojca ten, który go zdradził. Prosił ojca o wybaczenie. Twierdził, że też był bity i torturowany, skazany do innego obozu lub więzienia, Prosił również ojca, aby poświadczył jego zaangażowanie w ruch oporu, ponieważ ubiegał się o uznanie jego jako więźnia politycznego, aby mógł być przyjęty do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD). Ojciec nie wybaczył mu tej zdrady i nie poświadczał. Opowiadał nam, że po kilku dniach uwięzienia wprowadzono go do sali, w której za stołem siedział denuncjator przy pełnym talerzu dymiącej jajeczniczy. Gestapowiec zapytał go, czy to jest komendant? Odpowiedź była potwierdzająca. Ojciec nie przyznawał się i wówczas Gestapowiec nakazał zdrajcy przysięgać na krzyż, że mówi prawdę. Na ten sam krzyż przysięgał ojciec, że nie jest prawdą, że był aktywnym członkiem ruchu oporu.

W chwili aresztowania Romana Tarnowskiego jego córka Krystyna miała siedem lat. Do dziś pamięta tamten dzień: „Szliśmy z mamą i moim bliźniaczym bratem Jerzym do kościoła na nabożeństwo majowe. Przed kościołem w Lipnie podszedł nieznany nam mężczyzna Polak i powiedział mamie, że ojca aresztowało Gestapo. Mama zostawiła nas samych przed kościołem na ulicy i pobiegła do mieszkania. Mieszkaliśmy wtedy, po wysiedleniu, na dzisiejszej ulicy 15 Grudnia w byłych koszarach. W kuchni, pod podłogą była skrytka, w której tata przechowywał dokumenty i „bibułę” AK, zanim przyszło Gestapo dokonać rewizji, mama zdążyła zniszczyć zawartość schowka. W siedzibie Gestapo w Lipnie pracowały Polki, jako sprzątaczk i to one mówiły mamie, że ojciec został strasznie pobity i torturowany. Nie mógł leżeć ani na plecach, ani na brzuchu, jedynie klęczał i opierał się na łokciach, ociekał krwią. Do końca życia odczuwał ból w barku. Wieszano go za związane ręce. Cierpiał też na bóle głowy, na której miał kostniak, ślad po torturach kąpiącej wody.”

W obozie koncentracyjnym Roman Tarnowski pracował w warsztacie i w cegielni. Robiono na nim eksperymenty medyczne. Żona wiedziała, że panuje w obozie straszny głód. Z rodzinnych przydziałów wysyłała paczki żywnościowe. W wydrążonym bochenku chleba przysyłała mu zdjęcia dzieci i wiadomości. W trakcie pracy w warsztacie, między innymi przy użyciu imadła, Roman Tarnowski wykonał wiele oryginalnych metalowych ozdób, które dziś stanowią cenną po nim rodzinną pamiątkę.



Pamiątki obozowe (zapalniczka, krzyżyk, serduszek, podkowa) Romana Tarnowskiego w rodzinnych zbiorach, fot. Max Melerski

Krótko przed wyzwoleniem KL Stutthof Roman Tarnowski zachorował na czerwonkę. Choroba wyniszczyła jego organizm do tego stopnia, że został uznany za zmarłego i skierowany wraz z innymi ciałami do spalenia w obozowym krematorium. Na stercie trupów inni więźniowie odkryli, że Tarnowski oddycha. Wynieśli go z grupy nieżyjących więźniów i ukryli w baraku. Kiedy nastąpił marsz śmierci, pomogli mu iść podtrzymując go lub nawet niosąc. Kiedy nie miał już siły dalej iść, został położony gdzieś w przydrożnym rowie. Jakimś cudem, nie dobity przez strażników, uratował go rolnik - Niemiec. Zaopiekował się wynędzniałym Tarnowskim, pomógł powrócić do zdrowia i sił, pielęgnował przez kilka miesięcy.

Roman Tarnowski powrócił do Lipna dopiero w maju 1945 roku. - Traciliśmy nadzieję, że wróci - opowiada córka Krystyna - było już ciepło, maj 1945, przyszedł w ubraniu obozowym i w czapce pasiaku z węzełkiem w dłoni. Bawiłam się z bratem na podwórku, poznałam go od razu, był to dla nas szok i olbrzymia radość, bo inni więźniowie, którzy wracali w styczniu mówili mamie, że widzieli, jak zginął w obozie, inni twierdzili, że w marszu śmierci. Wrócił do nas, do rodziny z opóźnieniem, ale wrócił i przyniósł nam obozowe prezenty wykonane własnoręcznie.

Komisja lekarska stwierdziła u Romana Tarnowskiego 80 proc. utraty zdrowia. Otrzymał odszkodowanie za bycie królikiem doświadczalnym.

To nie był jednak koniec jego udręki. Jako były AK-owiec, mimo obozowego udokumentowanego doświadczenia, Roman Tarnowski był dla władzy ludowej podejrzanym osobnikiem. W dodatku po wojnie Tarnowski należał do PPS-u (a nie jak należało do PPR - u). Po przymusowym zjednoczeniu PPS z PPR i powstaniu PZPR w 1948 roku, Tarnowski oddał legitymację PPS i nie wstąpił do nowej partii. Dlatego pod koniec lat 40-tych i do połowy 50-tych często był przetrzymywany po kilka dni w siedzibie Urzędu Bezpieczeństwa, szczególnie przy okazji świąt państwowych. I tu smutny chiochot historii, bo ówczesny areszt UB znajdował się w dawnej siedzibie Gestapo w Lipnie.

Zapytałem Panią Krystynę, czy ojciec był w Stutthofie po wojnie? Odpowiedziała, że jeździł tam z własnej woli trzy albo cztery razy. Pierwszy raz pojechał ze swoim, jedynym bratem Czesławem Tarnowskim i jego żoną Angielką Gladys, która zemdlła na widok krematorium. Czesława Tarnowskiego wybuch drugiej wojny światowej zastał na pokładzie statku. Wracał z Argentyny, gdzie udał się w celach spadkowych po zmarłym ojcu. W Anglii do zakończenia wojny był mechanikiem w Dywizjonie 301. Innym razem Roman Tarnowski odwiedzał obóz wraz z żoną i dziećmi.

Roman Tarnowski zmarł w 2007 roku w Toruniu. Rodzina do dziś przechowuje z należną czcią pamiątki po ojcu i dziadku.

Imadło mojego Ojca - i jak się okazało obozowe narzędzie pracy przymusowej Romana Tarnowskiego - znajduje się wśród moich rodzinnych pamiątek. Z pewnością Muzeum Stutthof byłoby godniejszym miejscem jego ekspozycji.

Tomasz Kukowski

Oddziały polityczno – obronne na Powiślu w okresie stanu wojennego¹.

Oddziały polityczno – obronne, zwane w początkowym okresie swej działalności grupami bądź Oddziałami Samoobrony, powstawały w Polsce Ludowej w okresie tzw. „zagrożenia solidarnościowego”. Organy partyjne, wytwarzając nieustannie poczucie zagrożenia dla członków partii, jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego, dążyły do skonsolidowania swoich szeregów. Jednym ze sposobów było właśnie powołanie do życia przez I Sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Elblągu oddziałów samoobrony; w skład których weszli: podoficerowie i oficerowie rezerwy MO i SB, podoficerowie i oficerowie rezerwy Związku b. Żołnierzy Zawodowych Wojska Polskiego, aktyw społeczno – polityczny, członkowie Związku Bojowników o Wolność i Demokrację oraz członkowie organizacji młodzieżowych.

Oddziały Polityczno–Obronne były organizowane przez Komitet Wojewódzki, instancje partyjne pierwszego stopnia oraz komitety zakładowe PZPR. Członkowie tych grup mieli być dokładnie sprawdzeni pod kątem pewności zachowania w przypadku, jak określano, kiedy zajdzie potrzeba wydania broni, a co za tym idzie prawdopodobnie z możliwością jej użycia.

Już 5.12.1981 r. szyfrogramem wysłanym do wydziału organizacyjnego KC PZPR w Warszawie, poinformowano o planie zorganizowania grup samoobrony przy KW PZPR w Elblągu. Grupy te miały powstać przy Komitetach Miejskich w: Elblągu, Malborku, Kwidzynie, Braniewie, w większych zakładach pracy jak: Zakłady Mechaniczne Zamech w Elblągu czy Elbląskie Zakłady Napraw Samochodowych itp. Nadzór nad tworzonymi grupami samoobrony sprawować miał Sztab Batalionu Samoobrony, z siedzibą w Elblągu, w hotelu „Żuławy”. Sztab koordynował i nadzorował działalność wszystkich kompanii.

Oddziały zorganizowane były jak jednostki paramilitarne, opierając swą organizację na strukturze kompanii, plutonów i drużyn. W skład Batalionu Samoobrony województwa elbląskiego wchodziły kompanie, składające się z pododdziałów po maksymalnie 3 plutony w danej kompanii. Oddziały tworzone były na szczeblu województwa, miasta, gminy i zakładu pracy. Na szczeblu komitetu wojewódzkiego i komitetów miejskich funkcjonowały kompanie, natomiast poniżej, tj. na szczeblu komitetów miejsko–gminnych działały oddziały. Służba w oddziałach odbywała się w czasie wolnym od pra-

¹ Dane na ten temat zostały zaczerpnięte z akt zespołu: Komitet Wojewódzki PZPR w Elblągu z lat 1975 – 1990, przechowywanego w Archiwum Państwowym w Elblągu z siedzibą w Malborku.

cy, a w szczególnych warunkach nawet w godzinach pracy. W czasie pełnienia służby członkowie oddziałów mieli nosić opaskę biało-czerwoną z napisem „PRL”. Opaska oznaczona była pieczęcią ORMO. Już od połowy lutego 1982 r. każdy z członków zobowiązany był do posługiwania się legitymacją członka ORMO z zapisem przynależności do oddziału polityczno-obronnego.

Według Komitetu Centralnego PZPR, Oddziały Samoobrony pełniły zarówno działalność polityczną, jak i spełniały funkcje w zakresie obrony zasad ustrojowych PRL. Jednak do 1982 funkcjonowały w sposób nieusankcjonowany prawnie. Legitymizację działalności tej organizacji kierownictwo partii podjęło dopiero w początkach 1982 r. na podstawie art. 4, ust. 2 ustawy z 13.06.1967 r o Ochotniczej Rezerwie Milicji Obywatelskiej, z którego miało wynikać, iż w jej strukturach mogą działać stworzone specjalistyczne jednostki obejmujące członków o odpowiednich kwalifikacjach i ... zainteresowaniach. W okresie stanu wojennego wobec specjalistycznych jednostek ORMO miały mieć zastosowanie postanowienie wynikające z Uchwały Nr 262 Rady Ministrów z 12.12.1981 r. Po zakwalifikowaniu przez Komitet Centralny PZPR Oddziałów Samoobrony jako specjalistycznych jednostek ORMO, nadano im nazwę „Oddziały Polityczno-Obronne”. Fakt zmiany nazwy i statusu prawnego żadną miarą nie wpłynął na zmianę dotychczasowej struktury oraz profilu działania. Miał jednak wpływ na stan ilościowy oddziałów.

Podstawowymi zadaniami oddziałów polityczno-obronnych, jako specjalistycznych oddziałów ORMO, było prowadzenie działalności polityczno-propagandowej i obronnej, zwalczania wrogiej propagandy i dywersji, ochrona działalności organizacji politycznych i społecznych oraz organów władzy ludowej, współdziałanie z siłami porządkowymi w zapewnieniu bezpieczeństwa obywateli i porządku publicznego, zwłaszcza w zakładach pracy i w miejscu zamieszkania. Takie rozwiązanie wpłynęło jednak na zmniejszenie stanu osobowego oddziałów. Umocowanie prawne tych oddziałów jako specjalistycznych grup ds. polityczno-obronnych ORMO doprowadziło do tego, że część członków nie wyraziła zgody na dalszą działalność pod sztandarami ORMO.

W myśl ogólnych wytycznych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Komitetu Centralnego PZPR, ażeby prowadzić odpowiedni nadzór nad działalnością oddziałów polityczno-obronnych, sekretarze KW mieli pełnić funkcje przewodniczących społecznych komitetów ORMO. Kadre dowódczą, w tym zastępców dowódców do spraw politycznych oraz kadre instruktorską oddziałów powoływał Wojewódzki Społeczny Komitet ORMO na wniosek Sekretariatu KW PZPR. Organem sprawującym kierownictwo polityczne i bezpośredni nadzór nad polityczno-propagandową działalnością oddziałów był Wydział Administracyjny Komitetu Wojewódzkiego PZPR w

Elblągu. Natomiast, jako jednostki podległe ORMO, w sprawach ochrony porządku publicznego oddziały polityczno–obronne kierowane były przez Komendy Wojewódzkie Milicji Obywatelskiej.

Rekrutacja członków do oddziałów polityczno–obronnych odbywać się miała spośród członków PZPR i aktywu robotniczego. Członkiem oddziału polityczno–obronnego mógł zostać każdy obywatel powyżej 18 roku życia, rekomendowany przez macierzystą komórkę Podstawowej Organizacji Partyjnej. W oddziałach chętnie widziany był także udział członków Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Demokratycznego oraz bezpartyjnych.

Oddziały Polityczno – Obronne na terenie byłego województwa elbląskiego zorganizowane były w 6 kompanii. Na Powiślu działały w: Malborku – kompania nr VI, w skład której oprócz sił miasta i gminy Malborka wchodziły plutony miejsko–gminne i gminne Nowego Stawu, Starego Pola, Miłoradza i Lichnów; Kwidzynie – kompania nr VIII, w skład której oprócz sił miasta i gminy Kwidzyna wchodziły plutony miejsko–gminne i gminne Susza, Prabut, Kisielic, Gardeji, Ryjewa i Sadlinek; Sztumie – kompania nr X, w skład której oprócz sił miasta i gminy Sztum wchodziły plutony miejsko–gminne i gminne Dzierzgonia, Starego Dzierzgonia, Mikołajek Pomorskich i Starego Targu.

Poszczególne pododdziały podlegały bezpośrednio pierwszym sekretarzom Komitetów Miejsko–Gminnych i Gminnych PZPR, a w strukturze województwa dowództwu Batalionu, natomiast siedzibą dowództwa pododdziałów były siedziby podstawowych instancji partyjnych.

Praca oddziałów polityczno–obronnych w terenie wiązała się w głównej mierze z przeprowadzaniem patroli, zabezpieczaniem budynków partyjnych oraz kontroli zakładów pracy mających na celu wyszukiwanie szkodnictwa, partactwa i niegospodarności. Na to ostatnie, główny nacisk kładły oddziały w Dzierzgoniu. Przeprowadzały szereg kontroli zakładów wykazując niegospodarność czy brak właściwego zabezpieczenia mienia zakładów pracy. Kontrole prowadzone w jednostkach i instytucjach gminy, zwłaszcza w Spółdzielniach Kółek Rolniczych, Państwowych Gospodarstwach Rolnych czy Gminnych Spółdzielniach Samopomoc Chłopska, dotyczyły ładu, porządku publicznego i dyscypliny społecznej. Z kontroli tych sporządzane były nawet protokoły z zaleceniami usunięcia rozpoznanych uchybień. Jednak w pierwszych dniach stanu wojennego, oddziały w Dzierzgoniu przede wszystkim zajmowały się informowaniem społeczeństwa o treści dekretu Rady Państwa o stanie wojennym, także poprzez rozwieszanie plakatów i ogłoszeń. Dodatkowo w czasie patroli prowadzono przegląd miejsc, gdzie były one rozmieszczone. Czasem wspólnie z milicją dokonywano zabezpieczenia znalezionych dokumentów i materiałów związkowych „Solidarności”. W Dzierzgoniu, jako jedynym mieście województwa elbląskiego, w

skład oddziałów polityczno-obronnych włączona została grupa propagandowo-łącznikowa, złożona z członków Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej.

Podobnie rzecz miała się w Kwidzynie. Członkowie oddziałów dokonywali kontroli i zabezpieczenia obiektów usługowych, magazynów i zakładów pracy. Dzięki członkom oddziałów kwidzyńskich dotarto, że sklepowi ukrywali w niektórych punktach sprzedaży detalicznej towary. Po przekazaniu informacji do przewodniczącego komisji do walki ze spekulacją i nadużyciami, przeprowadzono kontrole na terenie gminy i ukarano grzywną sklepy w Janowie i Pastwie. W pierwszych dniach stanu wojennego w kompanii kwidzyńskiej przeprowadzano szkolenia strzeleckie, tzw. strzelanie bojowe i prowadzono przygotowania w razie potrzeby do posługiwania się bronią. Natomiast w czasie wykonywanych patroli odnotowywano numery rejestracyjne samochod z obcych województw.

W Sztumie natomiast, gdzie od momentu powołania oddziały nosiły nazwę Oddziałów Zmilitaryzowanych Polityczno – Obronnych przy Komitecie Miejsko-Gminnym², działalność skupiała się przede wszystkim na patrolowaniu. Według instrukcji wydanej dla służby dyżurnej oddziałów, patrole miały odbywać się codziennie, od godz. 20 do 24. W instrukcji określono, iż patrole przynajmniej 2-krotnie miały obejść miasto, każdorazowo wyjście i powrót meldując Komendzie Miejskiej Milicji Obywatelskiej. Głównym zadaniem w czasie tych patroli było zwracanie uwagi na obecność osób podejrzanych „posiadających puszki z klejem, paczki, wałki papierowe i inne”. W czasie patroli zwracano także uwagę na poruszające się po mieście samochody, zwłaszcza z „obcą rejestracją” - czy nie rozwożą, bądź nie rozklejają ulotek. Przede wszystkim jednak patrolowano i kontrolowano okolice kościoła, dworców PKS i PKP. Na terenie miasta pomiędzy grudniem 1981 a marcem 1982, patrole oddziałów nie stwierdziły żadnych ulotek solidarnościowych. Patrole zwiększały swą czujność i nasilały działania w okresie świąt, zarówno państwowych, jak i kościelnych. Jak określano, miał to być okres nasilonej działalności elementów wrogich, co m.in. na początku 1982 r miało wiązać się z odczytaniem listu w kościołach prymasa Józefa Glempa czy wprowadzeniem nowych cen towarów. Wtedy patrole odbywały się także za dnia. Na terenie gminy Sztum członkowie samoobrony brali udział przede wszystkim w pracach Komisji do walki ze spekulacją – zajmowali się kontrolą placówek handlowych i utrzymywanie ładu i porządku.

Występowały bardzo nieliczne przypadki, że oddziały te posiadały transport, jak miało to miejsce w gminie Stary Targ, gdzie np. w Waplewie większość członków posiadała prywatne środki transportu, które można było wykorzystać do akcji, a nawet telefony służbowe w mieszkaniach. Tam

² W przeciwieństwie do kompanii w Malborku, gdzie od momentu powołania oddziałów do życia, 18 grudnia 1981 r., nosiły nazwę oddziałów obrony cywilnej.

też jako jedne z nielicznych, odnotowywano przypadki ściągania przez oddziały ulotek nawołujących do strajków i przerywania pracy, a także przypadki zrywania plakatów partyjnych.

W lutym 1982 roku nastąpiła odprawa dowódców kompanii i pododdziałów samoobrony. Komitet Wojewódzki poinformował o przekształceniu oddziałów samoobrony w specjalistyczne jednostki ORMÓ. Miało to, jak już wspomniano znaczny wpływ na stan ilościowy oddziałów, bo doprowadziło, zwłaszcza w początkowym okresie, do znacznego odpływu członków aktywu partyjnego. Przeprowadzone już na początku marca badania, w terenowych oddziałach polityczno-obronnych wykazały znacznym odpływ członków oddziałów. Komitety PZPR różnych szczebli w województwie elbląskim, w dniach 10 – 13 marca teleksami relacjonowały przeprowadzone rozmowy z członkami oddziałów samoobrony w sprawie przejścia do oddziału polityczno-obronnego ORMÓ. I, tak Komitet Miejski w Malborku teleksem z dn. 12 marca przekazał, iż z 92 członków oddziału samoobrony 3 osoby przeszły od oddziałów polityczno-obronnych ORMÓ, natomiast zdecydowana większość, tj. 89 członków przeszła do grupy aktywu partyjnego. Podobne proporcje odnotowano w Komitecie Miejskim w Kwidzynie; ze 120 członków oddziałów samoobrony do oddziału polityczno-obronnego ORMÓ przeszło 15 osób. Nieco lepiej przedstawiała się sytuacja w komitetach niższego szczebla, tj. miejsko-gminnych i gminnych. Według teleksów przesłanych do Komitetu Wojewódzkiego stan nowo powołanych oddziałów polityczno-obronnych ORMÓ na Powiślu kształtował się następująco:

W komitetach miejsko – gminnych: w Nowym Stawie do oddziału polityczno obronnego ORMÓ przeszło 12 osób, a 28 wyraziło chęć do przeniesienia do grupy aktywu partyjnego;

w Prabutach do oddziału polityczno-obronnego ORMÓ przeszło 15, a 6 już było członkami ORMÓ. Natomiast 20 osób przeniesiono do grupy aktywu partyjnego; w Sztumie początkowo oddziały te liczył 138 osób, ale po weryfikacji pozostało ich 72.

W komitetach gminnych: w Lichnowach do oddziału polityczno-obronnego ORMÓ przeszło 13 na 18, a 5 do grupy aktywu partyjnego; w Miłoradzu do oddziału polityczno-obronnego przeszło 11 na 29, a reszta do grupy aktywu partyjnego, w Ostaszewie do oddziału polityczno-obronnego przeszło 12 z 21 członków samoobrony, pozostali jako grupa aktywu partyjnego; w Ryjewie do oddziału polityczno-obronnego przeszło 6 osób, 11 do grup aktywu partyjnego; w Starym Dzierzgoniu z oddziału samoobrony liczącego 25 osób, 15 towarzyszy przeszło do oddziału polityczno-obronnego, a 9 do grupy aktywu partyjnego, 1 wystąpił w ogóle.

Jedyny przypadek przejścia całego stanu osobowego oddziału samoobrony do oddziału polityczno-obronnego ORMÓ odnotowano w Komitecie Miejsko-Gminnym w Dzierzgoniu. Egzekutywa KW PZPR w Elblągu,

po przeanalizowaniu powyższych raportów ze stanów osobowych, zaleciła Wydziałowi Propagandy i Agitacji Komitetu Wojewódzkiego w Elblągu członków oddziałów samoobrony, którzy nie wyrazili ochoty pracy w oddziałach polityczno-obronnych ORMO, wykorzystać do pracy ideowo-wychowawczej. Członkowie ci w porozumieniu z podstawowymi instancjami partii mieli stworzyć, cokolwiek miałyby to znaczyć, grupy aktywnego reagowania.

We wspomnianych marcowych sprawozdaniach z działalności oddziałów przy Komitetach Gminnych donoszono, iż sytuacja została opanowana przez siły porządkowe wspólnie z wojskiem i ORMO. Dlatego też bardzo szybko zaczęto domagać się zaniechania dalszych służb, patroli nocnych i prowadzenia stałych dyżurów w siedzibach partii. Proponowano, aby siły oddziałów utrzymywać jedynie w stałej gotowości poprzez zwoływanie narad oraz skoncentrowaniu się na walce ze spekulacją, nieróbstwem i nadużyciami. Jednak formalnie oddziały polityczno-obronne funkcjonowały jeszcze aż do 1986 r. Dopiero, na podstawie zaleceń Sekretariatu KC PZPR z dn. 19.01.1986 r., z dniem 17 marca 1986 r. I Sekretarz KW PZPR Elbląg Bolesław Smagała rozwiązał Oddziały Polityczno-Obronne. Członkowie rozwiązywanego oddziału mieli być wykorzystywani jako aktyw partyjny bądź jako kontrolerzy Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej i członkowie ORMO. W początkowym okresie stanu wojennego działalność oddziałów miała odegrać rolę w sferze psychicznego oddziaływania na żołnierzy i siły porządkowe odbywających służbę na terenie miast, zabezpieczając ich rodziny, „dając wsparcie, że nie są osamotnieni”. Jednak po zawieszeniu stanu wojennego, działalność, jak i samo znaczenie oddziałów polityczno-obronnych znacznie zmalało. Używane były już raczej sporadycznie, m.in. do działań polityczno-zabezpieczających dzień wyborów do rad narodowych w 1984 r. Po zniesieniu stanu wojennego aktywność tej organizacji niemal całkowicie ustała.

Powstanie i istnienie Oddziałów Polityczno-Obronnych było przejawem obaw władz i partii przed reakcją społeczeństwa na stan wojenny, a wcześniej jeszcze miała być „reakcją obronną” przed działaniami „Solidarności”. Komitet Wojewódzki PZPR w Elblągu, w swych sprawozdaniach wysoko oceniał działalność oddziałów, zwłaszcza w zwalczaniu wrogiej ideologii i propagandy antysocjalistycznej. Oddziały polityczno-obronne spełniły funkcje mobilizacyjną wobec członków partii w gorącym okresie grudnia 1981 roku, z czasem tracąc jednak jakiegokolwiek znaczenie.

Maria Donimirska

W oczekiwaniu na decyzje Konferencji Wersalskiej 1919 r.*



Od lewej stoją Kazimierz Donimirski, Marian Donimirski, Mieczysław Oświecimski, Kazimierz Donimirski junior, siedzą Maria Donimirska, Mieczysław Donimirski, Janina Oświecimska, Teresa Donimirska, Elżbieta Donimirska

sko polskie nie miało przyjść wkrótce, to będzie z nami źle. Wierzmy w opiekę boską, ta jedynie może nas uratować wśród piętrzących się niebezpieczeństw. Jazda kolejną teraz tak utrudniona, że najszybciej dają bilet, gdy się jedzie na pogrzeb najbliższego członka rodziny. Pociągi kursują już tylko towarowe na linii Malborg – Iława, także tą krótką przestrzeń jedzie się zamiast godziny, 6 - 8 godzin.

9 lutego 1919

Stosunki w naszym powiecie są dosyć normalne. Kazio¹ ma poparcie u Rad Żołnierzy i Robotników, których umiał pozyskać. Ma on tę zaletę, że stara się zawsze wybadać stosunki, zapoznać się z ludźmi będącymi u steru i to śmiało patrzenie w twarz każdemu (mniemanemu przez innych) niebezpieczeństwu, zbadanie każdej sytuacji, daje najlepsze wysiłki. Boć przecież z każdym rządem, czy człowiekiem można dojść do jakiegoś kompromisu, chyba żeby już był jakimś zupełnie rozszalałym, rozpętanym, pozbawionym wszelkich uczuć człowieczych. W każdym razie przez to, że zasiada na landraturze staje się niewygodnym dla hakatystów itp.

¹ Kazimierz Donimirski (1980-1947), mąż autorki.

Nie obywa się więc bez intryg przeciw niemu. A landrat nawet stara sobie zaskarbić łaski zwyrodniałych i socjalizowanych Polaków, żeby przeciwko Kaziovi wystąpili. Jest się więc teraz przygotowanym na to, że każdej chwili mogą aresztować, ba, nawet rozstrzelać. W sztumskim garnizonie znajduje się tzw. Sicherheitsdienst² lub Heimatschutz³. Składa się przeważnie z mieszkańców powiatu, którym się nie chce pracować, bo wygodniej brać 5 marek na dzień, dostać żywność i ubranie. Tym to żołnierzom kazano (landrat i ich oficerowie) podpisać, że pójdą przeciwko Polakom lub na granicę Polski na walkę. Żołnierze na to się nie zgodzili, gdyż karku nadstawiać ani myśla. To był ich główny powód, aleć może i niejeden z uczuć jakichś wzdrygał, by się przeciwko Polakom występować. Dosyć, że odmówili posłuszeństwa. Landrat z porucznikami uradził, że trzeba wobec tego odesłać do domu wszystkich, których nazwiska kończą się na „ski”. Na tę wiadomość powstał wprost bunt między tymi, którzy dostali taką terminatkę i w żaden sposób ustąpić nie chcieli. Pan Bauer⁴, reprezentant Arbeitratu w Sztumie, zniósł to niesprawiedliwe rozporządzenie i rozkazał pozostać żołnierzom. W dniu 4 lutego stanęli jednakże w liczbie podobno 40 na landraturze, chcąc sobie wymierzyć sprawiedliwość. Kilku przybyło do Kazia z propozycją, że landrata z urzędu zrzucą i postawią innego landrata. Odpowiedział im, że nie jest na to, aby porządek burzyć i siać niezgodę i rozdwojenie, ale ażeby nie dopuścić nieprawidłowości wobec Polaków. Uspokoił się więc i odeszli. Landrat w tym dniu siedział w Kiszporku (Dzierzgoniu).

W dniu 2 lutego odbył się teatr amatorski w Mikołajkach. Sala tak się zapełniła, że szpilka do ziemi by upaść nie mogła, ciekawość była ogromna. Chór ze Sztumu z 24 osób złożony śpiewał 3 pieśni pod batutą organisty sztumskiego, deklamowała p. Kazia Wiśniewska wiersz Glińskiego „U źródła”, opiewający spotkanie u źródła trzech żołnierzy: Niemca, Austriaka i Moskala, którzy po bitwie pełzną cichaczem ku wodzie, by żar spieczonych ust ugasić i rany swe przemyć. Patrzą z nienawiścią na siebie, aż wreszcie przekonują się, że są wszyscy Polakami w tych obcych mundurach. Pan Hofmann deklamował doskonale „Warszawiankę” Or-Ota⁵. Komedijkę odegrali wszyscy bez wyjątku dobrze i zbierali rzęsiste oklaski. Po czym nastąpił żywy obraz „Bezdomni”, a na końcu „Krakowskie wesele”, obrazek ze śpiewem i tańcami, który wywołał zachwyt, że oklasków nie było końca. Aktorzy postanowili więc zatańczyć obereczka po raz drugi.

² Sicherheitsdienst (niem.) - Służba Bezpieczeństwa.

³ Heimatschutz (niem.) - Straż Ojczyzniana.

⁴ Przedstawiciel rządu niemieckiego w radzie żołnierskiej powiatu sztumskiego.

⁵ Artur Oppman (1867-1931) pseudonim Or Ot poeta, pułkownik WP autor wierszy i gawęd poetyckich opiewających uroki starej Warszawy i poświęconych walkom wolnościowym w XVIII i XIX wieku.

Właśnie gdy zaczęli, wszczął się koło drzwi znajdujących się wprost sceny a wychodzący na ulicę, hałas, krzyk i ruch. Tanecznicy przestali tańczyć, mylili się. Na próżno nawoływałam, wtem i muzyka przycichła. Na scenę, która przynajmniej 1 ½ metra wysoko się znajduje, wskoczyła równymi nogami p. Helena Lemkowska⁶ wołając: „Niemcy granaty rzucają”. Za nią dzielne panie. Wbiegłam zza kulis na scenę, by zobaczyć co się dzieje. Zdążyłam tylko dostrzec, że drzwiowych nie ma, ale poza tym reszta publiczności zachowuje się spokojnie. Teraz już też i kurtynę zapuścili. Owe panie wpadły na mnie z wymówkami, że nie trzeba było z takimi polskimi zabawami zaczynać, bo zaraz wiedziały, że Niemcy tego w spokoju nie zostawią.

Pan Bauer, który z kilku żołnierzami znajdował się w Mikołajkach dla utrzymania porządku, poszedł zaraz na miejsce wypadku. Okazało się, że wskutek ogromnego naporu ludzi, którzy chcąc zobaczyć, powchodzili na ławy i plecami się o te drzwi stare i liche opierali, drzwi naporu nie wytrzymały i wyleciały z trzaskiem na uliczkę, a sporo ludzi się poprzewracało. Tak to znowu strach miał wielkie oczy.

Zbiór wynosił 998 marek. Koszta uczyniły jakieś 280 marek, także przeszło 700 marek pójdzie na zakup książek w biblioteki. Obecnie grać będę z tą samą trupą w Sztumie i Starym Targu. W Sztumie jest to obchód 100-letniej rocznicy śmierci Jana Kilińskiego. Program mniej więcej ten sam, tylko inne deklamacje i wykład o Kilińskim. Był poproszony ksiądz Kupczyński i przyobiecwał to nam. Tymczasem uczynił się niemożliwym przejazd przez Wisłę z powodu kry, a pociągiem wcale by nie dojechał. Chcąc nie chcąc musi Kazio kilka słów o Kilińskim powiedzieć.

16 lutego 1919

Przedstawienie w Sztumie również się dobrze powiodło, sala była przepelniona, a mnóstwo osób odeszło z niczym, gdyż wstęp był tylko dla towarzyszy kobiecych i ich rodzin. Przede wszystkim była ciekawość Niemców jak polska uroczystość wygląda. Sporo ich też podobno - do członków towarzyszy się przyznając - weszło. Zabawny i znamieny epizod utworzył w tej sprawie Cohn adwokat, który przed niewielu laty z Żyda się stał Polakiem i z katoliczką się ożenił. Ten człowiek, mający osobistą niechęć do landrata, okazywał Polakom sympatię. A po wybuchu rewolucji przemawiał na kilku zebraniach przeciwko landratowi (podobno za dobrą opłatą daną mu przez rotmistrza Dunina).

Kilka dni przed przedstawieniem odebrał Kazio od niego list, w którym pisze p. Cohn, że Komitet Sztumski sprzedał mu najpierw bilety na przedstawienie, później pieniądze odesłali mu i prosili o zwrot biletów. Pan

⁶ Żona Franciszka Lemkowskiego, kierownika Banku Ludowego w Pierzchowicach, członka Związku Polaków w Niemczech zamordowanego w 1937, członkini Towarzystwa Kobiet św. Kingi i Związku Polaków w Niemczech.

Cohn jest tym bardzo oburzony i zapytuje, czy jest to wdzięczność ze strony Polaków za jego usługi, gdy zdrowie nadwyrężając szedł na pierwszy ogień w kampanii językowej przeciwko hakatystom. Dostał na to odpowiedź, że Kazio z Komitetem w Sztumie nie ma nic z tym wspólnego i że dziwnie słabe byłyby jego sentymenty dla Polaków, jeżeliby się miały rozbić o niemożność bycia na przedstawieniu. Nie uważa się też przedstawienia jako okazywanie wdzięczności. Pan Bauer z żoną był na przedstawieniu a nawet na zabawie brał udział w tańcach.

Tak w Mikołajkach, jak i w Sztumie złożyliśmy się na to, aby aktorom dać skromny poczęstunek, który został mile przyjęty. Tylko w Starym Targu, dokąd nas poprosiła hrabina Sierakowska, przyjęto nas łaskawym uśmiechem. Publiczność starotarska zachowywała się nader głośno w czasie przedstawienia i specjalnie deklamacji, tak że moi aktorzy bardzo to niemile odczuli. Jedynie taniec, oberek w 4 pary w kostiumach krakowskich, wzbudził zapal. Trzeba też było niebywałej zgrabności, aby na tej maleńkiej z desek zbudowanej scenie zmieścić i tańczyć. Mimo wszystko hrabina z poziomu sztuczki odegranej zadowolona nie była.

Same sceny rozgrywały się tymczasem w dziejach naszego życia powiatowego. W dniu 10 lutego odbyło się zebranie wydziału powiatowego, na którym Kazio był obecnym. Obok landrata piętrzyły się stosy akt, które powinien był wydział przejrzeć i przedyskutować. Byłoby przy tym pilnej pracy na jakie dwa dni. Zebranie jednakowoż trwało zaledwie od 11 tej do 3 po południu dzięki temu, że akt wcale się nie przeglądało, landrat sprawy przedstawiał a Niemcy bez dyskusji kiwali głowami. W tym krótkim czasie niektórzy z uczestników wyciągali chlebki, aby przy tak nadwyrężającej pracy się wzmocnić. Kaziowi o mieszanie się w kwestie niemieckie nie chodziło wcale, miał jedynie na celu informowanie się o stosunkach finansowych w powiecie, ale w końcu jednej nie wytrzymał w swej roli słuchacza i wtrącił zapytanie: „Czy panowie w żadnej kwestii nie głosują?”. „Czy Pan chce przez to wywołać zmianę zwykłego porządku obrad?” - zapytał landrat.

Wyrażenia głowy powiatu w czasie obrad były tak trywialne i rubaszne, że ich tu powtarzać nie mogę, a nadmieniam to jedynie dla charakterystyki wyższych urzędników w państwie pruskim, którzy zawsze popierani przez rząd, widząc wokoło siebie psią uległość, zatracili dobre wychowanie i delikatność. Ponieważ, ich zdaniem, z niczym się liczyć nie potrzebowali. Kazio dowiedział się różnych zajmujących szczegółów z gospodarki w naszym powiecie, między innymi, że w czasie wojny zrobił powiat 5 milionów długu i stoi przed bankructwem. Po zebraniu odbywa się wspólny obiad, na którym Kazio zostać nie zamierzał. Landrat sam kilkakrotnie prosił go o to, aż wreszcie stawił argument, że zaproszonych jest 13 a to liczba feralna, niech więc Kazio da się uprosić i będzie 14.

Zgodził się więc, a Auwers posadził go przy sobie i sadził mu grzeczności. Mimo to, zupełnie ochotę do jedzenia odbierała Kaziowi niemiecka paplania przy stole, a głównie dalszy wywód landrata w kwieciście dobranych wyrazach charakteryzujący życie robotników, pobierających 30 marek dziennie w kopalniach. Zadowolwszy swą wymowność, przeszedł radca ziemski na temat obecnego rządu, którego jest otwartym przeciwnikiem. Zwał winę za haniebną pokój na rząd, nie krępując się w wyrażeniach. Podziwiał Kazio spokój p. Bauera, przedstawiciela tegoż rządu, w czasie pełnych okrzyków radcy ziemskiego. Nam nic nie szkodzi i nic nas nie dotyczy, gdy się Niemcy między sobą kłócą, ale gdyby o nas chodziło z pewnością nie wysłuchałby Kazio tak spokojnie słów obelżywych. Okazało się tymczasem, że p. Bauer jako człowiek z wychowaniem wołał milczeć w czasie obiadu, zachowując sobie jednak dobrze w pamięci wszystkie wyrażenia. Jakoż będąc dwa dni później w Malborgu na plenarnym posiedzeniu Rady Żołnierskiej referował o tym. Zgromadzeni doszli do przekonania, że jedynie wskazanym jest dać p. radcy ziemskiemu v. Auwers dłuższy przymusowy urlop, gdyż inaczej nie będzie można zaprowadzić porządku odpowiedniego w powiecie. Czekamy teraz na wykonanie tego zamiaru przez Radą Żołnierską. Pytanie tylko, czy sprytny ten człowiek nie zdoła tej sprawy inaczej pokierować. Takie stosunki w naszym powiecie, z szerokiego świata wieści pomyślne.

21 lutego 1919

Coraz ciekawsze stosunki panują u nas w powiecie. Sytuacja Polaków jest dotychczas wcale dobra. Sicherheitsdienst lub Grentschutz siedzi spokojnie w koszarach. Nieprzyjacielskie obozy tworzą się między Niemcami samymi, po jednej landrat i podoficerowie załogi sztumskiej, po drugiej Soldatenrat. Landrat zawezwany aby się stawił na zebraniu plenarnym Soldatenratu do Malborga, czując co go czeka, lub prędzej z buty i arogancji, nie stawił się. Narada odbyła się pewno bez niego, ale o tym nie wiem bliższych szczegółów. On tymczasem nie zasypiał gruszek w popiele, lecz wszystkie sprężyny poruszył, aby ratować się. Więc wysłano z niemieckiej Rady Ludowej protest przeciw usunięciu landrata, wyrażając mu wotum zaufania, a żądając usunięcia p. Bauera w przeciągu 48 godzin ze Sztumu. Stowarzyszenie podoficerów załogi sztumskiej opublikowało to samo, dementując, jakoby żołnierze byli przeciwko landratowi i z tym się odzywali. Podoficerowie hołdują landratowi, a Bauera ślą, gdzie pieprz rośnie.

Tymczasem sam landrat wysłał listy do ministra wojny Noskego⁷ wielkiego wroga Polaków, w którym oskarża Bauera i Soldatenrat, że protegują polskość, biorą polskie pieniądze. Prosi więc o zniesienie Soldatenratu, udzielenia jemu władzy odpowiedniej i ukaranie Bauera.

⁷ Gustaw Noske (1868-1946) polityk niemiecki minister Reichswery przyczynił się do stłumienia wystąpień rewolucyjnych w latach (1918-1920).

Gdy byliśmy wczoraj w Buchwaldzie, ruszały już pogłoski, że Bauera rola już skończona w Sztumie i wraca do Berlina. Dziś Kazio przyniósł inne wiadomości. Bauer jest, ustąpić nie myśli, pewnie kampania przeciw landratowi dopiero się zaczyna. W Malborgu postanowili, ponieważ landrat się nie stawił, wysłać deputację do Kwidzyna do prezesa regencji, by mu dał dymisję. Jedzie z tą delegacją Bauer. Jest to formalność z ich strony. Chcą okazać, że właściwych atrybutów sobie nie przywłaszczają, pomijając urzędy, ale są przekonani, że u prezesa nic nie uzyskają i wtedy sami się z landratem załatwią.

W liście swym zrobił otwarte wyznanie swych przekonań politycznych. „Ich hasse die Polen und die Socialisten und werde mich ihnen niemals freiwillig fügen”⁸. Żołnierzom kazano podpisać, że słuchać będą jakiegoś „Oberkommando”⁹ na co się nie zgodzili, wobec czego Bauer, który w tym widzi jakiś palec swego przeciwnika, przeczuwa katastrofę w Sztumie. Żołnierzom dano terminatkę. Wylewając swe oburzenie mogą urządzić niemiłą scenę landratowi i podoficerom.

Patrząc na postawę i minę niemiaszków nie widzi się pokory pokonanych w wielko- światowej wojnie. Buta ich i pycha tak dalece ich zaślepia, że wmówili w siebie, że wojnę przerwali z humanitarnych względów. Nie mogą więc pojąć ostrych warunków dyktowanych im. Erzbergowi¹⁰, który prowadzi układy rozejmowe w Spaa, robiono w sejmie niemieckim w Weimarze gorzkie wyrzuty, że tak łatwo każdy warunek przyjmuje. Tymczasem głębiej patrzący widzą, jaka twarda konieczność ich zmusza do przystawania na upokarzające żądania. W każdym razie fizjonomia sejmu jest butna i pełna pycha. Przemowy pełne arogancji. Tyle im to przynosi zysku, że Koalicja obostrzyła swe warunki. Charakterystyczne jest, że tym zbójcom z Heimatschutzu dają jako odznakę Krzyż Czarny na białym polu. Pod znakiem pra-ojców swych zbójceckich Krzyżaków duch przeszłości nimi kieruje, ale znajdują jeszcze swój Grunwald.

25 lutego 1919

Wczoraj byli u nas rotmistrz Gustaw Donimirski¹¹ z Zajezierza i hr. Sierakowski z Waplewa. Pierwszy podał propozycję wydania odez w broniących Bauera, ale drudzy dwaj panowie oparli się stanowczo temu. Nie ma bowiem najmniejszego powodu kruszyć kopie dla socjalistów. Żyć można z nimi w

⁸ Ich hasse die Polen und Socialisten und werde mich ihnen niemals freiwillig fügen (niem.) - Ja nie nawidzę Polaków i socjalistów i nigdy dobrowolnie nie poddam się ich wpływowi.

⁹ Oberkommando (niem.) - wyższe dowództwo.

¹⁰ Polityk niemiecki.

¹¹ August Donimirski (1873-1952) ziemianin, studiował rolnictwo, prawo i ekonomię w Berlinie, był oficerem w armii pruskiej, od 1912 gospodarował w Zajezierzu, był założycielem i prezesem Kółka Rolniczego w Sztumie i działaczem w organizacjach oświatowych. Jako członek Rady Ludowej w Sztumie w 1918 roku przyczynił się do wprowadzenia nauki języka polskiego. W 1919 z grupą ochotników przedostał się do Poznania, gdzie formował 18 pułk ułanów, pułkownik WP, rolnik- hodowca.

zgodzie, ale nie przyjaźni. Odezwy takie mogły by wzmocnić zamieszanie, że Bauer bierze polskie pieniądze, co przecież prawdą nie jest, bo szkoda by grosza na to. Jest tak dużo innych celów teraz.

Przy tej okazji kilka słów o Gustawie Donimirskim. Z woli ojca wybitnego prusofila (matkę miał Niemkę), a może i trochę z własnej inicjatywy i ochoty, wstąpił jako młody chłopak do wojska pruskiego i będąc w dragoonach dosłużył się stopnia rotmistrza. Wskutek upadku z konia złamał nogę, co mu posłużyło do wzięcia dymisji krótko przed wojną. Wojsko płaci mu rentę za to złamanie nogi. Po wzięciu dymisji objął rodzinne Zajezierze w bardzo zaszarganym stanie. Zawinił jego ojciec wielki bon vivant i lekko-myślny człowiek, nie tylko że długów narobił, jeszcze kawał ziemi odsprzedał kolonizacji. Gustaw człowiek nadzwyczaj pilny i pracowity a przy tym finansista dobry, wnet stosunki majątkowe wyprostował, a handlując z amatorstwa końmi, nawet się dorobił sporo grosza.

W czasie wojny należał w wojsku pruskim do komisji kupującej konie, ale jako starszy i kaleka na froncie nigdy nie był. Na służbie wojskowej latka prędko szły, tak że liczy obecnie 46 lat. Wysoki i bardzo szczupły zupełnie wyłysiał od noszenia hełmu, jest mocno nerwowy, ostry wymagający dla podwładnych, jest wszelako nadzwyczaj staranny. Dotąd jest kawalerem a prawdopodobnie się już nie ożeni. Może byłby miał do tego nieraz ochotę, ale na przeszkodzie staje mu zawsze kuzynka jego Jadwiga Czarlińska¹², która mu gospodaruje. Umiała każdą kandydatką w złym świetle przedstawić. Sama już przeszło 50-letnia, chciałaby Gustawa wyswatać z młodszą swą siostrą. Najgorsze, że jest ona w ciągłych strachach o jakieś denuncjacje, aresztowania, rewizje i prześladowania i susząc Guciovi głowę, swymi przewidywaniami, zarażała go obawą.

Przy tym oboje mają silnie zakorzeniony respekt przed potęgą prusko-hakatystyczną tak, że do obecnej sytuacji przywyknąć nie mogą. Jest to po prostu śmieszne, ale zarazem i przykre. Sierakowski dlatego nie lubi Jadwigi i uważa ją za ducha deprymującego Gucia. Gdy tenże wczoraj biadał, że dotąd do Polski nie należymy, że pewno Ententa nie jest dostatecznie poinformowana i że o nas zapomni. Wreszcie dodał: „A Jadzia zaraz mówiła, czemu nie robicie jak w Księżtwie!” Sierakowski, Kazio i ja spojrzeliśmy na siebie i ledwie nie wybuchliśmy śmiechem. A Sierakowski, zebrawszy się na powagę, rzekł: „No przecież p. Jadwiga jest najodważniejszą osobą w powiecie”.

Sierakowski, który był niedawno w Berlinie i Gdańsku, opowiadał nam swe wrażenia i spostrzeżenia. Podobno w Berlinie zabawy nad zabawy, Niemcy na grobie swej ojczyzny tańczą, gry hazardowe kwitną również jak nigdy. Miał także okazję rozmawiania z komisją francuską, która w Berlinie

¹² Jadwiga Czarlińska, córka Juliana Czarlińskiego z Zajezierza, który był skarbnikiem Towarzystwa Pomocy Naukowej w Prusach Zachodnich na powiat sztumski w latach 1872-1873, zorganizował zbiórkę na Fundusz Pamiątkowy w roku 1872 w stulecie rozbiorów Polski, wśród członków swojej rodziny, Donimirskich oraz 23 mieszkańców Zajezierza.

kontroluje wysyłanie jeńców francuskich i angielskich, do której się Niemcy w warunkach rozejmowych zobowiązali. Francuzi byli oburzeni łgarstwem Niemców, którzy wszystko obiecują a potem nie wypełniają podając najrozmaitsze powody, które po zbadaniu wcale nie istnieją.

Smutne dla nas w Zachodnich Prusach byłoby, gdyby komisarz Naczelnej Rady Ludowej okazał się niedołącznym staruszkciem, jak go Sierakowski przedstawia. Komisarz ten w Gdańsku, radca sprawiedliwości Łaszewski z Grudziądza, jest co prawda człowiek starszy, ale w każdym razie jeszcze nie zgrzybiały. Zajmuje on bardzo wysokie i odpowiedzialne stanowisko, oby okazał się zręcznym dyplomata! Zastępcą jego jest nasz poczciwy doktor z Gdańska Józef Wybicki, prawnuk wielkiego Wybickiego z czasów Napoleona. Jest to najlepszy w świecie człowiek, łagodny, miły, taktowny, doskonale wychowany, wyborny doktor, ale w żadnym razie nie żaden dyplomata, ani energiczny i stanowczy kierownik.

15 marca 1919

Fala wydarzeń z niebywałą szybkością naprzód unosi. Losy przynależności naszych Prus jeszcze nie rozstrzygnięte. Są jednakowoż lepsze widoki. W styczniu gdy najwyższe rządy Koalicyjne zaczęła ogarniać idea sprawiedliwości dla Niemców, było planem Wilsona przyłączyć tylko południowe powiaty do Polski, więc: lubawski, brodnicki, wąbrzeski i toruński. Nawet Grudziądz byłby już poza granicą.

Ale Opatrzność boska czuwa nad nami, bo Niemcy w obłąkaniu swoim sami sobie szkodzili wybuchając wściekłym hakatyzmem. Przemowy pełne buty i nienawiści takiego Brockdorf, Rautzau¹³ i innych tak zraziły Ententa¹⁴, że teraz inne granice postanowić zamierza. Może do dziś są te fakty dokonane i ogłoszone w świecie, ale gazety dochodzą teraz z tygodniowym opóźnieniem, także wieści niesłychanie wolno się rozchodzą. Berlińskie gazety wobec strajku zecerów w ogóle nie wychodzą od jakich dwóch tygodni. Poznańskie mają skomplikowany transport z Księstwa, a „Pielgrzym” poczciwy wie coś dopiero, jak już o tym wróble na dachu śpiewają. Ogłoszenie u nas Polski byłoby to dla nas wielką wstrząsającą uroczystością i świętem, ale wielkie to pytanie, jak by się wówczas ułożyły stosunki z Niemcami? Czyż nie jest nade wszystko prawdopodobnym, że nastąpiłoby zbrojne powstanie przeciwko nam? Nie dawno przecież zwlekli w te strony tyle wojska i armat.

Od osób które przejeżdżały Toruń i Grudziądz koleją słyszałam, że dworce są pełne żołdactwa. (Mówią też, że kolonistom rozdał karabiny prezes rejencji v. Jegor, który od 1 kwietnia stanowisko swe opuszcza, czy to jed-

¹³ Posłowie niemieccy do Reichstagu.

¹⁴ Ententa - serdeczne trójporozumienie Francji, Anglii i Rosji, przeciwwaga trójprzymierza Niemcy, Austro-Węgry, Włochy - w czasie I wojny rozszerzona o 25 państw walczących przeciwko państwom centralnym.

nak prawda o tym uzbrojeniu, nie gwarantuję). Krzyżactwo to, owe Grenzschutze noszą na ramieniu na białym tle czarny krzyż, chce pewno mieć jako oparcie linię Wisły i tu się bronić.

Generał Haller wyraził się zatem do korespondenta „Petit Parisien”; „Wszystko by było dobrze, gdyby Niemcy nie zatrzymali się wzdłuż Wisły na linii Bydgoszcz - Gdańsk, która może być dla nich podstawą do nowych operacji, na której gromadzą się wojska niemieckie wracające z Litwy”. Mogłaby wprowadzić Koalicja jednym przeważnie słowem żądać wycofania tychże wojsk, w warunkach rozejmu, ale może skończy się znowu na fraziesie: *Montrez que vous êtes dignes d'être une nation libre*¹⁵. Ich to przecież nie tyle zaboli! Byle tylko wystali amunicję i umundurowanie, to i wojsko polskie by się znalazło. Piszę obecnie o Koalicji, która ma jechać do Gdańska celem zbadania portu wobec lądowania wojsk. Przyjazd ich na koniec marca obiecany, Generalissimusem wojsk polskich ma być Foch, jako dowódca wojsk sprzymierzonych. Takie jest żądanie koalicji.

W Galicji, Królestwie a także i w Księstwie odbywa się mnóstwo wieców manifestacyjnych o przyłączenie Gdańska.

Sąsiadka nasza, zacna i dobra p. Połczyńska¹⁶ z Michorowa, wróciła 3 dni temu z Poznania, gdzie swego jedynego syna Romana odwiedziła. Roman w lutym 1915 roku jako 24-letni wyjechał do Szwajcarii, aby uniknąć wojskowości w państwie pruskim. Wyjeżdżając pełen był entuzjazmu dla gospodarstwa, skończył nawet praktykę gospodarczą. Zacna p. Połczyńska z utęsknieniem wzdychała do chwili, w której syna znowu powita i ciężar kłopotów gospodarczych zrzuci na młode barki. Ale stało się inaczej. Po czterech latach wrócił Roman¹⁷, lecz z innymi projektami. Jechał ze Szwajcarii na Wiedeń - Warszawę do Poznania i majątku swego Żabiczyna w powiecie wągrowieckim. Tu się rozejrzał w interesach i następnie zgłosił się w Poznaniu do urzędu. Otrzymał stanowisko przy radiotelegrafach. Już tylko kariera dyplomatyczna lub urzędowa jest jego dążeniem. Złożył w Szwajcarii odpowiednie egzaminy z polityki i ekonomii. Nasze Prusy zawsze bardzo kocha jako rodzinny kraj swojej matki i chętnie by tu został w charakterze jakiegoś landrata, lub rejencyjnego urzędnika. Bardzo lubiliśmy tego chłopca z czasów przedwojennych, w czasie tym łączyły nas bardzo dobre serdeczne stosunki. Także na początku wojny przez zimę roku 1914 - 1915, gdy gospodarzył w Montkach, rozweselał nas i krzepił swym humorem, w czasie trosk kłopotów. O tym może obszerniej przy czasie napiszę.

¹⁵ *Montrez que vous êtes dignes d'être une nation libre* (franc.) - Pokażcie, że jesteście godni być wolnym narodem.

¹⁶ Anna Janta Połczyńska z Wałdowskich (1859-1924) ziemianka i dziedziczka dóbr Michorowo i Montki na Powiślu, działaczka Towarzystwa Czytelni Ludowych i innych organizacji w pow. sztumskim.

¹⁷ Roman Janta Połczyński (1891-1984) ziemianin, dyplomata, działacz gospodarczy producent ziemniaków i nasion oleistych, działacz społeczny, pamiętnikarz.

16 marca 1919

Kwestia robotnicza w naszym powiecie wcale ciekawie się nie przedstawia. Graniczymy od wschodu z Prusami Wschodnimi, stąd też przyszło do nas owo zamieszanie. Na niemieckich majątkach robotnicy Niemcy podjęli strajk w nadgranicznej części. Od wsi do wsi chodziły bandy 50-80 ludzi częściowo uzbrojonych, które pod grozą śmierci odpędzały od pracy. Właściciele sami musieli inwentarz oprzątać i krowy doić. Kazio, należąc do rady obywatelskiej powiatowej, należał do komisji rozjemczej w tej sprawie. Chłoptwo, w liczbie 20 stawiało się, hardo występując. Po całodziennych gorących naradach postanowili płacić na chłopa 2500 marek i na tym się rozeszli, mając dalej radzić za tydzień.

Dzisiaj w niedzielę odbyło się w Postolinie, naszej wsi kościelnej, zebranie Zjednoczenia Zawodowego Robotników Polskich. Przemawiał podobno w ostrym podburzającym tonie chłop nasz Borkowski, po nim socjalista Grun z Postolina. Wynik był ten, że obecnego na sali dzierżawcę plebanky przy wychodzeniu z sali pobili. Kaziowi zaraz po zebraniu przyszli referować o tym wszystkim dwaj zacni rozsądni chłopi - Barra i Kochański z Postolina.

13 czerwca 1919

Z podnieceniem nie do opisania przetrwaliśmy te długie miesiące aż do dnia dzisiejszego. Niepewność o los nasz, różne przypuszczenia, pogłoski zmienne, raz korzystne budzące nadzieję, to znów przygnębiające fatalne, szarpały nam nasze nerwy na strzępy. Najwięcej martwiły nas stosunki wewnętrzne, powiatowe. Lud tutejszy, niezbyt rozbudzony narodowo, znudzony wyczekiwaniem, wpadł w sidła socjalizmu. Zaczęło po prostu brakować ludzi na których by można liczyć.

Hrabia Sierakowski wyjechał na stałe, a wszelka akcja Rady Ludowej ustała. Wtedy Kazio wpadł na szczęśliwy pomysł obrania hrabiny przewodniczącą rady pod nieobecność męża. Jest to kobieta energiczna, pracowita, inteligentna, obowiązkowa i z pewną inicjatywą.

Wydanie kilku odezw dobrze wpłynęło na naród, chociaż jest to jeszcze gromada nieufnych, bo nie widzą tymczasem z tej Polski materialnych zysków.

Wreszcie w dzień św. Stanisława, 8 maja, doszła nas wiadomość jak losy nasze rozstrzygnięto. Ma tu nastąpić plebiscyt. Był to nasz cios nieoczekiwany, bo liczyliśmy na pewno, że kolej od Malborka przez Iławę, łącząca Gdańsk z Warszawą, bez wszystkiego do Polski należeć musi. Strwożenie ludu dało nam w tej chwili bodźca, aby ochłonąć i okazać w tej kwestii niefrasobliwą twarz.

Miałam w tym czasie sposobność przemawiania na zebraniach kobiecych w Sztumie i w Pierzchowicach. W Sztumie sala była pełna, gdy im powiedziałam, że powinny przestać się niecierpliwie oczekiwać na Polskę, bo to nam najwięcej zgnębnym i zniemczonym przez wroga, daje Bóg czas próby, czy jesteśmy tej Polski godni. Jest to czas, abyśmy mogli oduczyć się wszelkich zwyczajów i obyczajów od Niemców przyjętych, abyśmy się nauczyli kochać, cenić i pragnąć powrotu tej matki Ojczyzny, abyśmy się nauczyli czytać, pisać i lepiej wyrażać po polsku.

Na zakończenie odezwałam się w te słowa: „Będziemy mieli tu prawdopodobnie głosowanie. Jest to prawdziwy honor i zaszczyt dla nas, że mamy tak przed całym światem zaświadczyć, jako tu jesteśmy Polakami i do Polski należeć chcemy. Wolną wolę każdy mieć będzie, aby się wypowiedzieć, nikogo się zmuszać nie będzie, jeżeli kto nie boi się całe życie pracować, da podatki wojenne na pokrycie kosztów wojennych niemieckich, ten niech śmiało głósuje, że chce należeć do Prus Wschodnich. Niejeden Niemiec z kartką na Polskę pójdzie, gdy będzie wiedział, że w ten sposób mieszek swój ochrania od zbytniego wypróżnienia. Prusy Wschodnie odgraniczone od reszty Vaterlandu¹⁸ szerokim pasem polskim, otoczone ze wszech stron krajem polskim będą bardzo od Polski zależne we wszystkim. Przy tym kraj ten dosyć biedny, nabywać będzie wszystko za drogie pieniądze z zagranicy, mówię tu o artykułach niezbędnie potrzebnych jak węgiel, sól, nafta”.

Wzruszenie było wśród kobiet ogromne. Czułam, że między nimi a mną utworzył się ten konieczny kontakt, który sprawia, że słowa mówiącego przenikają do głębi i pozostają tam ślad nie zatarty.

Tymczasem kwitnie w otwartych listach ostra polemika między landratem a Radą Ludową. Powód do rozpoczęcia tego z polskiej strony był następujący. Landrat na zebraniu wydziału powiatowego wypowiedział, że jest z sumieniem w zgodzie wobec Polaków i że ci Polacy są nawet z niego zadowoleni, bo mianowali go wspólnie z Niemcami honorowym obywatelem miasta Sztumu. Z Polaków ze wsi jest dla niego miarodajnym hrabia Sierakowski, który oświadczył landratowi, że w czasie jego rządów w powiecie na polu gospodarczym zaszły znaczne ulepszenia. Po czym zwrócił się do Kazia z tymi słowami: „Sagen sie das bitte Ihren Blutsverwandten”.¹⁹ Dosyć jasno chciał tu podkreślić, że ogół jest z nim w zgodzie, tylko przeciw niemu jest grupa malkontentów, jak Kazio i jego krewni. Na taką zniewagę Rada Ludowa postanowiła wysłać list wykazujący jasno różne antypolskie sprawy landrata i wyrazić, że ludność polska wcale z niego zadowolona nie jest. Stronę całą można by zapisać o tym, ile niepowodzeń przeszedł Kazio nim wydanie tego listu przeforsował. W wyrzekaniu i pogrózkach wielcy

¹⁸ Vaterland (niem.) – ojczyzna.

¹⁹ Sagen się das bitte Iren Blutsverwandten - Powiedzcie proszę waszym krewnym.

czynu się boją, przygniecenii pruskim drylem, drżeli by się nie narazić, gdy przeciwnie, Niemcy butni wobec pokornych i czołobitnych, maleją wobec śmiałych i energicznych.

„Stuhmer Zeitung” odmówiła wydrukowania tego na łamach swych nawet za dobrą opłatą. Ale na to znalazła się rada, zawieziono ów list do druku do Gdańska i landrat mało apopleksji nie dostał, gdy niespodziewanie listów w tysiącnych egzemplarzach po powiecie rozrzuciono. Postaram umieścić oryginał w pamiętniku. Landrat sam nie zabrał się na wystąpienie z odpowiedzią, lecz wydelegował do tego niemiecki Volksrat²⁰. Tenże alarmował telegramami hrabinę, aby dała znać kiedy hrabia wróci celem wymiany zdań z tej sprawy. Dla zrozumienia muszę dodać, że w owym liście była wzmianka, że w razie życzenia Rada Ludowa służy landratowi dowodami.

Hrabina osobiście przyjechała do nas, aby się z Kaziem naradzić, kto ma z naszej strony brać udział w tej rozprawie. Wyznaczono stryja Jana²¹ z Buchwałdu, hrabinę, Kazia, kupca Muchowskiego ze Sztumu i robotnika z Postolina. Tymczasem do rozprawy tej nie doszło, ponieważ landrat ze wszystkiego się wycofał, a Volksratowi Polacy nie uważali za słuszne się tłumaczyć. Wydał więc Volkstrat odezwę, w której dowodzi, że Polacy w osobie p. landrata atakują rząd, naród niemiecki itd. Odezwę postaram się do zbioru dołączyć. Na to Rada Ludowa nie pozostaje bez odpowiedzi, zredagowano więc nowy list dający nauczkę landratowi i Volksratowi.

Redagowanie tegoż odbywało się w Buchwaldzie. Byłam obecna, gdy zjechali się Witold²², Gucio i Kazio Donimirscy oraz hrabina. Czyni się to ze względu na stryja Jana, bo tenże jako człowiek stary i schorowany nigdzie prawie już nie wyjeżdża. Przyznać trzeba, że zwoływanie takiego zebrania w domu prywatnym utrudnia sprawę. Nie można się jej oddać zupełnie wyłącznie, tym bardziej, że stryjenka Janowa²³ jest bardzo ciekawą i uważa, że musi być wszędzie obecna, aby stać na straży koło swego męża. Kobieta dobra, lecz o ciasnym horyzoncie, nie stawia sobie miłości ojczyzny i poświęcenia jako ideału, przy tym stryj całe życie chorował i dożył późnego wieku tylko dzięki wielkiej pieczołowitości. Stryjenka obawia się więc dwóch rzeczy i broni się przeciwko nim zasadniczo: aby stryj nie decydował się na jakie wyjazdy, bo uważa że wstrząśnienie na lichej drodze groziłoby mu śmiercią, a po drugie, boi się, aby nie podpisywał odezw, gdyż mógłby być pociągniętym do odpowiedzialności, stawianym przed sąd, zamykanym w więzieniu itp.

²⁰ Volksrat (niem.) - Rada Ludowa.

²¹ Jan Donimirski (1847-1929), syn Teodora, ziemianin, działacz gospodarczy, oświatowy, narodowy. Członek Rady Ludowej w Sztumie, interweniował w sprawie praw ludności polskiej w marcu 1920 w Komisji Międzysojusznicy w Kwidzynie.

²² Witold Donimirski (1874-1939) ziemianin, działacz narodowy, społeczny, gospodarczy na Powiślu.

²³ Zofia Donimirska z domu Mittelstaedt (1852-1929) żona Jana Donimirskiego, działaczka oświatowa na Powiślu.

Gdy zaczęto układać ten list zaproponowałam stryjence, że się usunie-
my aby w drugim pokoju pogawędzić. Alem też źle wybrała! Stryjenka była
pewną, że przyjechałam umyślnie w tym celu, aby ją na stronę odciągnąć.
Wygadała mnie porządnie i oświadczyła, że nie ustąpi, raz już ją hrabina wy-
prawiała z pokoju, ale teraz ona już się nie da we własnym domu wypraszać i
zostanie. Miałam więc kiepską minę, bo się mi moja dobra intencja nie uda-
ła, mimo że działałam zupełnie bez namowy czyjejs strony, a straciłam łaski
stryjenki. Chcąc jednak dać poznać, że mnie te sprawy nie dotyczą usiadłam
pod oknem z gazetami, które czytałam.

W ostatnim czasie poznaliśmy bardzo wartościowego człowieka p. ...
który z prawdziwym poświęceniem nie tylko siebie, ale i majątku, pracu-
je dla sprawy. Przez niego mogło wreszcie wejść w czyn gorące pragnienie
co do naszego powiatu, gdy czasy się uspokoją, opiszę wszystko dokładnie.
W pierwsze Święto Zielonych Świątek, 8 czerwca, byliśmy u Kowalskich w
Górcie pod Kwidzynem. Tam na naszą prośbę zaprosili p. ..., z którym roz-
mawiałam otwarcie. Zaufał mi o tyle, że różne szczegóły mi opowiedział,
które później opiszę. W drugie święto wydarzyło się u Kowalskich okropne
nieszczęście. Dzieci z nauczycielką wyjechały same małym wolancikiem na
spacer. Koniowi spadł orczyk na nogi i zaczął ponosić. Nauczycielka wystra-
szona wyrzuciła dzieci z wózka, i tym się nic nie stało, ale gdy sama chcia-
ła wyskoczyć, zaplątała się w sukienkę i padła tak nieszczęśliwie, że pękła
czaszka i w kilka godzin umarła.

Więc od 24 czerwca miałyby się rozpocząć akcja zbrojna w razie niepod-
pisania pokoju. Tymczasem jest ogólne mniemanie, że podpiszą a nawet,
że akcji zbrojnej na Prusy zaniechali. (Może to być jednak udane, dlatego
Polacy mają się na baczności). Od dzisiaj miał być ogłoszony na całe Prusy
wszelki plan oblężenia i odgrazali się Niemcy licznymi aresztowaniami Po-
laków. Tymczasem nic o tym nie słychać. Jakoś zbraknie im odwagi, czy siły
wykonania.

Na wtorkowym zebraniu panien w Michorowie straszyla nas tymi wie-
ściami p. Helena, mianowicie, że w tych dniach mają aresztować 400 osób,
między innymi nas oboje oraz dużo innych. Poza tym kursuje wersja między
ludem, że my mamy jacht w Gdańsku i że w razie niebezpieczeństwa wyje-
dziemy nim na morze. Śmiałam się rzetelnie z niej, nie wierząc zupełnie i
zapewniając ją, że ani ja ani Kazio stąd się nie ruszymy. Gburzy tutejsi jak
widać są w ogromnym strachu i mieliby zamiar uciekać. Dokąd nie wiadomo?
Oglądają się tylko na nas, co my poczniemy.

Często dopytują się, czemu wyjechał hrabia i gdzie się znajduje. Po po-
wrocie z Michorowa do domu dowiedziałam się, że lada chwila nadjedzie
hrabina, mająca dla nas jakąś ważną sprawę. Otóż przybyła z poleceniem od
doktora Wybickiego, który ostrzega, że od 20 czerwca wyznaczony jest wielki
stan oblężenia, przewidziane są liczne aresztowania oraz że położenie tak się

zaostrza, że lepiej by było może przewieść dzieci na jakiś czas do Sopot. Te częste pogroźki ze strony Niemców, już nas przestały straszyć, więc też ani na moment nie pomyślałam o wywiezieniu dzieci z domu. Tu mają one wszystko co im potrzeba, a są tak samo pod opieką Boską i na jego świętej woli.

29 czerwca 1919

A więc pokój został wczoraj podpisany w Wersalu, pomimo tylokrotnych protestów, pogroźek i zaprzysięgań, że się nie zgodzą. Są wprawdzie krzyki po gazetach i odgrażanie na rząd, że zdradził „die Ostmarken”²⁴ ale zdaje się, że oprócz części wojska urzędników i prasy reszta ludności niemieckiej odetchnęła swobodniej i cieszy się z takiego obrotu rzeczy.

Pierwotny plan utworzenia osobnej republiki wschodniej z dyktatorem na czele, o którym to planie mówiono dużo przed 4 tygodniami, nie przyjdzie prawdopodobnie do skutku. Trzy korpusy: wschodniopruski, zachodniopruski i pomorski zamierzały połączone podjąć obronę przeciwko Polakom. W razie potrzeby mieli bronić się także od strony Berlina „przed wojskami rządowymi wymieniało nazwiska różnych bohaterów”, którzy mieli się podjąć tego skoku na złamanie karku. Więc - Belav, Cleinar, Winnig²⁵.

Znając tak dobrze ten podły, gadzinowy naród przypuszczamy prawie na pewno, że są to tylko krzyki i hałasy, obliczone na przestraszenie wroga. Tu się jednak mylą grubo, bo nie złęknie ich się armia polska stojąca w pogotowiu wzdłuż granicy. Mają też ci hakatyści przeciwko sobie cały lud niemiecki. Liczne głosy z różnych partii ludowo-socjalistycznych niemieckich odzywają się ostro przeciw walce, godząc się z warunkami pokojowymi. Robotnicy kolejowi zagrozili strajkiem w razie rozpoczęcia przez Niemców akcji zbrojnej. Pacyfikacja warunków pokojowych potrwa tu na wschodzie jakieś 6 - 8 tygodni. Dopiero po tym czasie przejdziemy pod nowe rządy. Mają się więc Niemcy demobilizować i rzeczywiście przeganiają „Grenzschutze” z miejsca na miejsce, jak błędnie przewożą, wywożą z koszar w Sztumie nawet łóżka, chcąc zostawić gołe ściany. A mimo to „Stuhmer Zeitung” zamieszcza w każdym numerze ogłoszenie, że mają się zgłosić jak najspieszniej ochotnicy do wszelkich gatunków broni.

Jak to pogodzić jedno z drugim - zagadka. Istnieją podobno oddziały złożone z samych akademików i oficerów i te może zaczną partyzantkę, powstanie i zaciekle walczyć będą. Wielka armia niemiecka ma być zredukowana do 100 tysięcy, cóż więc mają zrobić ze sobą oficerowie, którym dają abszyt (zwolnienia - AL). Z czego utrzymać rodziny, gdy w zmniejszonym Vaterlandzie o chleb i zarobek będzie niezmiernie trudno. Dlatego niejedyn z nich by pragnął tej walki z Polakami, aby się jeszcze móc jakiś czas na powierzchni utrzymać.

²⁴ die Ostmarken (niem.) - Prusy Wschodnie.

²⁵ Dowódcy wojsk niemieckich z czasów i wojny światowej.

O plebiscycie u nas krążą najróżniejsze wieści. Początkowo nazywało się, że będzie zaraz po zawarciu pokoju, po usunięciu urzędników i wojska, pod kierownictwem misji koalicyjnej. Budziły się u nas poważne obawy, czy takie głosowanie gminami wypadnie korzystnie, bo lud ogłupiony, częściowo socjalistyczny i zbolszewiały (dowodzi lud, że Polska jest tylko dla panów szlachty rajem). W tym doszła nas wieść z Podkomisariatu w Gdańsku, że głosowanie dopiero za 15 lat się odbędzie, tak jak w obwodzie Saary.

Kamień spadł nam z serca, boć wówczas nie byłoby powodu obawiać się złego wyniku. Niezadługo zaczęto jednakowoż dementować tę wiadomość, nie wiadomo było gdzie prawda.

Dotychczas jesteśmy w niepewności o naszym losie. Dowiedzieliśmy się jednak dlaczego to głosowanie u nas i w Kwidzynie ma nastąpić na równi z zupełnie niemieckimi powiatami suskim i malborskim.

Otóż podlegają temu losowi te okolice po prawym brzegu Wisły, które nie przeprowadzały swego kandydata do sejmu lub parlamentu. Niemcy w swoich kontrwarunkach wręczonych Entencie żądali głosowania w całych Prusach. Koalicje na to się nie zgodziły kładąc warunki, że całe Prusy wolne będą od głosowania. Znów powód dla nas do kombinacji, jak to rozumieć. Czy w określeniu całe Prusy i my jesteśmy zawarci, czy też pozostaje przy pierwotnych rozporządzeniach, a tylko „całe Prusy” oznacza całość przyznaną z góry Polsce? Stryj Jan tonie w optymistycznych nadziejach i jest tego samego zdania, ale my oboje przyjmujemy to z rezerwą. Chociaż nie można zaprzeczyć, że kombinacja ta wielce prawdopodobna przyspiesza bicie serca i otuchy dodaje. Mówią, że byłoby to prawdopodobnym, gdyż druga nota Ententy zawiera wyrok głosowania na Górnym Śląsku, który pierwotnie bezwarunkowo przyznano Polsce.

Paderewski po pierwszym powrocie swym z Paryża wyraził się w swoim expose w sejmie: „Kolej malborsko-mławska nie została nam, niestety, dotychczas przyznana”.

Mówią wszakże w kołach polskich o tym, że Paderewski gotów był uczynić koncesje na Górnym Śląsku i w Wschodnich Prusach, aby tylko otrzymać kompletny prawy brzeg Wisły z wyżej wspomnianą komunikacją kolejową. Możliwym jest, że to osiągnął za drugą swą bytnością w Paryżu.

** Fragment wspomnień Marii Donimirskiej (1890-1942) z Małych Ramz, które ukażą się w całości w Bibliotece Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej w 2012 roku. Opracował i przypisami opatrzył Andrzej Lubiński.*

Andrzej Wiłun

„Celuloza” z pamięci cz. IV W zakamarkach transportu i sprzętu budowlanego

Jeszcze kilka lat temu nie odważyłbym się na publikację tego materiału, bowiem wiele, co się z tym tytułem wiąże, niesie posmak kryminalny. Niewielu było pracujących w budownictwie, którym zjawiska, stanowiące wątek przewodni mojego opowiadania, nie były znane, a przecież nie wolno było widzieć i nie wiedzieć. Przypominam co młodszym Czytelnikom, że okres wznoszenia „Celulozy” miał miejsce w okresie przechodzenia z radosnego okresu epoki gierkowskiej w krytyczne lata osiemdziesiąte, okraszone „Sierpniem 80” i stanem wojennym lat 1981-1983. Polakom, którym jeszcze w końcu lat siedemdziesiątych władze wmawiały 9-10 pozycję w rankingu (nigdy nie udało mi się ujawnić jego autora) najpotężniejszych gospodarek światowych, przełom lat siedemdziesięcio-osiemdziesiątych obnażył księżycowy charakter ich aspiracji.

Priorytetami ówczesnych władz państwowych były wgląd i piecza nad wszelkimi możliwymi aspektami życia społeczno-gospodarczego. Nie istniały żadne powody, aby wyłączyć z tego transport samochodowy, wraz ze sprzętem budowlanym. W rękach prywatnych pozostawiono praktycznie tylko taksówki, których właściciele traktowali to zajęcie jako przykrywkę dla innej, bardziej intratnej, działalności. Te zamiary państwa mogły być spełnione poprzez monopolizację całych gałęzi gospodarki. Jeszcze w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych narzucono obligatoryjnie, iż przedsiębiorstwa budowlane musiały przekazać sprzęt i środki transportu o wyższych, określonych ustawowo, parametrach technicznych, nowo tworzonemu przedsiębiorstwu transportowo-sprzętowemu. Te utworzyły wkrótce sieć wzajemnie powiązanych jednostek, z oddzielnie zarządzającymi nimi kierownictwami, którym narzucono z góry wskaźniki limitujące ich rentowność tak, że nie za bardzo wiadomo było, czy to one miały służyć resortowi budownictwa, czy też miało być odwrotnie.

Na zapleczu budowy „Celulozy” pojawił się oddział przedsiębiorstwa transportowego budownictwa o dźwięcznej nazwie „Transbud”. Kierownictwo firmy od razu na wstępie ustaliło czas pracy dla swego personelu pracowniczego od godz. 6, wcale nie zwracając uwagi na to, że firmy budowlane zaczynają pracę o godz. 7. Efekt taki, że duże wywrotki stały co najmniej godzinę na budowie, oczekując na dyspozycje budowańców. Nie znalazł się nikt taki, kto usiłowałby to racjonalniej ustawić. Jednak to tylko było drobne preludium do dalszych absurdów.

Kierowcy ciężarówek, w większości wywrotek do przewozu mas ziemnych, mieli narzucone przez swoje kierownictwa normy dzienne do wykonania. Tajemnicą poliszynela było, że taki kierowca miał wyznaczone dla ośmiogodzinnego dnia pracy 30 kursów na odległości 3 km. To była norma wyjściowa, a wszelkie inne stanowiły jej mutacje, takie, że na jedno to wychodziło. Pozwolę sobie na małe wyliczenie. Trzydzieści kursów na odległości 3 km i z powrotem daje nam 180 km. Zakładając, że załadunek i wyładunek trwał po 5 minut, otrzymujemy: $30 \times 2 \times 5 \text{ min} = 300 \text{ min}$, co odpowiada 5 godzinom. Odejmując owe pięć godzin od ośmiogodziennej dniówki wychodzi, że pojazd jeździł przez trzy godziny i przejechał hipotetycznie wyliczone powyżej 180 km, co daje nam $180 \text{ km} / 3 \text{ godz.} = 60 \text{ km/godz.}$ Dla niewtajemniczonych muszę tutaj podać, że na warunki robót ziemnych w budownictwie, biorąc pod uwagę stan dróg i dojazdów oraz manewrów na nich, jest to prędkość zawrotna. Jeśli jednak odliczymy jedną godzinę porannego oczekiwania pojazdów, to już otrzymujemy zaledwie 2 godziny na jazdę i wtedy wychodzi nam 90 km/godz. według teoretycznych obliczeń. To się wiedziało, ale nie uchodziło o tym mówić. Te bardzo uproszczone, modelowe wyliczenia – odtwarzane z pamięci sprzed niemal trzydziestu lat – nie są w stanie oddać prawdziwego obrazu tego, co w rzeczywistości się działo. Fotografie dnia roboczego, czyli monitorowanie przebiegu tych robót, mogłyby to ukazać, ale wtedy nikt nie miał do tego głowy. Ważne było, by to popychać do przodu. I tak nie byliśmy we stanie dorównać legendom towarzyszącym powstawaniu Huty Katowice.

Jednak, jak wspominałem, są to tylko wyliczenia hipotetyczne, bo rzeczywistość była o wiele gorsza. Już sama desynchronizacja czasu pracy powodowała „zagubienie” owej jednej godziny. Nie należy zapominać, że były jeszcze przerwy na posiłki, które przeradzały się niemal w biesiady. Do tego należy doliczyć przeróżne awarie, ciężkie warunki atmosferyczne i wszelkie inne zakłócenia natury organizacyjnej, których odtworzenie trafia na spore luki w mojej pamięci. Liczenie rzeczywistych kursów było bezcelowe, bo wszelkie próby udowodnienia księżycowego charakteru tej pozornej wydajności skutkowały już w następnym dniu.

Nie wiem, czy była to przemyślana idea, ale ilość środków transportowych w dyspozycji owego Transbudu była tak dobrana, że nigdy nie starczało dla wszystkich zamawiających. Na tym polegała ta monopolizacja. Kierownictwo mogło tak manipulować nimi, że dystrybucja mogła być prowadzona uznaniowo. Niepokorność kierownictw budów, próbujących urealnić wydajność transportu samochodowego Transbudu, była karana niezwłocznie już na drugi dzień, bezskutecznym ich oczekiwaniem na zamówione pojazdy. Dzisiaj trudno jest mi szacować straty, jakie notowała gospodarka z tytułu

tak opisanych, z góry narzuconych norm wydajności. Ja oceniam w przybliżeniu, że rzeczywiste wykonanie w stosunku do wirtualnego kształtowało się na poziomie 20 proc.

Kierowcy Transbudu, gdy kierownictwo którejs z budów próbowało urealnić w ich raportach przebieg ich pracy, używali sakramentalnego argumentu, iż w owym dokumencie będą zmuszeni uwidocznic przestój. Jego koszty – podobno horrendalne – miałyby obciążać zamawiającego, czyli oportunistyczne kierownictwo budowy. Nie znam takich, którzy próbowaliby szczegółowiej wnikać w ewentualnie grożące konsekwencje grożących przestojów, a i sam nie eksperymentowałem. Zresztą, gdybym próbował, uznany zostałbym za oportunistę, próbującego „Wisłą kijem zawracać”.

To jednak był tylko wierzchołek góry lodowej, bo przecież, te podpisane, a nieprzejechane w rzeczywistości 180 km, trzeba było podkręcić na licznikach pojazdów. Średnio oceniam, że każdy kierowca podkręcał ok. 120 - 140 km dziennie. Miniaturowe silniczki elektryczne miały tutaj powszechne zastosowanie. Z tego wynikały konkretne pozorne oszczędności na paliwie, którego trzeba było się pozbyć, bo wykazać ich nie było wolno. Większość pojazdów była napędzana olejem silnikowym dla napędu typu diesel. Nie było tak łatwo to sprzedać, bo wkrótce ujawniła się ogromna dysproporcja pomiędzy podażą i popytem na ten rodzaj paliwa, na niekorzyść tego pierwszego czynnika. W efekcie duża część tzw. ropy była wylewana do rowów. Na taki komfort nie pozwalały sobie kraje, w których ropa naftowa stanowiła źródła ich fortun.

Nieliczne pojazdy Transbudu były zasilane etyliną. Były to na ogół niewielkie wywrotki, sowieckiej produkcji, typu Ził. Z reguły używano ich jako „taksówek” na budowie, dla obsługi średniego personelu technicznego. Jeden z kierowców tego pojazdu, wyznał mi, że on nazywa ten pojazd „głęboko myślącym”, bo jego kierowca już od rana musi precyzyjnie dokonać wszelkich wyliczeń i dostosować swą taktykę dnia pracy do klientów, oczekujących na zasilanie ich prywatnych pojazdów, tak by ich zapotrzebowania zaspokoić. On posiadał harmonogram-grafik tych dostaw w głowie.

Ta opisana przeze mnie sytuacja była tajemnicą poliszynela. Bardzo dobrze ukazywał to skecz jednego z ówczesnych kabaretów, w którym amerykański turysta nie może się nadziwić niezwyklej uprzejmości kierowców pojazdów ciężarowych na polskich drogach. Otóż temu amerykańskiemu turystyście w Polsce zabrakło paliwa. Zatrzymał ciężarówkę na drodze i prosił jej kierowcę, aby ten ze stacji benzynowej przywiózł mu kanister benzyny. Ów kierowca zamiast tego przelał Amerykaninowi benzynę ze swego pojazdu, a gdy ten chciał mu zapłacić pełną cenę z naddatkiem za fatygę, ten od ciężarówki skasował tylko pół ceny, resztę oddając. Nie mógł się Ameryka-

nin nadziei, że u kierowcy na drodze paliwo o połowę tańsze od tego na stacji benzynowej i tylko niespotykaną gdzie indziej uprzejmością sobie to wytłumaczył.

Był to okres pełen paradoksów w gospodarce i zawsze dziwiłem się, jak to może funkcjonować, kiedy dyspozytor firmy transportowej wysyłał pustą ciężarówkę w kurs po towar na drugi koniec Polski i niewiele dbał o to, by ją załadować. Nie było to w jego interesie. Natomiast jedynym, kto mógł w to ewentualnie wnikać, był funkcjonariusz MO, który przypadkowo zatrzymał niezaladowaną ciężarówkę na drodze. Cóż to był za piękny kraj, że milicja musiała nadzorować gospodarkę w transportową.

Jeszcze bardziej zabawne sceny miały miejsce, gdy milicja z drogówki pojawiała się przed bramą „Transbudu” z zamiarem kontroli stanu technicznego pojazdów. Wszystkim było wiadomo, co prezentowała strona techniczna tych środków transportu. Nikt w zakładzie nie miał zamiaru poddawać tego atestacji milicji. Bramy zakładu zamykano i przybierał on obraz, jakby opanował go strajk. Ruch na bazie był pozorny. Bywało, że cały dzień samochody nie opuszczały placu zakładu.

Dla porządku faktograficznego wypada nadmienić, że większość ówczesnych środków transportu do robót ziemnych w budownictwie na wyposażeniu kwidzyńskiego oddziału „Transbudu” to: austriackie Steyry, ówczesnie radzieckie KrAZ-y oraz niewielka ilość również sowieckich ZiŁów. Stan techniczny tych pojazdów prezentował się na ogół żałośnie. Kursowanie ich ograniczało się do placów budów, na których nie podlegały zasadom ruchu po drogach publicznych. Gdy zachodziła potrzeba wysłania pojazdu na drogę publiczną, należało to dyspozytorowi przy zamówieniu oddzielnie zaznaczyć. Wtedy z niemałymi kłopotami odbywało się poszukiwanie takiego. Stąd wizyty milicji przed bramą zakładu były sporadyczne, raczej na zasadzie pokazowej demonstracji czujności. Gdyby chciała to robić częściej, praca Transbudu została by sparaliżowana, a następstwa tego dla powstawania fabryki celulozy byłyby niewyobrażalne.

Oprócz tych opisanych środków transportu – określmy je wielkogabarytowymi – nie wypada pominąć zwykłych ciągników Ursus z przyczepami. Miały one swój masowy udział w obsłudze placu budowy. Tutaj nie stawiano im wymagań pracy w akordzie i wykorzystywano je do drobniejszego transportu materiałów budowlanych. Dorabiano im często drewniane skrzynie

i wmontowywano je do układu zaczepowego ciągnika. Było to dosyć pomysłowe rozwiązanie, bo skrzynka był nisko zamontowana, co ułatwiało załadunek. Taki ciągnik mógł łatwo manewrować i był bardzo pomocny, szczególnie dla obsługi brygad murarzy, podwożąc im cegły

i zaprawę niemal na stanowiska pracy.

Owe ciągniki były wynajmowane od okolicznych kółek rolniczych. Każdemu prezesowi takiego kółka zależało na upchnięciu ich na budowie w okresie ustania prac polowych, a więc późną jesienią i zimą. Budowlañcy jednak stawiali bezlitosne warunki, iż muszą te ciągniki być również w naszej dyspozycji w okresie wiosenno - letnim. Przyprawiało to o ból głowy prezesów kółek, którzy nie byli w stanie owych ciągników zapewnić dla wystarczającej obsługi w pracach rolniczych. Kończyło się to najczęściej próbami lawirowania, ale na końcu i tak zawierało się kompromisową ugodę.

Drugą część tego opracowania chciałbym poświęcić sprzętowi budowlanemu, biorącemu udział we wznoszeniu obiektów „Celulozy”, którego praca była w dużym stopniu jakoś powiązana z transportem. Mam tutaj na myśli raczej duże jednostki, które również w jakiś sposób transportowały: jedne poziomo (spycharki, ładowarki), a drugie pionowo (koparki, żurawie - potocznie zwane dźwigami).

Nie wymieniam tutaj pełnego asortymentu, a tylko ten, który na budowie występował powszechnie i z uwagi na swe gabaryty zdecydowanie wpływał na wizerunek placu budowy. Trzeba powiedzieć od razu, iż na tle dzisiejszego krajobrazu placów budów tamtejsze usprzętowanie prezentowało się mizernie, a o rozmiarach owej biedy może dodatkowo świadczyć ogrom starań kierownictwa budowy o pozyskanie sprzętu, kiedy trzeba było uruchamiać często niekonwencjonalne i nieformalne powiązania, czyli znajomości.

Wśród koparek dominowały średnie jednostki krajowej produkcji zakładów w Stalowej Woli im. L. Waryńskiego. W zależności od potrzeb można było wymieniać w nich

tzw. „łyżki”, by mogły one nabierać ładunek: podsiębierne, przedsiębierne, chwyதாகowo, zbierakowo. Ich sterowanie funkcjonowało na bazie rozwiązań hydraulicznych. Mogły poruszać się na gąsienicach lub kołach ogumionych. Z pewnością były one bardziej komfortowe w obsłudze od koparek bazujących na rozwiązaniach linowo-mechanicznych. Te ostatnie na ogół były modelami starszymi. Trudno mi tutaj w tej chwili rozważać o kryteriach doboru rodzaju koparki dla określonego rodzaju robót. Myślę, że takie kryteria były raczej przypadkowymi i na ogół kopało się, czym się miało.

Spycharki dominowały w dwóch wersjach, obie produkcji radzieckiej, potocznie tzw.: „stalińce” (większe) oraz „dety” (mniejsze). Fachowe ich nazwy brzmiały odpowiednio:

„Staliniec S-80” (w późniejszej, większej i silniejszej wersji „Staliniec T100M”) oraz „DT-75”. W zasadzie były to pojazdy w swym pierwotnym zamierzeniu przeznaczone do prac rolnych, jako ciągniki do stosowania w

trudnym terenie. Przystosowano je do robót ziemnych, wyposażając je w lemiesz. Sterowanie tym lemieszem na ogół było wykonane w wersji linowo-mechanicznej, chociaż spotykało się również sterowane hydraulicznie. Zespół jezdny stanowiły łańcuchy. Warunki pracy na tym sprzęcie oscylowały w granicach ludzkiej wytrzymałości. O jakimkolwiek komforcie trudno mówić, chyba że odnieść go do warunków w starożytnym Egipcie. Atutem była niezawodność przy ich relatywnie prostej konstrukcji.

Sporadycznie występowały spycharki hydrauliczne polskiej produkcji ze Stalowej Woli, ale dumę całej budowy stanowiły olbrzymie, jak na nasze ówczesne wyobrażenia, amerykańskie, marki Caterpillar, na potężnych kołach ogumionych. Miały tą zaletę, że mogły szybko się przemieszczać. Jeszcze na przełomie lat siedemdziesiątych/osiemdziesiątych dwie takie maszyny znajdowały się w dyspozycji generalnego wykonawcy budowy: gdańskiej „Przemysłówki”. Dostatecznie komicznie wyglądał przebieg ich dnia roboczego. Niemal każdy je zamawiał do krótkotrwałych robót. Dyspozytorowi trudno było skoordynować racjonalnie ich pracę, więc praktycznie ograniczał on swoje wypowiedzi do formy: – Jedź! No i ten jechał. Wyglądało to tak, że krążył po drogach i wertepach budowy na zasadzie taksówki. Kto potrzebował, wychodził na trasę przejazdu maszyny i stopował, by omówić z operatorem zakres wykonania roboty. Jeśli mógł, przystępował do niej niemal od ręki. Jeśli miał coś pilniejszego, kończyło się na obietnicy z różnym potem skutkiem. Jednak zasada była jedna, operatorzy nikomu nie odmawiali. Potem był odrębny proceder objazdu kierownictw budów celem podpisania raportów za wykonane roboty, których wymiar był określany umownie, tzn. na zasadzie wzajemnego dogadania się.

Wkrótce jeden z tej pary „caterpillarów” zakończył swój żywot w dość charakterystycznych dla tamtej epoki okolicznościach. Niektóre części tych amerykańskich maszyn ulegały naturalnemu zużyciu i awariom. Wymiana ich wymagała wsadu dewizowego, którego nie było. Tak więc rozpoczęto przekładki z jednego pojazdu do drugiego. W początkowej fazie tych procedur udawało się jeszcze, improwizując, utrzymywać w ruchu dwie jednostki, by ostatecznie „stworzyć” z dwóch jedną. To znaczy, że na stanie były nadal dwie, z tym, że jedna stała, częściowo zdemontowana, praktycznie na kołkach, by druga mogła telepać się po placu budowy. Gdyby to odnieść do terminologii medycznej, to zabiegi dla utrzymania ich w zdolności eksploatacyjnej można byłoby określić transplantacją.

Na podobnej zasadzie kursowała na budowie ładowarka, chyba produkcji wrocławskiej „Fadromy”. Jej parametry gabarytowe były zbliżone do spycharek „caterpillar” i w wyglądzie zewnętrznym były podobne. Zamiast lemiesza, miała ona dużą łyżkę przedsiębierną i można było ją wykorzystywać do przemieszczania urobionego urobku ziemnego lub sypkich kruszyw na niedalekie odległości. Można było również posłużyć się nią do załadunku

na wywrotki. Trzeba tutaj nadmienić, że pomysłowość i niezwykła kreatywność załogi budowlanej na placu budowy „Celulozy” wykraczała daleko poza stereotypy i wszelaki tego rodzaju sprzęt spotykało się w najbardziej dziwnym, niekonwencjonalnym wykorzystaniu.

Kolejnym rodzajem sprzętu budowlanego, stanowiącego o krajobrazie tej budowy, były żurawie budowlane, potocznie, nieco błędnie, zwane dźwigami. Dominowały krajowe o napędzie elektrycznym i ulokowane na torowiskach szynowych. W większości były z fabryki tych urządzeń w Szczecinie, przeważnie o symbolice typów od ŻB 80 do ŻB 120. Skrót pochodzi od „żuraw budowlany”, a liczba oznaczała jego parametry dla jego zdolności udźwigu i zasięgu. Podobno szczecińska firma w latach pięćdziesiątych uzyskała rewelacyjne sukcesy na wystawach tego rodzaju sprzętu i istniały poważne szanse na zdobycie swą ofertą przez nią rynków zachodnich. Niestety, jak to często bywało, zabrakło konsekwencji w nadążaniu za rozwojem technicznym i wkrótce zastój okazał się cofaniem, gdy konkurencja w krajach zachodnich ruszyła do przodu.

Tutaj winien jestem czytelnikowi kilku wyjaśnień. W tamtym okresie władza wykonawcza była tak rozbudowana, że dla obsługi resortu budownictwa był ustanowiony urząd w randze Ministerstwa Budownictwa. Zresztą nie był to jedyny resort tak obsługiwany. Dotyczyło to praktycznie wszystkich, które stanowiły o parciu w kierunku industrializacji polskiej gospodarki. Dla usprawnienia procesów budowlanych ministerstwo zarządziło powołanie usługowych przedsiębiorstw transportowo-budowlanych, o czym wspominałem w poprzedniej części, dotyczącej transportu. Tutaj przypomnę, iż odgórnym zarządzeniem zobowiązano wszystkie dotychczas istniejące firmy budowlane do przekazania wszelkich jednostek

transportowo-sprzętowych o wyższych parametrach, określonych przez ministerstwo, do nowopowstałych. Założenie, może nawet w swej idei słuszne, jak to się wkrótce okazało w wykonaniu, prowadziło często do absurdów. Nowopowstałe przedsiębiorstwa usługowe wkrótce zaczęły żyć swym odrębnym życiem tak, że to raczej przedsiębiorstwo budowlane stawało się usługodawcą dla nich. Przedsiębiorstwa te, żerując na swych zleceniodawcach, wymuszały co najmniej 12-godzinne cykle na dzień roboczy. To wywoływało protesty załóg budowlanych, nie godzących się na tak niewolnicze warunki. Często kierownictwa budów stawały pod pręgierzem i potwierdzały dwunastogodzinny dzień pracy dla świętego spokoju. Tak koszty rosły, a najtęższe głowy zadawały sobie pytania, skąd taka niska wydajność.

Zresztą ówczesna filozofia tych, którzy mieli wpływ na tzw. przyspieszenie gospodarcze, nie wybiegała poza pomnażanie siły roboczej. Niemal przy każdej większej budowie powstawało więzienie. Jeśli tylko gdzieś harmonogram robót był zagrożony, dyrekcje przedsiębiorstw nie usiłowały doszukiwać się ich źródeł w niedomaganiach organizacyjnych. Wprowadzano

dodatkowo np. setkę więźniów na plac budowy i rozpoczynano mniej lub więcej udany wyścig z czasem. Właściwie szefowie firm, mając taki zakład karny pod bokiem, mogli pełnić swe obowiązki w stosunkowo wysokim komforcie psychicznym. Wszelkie zakłócenie w przebiegu harmonogramów robót mogły być wyrównywane lub nadganiane przez wykorzystanie tkwiącego w więzieniach rezerwuaru siły roboczej. Była to taka miniatura „Gulagu”.

W każdym ze wspomnianych przedsiębiorstw usług sprzętowo-transportowych istniały nieformalne jednostki sprzętu, które wraz z ich operatorami znajdowały się w bezpośredniej dyspozycji ministra i to on decydował o dysponowaniu nimi. W normalnych warunkach „pokojowych” wykonywały bieżące zadania. Gdy jednak dochodziło gdzieś do kumulacji, gdy terminy robót były zagrożone, na sygnał takiego pełnomocnika z ministerstwa były uruchamiane procedury w trybie szczególnym i następowało przemieszczenie jednostki na polecenie samego ministra. Operatorzy tych jednostek sprzętowych stanowili sam szczyt hierarchii budowlanej i zdawali sobie sprawę z rangi takowej podległości. Obie strony tym sposobem podbudowywały swoje potrzeby dowartościowywania się. Jakiego ministra nie wprawiało w dumę, gdy kiwnięciem palca uruchamiał transport potężnej jednostki przez połowę Polski? Którego z operatorów nie podbudowywała informacja, iż jego przemieszczanie się ma miejsce w wyniku osobistego polecenia ministerialnego. Na tym polegało jednoczenie się władzy z przewodnią siłą społeczeństwa, klasą robotniczą.

Na budowie „Celulozy” poruszało się jeszcze dużo sprzętu, któremu trudno tutaj poświęcać zbyt wiele miejsca. Najczęściej spełniał on rolę pomocniczą, chociaż istotną. Były to np. ciągniki „Białoruś” z osprzętem koparkowo-spychaczowym. Przypominam sobie również o podobnych funkcjach, alternatywne koparko-spycharki o symbolice KSH-45. Trzeba nadmienić, że w trudnych warunkach gruntowych budowy były one często nieporadne. Poza tym, niemal zawsze cierpiały one na tzw. niekomplementarność. Polegało to na tym, że cała ich funkcjonalność

i osprzęt był tzw. katalogowy. W praktyce zawsze czegoś brakowało lub nie funkcjonowało. Na dobrą sprawę, nie zawsze znaliśmy możliwości oferowanego nam sprzętu i często eksperymentowaliśmy.

Warto tutaj nadmienić młodszym czytelnikom, że w porównaniu do dnia dzisiejszego komunikacja telefoniczna prezentowała się siermiężnie. Telefonii komórkowej nie było, a telefony stacjonarne funkcjonowały w bardzo ograniczonym zakresie. W praktyce było to tak, że z rozdysponowanym sprzętem i środkami transportu w ciągu dnia praktycznie nie było kontaktu. Tak więc jakiegokolwiek korygowanie przebiegu robót w ciągu dnia było poważnie utrudnione, a często wręcz niemożliwe.

Wacław Bielecki

Koncert Diny Joffe w Waplewie



Dina Joffe na koncercie w Waplewie, fot. W. Bielecki

W piątek, 14 października 2011 r. w pałacu Sierakowskich w Waplewie odbył się koncert światowej sławy pianistki Diny Joffe, laureatki m.in. II miejsca na Konkursie Chopinowskim w 1975 r. Wtedy pierwsze miejsce zdobył nasz Krystian Zimerman. Cały muzyczny wieczór upłynął pod znakiem fantazji, bo tak zaplanowała go solistka. Na początek była więc *Fantazja chromatyczna i Fuga d-moll BWV 903* Jana Sebastiana Bacha, tak zagrana na fortepianie, iż można było w sposobie wydobywania dźwięków i karkołomnych arpedżiach dosłuchać się brzmienia klawesynu, na który w oryginale ten utwór został skomponowany.

Później zabrzmiały smutno i tragicznie trzy neoromantyczne Fantazje z op. 116 Johanna Brahmsa napisane w ciężkich dla kompozytora chwilach po śmierci dwóch bliskich mu kobiet.

W drugiej części wieczoru zostały wykonane utwory Fryderyka Chopina. Pianistka zaczęła od nastrojowego *Nokturnu op. 55 nr 2*, by następnie przejść do czterech *Mazurków z op. 67*. Nie da się opisać, jak cudownie Dina Joffe gra te miniatury, jak oddaje w nich zmienne rytmy, owe chopinowskie rubato, jak czuлуje dynamikę. Jakże piękna jest pod jej placami ta muzyka. Dźwięk fortepianu jest niezwykle śpiewny i nie odczuwa się tego, że jest to w istocie – jak podkreślają niektórzy – instrument perkusyjny, bo dźwięk

wydobowany jest przecież przez młoteczki uderzające w struny. Ale żeby tak zagrać, tak wyśpiewać na fortepianie legato, trzeba umieć uderzać w klawisze i odpowiednio używać pedałów. Na zakończenie recitalu zabrzmiała chopinowska *Fantazja f-moll op.49* – utwór dość potężny, o bardzo zmiennych nastrojach, od poetyckich nutek po piorunujące akordy. Na bis wysłuchaliśmy jeszcze jednego chopinowskiego Mazurka.

Tegoroczny koncert został zorganizowany przez Muzeum Tradycji Szlacheckiej i Pomorski Ośrodek Kontaktów z Polonią w Waplewie Wielkim w ramach tzw. Pomorskich Dni Chopinowskich. Była to piąta impreza z tego cyklu. Gospodarzami recitalu byli Maciej Kraiński, gospodarz na Waplewie oraz Olga Walentynowicz, prezes gdańskiego oddziału Towarzystwa im. Fryderyka Chopina. Oboje z wdziękiem i humorem prowadzili koncert. Trzeba odnotować, że nareszcie w Waplewie pojawił się dobry fortepian marki Steinway & Sons, co zdecydowanie przyczyniło się do sukcesu wieczoru. Szkoda, że nie jest to instrument znajdujący się tu na stałe, a jedynie wypożyczony na dwa dni. Myślę, że już niedługo w waplewskim pałacu będzie i nowy fortepian, i nowa sala koncertowa godna tego miejsca, w którym w 1827 roku gościł przecież sam Fryderyk Chopin.

Następny dzień w Waplewie poświęcony był muzyce współczesnej. Najpierw odbył się recital fortepianowego Małgorzaty Walentynowicz – laureatki, m.in. I nagrody w konkursie „The Yvar Mikhashoff Trust for New Music” Buffalo, New York (2010) oraz koncert kameralnego zespołu „Nowo Trio”, specjalizującego się w wykonaniach muzyki polskich kompozytorów współczesnych, w składzie: Paweł Zagańczyk – akordeon, Ignacy Jan Wiśniewski – fortepian, Jarosław Drozd - instrumenty perkusyjne.

Nie opisuję tego koncertu, gdyż na nim nie byłem, albowiem pojechałem na spektakl do Opera Nova w Bydgoszczy. Akurat tego dnia wznowiono tam jedyną operę Ignacego Paderewskiego pt. *Manru*, która w rok po premierze w Dreźnie i Lwowie w 1901 roku została wystawiona na deskach Metropolitan Opera w Nowym Jorku. Jest to do dzisiaj jedyna opera polskiego kompozytora zaprezentowana na scenie tej prestiżowej instytucji muzycznej.¹

¹ Moją recenzję z bydgoskiego spektaklu „Manru” Paderewskiego można znaleźć w ogólnopolskim miesięczniku muzycznym „MUZYKA21”, nr 12 z 2011 r.

Wacław Bielecki

Zapomniany kompozytor z Elbląga

Marcin Zdunik – wiolonczelista i Wojciech Rodek – dyrygent, opowiadają o *Konercie wiolonczelowym op. 38*, pochodzącego z Elbląga kompozytora Johanna Benjamina Grossa¹



Marcin Zdunik – wiolonczelista i Wojciech Rodek – dyrygent, fot. W. Bielecki

¹ Rozmowa została przeprowadzona w czwartek 24 listopada 2011 roku bezpośrednio po koncercie z Elbląską Orkiestrą Kameralną. Program koncertu: Feliks Mendelssohn-Bartholdy: Uwertura do „Snu nocy letniej” E-dur op. 21, Johann Benjamin Gross: Koncert wiolonczelowy op. 38, Ludwig van Beethoven: VII Symfonia A-dur op. 92. Elbląską Orkiestrą Kameralną dyrygował Wojciech Rodek.

Wacław Bielecki: Jak doszło do tego, że zainteresowaliście się panowie koncertem wiolonczelowym Johanna Benjamina Grossa?

Wojciech Rodek: To była propozycja Elbląskiej Orkiestry Kameralnej, która wiedząc o tym, że Gross pochodzi z Elbląga zdobyła materiały nutowe i zaproponowała nam do wykonania taki utwór. Chociaż nigdy przedtem nie słyszałem o Grossie i wiedziałem, że partytura jeszcze nie istnieje i będzie dopiero sporządzana z głosów orkiestrowych, to miałem dobre chęci, bo zawsze odkrywanie nowych utworów jest bardzo ważne. Szkoda każdego koncertu, na którym nie gra się czegoś nowego, zapomnianego, bądź nieznanego. Zawsze warto, żeby było coś takiego.

Marcin Zdunik: Mieliśmy do wyboru dwa zachowane koncerty wiolonczelowe Grossa. Pierwszy, to takie ówczesne concertino, napisane w stylu brillante, bardzo popisowe, ale dość płytkie (przynajmniej na takie wyglądało z oględzin partytury), natomiast drugi koncert jest dość bogatą kompozycją, taką ciekawostką stylistyczną.

No to porozmawiajmy o tym koncercie, bo w programach i wszelkich materiałach udostępnionych przed jego wykonaniem nie znalazłem podstawowych informacji o budowie tego dzieła.

Marcin Zdunik: Budowa tego koncertu jest dość osobliwa z tego względu, że pierwsza część, *Allegro con moto* jest niepełnym allegrem sonatowym. Jest tam najpierw przeprowadzenie ekspozycji w tutti, a potem dwutematowej ekspozycji w instrumencie solowym, czyli wiolonczeli, po czym następuje tutti kończące. Nie ma ani przetworzenia, ani reprzyzy. Jest to więc bardzo rozbudowana ekspozycja. W *Allegro con motto* zarysowany jest wyraźny dualizm tematyczny. Pierwszy temat jest bardziej bohaterski w charakterze, a drugi bardzo śpiewny. Oba te tematy są przeplatane wirtuozowskimi popisami instrumentu solowego. Z taką budową koncertu jeszcze nigdy się nie spotkałem. Poza tym, część pierwsza kończy się na trochę dziwnie i w oderwaniu od obowiązujących wtedy standardów, bo zapis nutowy w partyturze sugeruje bezpośrednie połączenie z częścią drugą. Następuje tam modulacja do tonacji F-dur, w której druga część jest osadzona.

Wojciech Rodek: Myśmy wysnuli stąd wniosek, że Gross sugeruje, żeby te dwie części połączyć, dlatego drugą część zaczynamy attacca, czyli natychmiast, bez przerwy.

Marcin Zdunik: Druga część w tempie *Andante* ma typową budowę A – B – A. Pierwsze ogniwo jest w tonacji F-dur, a środkowe ogniwo *Un poco piu vivo*, czyli trochę szybciej, trochę płynniej, w tonacji As-dur. Jest ono wzbogacone o trochę operowy recytatyw w środku tego ogniwa, a na końcu wraca materiał z początku *Andante*, czyli w tonacji F-dur.

Trzecia część, taneczne i skoczne *Rondo* jest napisana w typowej wówczas konwencji dla finału koncertu z wykorzystaniem folkloru węgierskiego. Jest to część której głównym celem wyrazowym jest popis instrumentalny solisty. Jest to najbardziej wirtuozowska część koncertu.

Jak można ocenić stopień trudności koncertu Grossa w porównaniu z innymi koncertami wiolonczelowymi?

Marcin Zdunik: Jest to bardzo trudny koncert, najeżony wieloma elementami wirtuozowskimi, ale napisanymi bardzo nietypowo. Nie są to rzeczy, które normalnie się gra na wiolonczeli, tylko jakieś takie – powiedziałbym – dziwolągi instrumentalne, których ja bym się nie spodziewał w kompozycji wirtuozowskiej. Nie jest koncert wygodny do grania. W sumie nie jest to rzecz, która w sensie instrumentalnym jest jakimś „samograjem”. Jest tam sporo elementów którym trzeba poświęcić sporo czasu przygotowując ten utwór.

A co można powiedzieć o warstwie orkiestrowej koncertu?

Wojciech Rodek: Jest nietypowa. Do wykonanie koncertu potrzeba dużo instrumentów. Tutaj w Elblągu mamy nie za dużego kwintetu smyczkowego i dlatego w porównaniu do instrumentów dętych, smyczków jest trochę za mało. Dlatego bardzo trudno było zachować odpowiednie proporcje brzmieniowe, o które dbaliśmy, ale jest bardzo duża, ciężka instrumentacja w instrumentach dętych, a także nietypowe zestawienia instrumentów - bardzo wyeksponowane fagoty i klarnety, chociaż to romantyczna maniera, typowa dla tamtych czasów i przez to ciekawa. Akompaniament jest bardzo trudny w takim sensie, że partia wiolonczeli jest bardzo kapryśna, zmieniająca się. Natomiast warstwa orkiestry jest trochę zbliżona do koncertów Schumanna, jeśli chodzi o trudność akompaniowania, bo zostawiająca dużo swobody soliście, ale bardzo „punktualna” i wymagająca niezwyklej czujności ze względu na częste recytatywy i dużą swobodę partii solowej. To są też cechy koncertu wirtuozowskiego. Gross na pewno był wirtuozem, jeśli pisał takie rzeczy.

Elbląskie wykonanie koncertu wiolonczelowego Grossa było jego pierwszym wykonaniem, chyba nie tylko w Polsce. Jakie macie panowie plany dotyczącego tego koncertu? Czy będziecie go wykonywać i nagrywać?

Marcin Zdunik: Zobaczymy. Żaden z nas nie postawił kreski na tym utworze. Jestem nim zaskoczony pozytywnie, bowiem przeglądając partyturę spodziewałem się kompozycji bardziej sztamkowej, czegoś nie inspirującego, wirtuozowskiego - w negatywnym słowa tego znaczeniu, a tymczasem ten koncert ma wiele walorów artystycznych, bardzo wartościowych i głębokich. Mam nadzieję, że jeszcze przyjdzie nam go zagrać.

Wojciech Rodek: Takie utwory nie mogą istnieć tylko na scenie koncertowej. Teraz jak coś nie jest zapisane na płycie, to w ogóle nie istnieje.

Na zakończenie rozmowy chciałem się zapytać o przepiękny, bardzo rzewny utwór, który wykonał pan na bis. Co to było?

Marcin Zdunik: To była tradycyjna, ludowa pieśń katalońska o nazwie „Pieśń ptaków”, którą opracowałem na wiolonczelę solo, tak dla siebie, aby ją grać przy różnych okazjach. Mam w ogóle bardzo dużą potrzebę komponowania i trochę piszę dla urozmaicenia sobie życia, ale na to mam bardzo mało czasu w tej chwili. Na emeryturze na pewno będę komponował.

JOHANN BENJAMIN GROSS urodził się w 1809 r. w Elblągu. Był synem dzwonnika. Gry na wiolonczeli uczył się w Berlinie. Już w młodości rozpoczął karierę jako podróżujący wirtuoz wiolonczeli, m. in. w Lipsku poznał Roberta Schumanna i muzykował z Feliksem Mendelssohnem-Bartholdym. W 1837 r. wyjechał na stałe do Sankt Petersburga, gdzie przyjął posadę pierwszego wiolonczelisty carskiej orkiestry. W 1848 zmarł tam na cholera. Pozostawił po sobie, m.in. cztery koncerty wiolonczelowe. Do odnalezienia i popularyzacji zapomnianych utworów Grossa przyczynił się jego daleki krewny dr Folcert Lüken-Isberner.

MARCIN ZDUNIK - wiolonczelista, absolwent Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie w klasie Andrzeja Bauera. Występował w wielu renomowanych salach, m.in. Carnegie Hall w Nowym Jorku, Konserwatorium im. P. Czajkowskiego w Moskwie, Teatrze Ermitażu w Sankt-Petersburgu, Filharmonii Narodowej w Warszawie. Jest laureatem wielu konkursów w kraju i za granicą. W 2007 roku zdobył I nagrodę na VI Międzynarodowym Konkursie Wiolonczelowym im. Witolda Lutosławskiego w Warszawie, gdzie otrzymał również Grand Prix za wybitne wykonanie Koncertu wiolonczelowego Lutosławskiego oraz 9 innych nagród. Gra na wiolonczeli wykonanej przez lutnika Wojciecha Topę z Zakopanego.

WOJCIECH RODEK studiował dyrygenturę w klasie prof. Marka Pijarowskiego w Akademii Muzycznej we Wrocławiu. W 2002 r. zdobył II nagrodę na III Przeglądzie Dyrygentów im. Witolda Lutosławskiego w Białymstoku. W latach 2005-2007 był asystentem Antoniego Wita w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Współpracuje z wieloma zespołami symfonicznymi. Od 2002 r. gości regularnie z zespołem Opera Polska w najważniejszych salach koncertowych Europy, m.in. w Bernie, Zurichu, Dreźnie, Hamburgu, Monachium, Salzburgu, Wiedniu. Na przełomie roku 2009/2010 wystąpił z European Johann Strauss Orchestra podczas tournée w Chinach. Jest pracownikiem Akademii Muzycznej we Wrocławiu. Posiada tytuł doktora. Od 2010 r. pełni funkcję kierownika muzycznego Gliwickiego Teatru Muzycznego, a także pierwszego dyrygenta Filharmonii w Lublinie.

Leszek Sarnowski

Dużo eksperymentujemy

Rozmowa z Arkadiuszem „Rogasiem” Rogowskim
z zespołu Szerwony Abodus



Leszek Sarnowski: Na początek trochę historii. Skąd się wziął zespół Szerwony Abodus?

Arkadiusz Rogowski: Dawno, dawno temu, a może wcale nie tak dawno (2007 rok), trzech młodych ludzi - Gutek, Efi i Rogas (czyli Marcin Kucio, Dawid Król i ja) postanowiło, że będą razem grać. I grali... u Gutka w pokoju, na słabych piecach, tanich gitarach i perkusji z kartona. Graliśmy utwory instrumentalne a z czasem zaczęliśmy dodawać jeden, dwa utwory z wokalem, ale to przyszło później. Improwizowaliśmy, każdy przynosił jakiś patent, składaliśmy to do kupy i trybiło. Z czasem skład Abodusa zmieniał się kilkakrotnie, najpierw odszedł Efi w jego miejsce zaangażowaliśmy Paco

(Piotr Podlewski - gitara), doszedł Misiu (Adam Meryk - klawisze), Topek (Tomasz Rachański - didgieridoo), a rola Oli (Król - Rogowska - wokal) nabrała konkretniejszego znaczenia. Graliśmy utwory instrumentalne własnego autorstwa, oraz covery innych artystów, w których śpiewała Ola. W zeszłym roku opuścił nas Gutek, a jego miejsce zajął Ori (Piotr Orłowski - bas) Razem z przybyciem do bandu Oriego coś się zmieniło. Nie to żebyśmy narzekali, ale mało brakowało a wpadli byśmy w jakieś dziwne błędne koło z którego nie było by już odwrotu. Obecnie jest inaczej, postawiliśmy sobie konkretne cele które chcemy osiągnąć w konkretnym czasie i udało się. Jest konkretniej... Tak to chyba dobre słowo. Teraz jest konkretniej.

Nazwa dość tajemnicza, choć budząca jakieś skojarzenia...

No na pewno nie polityczne (śmiej). Nazwa jest dość przypadkowa. Człon pierwszy to genialne dziecięce przejęzyczenie, a w sumie niedokładność w mowie mojego syna (przez długi czas na autobus mówił abodus). Pierwszy człon to chyba wymysł Gutka. Po pewnym czasie Gutek chciał zmienić nazwę, ale nie miało to sensu. Zegraliśmy już wtedy kilka koncertów pod tym szyldem i zmiana nazwy byłaby, nazwijmy to - złym zagranem marketingowym.

Jak można by określić styl muzyczny zespołu? Czy to wynik pracy zespołowej czy lidera, który decyduje o całości. I kto jest liderem, jeśli jest?

Lidera brak, co wychodzi nam tylko na dobre. Był kiedyś człowiek który chciał być liderem, ale był na to za słaby i ewidentnie brakowało mu pomysłu, dlatego pomimo swoich wielkich chęci nie był w stanie ogarnąć reszty zespołu. Byliśmy (nadal jesteśmy) zbyt silnymi osobowościami, by dać się prowadzić na sznurku, który na dodatek był solidnie naderwany (śmiej). Słuchamy pozornie podobnej muzyki, ale jeśli przejrzeć zbiory naszych płyt to znajdziemy tam wszystko, dosłownie wszystko. Ja np. mam płyty zarówno Johny Casha jak i Behemoth. Świat muzyki jest zbyt ciekawy, by ograniczać się do jednego stylu, zarówno jeśli chodzi o słuchanie, jak i o granie, dlatego też dużo eksperymentujemy. Nie można określić naszego stylu jednym słowem. ArtRock z elementami funk, jazzu to chyba najtrafniejsze określenie. Ja najbardziej lubię jednak definicję „Brzmiemy jak Szerwony Abodus”.

Proszę przedstawić muzyków-ich dotychczasowe doświadczenie i rolę w zespole.

Piotr „Ori” Orłowski – gitara basowa. Na scenie muzycznej najdłuższy stażem. Do 2010 roku basista rockowej grupy Shire, z którą występował m.in. na Przystanku Woodstock czy Opolu. W Abodusie dzierży bas, snuje dywan niskich dźwięków, jest naszym kierowcą i pożycza kapelusze od Paco.

Piotr „Paco” Podlewski – gitara, mandolina. Dawniej grał wszystko co chciał, musiał, lub o co go poproszono. Geniusz gitary akustycznej, czy jak kto woli „pudła”. Jak sam mówi, dzięki Abodusowi pogodził się z gitarą elektryczną. Często robi za tzw. piorunochron lub zespołowego psychologa, ale jak chce coś powiedzieć to i tak nikt go nie rozumie, bo mówi z prędkością światła. Aha i pożycza kapelusze Oriemu.

Adam „Misiu/Robert” Meryk (kсыwek nie zliczymy) – klawisz, melodia, grovebox. Dawniej członek kapeli weselno-dożynkowej. Najzdolniejsza bestia z całego składu, potrafi zagrać na wszystkim, co ma przyciski i nie tylko. Człowiek o rozchwianej osobowości, często trudny do ogarnięcia.

Tomasz „Topek” Rachański - didgieridoo. Abodus to jego pierwszy band. Potrafi mówić w każdym języku świata, a zwłaszcza po japońsku. Podczas nagrywania płyty omal nie doprowadził do zatrzymania akcji serca realizatora.

Aleksandra „Paszczofon” Król-Rogowska – wokal. Dawniej uczestniczka popularnych programów dla wokalistów (w których szło jej całkiem nieźle). Obecnie śpiewa, wrzeszczy i flirtuje z Paco na scenie. Na próbach zawsze trzeba szukać jej mikrofonu, albo nie wie pod co ma się podpiąć.

Arkadiusz „Rogaś” Rogowski (czyli ja). Dawniej bębniłem w paru kapełach garażowo-podwórkowych, potem na strychu – do tej pory nie wiem, jak znosili to moi rodzice. Oprócz bębnienia odpowiadam w zespole za organizację koncertów, reprezentuję zespół podczas wywiadów itp. Jak coś źle powiem lub napiszę to potem dostanę opiernicz na próbie. Jak trzeba było coś załatwić, na kogoś nawrzeszczeć lub domagać się swego to tak często padało na mnie, aż bycie „tym złym” zaczęło sprawiać mi przyjemność.

Mimo krótkiej historii zespół wydał już swoją debiutancką płytę. Z pewnością lepiej jej słuchać niż o niej mówić, ale proszę spróbować powiedzieć co słuchacz na niej znajdzie, na co może liczyć ktoś kto jeszcze was nigdy nie słyszał?

Właściwie to debiutancka EP’ka (mini album). Takie było założenie – do końca roku 2010 rejestrujemy materiał i puszczamy go w świat. W marcu odbyła się premiera i tak się kręci...

Powstała ona w dość przełomowym czasie. Ori dopiero wżerał się w zespół, Ola śpiewa na niej tylko jeden numer (właściwie to nawet nie śpiew tylko wokaliza), ponieważ nie mogliśmy zarejestrować coveru Niny Simone. EP'ka jest – tajemnicza, nieprzewidywalna, utwory pozornie różne łączą się w jedną historię. Fajnie słucha się jej gdy jest ciemno, nikt nie przeszkadza w odbiorze, można wtedy wczuć się w klimat i odbierać Abodusa po swojemu. Ciekawe gitary, pulsujący bas, momentami ostre bębny, genialne klawisze i spokojny wokal, to wszystko... Na zakończenie „hit” nagrany w wersji koncertowej utwór Folk Dojcz – ponad dwuminutowy energetyczny kawałek, bardzo dobrze znany stałym bywalcom koncertów

No właśnie, a gdzie można posłuchać waszej muzyki, czy dużo już było koncertów i jakie plany na najbliższy czas?

Koncertów zagraliśmy prawie 70, licząc od 2008 roku, kiedy zespół nabrał jakiejś nazwijmy to „pary” i skład w miarę się ustabilizował. Zaliczyliśmy kilka naprawdę przyjemnych miejsc: Bohema Jazz Club – Olsztyn, czy Rock & Blues – Pruszcz Gdański i naprawdę wiele innych których nie sposób teraz wspomnieć. Gdzie można nas usłyszeć? Jeśli jeszcze ktoś nie ma jeszcze naszego krążka to zapraszamy na www.myspace.com/abodus tam można odsłuchać część materiału oraz zobaczyć klipy oraz nagrania live. Ale przede wszystkim koncerty, tam muzyka brzmi najlepiej i najtrafniej dociera do słuchaczy.

Plany, plany... Jeszcze we wrześniu ma zamiar wejść do studia by nagrać partię bębnową na nowe numery. Numery bardziej piosenkowe, Ola będzie mogła się w nich bardziej wykazać. Potem program w Radiu Gdańsk – „Młoda Polska Muzyka”, ale to dopiero po rejestracji nowych numerów. I koncerty, przede wszystkim koncerty, one dają największego kopa i motywują do dalszej pracy.

Agnieszka Jarzębska

Benedykt Kroplewski Malarz rozsypanych drobiazgów

Niezwykłe barwne, niemal baśniowe wizje świata w rozpadzie, pełnego wirujących w przestrzeni detali, powracające w kolejnych pracach motywy, np. motyw Oka Opatrzności czy Bramy - styku świata duchowego i materialnego, pogranicza kultur i religii - to znaki rozpoznawcze twórczości Benedykta Kroplewskiego.

Artysta urodził się w 1948 roku, w Malborku. Studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Dyplom obronił w 1980 roku. Obok malarstwa, uprawia grafikę i rysunek; jest autorem obiektów rzeźbiarskich, ilustracji książkowych czy okładek płyt z muzyką.

Zanim zajął się sztuką, zdobył wykształcenie i przez kilka lat pracował jako... elektronik. Także w pracach artystycznych Benedykta Kroplewskiego widać wielką staranność, precyzję myślenia - i wykonania. Pełne urody dzieła cechuje drobiazgowość, przywiązanie do szczegółu, ale też wykorzystanie elementów ze świata techniki.

Interesujące są eksperymenty z asamblażem. Do kompozycji malarskich twórca wstawia znalezione samodzielnie czy podarowane przez znajomych i przyjaciół drobne przedmioty. Są to np. blaszki samochodowe, fragmenty płyt winylowych i kompaktowych, części od zegarków, drut, z którego udaje się utkać delikatną siatkę i inne nieprzydatne już nikomu „śmieci”. Wykorzystując je jako tworzywo Benedykt Kroplewski pobudza je do życia, nadaje im nowe znaczenie.

Artysta z Malborka chętnie maluje pejzaże. Także one mają charakterystyczną dla jego twórczości formę. Przyroda, architektura są wiernie odwzorowane, z pietyzmem i czułością dla szczegółu. Jednocześnie są one tylko jednym z elementów wizji malarza, fragmentem jego własnego świata, świata pełnego życia i barw, ale będącego w rozpadzie. To malarstwo pełne znaczeń, skojarzeń, które potrafi zachwycić widza, zachęcić go do refleksji.

- Jestem człowiekiem Północy. Niektórzy cenią szkołę malarstwa impresyjnego, moje oczy zwracają się np. ku malarstwu holenderskiemu. Cenię szczegół, detal. Uważam, że powinien on być eksponowany. To co, robię, to moja subiektywna wypowiedź na temat dzisiejszego świata, architektury i sztuki. Gdy maluję, czuję spokój, zapominam o wszystkich troskach - wieznaje Benedykt Kroplewski.

Powracająca w jego pracach postać Ikara symbolizuje dążenie człowieka do spełniania swoich marzeń za wszelką cenę, ale też zachęca do jak najbardziej współczesnej rozmowy o autorytetach. Mimo całej swojej wiedzy Dedalowi nie udało się jednak uchronić syna przed śmiercią.

Z kolei wieloznaczny motyw bramy po raz pierwszy pojawił się w twórczości artysty w latach 80-tych, za sprawą pleneru w Białowieży. „Odwiędzałem tamtejsze cerkwie, widziałem ikonostasy. To pogranicze religijne i kulturowe - brama jest symbolem przejścia. W tamtych czasach niewoli marzyła się nam wolność - brama jest też symbolem wolności” - wspomina Benedykt Kroplewski.

Motyw wieży pojawia się w Biblii - w opowieści o wieży Babel. Także do tej historii nawiązuje w swoich pracach twórca. Z kolei jego Dwie Wieże przypominają tragedię tysięcy ludzi, którzy zginęli w zamachu na World Trade Center w Nowym Jorku.

Cykl obrazów stworzonych z okazji Roku Chopinowskiego jest opowieścią o muzyce i biografii wielkiego kompozytora. Udajemy się w podróż do Żelazowej Woli - miejsca urodzenia Fryderyka Chopina i na Mazowsze, możemy też - w romantycznym entourage'u - zobaczyć mistrza i osoby dla niego ważne. Inspiracją dla innych prac stały się utwory muzyczne takie, jak *Scherzo h-moll*, *Polonez As dur*, czy *Walc cis-moll*.

Benedykt Kroplewski brał udział w licznych wystawach i plenerach malarskich w kraju i za granicą, między innymi w Japonii, Rosji, Włoszech, Niemczech, USA, Szwecji, Litwie i na Łotwie. Jest laureatem wielu nagród, m.in. pierwszej nagrody za plakat roku (Gdańsk 1979) i nagrody głównej za plakat na Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdańsku w 1979 roku. Reprezentacyjna wystawa jego prac miała miejsce w Muzeum Zamkowym w Malborku w 2002 roku. W tym roku malarz zdobył główną nagrodę Prezydenta Gdańska na VI Międzynarodowym Biennale Malarstwa i Tkaniny Unikatowej „Barwy i Faktury” w Gdyni za prace „Lot nad ażurowym ogrodem” i „Metalowa cywilizacja”

Na wernisażu w Berlinie prof. Alex Baumgarten powiedział, że „w pracach Benedykta Kroplewskiego wyraźna jest oscylacja między porządkiem i chaosem; między marzeniem o idylli i apokaliptyczną obawą przed zniszczeniem żywej natury. Zastosowana tu paleta barw starych mistrzów oraz dokładność detalu tworzy fascynującą atmosferę wyrafinowanej obcości, a także przez zanurzenie w świecie marzeń artysty, gotowość pokonania wewnętrznych sprzeczności, paradoksów i obrazowych zagadek...”

Agata Janik

Specjalistka od „kręcenia” problemów

Katarzyna Rosłaniec, pochodząca z Malborka reżyserka głośnych „Galerianek”, sięgnęła po kolejny trudny temat – nastoletniego macierzyństwa. Ostatni klaps filmu „Baby Blues” padł w elbląskiej Galerii EL. – Nigdy nie byłam w tym mieście, mimo że mieszkałam niedaleko – przyznała. – A do Malborka często wracam, bo tam mam dom i rodziców, z którymi jestem strasznie blisko.

„Baby Blues” podejmuje temat nastoletniego macierzyństwa. Oto 17-letnia Natalia chciała mieć dziecko, bo tak jest fajnie. Dlaczego? Może chce, by ktoś ją naprawdę kochał i by ona miała kogoś do kochania?

Casting, który wyłonił dwójkę młodych bohaterów – Natalię i jej chłopaka Kubę – trwał 7 miesięcy. – Trudno

było wybrać – przyznaje Katarzyna Rosłaniec. – Zgłosiło się mnóstwo młodych ludzi. Sama obejrzałam ponad 500 osób, a także 8 tysięcy zdjęć. Trwało to 7 miesięcy. Znalazłam w końcu moje „dzieciaki”.

W „Galeriankach” postawiła na naturšczyków, w kolejnym filmie również.

– Nie boję się „łatki”. W ogóle niczego się nie boję – twierdzi Katarzyna Rosłaniec. – Znowu usłyszę, że znowu film o młodzieży, czy coś tam. No tak jest, taki temat miałam i uważam, że jest fajny. Jakoś mocno mnie wzrusza to, co się dzieje w tym filmie. Dlatego chciałam go zrobić. Główna bohater-



Katarzyna Rosłaniec, fot. A. Dembińska



Na planie nowego filmu K. Rosłaniec
w Galerii EL, fot. A. Dembińska

Ostatni klaps padł w Elblągu. Dyskotekę „zagrała” Galeria EL, w której filmowcy gościli przez dwa czerwcowe dni. Potrzebowali statystów, więc z Elbląga i okolic stawiły się setki młodych ludzi, którym marzyła się przygoda. Obecny był też filmowy Kuba (19-letni ojciec), czyli Nikodem Rozbicki z Warszawy. - Nie miałem tu zdjęć, ale chciałem jeszcze trochę czasu spędzić z ekipą, uważam, wyjątkowo rewelacyjną – przyznał. - Na planie jest ciekawie, wiele się nauczyłem i myślę, że będę miał same pozytywne wspomnienia z tej rewelacyjnej przygody, która trwała 2 miesiące.

Obok aktorów-debiutantów oraz rzeszy statystów w filmie Katarzyny Rosłaniec grają gwiazdy. Rodzicami Kuby są Danuta Stenka i Jan Frycz. A lista znanych i uznanych w tym obrazie jest dłuższa.

„Baby Blues” to kolejny film Katarzyny Rosłaniec dotyczący problemu społecznego.

- Nie chciałabym by to był problem społeczny – mówi reżyserka. - To po prostu historia jednej dziewczynki i o niej opowiadam. I tyle. Jest to bardzo osobiste. Od „Galerianek” dużo się różni. One były obiektywnym spostrzeżeniem, że jest taka sytuacja, takie dziewczyny. I to był problem społeczny. „Baby Blues” to film o tej, konkretnej dziewczynie.- Ten film jest bardziej przygotowany, ja jestem bardziej świadoma tego, co robię. To kosztowało mnie jednak więcej pracy - dodaje.

ka to 17-latką, więc nie mogła tego zrobić zawodowa aktorka. Czy role jej kolegów. W tym wieku nie ma jeszcze aktorów. A ja chciałam mieć ludzi w wieku, w którym są w filmie.

Czy ciężko pracuje się z niezawodowcami?

- Łatwo. Najtrudniej jest ich znaleźć - przyznaje. - Dlatego casting trwał 7 miesięcy. I dlatego też po tym, jak ich znalazłam, 3-4 miesiące intensywnych prób. Bardzo się ze sobą zżyliśmy i zaprzyjaźniliśmy. Fantastyczne w tych młodych - nie chcę mówić - dzieciakach, choć to są takie moje dzieci - jest to, że jak się znajdzie właściwe osoby, to one się totalnie otwierają, oddają całego siebie i dzięki temu to nie jest gra. One są tymi postaciami, tymi bohaterami, więc jest łatwiej.



Statystki na planie filmu K. Rosłaniec, fot. A. Dembińska

Nie można było nie zapytać w niedalekim Elblągu o jej miasto rodzinne.

- Malbork, hmm, często tam wracam, często tam jestem – przyznaje. - Tak naprawdę tam mam dom. Jedyne jakie mam. Mam rodziców, z którymi jestem strasznie blisko. Nawet tu byli przed chwilą (śmiech) [na planie w Galerii EL – red.]. Mieszkam w Malborku, chociaż więcej mnie tam nie ma. Ale tak czuję. Ze znajomymi jest trochę gorzej – dodaje. - Jakoś się ludzi porozjeżdżali. Jak w mieście nie ma wyższej szkoły, to każdy poszedł w inną stronę. Dawno nie widziałam nikogo z dawnych znajomych.

Film „Baby Blues” wejdzie do kin w przyszłym roku. – Na Walentynki, ale nie wiem, czy to się uda – mówi Katarzyna Rosłaniec. - Czy będzie ostrzejszy od „Galerianek”? - Tam były szokujące sceny? Tu są jeszcze fajniejsze – zdradza reżyserka.

Wacław Bielecki

Zsyłka oczami dziecka

Edward Studziński, Na bocznych torach. Wrocław 2010, Kwiatpress.

Edward Studziński

NA BOCZNYCH TORACH



Autor książki, mój znajomy z okresu Solidarności i pierwszych lat działania demokratycznych samorządów, odwiedził mnie niespodziewanie po wielu latach i przyniósł książkę wydaną własnym sumptem w małej oficynie wydawniczej we Wrocławiu. Są to jego wspomnienia z okresu wojny, gdy razem z rodziną został wywieziony z chutoru Woławka w powiecie pińskim na Polesiu do położonego w tajdze łagru w okolicach Archangielska. Tam z powodu wycieńczenia i katorżniczej pracy przy wyrębie drzew i głodu zmarł

mu ojciec, chorą matkę wywieziono do lazaretu i więcej jej nie zobaczył. Liczne rodzeństwo zostało rozdzielone. Z dziewięciosobowej rodziny przeżyło wywózkę i sześciolletnią tułaczkę tylko troje dzieci, w tym najmłodszy Edward, autor wspomnień.

Zacząłem czytać te opowieści i nie mogłem się od nich oderwać, takie to było dla mnie ciekawe. Przypominały mi się historie opisane w „Archipelagu Gułag” Aleksandra Solżenicyna, czy „Na nieludzkiej ziemi” Józefa Czapskiego, ale tamci autorzy byli osobami dorosłymi, a Studziński opisuje te tragiczne chwile z pozycji 6 – 12 letniego dziecka. Jego wspomnienia bardziej przystają do „Poematu pedagogicznego” Antoniego Makarenki, niesłusznie chyba pomijanego obecnie pedagoga, który zajmował się gromadami bezprizornych, czyli osieroconych, bezdomnych i wykolejonych z powodu wojny dzieci. Niewiarygodna jest wprost autora pamięć do szczegółów, ale przecież traumatyczne zdarzenia zapamiętuje się na całe życie.

Tytuł książki bierze się zapewne stąd, że młody Edward wiele czasu tułaczki spędził w transportach kolejowych, czy to jadąc w bydłym wagonie na zsyłkę do tajgi, czy potem wracając okrężną drogą do Polski

przez położony na dalekiej północy Archangielsk, a następnie przez ... Kaukaz do punktu repatriacyjnego w Gostyninie pod Warszawą. Różne szczegóły tych długich podróży mocno zapadły autorowi w pamięci.

Druga, znacznie krótsza część książki zatytułowana „W poszukiwaniu korzeni”, to reportaż z podróży do miejsca urodzenia - Woławek pod Pińskiem na Białorusi po 58 latach. Na końcu książki czytelnik znajdzie dokumenty związane z ustalaniem tożsamości i własności o które autor zabiegał w różnych instytucjach w Polsce, Rosji i Białorusi oraz 36 kolorowych lub biało-czarnych (zależy to do wydania) fotografii.

We wstępie do książki Edward Studziński wypomina, że w latach osiemdziesiątych pisał do prasy lokalnej, związkowej i samorządowej, ale kiedy chciał wydać swoje wspomnienia, to od wydawców słyszał, że praca jest ciekawa, dobrze napisana, ale ... nie nadaje się do wydania. Tymczasem znalazło się pismo, które wydrukowało pierwsze cztery rozdziały. Była to „Sztumska Solidarność” z 1990 roku, w której w numerach 10 – 14 umieściliśmy kilka początkowych odcinków pt. „Wspomnienia deportowanego”. Pewnie wydrukowalibyśmy całą książkę, ale

po pierwszych wyborach samorządowych nasze powielane czasopiśmo przestało wychodzić.

To trochę dziwne, ale w książce nie pojawia się nazwa miejscowości - Sztum, w której autor długo mieszkał i pracował oraz prowadził działalność związkową i był jednym z głównych pomysłodawców i organizatorów „Biegu Solidarność” organizowanego zawsze 3 Maja po dzień dzisiejszy. Dlaczego tak się stało? Pewnie dlatego, że jak pisze we wstępie Edward Studziński: Ciągłe wydaje mi się, że miejsce, w którym jestem i mieszkam, nie jest miejscem dla mnie.”

Szkoda, że te niezwykle opowieści nie doczekały się porządnego wydawcy i dużego nakładu, bowiem w pełni na to zasługują. Powinny być czytane wszędzie, ale szczególnie tu na Dolnym Powiślu, gdzie przez wiele lat mieszkał i pracował autor. To powinna być lektura dla dorosłych oraz uczniów w gimnazjach i ogólniakach. Potwierdza to pierwsza nagroda, którą autor otrzymał na konkursie „Wspomnienia dawnych mieszkańców Kresów Wschodnich” zorganizowanym przez Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie w 1998 roku.

Danuta Thiel-Melerska

Żuławskie zegary

Paweł Fietkiewicz, Żuławskie zegary ludowe. Nowy Dwór Gdański, Sopot 2011, Lokalna Grupa Działania Żuławy i Mierzeja.



Zauroczyła mnie dedykacja: Wiernej towarzyszce życia – Marii. Pomyslałam wtedy, jaka to musi być kobieta, której składa się w darze swoje dzieło. Patrzyłam na ilustrację na okładce, zegar na tle wierzb we mgle. Natychmiast stało się wszystko jasne, chodzi o żuławskie zegary ludowe. Następnie wzrok mój powędrował ku nazwisku autora. Jest nim Paweł Fietkiewicz, znany kolekcjoner zegarów „żelaźniaków“ i znawca bursztynu. Pan Fietkiewicz ukończył Wydział Rzeźby i Ceramiki w Wyższej Szkole Sztuk Plastycz-

nych w Gdańsku, ale jego pasją stało się złotnictwo. Szczególnie praca z bursztynem dawała mu nie tylko satysfakcję, ale także zadowolenie z wykonywania swojej pracy. Opracował własną technikę oprawiania bursztynu, nazywaną techniką zwielokrotnionej carginy. W Muzeum Bursztynu w Gdańsku w 2010 roku zaprezentowano retrospektywną wystawę Marii i Pawła Fietkiewiczów, około 150 prac złotniczych. Autor omawianej książki zajmuje się także konserwatorstwem mebli i zegarów.

Zegarami zainteresował się w latach 70-tych XX wieku. Były to proste w wykonaniu i zdobnictwie zegary ludowe. Historię ich odkrywania możemy przeczytać w pierwszym rozdziale książki. Autor niezwykle ciekawie prowadzi czytelników przez dzieje różnych zbiorów, informuje o własnych wystawach, na których prezentowano zegary żuławskie i o książkach, które przeczytał, a także o żmudnych poszukiwaniach rodzin zegarmistrzowskich.

Następny rozdział to już opracowanie naukowe najstarszych zbiorów z delty Wisły. Opis każdego zegara jest bardzo dokładny, jakbym czytała muzealną kartę inwentaryzacyjną: dużo fachowych wiado-

mości, które laikowi mogą pomóc w poznaniu i klasyfikacji zegarów. Dalej opisywane są żuławskie „chodziki jednowskazówkowe“, proste w konstrukcji, wykonywane przez wiejskich rzemieślników - kowali. Bardzo ciekawe są nie tylko mechanizmy, ale także malatury tarcz, np. zegar oznaczony jako B.6. przedstawia Adama i Ewę, a na B.12. znajduje się malatura Jezusa z Samarytanką przy studni.

W trzecim rozdziale autor przedstawił zegary żuławskie z funkcją bicia godzin. Podobnie jak wcześniejsze, są one nie tylko opisane, ale także sfotografowane: tarcza, mechanizm z przodu, z boku, czy w obudowie. Autor przez porównanie mechanizmów i analizę malatury tarcz doszukuje się podobieństw wykonania, czy pochodzenia z tego lub innego warsztatu. Zegary żuławskie charakteryzowały się swoistą malaturą tarcz, sznurowym lub rzemieślniczym napędem obciążnikowym,

mosiężnymi wskazówkami, wahałkami i mosiężnymi obciążnikami wypełnionymi w środku ołowiem. Nie miały one drewnianej obudowy.

Nie sposób nie wymienić tu rodziny Kröger, na których zbiory i opracowanie autor często się powołuje. Krögerowie byli menonitami, którzy na Żuławach założyli warsztat rzemieślniczy produkujący zegary. Po 1803 roku Johann Kröger wraz z grupą wyznawców przeniósł się na Ukrainę, natomiast jego syn Peter pozostał na Żuławach i w Leśniewie dalej prowadził warsztat rzemieślniczy.

Jeżeli ktoś chce nabrać wiedzy fachowej o żuławskich zegarach, polecam tę rzetelnie wykonaną pracę, przedstawiającą wspaniałe dzieło naszych przodków. Publikacja ta powstała w ramach projektu „Zbiory dziedzictwa kulturowego delty Wisły. Zegary żuławskie”. Należy również zauważyć fachowe wykonanie zdjęć przez Marka Opitza.

Maciej Kraiński

Już dwunasta na zegarze, poncz podają gospodarze

Nie dajcie się nabijać w butelkę. „Szampany”, którymi się podlewacie sylwestrowej nocy, tak się mają do oryginału jak pięść do nosa. Dajcie sobie spokój, prawdziwy szampan jest poza zasięgiem przeciętnej kieszeni i - prawdę powiedziawszy - trzeba go trochę pociągnąć, aby zrozumieć, na czym polega wyjątkowość tego trunku. Odrzućcie złudzenia! Sięgnijcie po poncz!

Mam jedyną okazję w roku, by zdradzając wino rekomendować poncz, który jest znacznie bardziej tradycyjny w Polsce niż wszechobecny zajzajer na landrynkach z bąblami. Jak długo pamiętam, zwykło się mówić o sylwestrowym ponczu, natomiast tak zwany „szampan”, wszechobecny w czasach ludowej demokracji, pojawia się w polskiej tradycji trunkowej jako wynik ekspansji sowieckiej kultury. Wojska wymaszerowały, szampańskie zostało. Wstyd, obywatelu Polaku!

A teraz posłuchajcie. W krajach Europy Północnej ulubionymi trunkami pory zimowej są spożywane na gorąco poncze. Nie dziw zatem, że gdy noc sylwestrową zegary wybijają północ, na stołach pojawia się oczywiście poncz... Ojczyznę trunku są Indie. W naszych stronach pojawił się dzięki angielskim marynarzom. Przenikliwe jesienno-zimowe chłody sprawiły, że już pod koniec XVI wieku zaczęto podawać gorący poncz, bywało płonący. Podstawowe składniki napoju to: rum, arak, spirytus, cukier, wino, owoce cytrusowe ze skórką, przyprawy korzenne oraz woda. Poncze nie wymagają leżakowania i są gotowe natychmiast po spreparowaniu. Spożywa się je na gorąco z plasterkiem pomarańczy lub cytryny.

Mój ojciec Adam wypraszał mamę z kuchni i za zamkniętymi drzwiami, niczym mnich z milczącego zakonu trapistów, w oparach alkoholu warzył miksturę. Drzwi się otwierały, a on dumnie, z tacą w rękach, wparowywał podając aromatyczny poncz w cienkich porcelanowych filiżankach. Na stole piętrzyły się małe pączki nadziane konfiturą z tartych płatków

róży, tak na jedno kłapięcie. Ojciec rozgrzany oparami wyczarowanego eliksiru deklamował: „Staś na sukni zrobił płamę, płacze i przeprasza mamę. Suknia głupstwo - mama doda - ale ponczu, ponczu szkoda!”

Sięgam po kruchą filiżkę i przed pierwszym łykiem próbuję podsumować miniony rok. Czy był dobry dla Waplewa? Wznoszę toast za darczyńczynię Izabellę Sierakowską-Tomaszewską. Przebiegam oczami trzydzieści jeden pozycji daru przywiezionego z mieszkania zmarłej Matki

Izabelli, Zofii Herburdt-Sierakowskiej. Patrząc na „Pejzaż z rzeką”, „Antoniego Padewskiego” wg szkoły hiszpańskiej, „Portret starca w stroju hiszpańskim”, „Portret Stanisława Augusta Poniatowskiego”. Kątem oka wychwytyuję „Martwą naturę z owocami”. Pomiędzy granatami i winogronami żółci się banan...

Wybaczcie dygresję. Nie wiem, czy wiesz Drogi i Cierpliwy Czytelniku moich felietonów, że banan nie jest drzewem, jest ogromną byliną. Wyrasta z bulwiastego kłącza i w ciągu roku osiąga wysokość dziewięciu metrów. Na jego szczycie znajdziemy kwiatostan, w miarę dorastania coraz bardziej chylący się ku dołowi. Grupa kwiatów tworząca koronę przekształca się w kiść bananów. Dlaczego przekształca, a nie rodzi? Ponieważ nie dochodzi do zapłodnienia. Kwiaty banana są dziewicami - cud dzieworódtwa, kłania się liściem bananowca. Znany w starożytnym Rzymie i wspominany przez Pliniusza. Nazwa pochodzi od arabskiego „banan” - czyli palec. Król pokarmów w krajach tropikalnych. Gatunki duże, którym mieszkańcy wyspy Reunion nadali nazwę „oh! lala maman”, odgrywają tam podobną rolę co kartofle u Kaszubów. W Afryce rozcierane są na masę będącą podstawą do wypieku chleba zwanego „foutou” lub „foufou” podawanego z pikantnymi sosami mięsnymi lub rybnymi.

Skoro Afryka, wdepnijmy na św. Helenę, gdzie racuchy z bananami polewane miodem łagodziły ostatnie bóle podtruwanego przez podstępnych Anglików, Napoleona. A oto i Francja po I wojnie światowej. Paryż się bawi, Paryż tańczy. Josephine Baker, przyrodziana jedynie w krótką spódniczkę z bananów, prowadzi bezintersowną reklamę śpiewając: „Lubię banany, bo nie mają kości w środku”. Co oczywiście po francusku brzmi znacznie bardziej tajemniczo i obiecująco.

Sączę drugą filiżankę owocowo korzennego napoju przystając przed „Madonną karmiącą” wg Rafaela, „Św. Rodziną z aniołkami” i na koniec „Pokłonem Trzech Króli na Boże Narodzenie”.

W takim to nastroju bożonarodzeniowym i sylwestrowym życzę Państwu i

sobie byśmy wspólnie krążyli po salach pałacu waplewskiego, radując oczy obrazami, a usta ponczem, oczywiście w cieniusieńkiej miśnieńskiej filiżance.

Bóg się rodzi, świat truchleje! Do siego Roku!

Marek Stokowski

PROWINCJONALIA czyli Kronika życia terenowego

Szanowni Państwo! Drodzy Czytelnicy!

Jesienna mgła zasnuła północ kraju i całe nasze życie już ostatecznie znikło nam sprzed oczu. Prócz ślepej mgły zapadła także głucha cisza, tak że nie słysząc nawet trąbki – tej ratuszowej, w Nowym Stawie.

Została nam wyłącznie garść obrazów schowanych w głowie, brzuchu albo nodze. Tylko ta skryta w ciele pamięć trzyma nas jeszcze na powierzchni jawy. Pamięć upewnia nas, że nadal istniejemy: trębacz z Nowego Stawu, jego żona i Lidka Wander, i my wszyscy.

Musimy sobie przekazywać te obrazy. Musimy dzielić się i żyć nimi jak suszonym chlebem – w długiej podróży albo podczas głodu. Musimy czerpać z nich nadzieję, żeby nie szczeznąć w mgłę i ciszy.

Przyjmijcie zatem kilka naszych powidoków – kruchych dowodów na istnienie życia nad prawym brzegiem dolnej Wisły.

Redakcja

Życie nadwiślańskie

W poniedziałek przed południem rzeka zatrzymała się na wysokości Nowej Cerkwi. Wyobraźcie sobie: ściana wody, dalej – sucho.

Wisła stała, a czas płynął.

Z pionowego lustra, jak przez okno, wypryskały srebrne ryby, upadały na dno wyschniętego łoża i trzepały się, dopóki nie przybiegły koty.

Przed północą znów ruszyła.

Bardzo ładnie, ale co się z nią w ogóle działo? Co się stało? Wysiadł napęd? Coś ukradli, ważne części, główny silnik? Może Wisła przestraszyła się, zamurowało ją, zatkało? Albo może ktoś przechodził, jakiś żółw z małymi, ślimak, łączyn albo starzy Jancarzowie – i zostali grzecznie przepuszczeni? Nikt nic nie wie, nawet Berta, która mieszka przy kościele.

I tak pewnie w tej niewiedzy odejdziemy kiedyś w ciszę rzeki.

Życie elbląskie

W Elblągu na Wspólnej mieszka Aleksander Ducki. Ten Ducki ma problem, bo jak idzie, to on stoi. Przebiera nogami, ale nie przesuwają się do przodu, bowiem jednocześnie – niemal niezauważalnie – Ziemia kręci się w przeciwną stronę. To go oczywiście denerwuje.

Ducki przypomina polarnika na lodowej, dryfującej wyspie lub wieiórkę czy chomika, biegające w obrotowym bębnie. Tkwi w tym samym, martwym punkcie. Jakże pragnąłby pewnego dnia doczłapać się do sklepu, kupić sobie coś do picia czy tam jajko albo dotrzeć do tramwaju, lub na dworzec! Lecz nic z tego. Nawet nie jest w stanie dojść do pracy i dlatego musiał przejść na wczesną rentę.

Co szczególne przykre – nie ma żony. Po prostu nie znalazł, bo za żoną trzeba się nachodzić. Zresztą, która chciałaby takiego? Chyba głupia.

Życie z koniem

Koń stojący w przedpokoju. W Malborku, na Jasnej. Jak ktoś chce wy-dostać się na schody, to musi się przepchnąć, przecisnąć, a wtedy obłazi go farba ze ściany i włosie ze skóry, i ciepło stworzenia, i woń konia w domu. Potem, w sklepie albo w kinie, bywa, łąszą się kobiety, bo czują ten zapach i bardzo go lubią.

Koń zjada zielone, przynieszone co dzień w worku. Nie gardzi resztkami z niedzielnych obiadów, na przykład mizerią. Czasami narzeka, że za mało ma końskiego ruchu. Krok naprzód, krok nazad, czochranie o kłamkę, to tyle, najwyżej. A ledwo się ruszy, to zaraz ta z dołu łomocze czymś w sufit. On jednak docenia, że nie jest bezdomny, kąsany kłem mrozu i głodny.

Koń w zwykłym mieszkaniu. Właściwie przypadkiem. Jakoś kiedyś tu zabłądził, więc lokator, że niech wejdzie, odpocznie, przekąsi. I tak w sumie pozostało. To nie jest zjawisko powszechne. Ludzie nie chcą trzymać konia w domu, przy wyjściu na schody, pomiędzy łazienką a drzwiami do kuchni.

Życie leśne

Drzewa mają tutaj stać, gdzie stoją. Naturalnie mogą sobie wymachiwać gałęziami czy tam giąć się w czas wichury, ale nie powinny zmieniać chyłkiem miejsca wedle zielonego widzimisię. Gdyby im pozwolić na łożenie, przeprowadzki i tak dalej, no to co by wtedy było? Las Birnam lub gorzej. A poza tym człowiek nawet by nie wiedział, czy mieszka pod lasem, czy w polach, czy gdzie tam.

Ludzie mają oczywiście rację, z tym że drzewa coś gadają, coś tam szumią między sobą.

Życie handlowe

Jest już całkowicie świeży towar w sklepie ze zdaniami w Starym Targu.

Na wystawie kuszą swym wyglądem trzy frazy z Potulic:

1. Jak ci tak zależy na niej, mówisz, to pij wodę prosto z rzeki.
2. Na każdym drzewie ćwierka zegarek.
3. Tylko nie chrap, Rajmund, jak już nie śpisz.

Do wieczora trwa promocja, więc chyba kupimy coś dzisiaj, bo jutro, wiadomo, będzie już na pewno drożej.

Życie rodzinne

Babcia Stasia dekoruje ciasto dodatkami. W Starym Targu. Tak jak zwykle – sypie kokosowe wiórki pełną garścią. Nienawidzi tego świństwa, aż ją skręca, ale sypie, bo dzieciarnia strasznie lubi i co zrobić.

Potem dzieci jedzą ciasto. Bardzo dobre, tylko babcia zawsze posypuje je wiórkami i to gęsto. One nienawidzą tego świństwa, aż je skręca, ale skoro babcia tak je lubi, no to trudno, dobrze, zjedzą.

I tak od Bożego Narodzenia sześć lat temu. Babcia się poświęca dla swych wnucząt, a te cierpią w wielkiej ciszy, poświęcając się dla ukochanej babci Stasi. Szczera miłość przełknie wszystko – nawet wiórki kokosowe, takie białe i ohydne, że aż skręca.

Życie transportowe

Przejażdżki Rychertem. W Ponarach. A zaczęło się od kleszczy. Po kleszczach oblaży go jakieś owady, ślimaki, jaszczurki – wreszcie psy, nierogacizna, różne cwane organizmy żywe. Ten potulnie wszystkie nosił. Proszę sobie wyobrazić: nikt z wożonych przez Rycherta nie zająknął się dziękuję.

Szczęściem teraz jest o wiele lepiej. Transportuje tylko panie. Do sklepu, apteki, sąsiadki, gdzie trzeba. One są okropnie ciężkie – dużo cięższe od nierogacizny – lecz przynajmniej podziękują, dadzą kawał ciasta albo jabłko. Z tym że w jabłkach – bywa – siedzi robal. I on wtedy znów się wozi bez jednego słowa proszę czy dziękuję.

Życie astronomiczne

Stanisław Kwiatkowski zdaje sobie sprawę z tego, że powstał ze Słońca – w całości, bez reszty. Tłumaczy, że kiedyś z kawałka tej gwiazdy zrobiła się Ziemia, a z Ziemi kamienie, bakterie, chlorofil, kartofle i ludzie.

Kwiatkowski jest dumny. A jako pragmatyk, rozważa, czy proces, o którym tu mowa, ma ciąg odwracalny. Byłoby mu bardzo miło mieć Słońce w pokoju, na przykład na półce, lub trzymać je w piecu i cieszyć się ciepłem w najgorszą zawieję. By zyskać surowiec na jeden gram Słońca, Kwiatkowski jest gotów poświęcić swój palec.

Tymczasem on nie wie, że piec też jest dumny. I pełen ambicji. Piec zamierza grać sam z siebie. Jest przecież z tych samych zastygłych płomieni, co głowa i palec. Jest z gwiazdy.

Życie autopromocyjne

Podczas rautu w sztumskim magistracie N. objawia prawą stopę. Aby to uczynić, musi oczywiście ściągnąć trzewik i wysoko podnieść nogę. Uznaje to wszystko za wartę zachodu, bo stopę ma ładną, a chciałby – jak każdy – możliwie korzystnie objawić się światu.

Nie można się dziwić, bo poza tą stopą nie grzeszy urodą, a przecież – jak każdy – N. szuka miłości. On pragnie się wydać choć jednej z pań ładny i w końcu, o nieba, mieć kogoś bliskiego, domowe obiady, potomstwo i pralkę.

Życie jodły

Jodła upuściła coś pod nogę, coś swojego, zielonego, coś, co wiatr jej wyrwał z ręki, ale ona się nie może po to schylić, a jest na to zbyt subtelna, żeby wołać i domagać się, by ktoś jej podał.

Nawet jeśli jakiś człowiek przypałała się pod drzewo, to i tak nic nie usłyszy. Musiałby się sam domyśleć, podnieść z ziemi to, co spadło. Ale kto tam się przejmuje cudzą zgubą?

W takim razie, może sójka ruszy kuper? Nie za bardzo. Może gawron? Niekoniecznie. Jak potrzeba usiąść na gałęzi, każdy leci na wyscigi, a jak wypadałoby w czymś pomóc, to już, kurde, nie ma komu.

Życie kwidzyńskie

Fontanna na skwerze w Kwidzynie. Młody człowiek z Korzeniewa bierze sporo wody w usta i polewa ludziom dłonie. Ta usługa – jakże cenna – wcale nie jest taka droga. Pozwalają sobie na nią nawet emeryci i rodziny wielodzietne.

Ludzie doceniają pomysłowość i chęci młodego człowieka, który nosi się zamiarem, by wprowadzić od soboty coś nowego. Ma to być pojenie z ust do ust – prawdziwa bomba.

Woda z ust człowieka z Korzeniewa jest cudowna, ma temperaturę jego ciała. Tak uważa choćby Górska. Taka woda z ust smaczniejsza jest, łagodna, lekkostrawna, znacznie zdrowsza. Przyjdą tłumy, ale Górska będzie pierwsza.

Życie wojenne

Różycki z Gardei pasjonuje się historią wielkich wojen. Bardzo często opowiada o przebiegu sławnych bitew. Wyjaśnia, że tamci, zamiast zdecydować się na odwrót, dokonali kilku śmiałych przegrupowań i niespodziewanie uderzyli z prawej flanki. I tak dalej – do kapitulacji.

A po każdej z owych tyrad pozostaje – co? – ogromna masa rozbitego sprzętu, wypalone bunkry i transzeje, wyłamane okno u sąsiadów i – niestety – sporo rannych.

Kto się tym powinien zająć? No, chyba wiadomo! Tymczasem Różycki pobajdurzy, pobajdurzy i zostawi wszystko, pójdzie. Pójdzie sobie po zakupy czy na pocztę i ma w nosie. I to samo ta, co go słuchała, Katarzyna Matuszewicz, którą zresztą tak naprawdę wcale nie obchodzą żadne wojny. Ona słucha, bo pożyczka od sąsiada Różyckiego parę złotych do pierwszego, miesiąc w miesiąc, wszyscy wiedzą, ale milczą.

Życie modrzewiowe

Po otwarciu metalowych drzwiczek, umieszczonych w dolnej części pnia modrzewia numer 295.579, rosnącego w Puszczy Sztumskiej, ukazują się prawdziwi Grecy. Siedzą, leżą, jedzą, piją. Dostyc dawno temu. Rozmyślają, debatują, obliczają, zapisują coś, budują, spacerują w cieniu gajów, którzy płasko rzuca dyskiem albo bierze się za pasy z jakimś innym. Poza tym żeglują, wojują, handlują i tak trochę przy okazji wymyślają świat i kosmos.

Jeden pyta Maleckiego i Wińczuka, którzy przyszli zbierać grzyby: A wy? Może mielibyście chęć wymyślić, coś wykombinować sobie sami?

Tylko komu teraz by się chciało myśleć, debatować i obliczać, zapisywać i budować, spacerować w cieniu gajów, rzucać dyskiem i siłować się z innymi, a w dodatku, przy okazji, ufundować sobie i następnym paru pokoleniom ziemię, niebo i tak dalej? Tym bardziej, że dzisiaj, naprawdę, każdy jest zajęty i zmęczony, i nerwowy, i w ogóle szkoda gadać.

Życie weneckie

Jaka mgła – nie widać lwa świętego Marka. Ba, nie widać nawet żadnej z bizantyjskich kopuł. Nie ma koni, kotów ani stad gołębi nad głowami. Ponte Rialto nie wyczuwa ziemi ani nieba. Taka mgła. Nie słychać gondolierów ani orkiestr, ani dzwonów, nawet zapach ryb z Pescherii nie dociera do Ca'd'Oro. Nie ma kobiet w srebrnych maskach.

Dziwna mgła, bo kiedy się rozwiewa, Lipski stoi na przystanku pekaesu w Nowym Dworze, w porze zmierzchu. Wiezie do naprawy pralkę i żyrandol ze sztucznymi kryształami w kształcie sopli. Ma paskudnie przemoczone czubki butów – to dlatego, że świat tonie w śniegu z deszczem. Nie wiadomo, jak to jest możliwe, bo nie przyszła jeszcze zima, nawet się nie skończył jeszcze wrzesień.

Noty o autorach

Tomasz Agejczyk – ur. w 1985 roku w Malborku, od najmłodszych lat zafascynowany historią Malborka, w szczególności latami międzywojennymi. Pasjonata i zbieracz wszelkich pamiątek dotyczących miasta. Numizmatyk. Obecnie mieszka w Elblągu. Należy do Förderverein Jerusalem-Hospital des Deutschen Ordens in Marienburg (Malbork) e.V. Współpracuje z „Magazynem Elbląskim”.

Wacław Bielecki - od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. Był dyrektorem Wojewódzkiego Zespołu Szkół Policelanych w Sztumie. Od X 2011 r. na emeryturze. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. W latach 1990 - 1994 roku przewodniczący Rady Miasta i Gminy Sztum. Zainteresowania pozazawodowe: muzyka - nie tylko klasyczna, fotografia, spacer rowerowy i wnuki.

Aldona Borowicz - ur. w 1949 w Sztumie. W latach 1949-1976 mieszkała w Malborku, Kwidzynie i Starym Młynie koło Prabut. Absolwentka Wydziału Prawa i Administracji na Uniwersytecie Gdańskim. Mieszka w Warszawie. Poetka, krytyk literacki, eseistka. Debiutowała na łamach „Tygodnika Kulturalnego”. Wydała trzy tomiki wierszy: „Monolog przed północą” (1978 r.), „A ta radość pierwsza” (1990), „Ogniem otworzę drzwi” (2006 r.). Za ostatni tomik otrzymała nagrodę im. W. Hulewicza (Książka Roku). Drukowała swoje wiersze m.in. w „Poezji”, „Regionach”, „Akencie”, „Akancie”, „Autografie”, „Okolicy poetów”, „Nowym Wyrazie”, „Notatniku Satyrycznym”, „Miesięczniku”, „Gazecie Kulturalnej”. Wiersze były wielokrotnie prezentowane na antenie radiowej oraz tłumaczone na j. słowacki, rosyjski, litewski i białoruski.

Marta Chmielińska - ur. 1973 w Hajnówce na Podlasiu. Pracowała jako dziennikarka „Kurier Porannego” i TV Podlasie. Jej teksty ukazywały się w „Niedzieli” i „Piśmie Kulturalnym”. Od 2010 roku mieszka w Malborku, współpracuje z „Dziennikiem Bałtyckim”.

Andrzej Czapliński – ur. w 1955 r. w Elblągu. Z wykształcenia zootechnik i pedagog. Przez 17 lat pracowałem w rolnictwie. Od 1995 r. pracuje jako dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Starym Dzierzgoniu. Zamiłowania: historia lokalna, łowiectwo, muzyka i fotografia. Żonaty, jedno dziecko.

Paweł Głogowski - ur. 1969 r. w Warszawie. Absolwent politologii Uniwersytetu Warszawskiego. Zainteresowania: historia, rekonstrukcje historyczne, numizmatyka, Indianie, góry, książki. Mieszka w Sztumie.

Agata Janik – ur. w 1977 r. w Elblągu. Ukończyła studia na kierunku resocjalizacja. Od blisko 15 lat związana z elbląskimi mediami: „Dziennik Bałtycki”, „Głos Elbląga”, „Gazeta Elbląska”. Od 7 lat dziennikarka „Elbląskiej Gazety Internetowej portEl”.

Agnieszka Jarzębska – ur. 1975 r. W Elblągu. Absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, specjalność: teatrologia i pedagogika. Dziennikarka - „Gazeta w Elblągu”, elbląskie wydanie „Gazety Wyborczej”, Polskie Radio Olsztyn - redakcja w Elblągu, Telewizja Elbląska, „Elbląska Gazeta Internetowa PortEl.pl”. Od 2007 roku redaktor naczelna Portalu Kulturalnego Warmii i Mazur eswiatowid.pl . Mieszka w Elblągu.

Andrzej Kasperek - ur. 1958 w Stegnie. Prawie całe życie spędził na Żuławach. Po studiach na UG (seminarium Marii Janion), działalności w SKS, zakładaniu NZS i pracy w DKF „Żak” od ćwierć wieku oddaje się pracy nauczycielskiej w nowodworskim liceum. Autor tomu „Back in the DDR” i inne opowiadania [słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2010], który znalazł się w Finale Nagrody literackiej Gdynia 2011. Aktualnie ukończył pracę nad książką poświęconą inspiracjom malarskim w twórczości Jacka Kaczmarskiego pt. „Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło Wschodnie”. Pisze nowe opowiadania, które zamierza wydać w przyszłym roku 2012.

Marta Kluszczyńska - studentka etnologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Międzykierunkowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych. Jej zainteresowania skupiają się wokół tematów animal studies, gender studies i antropologii codzienności. Na Żuławach zaintrygował ją problem skromnego folkloru słownego.

Jerzy Kosacz - ur. w 1942 w Budslawiu (obecnie Białoruś). Absolwent Wydziału Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Pracował jako robotnik w Stoczni Gdańskiej, bibliotekarz w Kwidzynie, nauczyciel akademicki w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku, kierownik Biblioteki w Kwidzynie. Od 1980 przewodniczący MKZ „Solidarność” w Kwidzynie, współzałożyciel i redaktor „Biuletynu Związkowego MKZ NSZZ «Solidarność» w Kwidzynie” i „Poradnika Prawnego MKZ NSZZ «Solidarność» w Kwidzynie”. 12 XII 1981 zatrzymany, internowany w Iławie, zwolniony 18 I 1982, następnie zwolniony z pracy. W latach 1982-1990 prowadził własny zakład stolarski w Białkach k. Kwidzyna. Współorganizator Duszpasterstwa Ludzi Pracy przy katedrze św. Jana w Kwidzynie, m.in. pomocy dla represjonowanych. W latach 1984-1985 przewodniczący podziemnej MKK „S” w Kwidzynie, 1985-1989 członek TZR „S” w Elblągu; 15 XII 1985 aresztowany, osadzony w więzieniu w Kwidzynie i Elblągu, zwolniony 28 III 1986. 1991-2001 kierownik wydz. w Urzędzie Wojewódzkim w Elblągu; członek KZ „S” przy Urzędzie. Od 2001 na emeryturze. Odznaczony Krzyżem Semper Fidelis (2003), Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2006). Zajmuje go małe formy literackie, publicystyka historyczna i grafika. Pisuje felietony w internecie. Mieszka w Sadlinkach.

Maciej Kraiński - ur. 1950 r. w Gdańsku. Studiował filologię polską na UMK w Toruniu i Uniwersytecie Gdańskim. Współzałożyciel pisma literackiego „Litteraria”. Założyciel i pierwszy prezes Koła Młodych przy ZLP w Gdańsku. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 r. W latach 1999-2003 dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Gdańsku. Prezes i założyciel Stowarzyszenia Gunthera Grassa. Pomysłodawca i współtwórca obchodów 80-tych urodzin noblisty w Gdańsku w 2007 r. W latach 2005-2006 jako współpracownik „Dziennika Bałtyckiego”. Współpracował z miesięcznikiem „Punkt” i „Dziennikiem londyńskim”. Wydał tomik poezji „Jelita” i współtworzył almanach poetycki „Nowy transport posągów”. Od 2009 roku tworzy Muzeum Tradycji Szlacheckiej w Waplewie Wielkim oddział Muzeum Narodowego w Gdańsku. W 2010 roku wydał książkę „Panowie na Waplewie”.

Marek H. Kotlarz - ur. 1959 w Gdyni. Absolwent ekonomii Uniwersytetu Gdańskiego, w 1980 roku członek Niezależnego Zrzeszenia Studentów i jeden z przywódców studenckiego strajku w listopadzie i grudniu 1981 r. Po ogłoszeniu stanu wojennego prowadził podziemną działalność opozycyjną. W 1983 roku wraz z Maciejem Płażyńskim i kilkoma innymi osobami został jednym z założycieli Spółdzielni Pracy „Światlik”, w której w czasach stanu wojennego znalazło zatrudnienie wielu opozycjonistów szykanowanych przez ówczesną władzę. W latach 1989 - 1991 publicysta i szef działu gospodarczego tygodnika „Młoda Polska”. Współpracował z Video Studio Gdańsk i Agencją Filmową „Profilm”. Publikował także w „Dzienniku Bałtyckim”, „Tygodniku Gdańskim”, „Gazecie Gdańskiej”, „Przeglądzie Politycznym”. Debiut prozatorski w 2009 roku - „Opowiadania z pierwszej połowy”. W roku 2010 ukazał się reportaż z kilku pobytów w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych zatytułowany „Ameryka - stronnicze refleksje”.

Tomasz Kukowski - pracownik Archiwum Państwowego w Elblągu z siedzibą w Malborku. Mieszka w Malborku.

Andrzej Lubiński - ur. 1952 r. w Gniewie, absolwent LO w Sztumie i UMK w Toruniu (historia). Zainteresowania - historia regionalna Pomorza i Powiśla. Publikacje w „Komunikatach Mazursko Warmińskich”, „Roczniku Elbląskim”, „Studiach Elbląskich”, „Z dziejów Sztumu i okolic”. Współautor książki „Bank Spółdzielczy w Sztumie 1910-2010”. Uczestnik i wykładowca kilku sympozjów naukowych. Mieszka w Sztumie.

Karolina Manikowska - ur. w Malborku. Absolwentka PWSZ w Elblągu (język polski - licencjat) oraz UG (magister historii sztuki). Jest członkiem zarządu Stowarzyszenia Miłośników Malborka „Forum” oraz miłośniczką Żuław, które zwiedza na rowerze i utrwała na zdjęciach. Pracuje w elbląskiej delegaturze Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Olsztynie. Mieszka w Malborku.

Mirosław Melerski - ur. w 1949 roku w Lipnie. Absolwent historii UMK w Toruniu. W latach 1976-82 dyrektor Sztumskiego Centrum Kultury. Przewodniczący Terenowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” w Sztumie w 1981 roku, współzałożyciel i redaktor biuletynu „Sztumska Solidarność” w 1980 - 81. W latach 1992 - 2002 pracował w Vitra Design Museum w Weil am Rhein (Niemcy), gdzie zajmował się koordynacją produkcji i dystrybucji miniatur z kolekcji Vitra Design oraz organizacją wystaw kolekcji Vitra w Polsce, Czechach i na Węgrzech. Publikował artykuły na temat nowoczesnego designu w polskich pismach fachowych. Mieszka w Nadbrzeżu k. Elbląga

Janusz Namenanik - ur. 1952 roku w Dzierzgoniu. Absolwent Akademii Pomorskiej w Słupsku. W latach 1982-2003 był nauczycielem fizyki w dzierzgońskich szkołach. Od 2003 roku na emeryturze. Autor licznych opracowań z zakresu dydaktyki fizyki, które w latach 1987 - 1993 publikowane były na łamach „Fizyki w Szkole”. Zdobył I miejsce w ogólnokrajowym konkursie na opracowanie dydaktyczne nt. Domowe zadania doświadczalne z fizyki. Od grudnia 2010 roku publikuje na łamach „Dzierzgońskiego Informatora Samorządowego” artykuły będące szkicami z dziejów Dzierzgonia. Obecnie mieszka w Lęborku.

Roman Niemczyk - ur. w 1952 roku w Dąbrówce Tczewskiej. Nauczyciel przedmiotów ekonomicznych w Zespole Szkół w Sztumie. Absolwent Uniwersytetu Gdańskiego Wydziału Ekonomiki Produkcji. Wykładowca rachunkowości w Powiślańskiej Szkole Wyższej w Kwidzynie oraz nauczyciel przedsiębiorczości w Wojewódzkim Zespole Szkół Policealnych w Sztumie. Ekspert oświatowy z zakresu przedmiotów ekonomicznych. W swoim dorobku naukowym posiada 50 napisanych książek oraz 58 artykułów naukowych o tematyce ekonomicznej. Z zamiłowania historyk amator, zajmujący się problematyką wczesnośredniowiecznej historii Pomorza Nadwiślańskiego. Autor „Zarysu dziejów Pomorza Nadwiślańskiego do II połowy XIV wieku”. Od 2006 roku na emeryturze, Mieszka w Sztumie

Wiesław Olszewski - ur. 1957 r. Absolwent Akademii Rolniczo - Technicznej w Olsztynie, rolnik. Inicjator reaktywacji struktur Polskiego Towarzystwa Turystyczno - Krajoznawczego w Nowym Dworze Gdańskim. Współzałożyciel i Prezes Klubu Turystycznego PTTK w Nowym Dworze Gd. Przewodnik po Muzeum Stutthof.

Janusz Ryszkowski - ur. 1955 w Opaleniu. Absolwent Filologii Polskiej UWM w Olsztynie. W latach 1984-2009 dziennikarz „Wieczorne Wybrzeża”, „Wiadomości Elbląskich” i „Dziennika Bałtyckiego”. Jako poeta debiutował w 1975 roku w „Nowym Wyrazie”, jako krytyk literacki trzy lata później na łamach „Nowych Książek”. Opublikował tomiki: „Wiersze” (1983), „Stan podgorączkowy” (nagroda im. Kazimierza Iłłakowiczówny na najlepszy książkowy debiut 1985 roku), „Płatny romans”, „Prywatne śledztwo” (1992), „Do snu nie przemycisz domowych zapachów” (2001). Autor reportaży „Requiem dla hrabiego” (1997), „W podróży po ziemi sztumskiej” (2010), współautor albumów starych pocztówek oraz fotografii „Sztum-

Stuhm" (2000) i „Odcienie szarości” (2003). Z Krystyną Błaszczyk - Ryszkowską przygotował antologię „Oko judasza” (2007), złożoną z prac literackich nadsyłanych od 1992 na Ogólnopolski Przegląd Sztuki Więziennej w Sztumie. Mieszka w Sztumie.

Leszek Sarnowski - ur. 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii UG. Jako dziennikarz współpracował z Gazetą Wyborczą, Dziennikiem Bałtyckim, Radiem Gdańsk, Radiem Plus, TVP Olsztyn, TVP Gdańsk. Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Sztumie w 1989 roku. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989-93. Wydawca i redaktor książki „Od „Solidarności” do społeczeństwa obywatelskiego” (2005). Prezes Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie, pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Prowincja”. Były kierownik Działu Edukacji i Promocji Muzeum Archeologiczno – Historycznego w Elblągu. Obecnie Dyrektor Departamentu Kultury Urzędu Miejskiego w Elblągu. Od 28.10.2011 r. radny Sejmiku Województwa Pomorskiego. Mieszka w Sztumie.

Ryszard Skowroński - ur. 1948 r. Z wykształcenia polonista i logopeda. Autor sześciu tomów poetyckich: „Gorzkie ziele pamięci”, „Pesymizm w środku lata”, „Złodziej gniazd”, „Cynobrowa ryba”, „Piesek Horacjański” i „Widok z odlotu ptaka”. Mieszka w Prabutach.

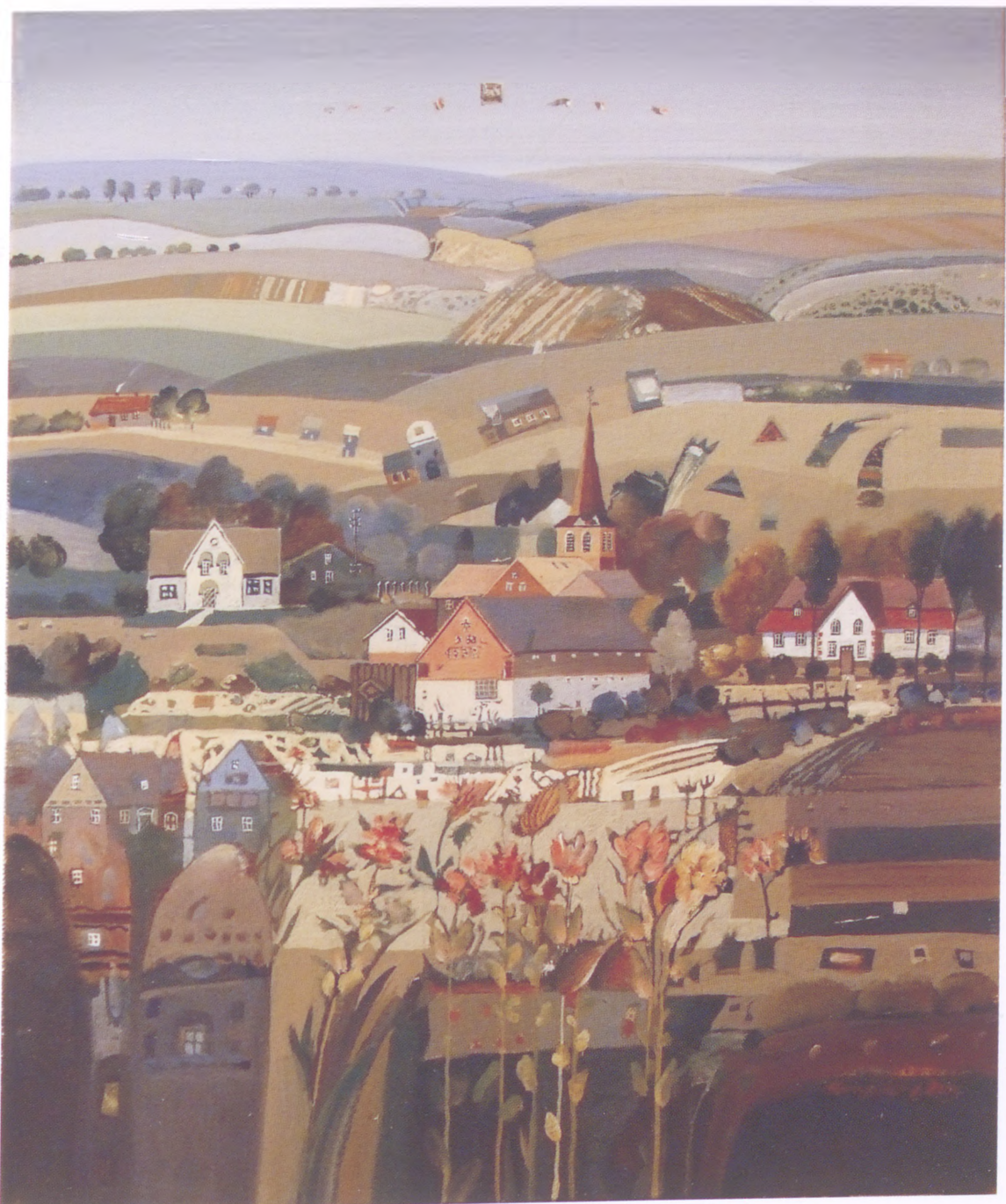
Mariusz Stawarski - ur. 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz PWSSP w Gdańsku. Od 1990 roku mieszka i pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawianictwem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem lirycznym - groteskowym, wystawianym i nagradzonym w wielu krajach i zagranicznych konkursach - Grand Prix Satorykonu 1998, Secend Prize Istanbul - Turcja. Mieszka w Malborku.

Marek Stokowski - ur. 1957 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Kustosz w Muzeum Zamkowym w Malborku. Prowadzi unikalne w skali kraju gry edukacyjne i przygodowe dla młodzieży i dorosłych. Autor książek beletrystycznych i edukacyjnych. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał m.in. - „Dzień nad ciemną rzeką” (1996), „Sny dla dorosłych i dla dzieci” (1998), „Legendy i opowieści zamku Malbork” (2002, 2005), „Krzyżacy, ich państwo i zamki” (2003), „Błazen” (2004), „Noc tajemnic” (2005), „Samo-loty” (2005), „Stroiciel lasu” (2010). Mieszka w Malborku.

Edward Studziński - ur. 1934 r. na Polesiu. Od 1940 roku wraz z rodziną przebywał na zesłaniu pod Biegunem Północnym, skąd większość już nie wróciła. Aktywny działacz „Solidarności” od 1980 roku. Współzałożyciel i działacz Związku Sybiraków. W 2010 roku wydał książkę „Na bocznych torach”, opisującą losy rodziny na Syberii. Mieszka na Śląsku.

Danuta Thiel - Melerska - ur. w Tczewie. Absolwentka historii UMK w Toruniu. Kustosz Muzeum Zamkowego w Malborku i kierownik Muzeum Powiśla w Sztumie do 1984 r. Kierownik Archiwum Miejskiego w Lörrach (Niemcy), obecnie na emeryturze. Zajmuje się historią fotografii, dziejami wsi pomorskich, historią żelazek, genealogią i ogrodem. Mieszka w Nadbrzeżu gm.Tolkmicko.

Andrzej Wiłun - ur. w 1949 r. Absolwent wydziału budownictwa lądowego na Politechnice Warszawskiej. Pracował przy budowie kwidzyńskiej „Celulozy”. Od 1988 roku mieszka w Berlinie. Interesuje się tematyką stosunków polsko-niemieckich, polsko-żydowskich oraz Kresami Wschodnimi, skąd pochodzi jego rodzina. Aktualnie publikuje w polonijnym periodyku „Akcenty” w Berlinie i w kwidzyńskim kwartalniku „Schody Kawowe”.



Benedykt Kroplewski - Osiek



Benedykt Kroplewski - Brama rozsypanych drobiazów

ISSN 2082-0291